



*la bouche de mon amour, Cavalle, Malheur
le 22 Avril
l'homme idéal
l'immanité de son être
les supérieurs adieux
1913*

JAN WALLENTIN

GWIAZDA ♁ STRINDBERGA

JAN WALLENTIN

GWIAZDA STRINBERGA

Strindbergs Stjärna

PRZEŁOŻYŁ
MACIEJ MUSZAŁSKI



Wydanie elektroniczne

Fragmenty z mego Dziennika z roku 1896

13 maja. List od żony, która dowiedziawszy się z gazet, że jakiś pan S. wybiera się balonem na biegun północny, podnosi lament, przerażona, wyznaje, że stale mnie kocha, błaga mnie, żebym zrezygnował z tej samobójczej wyprawy.

Wyjaśniam jej tę pomyłkę, tłumacząc, że to mój krewny, syn kuzyna, zamierza ryzykować życie dla wielkiego naukowego odkrycia^[1].

August Strindberg, *Inferno*

Niedostępne jest to, co istnieje, i niezgłębione - któż może to zbadać?

Księga Koheleta 7,24

Zaproszenie

Twarz miał naprawdę zwiędłą. Mimo starań telewizyjnej charakteryzatorki nic nie mogło tego ukryć. Choć robiła, co mogła, przez piętnaście minut pracując gąbką, pędzlem i brzoskwiniowym pudrem mineralnym, kiedy z powrotem założyła mu okulary pilotki, od jego poszarzałych policzków bił chorobliwy blask. Poklepała go delikatnie po ramieniu.

- No, Don. Zaraz po ciebie przyjdą.

Uśmiechnęła się do niego w lustrze i starała się wyglądać na zadowoloną, ale on wiedział, co naprawdę myśli. *A farshlepte krenk*, przewlekła choroba - starzenie się.

Don oparł swoją torbę o nogę fotela obrotowego. Kiedy charakteryzatorka wyszła, pochylił się i zaczął w niej grzebać, przekładając pudełeczka, igły do strzykawek i aluminiowe listki. Z jednego z nich wyłuskał dwie okrągłe tabletki - dwadzieścia miligramów diazepam. Wyprostował się, położył je na języku i przełknął.

Światło zamontowanej przy lustrze jarzeniówki padało na wskazówki zegara, które przesunęły się odrobinę. Trzydzieści cztery minuty po szóstej - z telewizora dobiegał szum porannych wiadomości. Do pierwszej rozmowy w studiu pozostało jedenaście minut.

Rozległo się pukanie, a chwilę później w drzwiach pojawił się cień.

- Czy to tutaj robią makijaż?

Don skinął głową.

- Potem mam iść do Czwórki - powiedział rosły mężczyzna - niech więc dziewczyny nałożą lepiej tyle, by wytrzymało.

Zrobił kilka kroków po niebieskim, cętkowanym linoleum i usiadł koło Dona.

- Występujemy razem, prawda?

- Na to wygląda - odparł Don.

Mężczyzna przysunął się bliżej, fotel obrotowy zatrzeszczał.

- Czytałem o panu w gazetach. To pan jest ekspertem?

- To nie do końca moja specjalność - wyjaśnił Don - ale zrobię, co w mojej mocy.

Wstał i zdjął sztruksową marynarkę z oparcia.

- W gazetach pisali, że się pan na tym zna.

- Tak, w końcu oni wiedzą najlepiej.

Włożył marynarkę i kiedy przekładał pasek torby przez ramię, mężczyzna zaatakował:

- Nie musi pan być taki cholernie ważny. To przecież ja wszystko znalazłem, prawda? A poza tym... - Mężczyzna zawahał się. - Poza tym jest jedna sprawa, w której akurat pan mógłby mi, jak sądzę, pomóc.

- Czyżby?

Rzucił szybkie spojrzenie w kierunku drzwi, ale nikogo tam nie było.

- Tam w dole znalazłem coś jeszcze. Tajemnicę, można by powiedzieć.

- Tajemnicę?

Mężczyzna przyciągnął Dona do siebie, chwytając pasek jego torby.

- Mam to u siebie w Falun i, o ile to możliwe, chciałbym, żeby przyjechał pan do mnie i...

Głos mężczyzny zamarł. Don podążył za jego spojrzeniem w kierunku drzwi, w których czekała już prowadząca, odziana w jasnobrązowy żakiet i spódnicę po babci.

- A zatem... panowie się już poznali? - Nerwowy uśmiech. - Może swoją rozmowę dokończą panowie już po wszystkim?

Wskazała korytarz, gdzie świecąca na czerwono lampka informowała, że „emisja trwa”, po czym zwróciła się do Dona:

- Tędy, panie Titelman.

1

Niflheim

Gumowe buty Erika Halla z każdym krokiem zapadały się coraz głębiej. Nogi dawno mu zeszywniały, ale nie mogło być już daleko.

Erik był masywny i atletycznie zbudowany, jak kulturysta, a na plecach niósł trzy torby ze sprzętem do nurkowania, nic więc dziwnego, że podmokły mech uginał mu się pod stopami. Zdziwiło go natomiast, że las tak szybko zdążył pograżyć się w mroku. Kiedy na przydrożnym postoju zatrzasnęła bagażnik i spojrział w stronę lasu, jego skraj wydawał się jasny i zachęcający. Teraz, po blisko godzinie niełatwej wędrówki, gęstwinę spowijała mleczna mgła. Nie zamierzał jednak zawracać.

Kiedy między ostatnimi pniami drzew zobaczył polanę, przystanął. Czuł się niepewnie. Po krótkim czasie dostrzegł resztki starego płotu. Spróchniałe kikuty niczym grożące palce sterczały przed zboczem prowadzącym do szybu. Przebijając się przez białą zasłonę, zrobił kilka ostatnich kroków po trawie i ześlizgnął się w dół, do wejścia. Wyłączył GPS i rzucił na ziemię torby ze sprzętem. Rozprostował plecy.

Panował tu przenikliwy chłód, tak samo jak wczoraj, kiedy po raz pierwszy trafił do tej opuszczonej kopalni. Ciężkie butle z kamizelką do nurkowania były tam, gdzie je zostawił.

Nadal też unosił się tu ten okropny smród. Wciągnął powietrze nosem i pomyślał, że najprawdopodobniej gdzieś niedaleko coś się rozkłada. Może jakaś sarna, która gnije zżerana przez robaki i larwy.

Mgła przytłumiła delikatne światło zmierzchu, kiedy więc nachylił się nad stromym szybem i zajrzał do środka, trudno mu było dostrzec szczegóły. Po chwili jednak jego oczy przyzwyczyły się do półmroku i zobaczył drewniane bale, zaczynające się na głębokości jakichś trzydziestu metrów, podtrzymujące ściany kopalni - Erik wyobraził sobie przedzielone dużymi przerwami szerniałe zęby, zupełnie jakby zaglądał do ust jakiegoś bardzo starego człowieka.

Zrobił parę kroków w tył i ostrożnie wciągnął powietrze. Im dalej stał od otworu, tym mniej intensywny wydawał się ów zapach.

Była to w każdym razie odpowiednia chwila, by pogratulować sobie dobrej roboty.

Niewielu dałoby radę rozeznać się w tej ciemności i znaleźć drogę. Korzystając z nawigacji satelitarnej, każdy potrafiłby dotrzeć z Falun do konkretnego miejsca w Sundborn albo Sagmyra, ale zlokalizować właściwy punkt ponad pięć kilometrów w głąb pustkowia - to już zupełnie inna sprawa.

Większość opuszczonych szybów kopalni, a właściwie wszystkie, zazwyczaj skrupulatnie zaznaczano na mapach. Pilnowali tego inspektorzy z Państwowego Urzędu Górniczego. Widać ten otwór przeoczyli. Erik przyniósł tu ze sobą wszystko, czego potrzebował, by zejść w dół.

Dopiero po rozsunięciu zamka błyskawicznego pierwszej torby Erik Hall zdał sobie sprawę z ciszy, jaka panowała dookoła.

Nie potrafił powiedzieć, jak dawno temu to było, jednak na początku słyszał szum samochodów. Niezbyt głośny, rzecz jasna, lecz wystarczający, by nie czuł się zupełnie opuszczony. Pamiętał, że kiedy w lesie wciąż jeszcze świeciło słońce, słyszał stukanie dzięcioła i poruszające się gdzieś w pobliżu zwierzęta. Między gałęziami przeciskał się jakiś ptak. Później, kiedy zaległa mgła, słyszał już tylko własny oddech i trzask łamanych gałęzi, gdy przedzierał się przez gęstniejące zarośla.

A teraz panowała pełna cisza.

No, może z wyjątkiem delikatnego brzęczenia, gdy wokół niego zaczęły gromadzić się muchy. Zaciekawione wlatywały do torby, szukając jedzenia. W pierwszej torbie była jednak tylko lina na bębnie, karabinki i kotwy, tytanowy nóż z ząbkowanym ostrzem o szlifie dwustronnym wklęsłym, wiertarka udarowa na baterie, uprząż wspinaczkowa i latarka do nurkowania, którą przymocuje do

prawego nadgarstka.

Kiedy wyrzucił wszystko na pożąłką trawę, otworzył boczną kieszeń torby. Tam w sztywnych futerałach spoczywały fińskie przyrządy pomiarowe. Wypakował głębokościomierz, który miał mu pomóc ustalić, na jakiej głębokości zatopionego szybu się znajduje, a także klinometr, którym będzie mógł zmierzyć nachylenie korytarzy kopalni, kiedy już do nich dotrze.

Much przybywało i teraz kłębiły się wokół Erika niczym chmura brudnego pyłu. Zirytowany odgonił je od ust, wyjmując jednocześnie z drugiej torby automat oddechowy i długie węże do butli, które będą utrzymywały go przy życiu. Zamontował pierwszy stopień redukcji i sprawdził ciśnienie w butlach. Cofnął się odrobinę, ale chmura much podążyła za nim.

Stojąc na żwirowym podłożu, pochylił się i zdjął zielone gumowce, a następnie spodnie moro i wiatrówkę. Rozsunął suwak ostatniej torby, na twarzy i szyi cały czas czując owady. Pod komputerem na rękę i latarką czołową spoczywały dwa skafandry: mokry i suchy - czarne i połyskliwe, z trzywarstwowej tkaniny laminatowej, specjalnie zaprojektowane do nurkowania w wodzie o temperaturze czterech stopni Celsjusza.

Kiedy włożył dolną część skafandra, pochylił się do przodu i wcisnął pięty we wzmocnione gumą buty do nurkowania. Z grymasem na twarzy wyprostował się i wsunął najpierw lewą, później prawą rękę w lateksowe rękawy, naciągnął kombinezon i na końcu założył okrywający całą głowę kaptur z neoprenu. Muchy miały teraz dostęp jedynie do jego oczu i górnej części policzków.

Wyjął worek z płetwami i maską. Unoszący się przy wejściu do szybu odór zgniłych jaj sprawił, że niemal się rozmyślił, przywiązał jednak worek do nylonowej liny i zaczął ją opuszczać. Jakieś czterdzieści, pięćdziesiąt metrów poniżej - tak długo był w stanie śledzić jej rozedrganą wędrówkę - lina nadal nie przestawała opadać. Dopiero po kilku minutach dotknęła wody, która wypełniała dolną część szybu.

Okręcił linę kilka razy wokół kamiennego bloku i poszedł po torbę ze sprzętem wspinaczkowym i karabinkami. Wrócił do otworu i uklęknął. Ostry ryk wiertarki przerwał ciszę i po chwili Erik mógł już osadzić pierwszą kotwę. Pociągnął - wytrzyma. Wiertarka ryknęła znowu i powstał punkt asekuracyjny numer dwa.

Kiedy skończył, założył na plecy pięćdziesięciokilogramowy pakunek z butlami, kamizelką i węzami. Po wielogodzinnych treningach w swoim letnim domku nogi miał silne, a mimo to zachwiał się pod ciężarem stalowych cylindrów. Na koniec zapiął klamrę uprząży na piersi i kilkakrotnie sprawdził przyrząd zjazdowy z automatyczną blokadą, który miał regulować prędkość opadania do szybu. Wreszcie przerzucił nogi nad krawędzią. Hamulec syknął, kiedy Erik Hall zaczął opuszczać się w dół.

Jeśli ktoś poszperałby w sieci, mógłby znaleźć niewyraźne zdjęcia zamieszczone przez *urban explorers* z Los Angeles, którzy bez mapy pokonywali kilometr za kilometrem, czołgając się przez klaustrofobiczne systemy kanalizacyjne. Były tam też teksty Włochów zajmujących się pełzaniem wśród szczurów i śmieci przez starożytne katakumby, a także Rosjan, którzy opowiadali o wyprawach do zapomnianych radzieckich więzień znajdujących się setki metrów pod ziemią. Ze Szwecji pochodziły filmiki pokazujące nieczynne kopalnie, gdzie w czarnej jak smoła wodzie pływali nurkowie. Przeprawiali się przez tunele zdające się nie mieć końca.

Jedną z grup byli Baggbodykarna - nurkowie z Baggbo - działający w okolicach Borlänge. W Gävle byli Gruf, w Karlstad - Wärmeland Underground, i jeszcze kilka grup w Bergslagen i Umeå. Poza tym byli też ludzie tacy jak Erik Hall, którzy nurkowali na własną rękę - co nie było wskazane, ale i tak to robili - i nie chcieli się z tym afiszować.

Ponieważ wymieniali się informacjami na temat sprzętu i wartych zbadania szybów, wszyscy nurkowie jaskiniowi w kraju znali się. Do grupy tej wciąż należeli ci sami ludzie. I wyłącznie mężczyźni.

Jednak jakiś miesiąc wcześniej zdjęcia z nurkowania w kopalniach zaczęła umieszczać w sieci grupa dziewczyn. Nazwały się Dykedivers. Nikt nie wiedział, skąd pochodzą ani kim właściwie są, nie

odpowiadały też na żadne pytania. W każdym razie nie odpowiedziały na ani jedno z tych, które na próbę wysłał im Erik.

Na początku, przeglądając ich stronę, znalazł tylko kilka ziarnistych zdjęć. Później pojawiły się filmy pokazujące profesjonalne nurkowanie, a wczoraj nagle umieściły zdjęcie z szybu kopalni w Dalarnie.

Były na nim dwie kobiety w skafandrach w ciasnym tunelu kopalni: miały blade policzki i krwistoczerwone usta, a błyszczące czarne włosy opadały im na ramiona. Na ścianie za sobą napisały niebieskim sprayem: „2 września, głębokość 166 metrów”.

Pod fotografią dziewczyny podały współrzędne GPS, które odpowiadały miejscu w pobliżu kopalni miedzi w Falun - zaledwie kilkadziesiąt kilometrów od letniego domku Erika Halla:

Zatopiony osiemnastowieczny szyb, który znaleźliśmy na tej mapie (kopparberget1786.jpg), szacun dla archiwum wojewódzkiego w Falun. Za żelastwem w wodzie są korytarze dla tych, którym uda się przedostać.

No country for old men :-)

Dzięki przyrzadowi zjazdowemu z automatyczną blokadą opuszczał się powoli.

Na górze, przy wejściu wciąż krążyła chmara much, ale w ciemnościach na dole Erik wisiał sam. Teraz oddychał już tylko przez usta, żeby nie czuć zapachu siarki. Spoglądając wokół, czuł się, jakby opadał w inne stulecie. Przerdzewiałe uchwyty do drabin, na wpół zasypane ślepe szyby, ślady po oskardach i łomach. Odepchnął się nogami od ściany, rozhuśtał i ominął powykrzywiane haki oraz zardzewiałe łańcuchy. W migotliwym świetle czołowej latarki dostrzegł cyfry wyrażające miary w sążniach i łokciach.

Przy opuszczaniu się do kopalni w pojedynkę nie ma miejsca na błędy. Próbował sobie jednak wmówić, że to nie jest trudne: w końcu to tylko pionowy korytarz i brudne podpory, którym przez setki lat udało się wytrzymać nacisk skalnych ścian. Mimo to takie kopalnie nigdy nie są całkowicie bezpieczne. Coś, co wygląda jak drobne pęknięcie, może przejść w głęboką szczelinę. A jeśli pęknie ściana, może się zdarzyć, że któryś z wiszących nad nim tysiackilogramowych bloków nagle się obluzuje i runie w dół.

Ile jeszcze?

Erik złamał laseczkę światła chemicznego i wypuścił ją z ręki. Rozjarzony świetlik zniknął w ciemności - plusk rozległ się dużo wcześniej, niż Erik się spodziewał. Rzucona laska świeciła daleko w dole zielonym blaskiem, podskakując na czarnej wodzie jak korek.

Wysokościomierz na nadgarstku pokazywał, że Erik zdążył się opuścić około siedemdziesięciu metrów w dół, gdzie chłód przybrał jeszcze na sile. Na skalnej ścianie na wprost niego połyskiwał szron, a kolejny świetlik wylądował na krze lodu.

I wtedy odkrył małe wzniesienie tuż nad powierzchnią wody. Znajdowało się mniej więcej dziesięć metrów na prawo, musiał więc kilka razy odbić się od ściany, żeby się tam dostać. Po wylądowaniu zaczął przyciągać przywiązany do liny worek, który pływał w wodzie. Szło nadspodziewanie ciężko - ciągnięty przedmiot zaklinował się między bryłami lodu.

A teraz najważniejsze.

Z kieszeni na nogawce wyjął małą puszkę czerwonej farby w sprayu i kilkoma szybkimi ruchami namalował wielkie litery E i H, a pod inicjałami napisał: „7 września, głębokość 91 metrów”. Następnie wyjął aparat podwodny i trzymając go w wyciągniętej ręce, zrobił kilka zdjęć. Podpis był wyraźnie widoczny na skalnej ścianie, za konturem głowy.

Pomyślał, że naprawdę chciałby skontaktować się z tymi dziewczynami. Zdjął kaptur z neoprenu i przeczesał dłonią kręcone włosy. Jeszcze kilka fotek. Przyjrzał się zdjęciom na wyświetlaczu aparatu. Być może, jako mężczyzna po trzydziestce, miał trochę przerzedzone włosy, ale raczej nikt nie zwracał na to uwagi.

Ciemne kręgi pod oczami robią dramatyczne wrażenie, pomyślał w duchu.

Znowu kucnął. Poczł chłód i odór. Próbował nie myśleć o tym, że nikt nie wie, iż tu jest, i nikt nie będzie za nim tęsknił, jeśli utonie albo zabłądzi w korytarzach głęboko pod powierzchnią ziemi.

Dykedivers pozostawiły po sobie kotwy, do których przed zanurkowaniem mógł przypiąć linę asekuracyjną. Kiedy już ją przymocował, zaczepił płetwy o ostrogi gumowych butów. Założył maskę, włożył do ust automat oddechowy i wziął pierwszy, próbny wdech. Nim zdążył wydmuchnąć powietrze, już zrobił duży krok do przodu. Mocna lina szybko rozwijała się z kołowrotka, który trzymał w okrytej rękawiczką dłoni, a gdy spojrzał w górę, zobaczył, że podążając za jego opadającym ciałem, rozcina poszczególne warstwy lodu.

Pod wodą ciemne ściany kopalni pochłaniały większość światła rzucanego przez jego czołówkę. Mimo to widoczność była stosunkowo dobra, a promień docierał dalej, niż mógłby przypuszczać.

Wtem w cienkiej smudze światła błysnęło coś metalowego. Musiało się chyba znajdować kawałek dalej?... Erik odepchnął się od ściany szybu i zanurkował w głąb. Za nim podążyła lina, wijąca się w wodzie niczym ogon.

W świetle latarki przymocowanej do jego prawej dłoni ukazało się dno. Wyrastał stamtąd co najmniej dwumetrowy miedziany zbiornik. Było tam też coś jeszcze: ostre trójkąciki... Tak, Erik dotykał ostrza piły tarczowej...

Kiedy pociągnął, zardzewiała piasta pękła, a uwolnione ostrze zrobiło kilka bezgłośnych kótek, opadając na dno. Tam spoczęło, przykryte warstwą brudnozielonego błota i szlamu. Badając otoczenie dłonią, Erik przewrócił kilka podłużnych żerdzi, mącąc wodę. Dopiero kiedy widoczność się poprawiła, zobaczył fragmenty nosideł używanych do transportu rudy.

Wolno poruszając płetwami, przepłynął nad taczka. W ruch poszedł podwodny aparat - Erik fotografował to, co pozostawiono tu dawno temu: narzędzia precyzyjne, młoty kowalskie, dłuta, siekierę. Dostrzegł kikuty drewnianych pomp, a kawałek dalej... coś, co przypominało wąskie szyny.

Erik opadł na dno i wylądował obok nich. Spojrzał na głębokościomierz: dwadzieścia jeden metrów pod powierzchnią wody. Nawet jeśli będzie się wznosił powoli, by uniknąć choroby dekompresyjnej, i tak zostanie mu wystarczająco dużo powietrza. Popłynął nad torami, oddalając się od środkowego punktu szybu. Za jego głową unosiły się bąbelki z aparatu tlenowego. Odniośł wrażenie, że korytarz zaczyna się zwężać.

Ostrożnie opuścił czubki płetw, chcąc przyhamować. Wtedy właśnie zobaczył oszalowane wejście do tunelu, obok którego na haku wisiał kawałek żółtego materiału.

Erik podpłynął jeszcze kilka metrów i go oświetlił. Okazało się, że to nie materiał, tylko pasek siedmiomilimetrowego jaskrawożółtego neoprenu. Miał potrójne szwy i został zaprojektowany tak, by być dobrze widocznym w mętnej wodzie. Dziewczyny najwyraźniej pocięły stary skafander, żeby zaznaczyć właściwą drogę.

Korytarz był wysoki na jakieś dwa metry, a pośrodku niego stał pordzewiały wagonik. Nad wagonikiem było trochę miejsca i wyglądało na to, że zdoła się przecisnąć. Mógł to być początek wielokilometrowego systemu tuneli i szybów - bez planu ani mapy nie sposób było tego stwierdzić. Zdjęcia Dykedivers świadczyły o tym, że prowadził dalej, do miejsca, w którym było na tyle sucho, aby stanąć z rozpuszczonymi włosami.

Kiedy udało mu się przecisnąć obok zardzewiałego wagonika, spróbował popłynąć szybciej. W butlach została mu jedna trzecia powietrza, czyli miał jeszcze jakieś czterdzieści pięć minut. Mógł płynąć przed siebie najwyżej kwadrans, potem będzie musiał zawrócić i się wynurzyć.

Im dalej płynął, tym większe było nachylenie korytarza. Klinometr pokazywał jedenastostopniowe wychylenie w górę i wartość ta ciągle rosła. Erikowi wydawało się, że wystarczy jeszcze około stu metrów. Potem korytarz znajdzie się nad poziomem wody i będzie czym oddychać. Korytarz albo... korytarze, dotarł bowiem właśnie do rozwidlenia. Lewa odnoga wyglądała na możliwą do pokonania. Prawa z kolei miała niecały metr szerokości, była ciasna i wydawało się, że w każdej chwili może się

zawalić.

Światło latarki nie sięgało zbyt daleko, jednak pozwoliło mu dostrzec pasek żółtego neoprenu - a zatem Dykedivers wybrały tę trudną drogę. Kobiety były szczupłe i nie działały w pojedynkę, mogły więc sobie nawzajem pomagać. Erik jak zwykle był sam, a miejsca było tak mało, że gdyby zaszła taka potrzeba, nie mógłby się nawet obrócić.

Przesunął ręką po lodowatej skale. Skręcił w lewo, ale wkrótce zaczęła go ogarniać rezygnacja, ponieważ także ten korytarz szybko zaczął się zwężać.

Dziesięć metrów, dwadzieścia, trzydzieści. Już niedługo będzie mógł dotknąć obu ścian koniuszkami palców. Po czterdziestu metrach szorował już ramionami o ściany. Czterdzieści pięć. Dwie żelazne podpory tworzyły ciasne przejście. Przekręcił się na bok i udało mu się precyzyjnie.

Przejście robiło się jednak coraz węższe i po chwili dotarł do kolejnych dwóch podpór, znajdujących się tak blisko siebie, że aby przepłynąć dalej, należało jedną z nich wyrwać. Erik omiół światłem latarki tę po lewej, sprawdzając umocowanie do podłoża i do sufitu. Nie da się jej ruszyć. Belka po prawej miała przedziewiały dolny uchwyt. W górnym brakowało dwóch bolców... dwa pozostałe wciąż tkwiły na swoich miejscach.

Chwycił prawą podporę i ostrożnie nią poruszył. Ustąpiła na kilka marnych milimetrów. Gdyby szarpnął porządnie...

Erik unosił się nad wąskimi torami.

Czołówką oświetlił korytarz, aby spojrzeć tak daleko, jak się dało. Zawracać w tym miejscu... Popchnął podporę, która nieoczekiwanie złamała się i odpadła od ściany, wywołując lawinę żwiru i drobnych kamieni. Woda zmętniała, Erik zaś skulił się w obawie, że ściana zaraz się zawali. Po chwili zaczął płynąć na oślep, rękoma rozgarniając muł przed sobą. Z trudem udało mu się precyzyjnie.

Za tym wąskim gardłem tunel był o wiele szerszy. Erik pomyślał, że teraz musi się spieszyć. Może kawałek dalej korytarz znów połączy się z tym, którym płynęły Dykedivers? W kilka minut przepłynął z pewnością dziewięćdziesiąt, sto metrów. Sto dwadzieścia, sto trzydzieści. Nie potrwa chyba długo, nim wynurzy się z wody, nachylenie ku górze wciąż bowiem się nie zmniejszyło.

Erik mocno poruszał płetwami, a światło jego latarki omiatało ściany w poszukiwaniu przeszkód. Był tak zajęty rozglądaniem się na boki, że dopiero kiedy od żelaznych drzwi dzieliło go kilka metrów, dostrzegł je i uniknął zderzenia. Były całkiem zardzewiałe, popękane i wisiały krzywo na zawiasach tkwiących w ścianie tunelu. Przez jedną ze szczelin widział rygiel, który wciąż je blokował.

Erik omiół światłem zrudziały metal... A to co takiego? Osad wapienny?

Podpłynął bliżej.

Nie... to nie wapień. To kreda. Ktoś wielkimi, koślawymi literami napisał niezrozumiałe słowo: „NIFLHEIM”. Niflheim... Może to nazwa kopalni? Tak czy inaczej, te żelazne drzwi będą zamknięte, chyba że...

Erik dotknął zardzewiałej powierzchni i ostrożnie pchnął.

Drzwi drgnęły. Lekko, co prawda, ale jednak.

Pchnął mocniej i usłyszał, że zawiasy cicho skrzypnęły. Zaciągnął się powietrzem z butli. Przycisnął obie dłonie do drzwi i zaczął napierać ze wszystkich sił.

Zachwiały się ze zgrzytem, kiedy wiekowe zawiasy puściły. Upadając, wzbily chmurę mułu, a woda zabarwiła się na brązowo. Chcąc odzyskać widoczność, zaparł się rękoma o ściany i odepchnął. Wznoszących się za żelaznymi drzwiami schodów zobaczyć nie zdążył.

Uderzył czołem w najniższy stopień, w wyniku czego zgubił maskę i automat oddechowy. Nagły chłód tak go zaskoczył, że wciągnął do płuc haust wody. Na ślepo próbował wymacać zapasowy przewód, ale nie mógł go znaleźć.

Z zaciśniętymi powiekami młócił naokoło rękoma, a w płucach paliło go z braku powietrza.

Powietrza...

Desperacko uniósł głowę - tak jakby to miało pomóc - i nagle znów był nad poziomem wody.

Parskając i plując, instynktownie wciągnął powietrze nosem i ustami - znów ten ohydny smród. Oddychał raz za razem, żeby nie zwymiotować. Pokonał ostatnie stopnie i usiadł. Oddychać tylko przez usta, teraz tylko przez usta...

Kiedy jego oddech się uspokoił, Erik spojrzął w końcu na suchy korytarz. Przeturlał się na plecy i odpoczywał. Następnie powoli usiadł.

Rozkojarzony zauważył, że zgubił rolkę liny, która znaczyła drogę powrotną do pierwszego szybu. Najwyraźniej wypuścił ją koło żelaznych drzwi, kiedy machał rękoma na oślep. Nie miał jednak siły tam wracać i szukać. Niech woda się najpierw uspokoi. Mógł z tym chwilę poczekać.

Przez zapach zgnilizny ciężko mu się myślało.

Zdjął płetwy i maskę, która wisiała na szyi. Przesunął światło latarki w głąb korytarza i przyjrzał mu się raz jeszcze. Potem wstał i ruszył naprzód.

W miejscu, gdzie tunel wypalono, ściany były gładkie. Nagle tunel się rozdzielał. Erik zdecydował się ruszyć w prawo. Po chwili znów napotkał rozwidlenie, ale tym razem prawy korytarz był zawalony kamieniami. Wobec tego skręcił w lewo, a potem znów w prawo, kiedy korytarz rozdzielił się na trzy odnogi. Okazało się jednak, że jest to droga powrotna, a więc znów do rozwidlenia... Którym tunelem właściwie przyszedł? Stał zdezorientowany, wdychając zapach zgnilizny i... śmierci.

Po krótkiej chwili, pochylony do przodu, ruszył w głąb labiryntu. Miał niejasne przeczucie, że kieruje się na północ. Powietrze, które wydychał ustami, przemieniało się w kłęby pary. W tej części tunelu nie dostrzegł już śladów pracy wydobywczej, a jedynie skupiska stalaktytów, które zwisały z niskiego stropu. Było sakramencko zimno, a ostry chłód przenikał nawet trzywarstwowy skafander.

Co się stanie, jeśli nie wróci na powierzchnię? Jak długo potrwa, zanim ktokolwiek zacznie się zastanawiać, gdzie jest? Czy ktoś będzie go szukał? Erik uderzył pięścią w ścianę tunelu, aż zadrżała wiązka światła.

Mama już od dawna nie żyła. Z jakiegoś powodu zaczął się zastanawiać, co zostawiłby po sobie w opuszczonym domku. Miareę własnej wielkości: trzy przechowywane wycinki z gazet. Pierwszy - kilkucentymetrowa wzmianka informująca, że dawno temu zdobył jedenaście punktów w szkolnym meczu koszykówki. Drugi - zdjęcie z czasów, kiedy lokalna gazeta odwiedziła Dala-El, był jednak na nim trochę zasłonięty. No i w końcu prawdziwy triumf: krótki cytat w dużej popołudniówce, w letnim reportażu na temat kopalni w Falun. Tam pokazali całą jego twarz. A propos twarzy... Dykedivers. Nie wolno mu zapomnieć, po co tu jest.

Zatrzymał się.

Uznał, że już wystarczy. Spojrzął na głębokościomierz, który wskazywał niewyobrażalne dwieście dwanaście metrów. Prawie pięćdziesiąt metrów niżej niż dziewczyny, i to bez niczyjej pomocy.

Zgrabiłymi z zimna palcami chwycił puszkę sprayu i koślawo nakreślił nową sygnaturę: „E.H, 212 metrów”. Pomyślał jeszcze chwilę i dopisał *ad extremum*. Zgrabne wyrażenie, które swego czasu zobaczył w telewizji. *Ad extremum* - na koniec, o ile dobrze to rozumiał.

I jeszcze kilka zdjęć podwodnym aparatem. Tym razem z neoprenowym kapturem na głowie - ziąb nie pozwalał na nic innego. Oglądając zdjęcie na wyświetlaczu, spostrzegł, że z braku tlenu jego oczy zrobiły się intensywnie czerwone. Po raz ostatni omiół światłem latarki ściany tunelu. Było tam coś, co...

Podszedł krok bliżej.

I znowu słup światła ukazał zardzewiały metal. Jeszcze jedne drzwi? Naprawdę powinien już wracać. Tak, to były kolejne żelazne drzwi - takie same, z takim samym rygłem, po tej samej, wewnętrznej stronie. Taka sama... kreda? I napis: NASTRÖNDU.

Ciężkie powietrze napłynęło mu do płuc. Naströndu?

Nie miało zresztą znaczenia, jaki napis widniał na zardzewiałym metalu, ponieważ już się zdecydował, już za chwilę...

Pchnął lekko drzwi.

Ustały natychmiast i otworzyły się szeroko na skrzypiących zawiasach. Kiedy Erik uregulował oddech, zebrał się na odwagę, by w końcu wykonać ruch i zajrzeć do środka.

Tuż za drzwiami były strome, kręte schody.

Dziesięć dodatkowych minut.

Nastawił zegarek do nurkowania. Kiedy zrobił pierwszy krok, buty skrzypnęły. Schody tworzyły ciasną spiralę, która okrążenie za okrążeniem prowadziła go coraz głębiej. U ich podnóża otwierała się... jak by to nazwać?... krypta? Nie, raczej duża jaskinia. Duża, naturalna jaskinia, wysoka na dobre dwadzieścia metrów. Z góry ciekła woda: pomału, kropla za kroplą skapywała do przepelnionej niecki. Pośrodku owej niecki znajdował się kamień, na którym stało coś przypominającego worek. Trudno się tu oddychało, powietrze było jak lepka glina, a smród, który ze sobą niesło, gorszy niż jakikolwiek inny.

Szybko się rozejrzy i zrobi kilka zdjęć.

Próbował poruszać się tak bezszelestnie, jak to tylko możliwe, ale chrzęst żwiru odbijał się echem od skalnych ścian. Przystanął, żeby się trochę uspokoić, i słuchał dźwięku spadających kropel. Światło czołówki padało na ściany. Po jego prawej stronie połyskiwała żyła miedzi sięgająca aż do stropu. A po lewej?

Erik drgnął na widok czegoś, co wyglądało jak łukowate wejście. Kiedy jednak podszedł bliżej i dotknął twardej powierzchni skały, zrozumiał, że dał się zwieść grze cieni. Po raz ostatni poświecił w lewo, żeby móc... Coś tam jednak było!

Te same koślawe, napisane kredą litery - tym razem jednak piszący wysilił się, nie poprzestając na jednym słowie. Erik z trudem przebijał się przez niewyraźne wersy. Wyjął aparat. Flesz błysnął i Erik nieufnie spojrzął na wyświetlacz.

W drodze powrotnej w stronę schodów przyszło mu do głowy, że mógłby wziąć sobie jakąś pamiątkę z serca góry. Może coś z tego worka stojącego tam, na kamieniu w jaskini...?

Brodząc w sięgającej mu do pasa wodzie, czuł chłód. Kiedy w końcu dotarł do worka, zobaczył, że pokrywa go coś, co przypomina pleśniejącą sieć.

Zdjął rękawiczki, żeby móc to chwycić.

Śliskie kłębowisko szarych i czarnych włókien, przesiąkniętych wilgocią... Spróbował je podnieść i zobaczył, że zaplątał się tam jakiś przedmiot. Może narzędzie? Chwycił za rękojeść z błyszczącego metalu. Nie dało się jej jednak wyciągnąć - chyba była przywiązana. Badał dłonią gładką powierzchnię przedmiotu, posuwając się coraz wyżej, aż w końcu natrafił na dwa, nie, na trzy węzły.

Erik wyjął tytanowy nóż i przeciął pierwszy węzeł. Rozległ się trzask. Trzask? Czyżby sznur był tak stary, że stwardniał na kamień?

Zabrał się za drugi węzeł i wykonał kolejne cięcie. Znowu głośny trzask. Teraz cały worek zaczął się poruszać. Mimo chłodu Erika zalała fala gorąca. Przeciął trzeci węzeł i odetchnął.

Kiedy uwolnił rękojeść, w pierwszej chwili pomyślał, że wygląda ona jak wyjątkowo długi klucz. Gdy jednak drgające światło latarki padło na przedmiot, uświadomił sobie, że jest to rodzaj krzyża. Miał belkę pionową i poprzeczną, ale nad poprzeczną była pętelka. Miała owalny kształt i świeciła w ciemności.

Erik włożył gołą rękę w wilgotną breję, próbując odsunąć włókna i dostać się do zawartości worka. Wyglądało na to, że włókna są pozszywane, chwycił więc za nie z całej siły i pociągnął. Kiedy zrozumiał, że szarpnął zbyt mocno, było już za późno - worek wylądował mu w ramionach, Erik zrobił kilka kroków w tył i przewrócił się pod jego ciężarem.

Wpadł głową do lodowatej wody w zbiorniku. Kiedy w końcu udało mu się wydostać i usiąść, w świetle latarki zobaczył wykrzywioną twarz kobiety. Naciągnięta, cienka jak pergamin skóra, wytrzeszczone oczy, a powyżej nasady nosa, w czole, ziejący otwór wielkości monety.

Zrozumiał, czym są leżące pod wodą trzy odcięte kikuty. To nie węzły odcinał, tylko palce kobiecej dłoni. Odruchowo próbował się cofnąć, ale głowa podążyła za nim tak, jakby kobieta była szmacianą lalką. Pociągnął raz jeszcze i zrozumiał, że włókna, które trzyma, są w istocie długimi włosami trupa.

Kiedy wciągnął powietrze nosem, w intensywnym odorze rozróżnił zapach ludzkiego ciała. Kobieta pachniała krwią, żelazem i rozgrzaną w słońcu ścianą obory. Był to zapach, który Erik umiejscowił od razu. Pachniała czerwienią z Falun[2].

„Dalakuriren”

„Dalakuriren” było gazetą zaangażowanych publicystów i ostrych komentatorów politycznych, jednak pod względem wiadomości nie był, prawdę mówiąc, wiodącym tytułem w kraju. Mimo to szef redakcji newsowej w Falun nie zatracił pewnej umiejętności: odbierania telefonów.

Informacja nadeszła w niedzielne popołudnie, o trzeciej trzydzieści, akurat gdy pisanie mających zapełnić numer notatek z Gagnef i Hedemory zaczęło się wydawać rozpaczliwie beznadziejne.

Trzaski na linii utrudniały zrozumienie szczegółów, jednak główny sens słów fotografa wolnego strzelca był prosty: to będzie rzecz na skalę światową. W ogólnym zarysie - przynajmniej o ile szef redakcji newsowej dobrze zrozumiał - sprawa dotyczyła dziewczyny (nastolatki?), którą znaleziono zabita (morderstwo na tle seksualnym?) w szybie kopalni (sensacyjne morderstwo na tle seksualnym?).

Człowiek, który znalazł ciało i zadzwonił pod 112 - fotograf twierdził, że to najprawdopodobniej jakiś nurek - zdążył przed przerwaniem połączenia wyrecytować szereg cyfr, w których operatorzy w końcu domyślili się współrzędnych GPS. Następnie w tamto leśne miejsce wysłano większą część służb ratunkowych Dalarny: trzy radiowozy, jeden samochód dowodzenia i łączności, dwie karetki plus wóz strażacki i prawdopodobnie kogoś z Państwowego Urzędu Górniczego, kto zna się na kopalniach.

Sfrustrowany szef ruszył po opustoszałej w niedzielę redakcji w poszukiwaniu reportera, który mógłby tam pojechać. W końcu udało mu się znaleźć ramię, na którym mógł się wesprzeć: redakcyjnego asa - wysokiego i chudego stażystę ze Sztokholmu.

Po dwóch minutach rozmowy stażysta był już na schodach i mijając poślizgnięte czołówki archiwalnych numerów „Dalakuriren”, zmierzał w stronę podwórza, gdzie stały zaparkowane redakcyjne auta.

Szef redakcji newsowej pomodlił się w duchu i ruszył z powrotem do swojego biurka. Które redakcje oprócz nich otrzymały tę informację? Przetruchał obok rzędu popielatych ekranów, na których już zaczynało się materializować jutrzejsze wydanie gazety. Które strony trzeba będzie przerobić? Jedynek - to oczywiste, ale co potem. Czy rzecz dotyczy tylko Falun, czy też okaże się na tyle istotna, by znaleźć się na stronach ogólnokrajowych?

W całym tym wysiłku umysłowym było coś męczącego, kiedy więc wrócił do biurka, spojrzał tęsknym wzrokiem na balkon dla palaczy. Chwycił jednak stojący wśród sterty nieprzeczytanych artykułów kubek kawy i łapczywym haustem opróżnił jego zawartość, łącznie z zimnymi fusami i osadem z dna. Krzywiąc się, wypłuł breję do przepelnionego kosza na śmieci, po czym przystąpił do pisania krótkiego tekstu do internetowego wydania „Dalakuriren”. Wiedział, że od razu podchwyci to agencja prasowa Tidningarnas Telegrambyra. Czerwona lampka od TT puści w ruch wszystkie inne redakcje i na początku wszyscy będą odsyłać do informacji podanych przez „Dalakuriren”:

Z OSTATNIEJ CHWILI:
ZWŁOKI ZNALEZIONE 200 METRÓW POD ZIEMIĄ
W OKOLICACH FALUN.

Z telefonem wciśniętym między ramię a policzek stażysta ślizgał się autem po leśnej drodze na południe od Falun. Spod kół jadącego przed nim samochodu fotografa pryskał żwir. Trudno było jednocześnie prowadzić i słuchać, ale jeśli dobrze rozumiał wskazówki fotografa, mieli dojechać do jakiegoś parkingu.

Telefon spadł na dywanik kierowcy i obijał się o pedały. Stażysta mlasnął - zaschło mu w ustach, a zaciśnięte na kierownicy palce białły, kiedy ściskając ją, próbował utrzymać redakcyjny samochód na krętej drodze. W końcu wjechał na prosty odcinek i widząc z daleka migające światła, zrozumiał, że dobrze trafili.

Parkingowe stoliki z przymocowanymi ławkami wrzucono do przydrożnego rowu i teraz leżały tam

niczym przewrócone na grzbiet chrząszcze - policja musiała je usunąć, żeby zrobić miejsce wszystkim pojazdom służb ratowniczych. Mimo to niebieskie światła pulsowały jedno przy drugim, a karetki praktycznie blokowały leśną drogę. Kawalek dalej na poboczu stały wozy straży pożarnej - dopiero kiedy stażysta je minął, zwolnił i znalazł miejsce do zaparkowania.

Otworzył drzwi samochodu i wysiadł. Dookoła panowała martwa cisza, tylko gdzieś na skraju lasu zaszczekał pies. Stażysta krzyknął i dał znak fotografowi, by ten wysiadł z samochodu, po czym obaj weszli w ciemny świerkowy las. Przy każdym ich kroku rozlegał się chłupot. Wkrótce usłyszeli szczekanie policyjnych owczarków - w gęstej mgle wystarczyło tylko podążać za tym odgłosem.

Wejście do kopalni było już zabezpieczone: cienkie, powiewające taśmy foliowe ogradzały większą część polany wokół otworu szybu. Przy nim stało sześciu policjantów i kilku strażaków, najwyraźniej pogrążonych w chaotycznej wymianie zdań na temat tego, co należy teraz zrobić.

Za nimi na kamiennym bloku siedziała samotna postać. Czarny skafander błyszczał w świetle ustawionych przez ekipę ratunkową reflektorów skierowanych na szyb. Mężczyzna nie miał na głowie kaptura, jego grubo ciosana twarz była nabrzmiała, oczy zaś, kiedy je zwrócił w stronę stażysty, przypominały otwarte rany.

Fotograf szturchnął stażystę w bok, ten zebrał się w sobie i zgięty wpół przeszedł pod taśmą.

- To pan ją znalazł?

Z początku wydawało się, że pytanie nie dotarło do nurka. Siedział tylko w milczeniu, przyglądając się swoim dużym dłoniom, w końcu jednak kiwnął sztywno głową.

- Co się stało tam w dole? - spytał szeptem praktykant, zerkając jednocześnie w stronę policjantów.

- Coś... coś naprawdę strasznego - odparł nurek.

Stażysta wyobraził sobie białe, nagie zwłoki leżące w klaustrofobicznych ciemnościach. Mimowolnie zaczął szybciej oddychać.

- A więc... ile ona miała lat?

- Ile? Pojęcia nie mam.

Gdy ich spojrzenia się spotkały, nurek zmrużył niepewnie oczy.

- Ciało było jak u małej dziewczynki. Całkiem miękkie, tak jakby wciąż jeszcze żyła. Poza tym była w miarę lekka. Gdy ją podniosłem, po prostu się poślizgnąłem i wylądowałem na mnie. Miała coś w...

- Jak wyglądała, miała jakieś obrażenia?

- Długie włosy... - Nurek machnął ręką, próbując pokazać. - Na twarzy miała płataninę czegoś. Wziąłem to do ręki, myśląc, że to stos jakichś luźnych włókien.

- Ale czy miała jakieś obrażenia?

- Tak, tak! Nad oczami miała coś w rodzaju otworu... to było...

Błysk flesza - fotograf przykucnął kilka metrów od nich. Nurek po raz pierwszy spojrzał na stażystę z pewnym zainteresowaniem. Kącik jego ust drgnął.

- Proszę pana... to będzie w gazecie?

Szef działu newsowego odnalazł w końcu wśród śmieci w szufladzie słuchawki z mikrofonem i oburącz zaczął wklepywać to, co dyktował stażysta:

Z OSTATNIEJ CHWILI:
DZIEWCZYNA ZGWAŁCONA I ZAMORDOWANA
W SZYBIE KOPALNI.
NUREK OPOWIADA.

- Może pan dopisać: Tylko w „Dalakuriren” - powiedział stażysta, patrząc, jak policjanci prowadzą nurka przez las. Za nimi szli sanitariusze z noszami.

Później nastał czas radosnego oczekiwania. „Dalakuriren” nie tylko był pierwszy, ale też najlepiej poinformowany.

Stażysta i fotograf rozbili obóz w pobliżu sosnowego pnia, przycupnęli tam, chcąc schronić się przed wieczornym chłodem. Teraz zaś, w ciemnościach, zaczęły się zbierać inne grupy. Było Szwedzkie Radio i TT, były oczywiście brukowce, a przy reflektorach swoje kamery i statywy rozstawiły ekipy TV4 i telewizji publicznej. Reporterzy co jakiś czas podchodzili do stojącego przy cuchnącym szybie szefa ekipy ratunkowej, by uzyskać najświeższe informacje. Sytuacja ciągle się zmieniała.

Na początku w wydobywaniu zwłok miał pomóc jakiś lokalny klub płetwonurków, następnie piłeczkę odbito do poławiaczy ciał ze straży przybrzeżnej w Harnösand. W końcu jednak, koło wpół do ósmej, ktoś wysoko postawiony w Sztokholmie włączył najwyraźniej telewizor, nagle bowiem stanęło na tym, że problemem ma się zająć grupa specjalna antyterrorystów z Nationella Insatsstyrkan.

Mimo iż sztokholmczyki mieli do dyspozycji śmigłowiec, dotarcie na miejsce zajęło im dobre trzy godziny. Kiedy przybyli, było już kilka minut po jedenastej. Do tego czasu, przez całe popołudnie i wieczór, wszystkie redakcje musiały cytować „Dalakuriren” i krótki wywiad przeprowadzony przez stażystę. Na biurku szefa redakcji newsowej zastępca redaktora naczelnego postawił kosz ciastek.

Kiedy antyterroryści w czarnych uniformach przybyli na miejsce, scenografia się zmieniła. Szef ekipy ratunkowej z Falun musiał opuścić kopalnię, pojawiły się kolejne barierki, a na żółtej trawie u wylotu szybu ustawiono, jedną obok drugiej, ciężkie skrzynie ze wzmocnionego plastiku. Nurkowie ze Sztokholmu sprawdzili butle, a kamery bacznie obserwowały ich wyrzeźbione sylwetki, gdy wciskali się w skafandry z gumy i neoprenu.

Policjanci z Falun stali z założonymi rękoma, przyglądając się pierwszej parze nurków opuszczających się do kopalni. Kiedy nurkowie znów znaleźli się na powierzchni i zanim jeszcze ktokolwiek zdążył zareagować, dowódca antyterrorystów naprędce zorganizował konferencję prasową. Dziennikarze zgromadzili się wokół niego w świetle reflektorów. Fotograf trzymał aparat w wyprostowanej ręce, opuścił ją trochę i zrobił zdjęcie - uwieczniony na nim mężczyzna był krótko ostrzyżony, pomarszczony i wyglądał na zdecydowanego.

- Proszę o uwagę. Rzućmy trochę światła na tę sprawę - zaczął dowódca. - Jak zrozumieliśmy, część z was podawała do publicznej wiadomości informacje, zanim jeszcze w ogóle było wiadomo, o co w tym wszystkim chodzi.

- Mamy się ubiegać o zezwolenie czy jak? - rozległ się głos reportera telewizji publicznej, który korzystał z informacji podanych przez „Dalakuriren” w popołudniowo-wieczornych wejściach na żywo o szóstej, siódmej trzydziestej i dziewiątej.

Młody chłopak z dużej popołudniówki dodał uszczypliwie:

- O co chodzi? Jak to, o co chodzi? O kobietę zabitą w szybie kopalni, przecież o niczym innym nie mówimy. Człowiek, który ją znalazł, sam to powiedział.

- Więc tak - kontynuował dowódca. - Nie wiem, skąd macie te informacje. Ale zacznijmy może od początku. Po pierwsze, w tym szybie nie ma żadnej kobiety.

Dziennikarze zaczęli się wiercić.

- Żadnej kobiety. To jest mężczyzna.

Stażysta poczuł, jak po jego plecach przebiega zimny dreszcz. Zaraz potem usłyszał swój własny głos:

- Ale to przecież była dziewczyna! Tak powiedział człowiek, który ją znalazł!

- Nie wiem, z kim pan rozmawiał - odparł oschłym tonem dowódca - ale tam w dole są zwłoki mężczyzny. I ten mężczyzna nie żyje od kilku dni, może nawet dłużej, może o wiele dłużej. Zrobimy więc tak: zanim nasi nurkowie zaczną wydobywać ciało, zostanie ono owinięte, żebyśmy mogli zabezpieczyć tak zwane ślady materialne. Nie zapominajcie państwo, że nikt z nas nie wie, dlaczego ten człowiek nie żyje. Nasi nurkowie twierdzą, że brak jednoznacznego dowodu na to, iż mamy do czynienia

z morderstwem.

- A czy jest coś, co by to wykluczało? - spróbował praktykant.

Dowódca zacisnął zęby - wyglądało na to, że zamierza odpowiedzieć. Zmienił jednak zdanie.

- Dziękuję, to wszystko. W przyszłości proszę spróbować trzymać się faktów. Teraz, z myślą o ewentualnych krewnych zmarłego, ogrodzimy teren w promieniu dwustu metrów. Mogą się więc państwo zacząć pakować, bo żadnych więcej zdjęć nie będzie.

Mimo to następnego ranka w obu krajowych tabloidach ukazało się zdjęcie: ciało mężczyzny wyciągane z szybu kopalni, zawinięte po szyję w przywieziony przez antyterrorystów worek na zwłoki. Długie włosy okalały bezkrwistą twarz - lampa błyskowa rozświetliła zbiegające pasma, tak że przypominały aureolę. Jednak nabywcy wydania specjalnego najlepiej zapamiętają zapewne głęboką jamę wydrążoną tuż nad nasadą nosa, na podobieństwo trzeciego oczodołu.

Morderstwo Azów

Poranne spotkanie w redakcji „Dalakuriren” było dość spokojne. Punkt po punkcie planowano porządek dnia, zastanawiając się, co robić dalej i, przede wszystkim, kto ma się tym zająć.

O niewypale z dziewczyną nikt nie wspominał, a szept na ten temat przeniosły się pod redakcyjne automaty z kawą. Szeptano również o tym, że stażysta ze Sztokholmu będzie dalej śledził działania policji.

Jednak na dobrą sprawę nie miało znaczenia, kto od tej pory będzie składał meldunki, teraz bowiem bulwarówki sprowadziły na miejsce swoje ekipy i „Dalakuriren” wkrótce miało zostać w tyle.

Nurek Erik Hall mieszkał, jak się okazało, w domku letniskowym niedaleko Falun. Stojąc na drodze, stażysta widział szprosowe okna werandy, żeby jednak podejść bliżej, musiał minąć sięgający mu do piersi płot. Tuż za furtką, niczym wartownik, stał mężczyzna w brązowej skórzanej kurtce, podobny do łasicy.

Wyglądało na to, że Łasica pisze coś tuszem na kawałku kartonu. Drukowanymi literami wykaligrował: „PROSZĘ NIE WCHODZIĆ! TEREN PRYWATNY!”. Następnie przypiął karton do furtki i pobiegł z powrotem w kierunku werandy - za jego wąskimi plecami drzwi się zamknęły.

Kiedy pozostałe media dotarły do domku Halla, było już za późno. Nurek nie odbierał telefonu i nie chciał nikogo wpuścić do domu. Dziennikarze koczowali więc przed furtką. Po mniej więcej godzinie Łasica wymknął się z werandy, a za nim wyszedł jego fotograf. Dźwięk błyskających fleszy przypominał ulewny deszcz: każdy próbował uchwycić cień nurka za oknami, jednak nikomu się nie poszczęściło.

Wychodząc przez furtkę, Łasica pomachał wesoło swoim konkurentom i ruszył biegiem do samochodu. Mijając stażystę, wyszeptał dwa słowa: „Wydanie specjalne”.

Pojawiło się koło czwartej po południu tego samego dnia. Wywiad z Erikiem Hallem oraz opis sprawy zajęły całą pierwszą stronę dużej popołudniówki, a także strony od szóstej do osiemnastej oraz rozkładówkę.

Cała pierwsza strona czerniła się od farby drukarskiej: fotografia w niskiej rozdzielczości ukazywała wykonany drżącą ręką kredowy napis w szybie kopalni. Na wszelki wypadek uwieczniony cytat przepisano jeszcze obok, po staroislandzku i w tłumaczeniu:

UM RAGNARÖKKR

Sal veit ek standa sólu fjarri Náströndu á,
norðr horfa dyrr
Falla eitrdropar inn of ljóra
Sá er undinn salr orma hryggjum
Skulu þar vaða þunga strauma
menn meinsvara ok morðvargar.

O RAGNARÖKU

Salę widziałam: z dala od słońca stoi
Na Wybrzeżu Trupów, na północ wychodzą wrota;
Jadu krople przez dymnik padają,
Z grzbietów wężów plecione są ściany.
Tam widzę rzekę, pod prąd żmudnie brodzą

Krzywoprzysiężcy i mordercy-wilki.

Tytuł na stronie szóstej:

WITAJ W PIEKLE

Strona siódma:

NIFLHEIM - KRÓLESTWO BOGINI HEL

Strona ósma:

OFIARA POGAŃSKIEGO RYTUAŁU?

Strona dziewiąta:

NASTRÖNDU - SALA MORDERCÓW

I tak dalej, a następnie rozwlekły wstępny akapit do głównego artykułu:

FALUN

Jego życie skończyło się na Wybrzeżu Trupów.

Cios między oczy zadano z brutalną siłą i precyzją. Trzy palce prawej dłoni zostały odcięte.

Na północnej ścianie krypty morderca białą kredą wyrysował bramę do Niflheimu - królestwa nordyckiej bogini śmierci, Hel. Piekło. Podziemie.

Oto zagadka, przed którą stoi policja: czy była to ofiara z człowieka?

Tylko u nas przeczytasz wywiad z nurkiem Erikiem Hallem (38), który ujawnia prawdę na temat MORDERSTWA AZÓW[3].

W tej sytuacji wystarczyło tylko podchwycić temat. Redakcja drugiej popołudniówki była odpowiednio szybka - do rana zdążyli wyprodukować zupełnie nowy trzydziestosześcioronnicowy dodatek:

RYTUALNY MORD W KOPALNI

Krwawa religia - ofiary i rytuały wyznawców Azów

Najbardziej konkretna z całej zawartości była mapa, na której zaznaczono współczesne ośrodki kultu pogańskiego na terenie całego kraju, podając informacje o ich ewentualnych powiązaniach z ugrupowaniami skrajnej prawicy i neonazistów.

Tego samego ranka w programie śniadaniowym kanału TV4 rozmawiano tylko o pogaństwie, zaś w telewizji publicznej dwie newageowskie panusie tłumaczyły, że współczesny kult Azów polega na składaniu ofiar z owoców, kwiatów i chleba, a poza tym właściwa nazwa tej wspólnoty brzmi Forn Sed. Następnie pojawił się profesor kryminologii, który przestrzegał przed wyciąganiem pochopnych wniosków i oznajmił, że sprawcy morderstw to najczęściej osoby z bliskiego otoczenia ofiar. Później była prognoza pogody.

Tymczasem w „Dalakuriren” nastroje były raczej minorowe. Redakcja, której ten jeden raz udało się wyprzedzić konkurencję, teraz została daleko w tyle. Morderstwo Azów? Można w ogóle tak powiedzieć? Kto zna jakichś wyznawców tych bogów w Falun czy choćby nawet w Grycksbo albo Bengtsheden?

Stażysta ze Sztokholmu i pozostali reporterzy obdzwonili każdy kontakt w faluńskiej policji, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o śledztwie, jednak w komisariacie przy Kristinegatan skręcano się ze złości po niefortunnej publikacji owego obłąkańczego wiersza oraz słów „Niflheim” i „Naströndu”.

Następnego ranka telewizja publiczna porzuciła sceptycyzm i przyłączyła się do reszty. Jakimś sposobem udało im się wywabić nurka Erika Halla z domku letniskowego i przetransportować samolotem do Sztokholmu na wywiad w studiu.

Obok Halla na czerwonych poduszkach telewizyjnej kanapy siedział siwiejący wykładowca z uniwersytetu, Don jakoś tam...Titelman? Stażysta musiał cofnąć filmik na komputerze i jeszcze raz przeczytać podpis. Tak, Don Titelman, historyk, doktor habilitowany uniwersytetu w Lund.

Słuchając, jak Erik Hall po raz kolejny opowiada o swoim niesamowitym zejściu do kopalni, praktykant nie dowiedział się jednak niczego nowego, przewinał też rozwlekłe *exposé* Titelmana, w którym doktor habilitowany najwyraźniej chciał powiązać przejawianą przez neonazistów fascynację nordycką mitologią z Towarzystwem Thule i niejakim Karlem Marią Wiligutem.

Nudna, nudna telewizja publiczna, pomyślał stażysta i zrezygnowany poczłapał schodami w dół na poranne zebranie redakcji.

4 Bube

Istniała jedna jedyna osoba, którą Don Titelman kochał bezgranicznie - była to jego babcia od strony ojca, jego *jiddische Bube*. To ona jako pierwsza potraktowała go poważnie. Pamiętał, jaki wyróżniony się poczuł, kiedy po raz pierwszy zwróciła się do niego w zaufaniu. Miał wtedy zaledwie osiem lat.

Postawiony w latach pięćdziesiątych dom Bube - pachnący kulkami na mole, niewietrzoną szafą i butwiejącymi wodorostami - kojarzył się Donowi z latem. Jego rodzice zostawiali go w Båstad z reguły już na początku czerwca, by we wrześniu, chcąc nie chcąc, zabrać go z powrotem do Sztokholmu. Rok szkolny zaczynał zawsze z co najmniej dwutygodniowym opóźnieniem.

Dom był zapuszczony. Z fasady wielkimi płatami odpadał tynk, ogród zaś stopniowo przykrywały gnijące owoce, których żadne z nich nie było w stanie zebrać. W przypadku Dona powodem było lenistwo, w przypadku Bube - nogi, które odmawiały już posłuszeństwa.

Przez kilka ostatnich lat nie mogła wchodzić po schodach, Don miał więc całe piętro dla siebie. Pomimo kurzu i zarośniętych okien spało się tam lepiej niż na dole, nocami bowiem Bube nigdy nie potrafiła usiedzieć w miejscu.

W sypialni na piętrze słuchał każdej nocy, jak odprawia swój monotony rytuał: najpierw kroki na skrzypiącym parkiecie, następnie ciężkie westchnienie, które zdradzało, że opadła na pokrytą sztruksem kanapę. Siedziała na niej przez chwilę, a Don wiedział, że pochyłona do przodu dotyka łydek, wodząc palcami po wszystkich bliznach i wgłębieniach. Słyszał, jak wstaje i zaczyna chodzić, potem rozlegało się westchnienie, skrzypiały sprężyny i znów chwilę odpoczywała.

I wszystko zaczynało się od nowa, tworząc rytm, który każdej nocy kołysał go do snu.

W lipcu 1942 roku trafiła do Ravensbrück - wówczas eksperymenty medyczne już trwały. Lekarze SS testowali bakteriobójcze działanie sulfonamidów w przypadku ciężkich zakażeń ran postrzałowych. Mówiono, że eksperymenty mają pomóc niemieckim siłom zbrojnym i dlatego muszą odzwierciedlać rzeczywistość.

Pierwszymi królikami doświadczalnymi było piętnastu mężczyzn, więźniów obozu. Rozcinano im mięśnie łydek - od pięty aż po doły podkolanowe - a następnie lekarze wcierali w rany roztwór bakterii zgorzeli gazowej, by w ten sposób wywołać poważną infekcję. Bakterie hodowano w Hygiene-Institut der Waffen-SS. Celowo rozcinano tylko dolne partie nóg - chodziło o to, by uniknąć amputacji w obrębie stawu kolanowego, kiedy gangrena zacznie się rozprzestrzeniać. Rany posypywano zasypką sulfamidową i zaszycano.

Lekarze SS czekali z ciekawością na efekt, wkrótce jednak musieli stwierdzić, że rany goiły się o wiele za szybko. Ani trochę nie przypominały tych z frontu, uznano więc, że należy bardziej się postarać.

Utworzono więc nową grupę doświadczalną, tym razem złożoną z sześćdziesięciu kobiet. Wszystkie były młode, poniżej trzydziestego roku życia, i to wśród nich znalazła się babcia Dona, jego Bube. Lekarze z obozu koncentracyjnego zrobili jej głębokie nacięcia na obu łydkach: od ścięgien Achillesa po doły podkolanowe. Żeby upodobnić obrażenia do tych odniesionych na wojnie, w rany nie tylko wcierano bakterie zgorzeli gazowej, ale też wsypywano odłamki szkła, ziemię i trociny. Nogi Bube wypełniły się ropą i napęczniały, przez cały czas męczyły ją gorączkowe majaki, z których nawet krzyki innych kobiet nie mogły jej wybudzić. Jakiś czas później zasyпка sulfamidowa zaczęła jednak działać i po kilku dniach stawało się jasne, że żadna z kobiet nie umrze od infekcji. Eksperyment nadal nie był więc miarodajny.

Naczelnicy lekarze, Herta Oberheuser i Fritz Fischer, pojechali do Berlina na weekendową konferencję, podczas której dyskutowali z kolegami o swojej nieudanej próbie.

Niemieccy medycy szybko doszli do wniosku, że nie wystarczą bakterie, odłamki szkła, ziemia

i trociny. Trzeba również zatrzymać przepływ krwi. Stwierdzono, że przy prawdziwych ranach postrzałowych uszkodzeniu ulega zawsze kilka najważniejszych żył, kiedy zaś rozcinano nogi w sposób kontrolowany, krew mogła nadal płynąć, co najprawdopodobniej powstrzymało śmiertelne uderzenie gangreny.

Jako pierwsza padła propozycja, by po prostu strzelać kobietom w nogi z karabinów maszynowych - wtedy przynajmniej eksperymentowi nie będzie można odmówić realizmu. Jednak po namyśle uznano to za trudniejsze do przeprowadzenia: rany postrzałowe prawdopodobnie u każdej z kobiet byłyby inne, a zatem nie dałoby się ich porównać w pełni naukowo.

Ktoś wpadł na pomysł, żeby następnym razem po rozcięciu łydek na stawach skokowych i w dołach podkolanowych zawiązać gumowe opaski. W ten sposób dopływ krwi do rozciętego mięśnia łydki zostałby powstrzymany, tworząc sprzyjające warunki do rozwoju gangreny.

Analiza okazała się trafna.

U pięciu kobiet z grupy Bube wdała się gangrena, która rozprzestrzeniła się z nóg na tułów. Choć były tak młode, ich organizmy poddały się po zaledwie kilku dobach. Jedna z nich wiała się na pryczy tuż obok Bube, która opowiadała, jak w ciągu kilku godzin nogi biedaczki zamieniły się w napuchłe słupy, do granic wypełnione krwawą ropą. W nocy jej żyły uległy zupełnemu rozkładowi, rozpadła się też skóra, a gangrena dotarła do ud i podbrzusza.

Gdyby nawet któryś z lekarzy SS nie spał, i tak nie byłoby czasu na amputację. Rankiem sporządzono ostatnie notatki medyczne, po czym wyniesiono kobietę z sali, żeby ją zastrzelić. Dla Bube była to *a shrekleche zach*, przerażająca sprawa - nie była nawet w stanie zdobyć się na protest. Poczula tylko niezmierną ulgę, że nie będzie już czuła ohydny zapachu tej kobiety.

Późną jesienią 1942 roku lekarzom SS z Ravensbrück eksperymenty z zasypką sulfamidową i gangreną zaczęły się nudzić. Postanowili przejść do eksperymentów zorientowanych w większym stopniu na chirurgię plastyczną. Za cel postawili sobie opracowanie metod, które pozwoliłyby poprawić wygląd niemieckich żołnierzy po zakończeniu wojny.

Kierunki badań były różne: od usuwania i prób transplantacji kawałków mięśni i szkieletu po długotrwałe badania mające ustalić, ile czasu potrzeba na zregenerowanie odciętego nerwu czy złamanej nogi. Bube i reszta kobiet, które przeżyły eksperymenty z gangreną, przydały się również tutaj.

Niemieccy lekarze wycięli babci Dona fragmenty mięśni łydek, aż do okostnej, żeby zobaczyć, czy tkanka w naturalny sposób się zregeneruje. Rezultat okazał się rozczarowujący... Następnie złamali jej piszczel w czterech miejscach, chcąc sprawdzić, jak szybko odbuduje się szkielet. Pielęgniarki starannie zagipsowały nogę, a po kilku tygodniach, kiedy kość była już prawie zrosnięta, zdjęto gips i zanotowano rezultat, a potem znowu połamano nogę w tych samych miejscach, żeby eksperyment mógł toczyć się dalej.

Na początku Bube dostawała niewielkie dawki morfiny, jednak już pod koniec, kiedy w obozie w Ravensbrück panował coraz większy chaos, o znieczuleniu często zapominano. Lecz mimo wszystko miała szczęście, *a sach mazel*, i zawsze to podkreślała.

Jednej kobiecie z jej grupy w jakimś eksperymencie związanym z przeszczepami odcięto łopatkę - od tego czasu nie mogła podnosić ręki wyżej niż na wysokość barku. Innym odcinano całe części ciała: zdrowe ramię z barkiem i łopatką, udo od grzebienia biodrowego w dół. Bube sama widziała, jak pewnej Polce usunięto operacyjnie obie kości policzkowe, tak że jej twarz całkowicie się zapadła.

W czasie procesów norymberskich wszystkie te eksperymenty z medycznego punktu widzenia zostały uznane za zupełnie bezwartościowe.

Ostatniego roku wojny, wiosną, przyjechały białe autobusy. Bube była jedną z osób, na których plecach wyrysowano kredą duży biały krzyż. Zabrano ją do Padborga, a stamtąd dalej, do Öresundu. Dwudziestego szóstego kwietnia 1945 roku zniesiono ją na noszach z promu do Helsingborga. Miała

wtedy dwadzieścia osiem lat.

Minęły trzy lata, zanim znów mogła sama chodzić, jednak bruzdy na nogach pozostały: wzdłuż obu jej łydek biegły gruzłowate blizny. Ośmioletni Don, wodząc po nich palcami, myślał, że są jak gałęzie umierającego drzewa.

Każdego lata było tak samo. W ogrodzie gniły jabłka, Bube opowiadała trudną do zrozumienia mieszkanką jidysz i szwedczyzny, a Don słuchał, ponieważ zawsze bardzo kochał swoją babcię. Mówiła do niego *mayn nachesdik kind* - mój skarbie, moje kochanie - a Niemców nazywała *jener goylem*, bezdusznymi istotami.

Kiedy opowiedziała już swoje historie, przystąpiła do mówienia o masowych egzekucjach w Lublinie, zabijaniu tlenkiem węgla w Sobiborze, cyklonie B w Treblince i Oświęcimiu albo o zaawansowanych eksperymentach w Dachau, podczas których lekarze SS przeprowadzali sekcje tkanki mózgowej u żyjących osób, żeby sprawdzić, czy w ich krwi można wykryć pęcherzyki powietrza.

Wszystkie te opowieści osadzały się w pamięci Dona jak kłujące odłamki. Jakkolwiek by go jednak naznaczyły, to nie one były najbardziej przerażającym wspomnieniem z domu Bube.

Któregoś letniego dnia dobrał się do stojącego na piętrze kredensu, w którym babcia ukrywała swoje zbiory. Znalazł tam kilka sfatygowanych skórzanych etui z runami sig, oznaczającymi SS, sztylet z wilczym hakiem i brązowe medaliki ze swastyką. Sprawiała sobie bladożółte portrety oficerów Gestapo i Wehrmachtu oraz kilka kopii pierścienia z trupią główką. Pod stertą nazistowskich śmieci leżał wielki kryształowy talerz, na którym wygrawerowano czarne słońce Himmlera, *die schwarze Sonne*. Jego dwanaście promieni wiło się jak macki i Don pomyślał, że wyglądają, jakby próbowały go chwycić i wciągnąć do środka.

W jednej z szuflad znalazł gazety aukcyjne, w których cenę każdego przedmiotu pieczołowicie zaznaczono czerwonym atramentem. Nigdy nie miał odwagi zapytać, dlaczego przywlekleła tę zarazę do swojego domu, zresztą nie wiedział, czy potrafiłaby udzielić mu odpowiedzi.

W Sztokholmie Don nigdy nie powiedział o kolekcji ani o przekazywanych mu szeptem opowieściach Bube. Zapisał niektóre z nich w kolorowym zeszycie, jednym z tych, które rozdawał nauczyciel z podstawówki, lecz nie pozwolił nikomu ich przeczytać. Z biegiem czasu słowa babci wrzynały się coraz głębiej.

Tego lata, gdy obchodził swoje jedenaste urodziny, nie zgodził się na wyjazd do domu w Bastad. Niedawno pojawiła się mała siostrzyczka i Don nie chciał, czy też nie miał odwagi, przebywać znów sam na sam z Bube i jej upiornym kredensem. Tata i mama zrzędzili, ale w końcu pozwolili mu zostać i dali klucz. Dlatego to właśnie on odebrał telefon, kiedy dzwonili ze szpitala w Skanii z informacją, że babcia nie żyje.

Potem wokół Bube zapadła wielka cisza. Jej dom szybko został sprzedany, a tata Dona ani słowem nie wspomniął o nazistowskich symbolach w kredensie. Wydawało się, że ojciec, teraz, kiedy Bube już odeszła, dostrzegł szansę zrobienia z nich rodziny bez przeszłości. Zakazał czytania książek o wojnie, a kiedy coś podobnego pojawiało się w telewizji, natychmiast trzeba było wyłączyć.

Cisza wokół Bube z czasem rosła i trwała aż do momentu, kiedy życie w willi w Enskede składało się już tylko ze szczęku samotnych sztukców i krótkich fraz wypowiedzianych pomarszczonymi ustami. Wreszcie Don zaczął się czuć, jakby tonął, i jak najszybciej chciał się stamtąd wydostać.

Może to i osobliwy wybór, biorąc pod uwagę opowieści Bube, ale po skończeniu liceum Don zaczął studiować medycynę. Prawdopodobnie wyszedł z założenia, że musi zająć się czymś praktycznym - tak łatwo zacierała mu się granica między fikcją a rzeczywistością.

Przez całe studia nie robił żadnych notatek. Wszystko, co było mówione na wykładach, od razu

zapamiętywał i wystarczyło, że otworzył książkę, by potrafił wyrecytować ją od deski do deski. Po obowiązkowym stażu próbował najpierw zrobić specjalizację z chirurgii, ale zemdleł, kiedy przyszło mu wykonać cięcie skalpelem. Zdecydował więc poświęcić się psychiatrii i dopiero tam znalazł w końcu leki potrafiące uśmierzyć ból, jaki wywoływały tkwiące w pamięci odłamki. Leki te przynajmniej na chwilę były w stanie zatrzymać opowieści, które od ósmego roku życia nieprzerwanie mamrotał w jego głowie monotony głos.

Na początku Don eksperymentował z niewielkimi dawkami środków nasennych i łagodnych leków uspokajających, ale po kilku latach przeszedł na benzodiazepiny i morfinę. Tuż przed trzydziestką był tak uzależniony, że wyrzucono go z oddziału psychiatrycznego szpitala Karolinska. To, że później, na początku lat dziewięćdziesiątych, udało mu się dostać pracę w szpitalu w Karlskronie, wynikało głównie z braku lekarzy oraz faktu, że nikomu nie chciało się sprawdzić jego referencji. To tutaj, w tym sennym miasteczku, pewnego pochmurnego sierpniowego dnia zobaczył brunatne koszule z Frontu Narodowosocjalistycznego.

W lokalnej gazecie przeczytał o młodych ludziach, którzy witali się faszystowskim pozdrowieniem i wykrzykiwali hasła o silnej Szwecji. Dopiero kiedy osobiście spotkał ich niedaleko bloków mieszkalnych na Galgamarken, wszystko w nim pękło.

Neonaziści rozdawali ulotki z żółtym snopkiem Wazów, ale na ich sztandarach powiewała swastyka. Runa sig, Krzyż Żelazny i niemiecki orzeł wznosiły się na tle ciężkiego od deszczu nieba w Blekinge. Czarne słońce z jednego z największych transparentów wyciągało ku niemu swoje macki. Był to tylko symbol graficzny, nic szczególnego, a jednak dla niego stał się niczym spadające ostrze gilotyny.

Usiadł w kucki na trawie, kołysząc w rękach głowę, a jego serce ściśnięte było przerażeniem. Po chwili, kiedy pochylił się do przodu i oparł na czubkach palców, wstrząsnął nim ból, który sprawił, że jego świat się rozsypał.

Siarczan miedzi

Stażysta ze Sztokholmu wtulił głowę w ramiona tak mocno, jak tylko mógł, i ze wzrokiem utkwionym w podłogę przemknął koło toalet, nakładając drogi, byle tylko nie przechodzić korytarzem, gdzie mieściły się pokoje etatowych reporterów.

Poranne zebranie w „Dalakuriren” było długą męczarnią. Jeden z najstarszych wyjadaczy z redakcji kryminalnej pierwszy rzucił kamieniem.

- Jest mi wstyd - powiedział, podnosząc do góry czteroszpaltowy artykuł stażysty.

Następnie wszyscy zebrani przy stole, z wyjątkiem szefa redakcji newsowej, zaczęli się go czepiać. Gdzie własne tropy i pomysły? Dlaczego stażysta nie dotarł do jakiegoś dobrego policyjnego źródła? Dlaczego nie pogłębił tematu neonazistów i wyznawców Azów - w końcu był to już czwarty dzień?

I wreszcie dlaczego, dlaczego, dlaczego nie przeprowadził osobiście wywiadu z Erikiem Hallem?

Niemożliwe?

Przecież tego dnia rano ten cały nurek siedział na kanapie w telewizji i opowiadał o wszystkim. Więc chyba tak całkiem niemożliwe to być nie mogło, nieprawdaż?

Stażysta wpatrywał się w swój kubek kawy i ze strachu, że załamię mu się głos, nie miał odwagi powiedzieć ani słowa.

W końcu do rozmowy włączyła się nawet zanosząca się papierosowym kaszlem starsza pani, zajmująca się nekrologami, ślubami i narodzinami, która stwierdziła, że to przykre, iż najgorętszy temat w kraju przydzielono niedoświadczonemu stażystcie. Dodała też, że z tego, co słyszała, nawet gazety rozdawane w sztokholmskim metrze opublikowały ciekawsze informacje na temat „morderstwa Azów”.

- A nawet nie mają tu w Falun żadnego swojego reportera - zakończyła, akcentując ostatnie słowo.

Wymknąwszy się z porannego spotkania, stażysta zamknął drzwi do swojego pokoju, opadł na krzesło i poczuł, że zbiera mu się na wymioty. Chyba pora się poddać.

Kiedy jednak podszedł do biurka szefa, by to obwieścić, zobaczył jedynie szumiący komputer, pootwierane poranne gazety i piętrzące się już od miesiąca stopy pokreślonych na czerwono artykułów. Dopiero po kilku chwilach usłyszał delikatne stukanie w szybę.

Szef redakcji stał na balkonie i palił papierosa. Kiedy zobaczył, że stażysta patrzy w jego stronę, przyłożył do szyby małą niebieską karteczkę z nagryzmołonym numerem telefonu. Szef wydmuchnął kłęb dymu, po czym bezgłośnie powiedział:

- Zadzwoń.

Stażysta przysiadł zmęczony na brzegu biurka, z pobjowiska wyciągnął słuchawkę telefonu i wybrał numer. Po kilku sygnałach odezwał się głos o tonie ostrym jak brzytwa.

- A więc to pan napisał artykuł w dzisiejszym „Dalakuriren”? Po tabloidach można się spodziewać wszystkiego... ale że nasza poranna gazeta będzie snuła spekulacje na temat morderstwa, nazizmu, pogańskich wierzeń i nie wiem czego jeszcze... To naprawdę żenujące.

Stażysta wymamrotał, że przykro mu to słyszeć, ale przecież w kopalni znaleziono teksty o Niflheimie i Naströndu i, co nie mniej ważne, również zabitego mężczyznę.

- Mężczyznę, powiada pan - odparł naburmuszony głos.

- Tak, mężczyznę. Tu akurat policja nie pozostawiła żadnych wątpliwości - powiedział praktykant.

- Tak się składa, że znam osobę, która naprawdę widziała tego, jak pan to mówi, mężczyznę.

Stażysta przycisnął słuchawkę do ucha i przyciągnął do siebie poplamiony kawą notatnik. Pod ręką miał kilka długopisów - kolejno zaczął nimi gorączkowo bazgrać, próbując znaleźć choć jeden piszący.

- Proszę posłuchać... Mówi pan, że zna kogoś, kto widział ofiarę? Czy ta osoba wie, kim jest ten mężczyzna, potrafi go zidentyfikować? Czy to ktoś z Falun?

- Czy można to powiedzieć komuś, kto tylko powtarza mnóstwo plotek?

- Ma pan prawo pozostać anonimowy, może pan...

- Proszę pana - głos przerwał mu z irytacją - nie zamierzam wchodzić w szczegóły, ale może pan to potraktować jako wskazówkę na wypadek, gdyby pozwolono panu dalej pisać o sprawie. Tak się bowiem składa, że pewien mój przyjaciel, bliski przyjaciel, jest obducentem w szpitalu w Falun. Sądząc po tym, co mówił o obdukcji tego „mężczyzny”, sprawa jest jedyna w swoim rodzaju. Czy raczej: prawie jedyna.

- Nie bardzo rozumiem.

- Siarczan - odparł głos.

- Słucham?

- Siarczan miedzi.

Stażysta, któremu wreszcie udało się rozpisać jeden z długopisów, zanotował usłyszane słowa, zakreślił je kółkiem i postawił trzy znaki zapytania.

- Siarczan miedzi, powiada pan...?

- Nawet nie pochodzi pan z Dalarny, co? - rzucił mężczyzna i się rozłączył.

Kiedy szef wrócił z balkonu, stażysta wciąż jeszcze trzymał milczącą słuchawkę.

- No i o co chodziło?

- Jakiś czytelnik chciał porozmawiać o miedzi - odparł stażysta.

- Wszyscy, którzy tutaj dzwonią, to pieprzone świry. Idź lepiej i zrób coś pożytecznego.

- Czyli ja...?

- Pracujesz dalej.

Zaraz po powrocie do pokoju stażysta, chyba po raz setny, próbował się dodzwonić do Erika Halla. Zdjęcie nurka krążyło w sieci i chyba każdy szwedzki dziennikarz przeprowadził z nim wywiad.

Przy piątym sygnale, gdy już miał się poddać, w słuchawce rozległ się głos:

- Hall, słucham..

Wkrótce jednak zainteresowanie nurka znacząco przygasło.

- Aha, to tylko lokalna gazeta. Niech pan posłucha, proszę skontaktować się ze mną pod koniec tygodnia, teraz dzwoni tyle osób.

- Ale my chcielibyśmy bardzo...

- A tak w ogóle, „Dalakuriren”...? - Jego głos się zmienił. - To przecież pan twierdził, że według mnie tam w dole leżała kobieta? Mała dziewczynka? Skoro taki z pana gówniany dziennikarz, to nie musi pan dzwonić w ogóle.

Po chwili stażysta znów trzymał w dłoni milczącą słuchawkę.

Z rezygnacją spoglądał na pierwszą kartkę w swoim notatniku. Widniały na niej, zakreślone czarnym atramentowym kółkiem, tylko dwa słowa z trzema znakami zapytania: „siarczan miedzi????”. Nie wiedział nawet, co to takiego, najprościej byłoby pobiec do etatowych reporterów i zapytać.

Jednak minutę później stażysta cieszył się, że tego nie zrobił. „Siarczan miedzi” dał bowiem trzydzieści trzy wyniki w bazie artykułów „Dalakuriren” i było to najwyraźniej coś, co powinno się znać, pracując w lokalnej gazecie w Falun.

Zaczął czytać pierwszy fragment, w którym wyszukiwarka zaznaczyła wskazane słowa, „...znaleziony w 1719 roku, siarczan miedzi dobrze zakonserwował ciało. Fet-Mats był...”.

Fet-Mats? Gruby Mats? Znowu jedno z tych dawnych nazwisk pochodzących na przykład od miejsca zamieszkania? Jak Backens-Anders, Nämvars-Lasse, Gällsbo-Emil... W tych stronach jest tego zatrzęsienie. Popieprzona Dalarna - dlaczego starał się o praktyki akurat tutaj? Zniechęcony, kliknął w artykuł i zaczął czytać.

Aha, Fet-Mats to najwyraźniej tylko pieszczotliwe określenie. W artykule było napisane, że jego prawdziwe nazwisko brzmiało Mats Israelsson. Był parobkiem, pracował w kopalni miedzi w Falun, a w

roku 1677 zablądził i zaginął. Można było przeczytać, że zdarzyło się to w marcowy wieczór tuż przed Wielkanocą i że Mats był świeżo po zaręczynach z niejaką Margaretą Olsdotter.

Stażysta potarł skronie. Jego jedyna wskazówka w pogoni za mordercą - to było po prostu żalodne.

W marcu 1677 roku nie poświęcono szczególnie wiele czasu na poszukiwania, a zakrojona na szeroką skalę akcja ratunkowa z powodu jednego parobka nie wchodziła w grę. Jediną osobą, która się nie poddała, była narzeczona Matsa, Margareta - szukając ukochanego, zdążyła się zestarzeć.

Czekała czterdzieści dwa lata, aż w roku 1719 ekipa górnicza przypadkiem odkryła zwłoki mężczyzny na głębokości stu czterdziestu siedmiu metrów. Spoczywały w tak zwanym Szybie Kuniego Futra, niecce wypełnionej wodą i... siarczanem miedzi?

Oczy stażysty na moment zatrzymały się w tym miejscu. Po chwili czytał dalej.

Człowiek ten wyglądał, jakby dopiero co utonął - jego ciało wciąż było miękkie. Ludzie, którzy go znaleźli, byli zdziwieni, ponieważ w ostatnim czasie nie zgłoszono żadnego zaginięcia, a poza tym ten szyb był zamknięty od czasu zawalenia się kopalni w roku 1687.

Kiedy udało się wydobyć go na światło dzienne, konsternacja była jeszcze większa - nikt nie rozpoznawał twarzy zmarłego. Mieli przed sobą rosłego młodzieńca w wieku około dwudziestu lat, postawnego i zdrowego (pomijając fakt, że był martwy), którego ciało wydawało się kompletnie nienaruszone przez czas.

Jakiś tydzień później, kiedy podczas zgromadzenia ludowego przy kopalni pokazano ciało, podniosła się starsza kobieta, trzęsąc się od płaczu - Margareta Olsdotter od razu rozpoznała swojego narzeczonego. Również jeden z leciwych kolegów parobka zidentyfikował go jako Matsa Israelssona. W dokumentach zgromadzenia ludowego zapisano, że jedyną różnicą między młodzieńcem, który zszedł do kopalni w roku 1677, a tym, którego z niej wydobyto w 1719, były jego włosy - czarne, falujące i lśniące - które po śmierci, centymetr za centymetrem, nadal rosły...

- To zaczyna przypominać Márqueza - mruknął stażysta, ale przy kolejnym fragmencie zeszytniał.

Kluczem do zagadki była wysoka zawartość siarczanu miedzi w wodzie i powietrzu Szybu Kuniego Futra. Siarczan miedzi od dawna był znany ze swych właściwości konserwujących: używano go między innymi w czerwonej farbie z Falun przeznaczonej do konserwacji drewna. Teraz zaś przez czterdzieści dwa lata powstrzymał rozkład i rozpad zwłok.

Stażysta poczuł suchość w ustach. Co takiego mówił dowódca antyterrorystów? Mężczyzna leżał w kopalni kilka dni, a może o wiele, wiele dłużej. W takim razie jak długo?

Zaczął czytać dalej.

Ciało Matsa Israelssona zostało więc zakonserwowane tak, że nie rozłożyło się nawet po wyciągnięciu go na powierzchnię. Rok za rokiem skóra wciąż była jednakowo miękka. Ludzie z Królewskiej Komisji Górnictwa byli tak zafascynowani tą sprawą, że zwłoki młodzieńca wystawiano na widok publiczny jako ciekawostkę. Z początku Matsa Israelssona przechowywano w beczce, natomiast kiedy wieść o tym zjawisku się rozniosła, postawiono go pionowo w szklanej gablocie. Mats stał tak przed kopalnią przez trzydzieści lat, gapiąc się na ludzi, i nawet Karol Linneusz kiedyś do niego zawitał.

Każdej wiosny otwierano gablotę, żeby przyciąć wciąż rosnące włosy, ale poza tym zostawiano parobka w spokoju. W końcu, w roku 1749, jakiś litościwy ksiądz pochował Matsa Israelssona pod podłogą kościoła w Falun. Jednak...

Stażysta zaczął się niecierpliwić.

...na początku lat sześćdziesiątych XIX wieku, przy okazji wymiany podłogi w kościele, ponownie odnaleziono Grubego Matsa, który wciąż wyglądał tak samo młodzieńczo. Tym razem jego ciało umieszczono w drewnianej skrzyni i przeniesiono w inne miejsce, gdzie parobek zbierał kurz do roku 1930. Wtedy to został pogrzebany po raz ostatni, na cmentarzu, i otrzymał granitowy nagrobek.

Ciało złożono do trumny ponad dwieście pięćdziesiąt lat po owym marcowym dniu w roku 1677, a mimo to oczy Matsa Israelssona wciąż były otwarte i przejrzyste. Niektórzy mówili, że w jego spojrzeniu było coś na kształt lekkiego zdziwienia. Inni twierdzili, że w oczach parobka nie można było

dojrzyć nic poza kilkusetletnim smutkiem.

- Ażby się chciało sprawdzić, jak on wygląda teraz - powiedział do siebie stażysta i zamknął okienko z artykułem.

Piętnaście sekund później wystukiwał już numer do czytelnika, tym razem lepiej przygotowany do rozmowy o sekcjach zwłok i siarczanie miedzi. Jednak po kilku próbach musiał dać za wygraną - nikt nie odpowiadał. Zdecydował się więc zasięgnąć informacji u źródła, którym w tym wypadku musiał być jakiś obducent z prosektorium szpitala w Falun. Ordynator odburknął jednak coś o tajemnicy służbowej i odłożył słuchawkę. Stażysta siedział przez chwilę beczynnie i pstrykał palcami. Wreszcie do dwóch słów z wykrzyknikami dopisał w notatniku krótkie zdanie: „Zwłoki mogły leżeć w kopalni przez bardzo długi czas”.

Jak w takim razie policja ustaliła, kim był zamordowany? Zastanawiał się nad tym długą chwilę, gryząc długopis, który w końcu pękł. Stażysta westchnął nad własną nieporadnością, po czym wpisał w internetową wyszukiwarkę słowo „identyfikacja” i zrezygnowany przyjrzał się wynikom.

Na pierwszym miejscu znalazła się witryna Szwedzkiego Urzędu Kontroli Leków, pomagająca zidentyfikować nieznane tabletki i kapsułki. Niżej znalazł fragment: „Banki krwi pomagają zidentyfikować ofiary powodzi” - jakiś stary artykuł. Kliknął i przeczytał:

Wczoraj na specjalnym posiedzeniu parlament zezwolił na wykorzystanie rejestru biobanku szpitala Karolińska do pomocy w zidentyfikowaniu obywateli szwedzkich, którzy zginęli w katastrofie w Azji. Będzie to szczególnie pomocne w przypadku dzieci, które często nie mają kartotek dentystycznych.

Karty dentystyczne. Otóż to. Szukali oczywiście przez karty dentystyczne.

Stażysta poczuł, że ból głowy nieco zelżał. Tu będzie miał dojsście: ojciec dawnego kolegi z liceum miał prywatny gabinet stomatologiczny na Karlaplan.

Wyszukał numer telefonu, wstukał i dodzwonił się do rejestracji. Kiedy przełączono go do gabinetu, zdawało mu się, że słyszy wizm wyłączanej wiertarki.

- Kartoteki dentystyczne? To do nas nie należy. Tym zajmują się specjaliści z zakładu medycyny sądowej... i nie mam pojęcia, jak daleko wstecz sięga ich rejestr.

Dentysta wydawał się zestresowany.

- Jak mogę się skontaktować z tymi specjalistami?

W słuchawce rozległ się odgłos kroków, jakby dentysta wyszedł na korytarz, a potem dźwięk zamykanych drzwi.

- Noo... może pan do nich zadzwonić.

Stażysta zacisnął usta, ale wówczas dentysta powiedział:

- A, właśnie! Proszę posłuchać! Jest w zakładzie jeden chłopak, którego trochę znam: już na studiach był niezłym dziwakiem.

- Tak?

- Jeżeli pan chce, mógłbym do niego przedzwonić, jak skończę.

Minęło niecałe pół godziny, kiedy dentysta oddzwonił i pełnym emocji głosem powiedział:

- Proszę tego posłuchać. Policjanci z Falun z pomocą Krajowego Biura Śledczego zażądali kartotek dentystycznych wszystkich zaginionych i nieodnalezionych obywateli Szwecji, począwszy od połowy XVI wieku. Ale żadna się nie zgadzała. Zwrócili się też do Interpolu, by przeprowadzić poszukiwania międzynarodowe. One również nic nie dały. Najwyraźniej ci z zakładu medycyny sądowej uznali, że zwłoki mogły tam leżeć nie wiadomo od jak dawna... Mówili, że ciało jest wręcz nieprawdopodobnie dobrze zakonserwowane. Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem, ale to chyba jakieś sole w kopalni uchroniły ciało od rozkładu i tylko włosy...

- Mówili coś jeszcze?

Stażysta już zaczął pisać.

- Tak, podobno miał też na sobie dosyć dziwne ubranie, z grubego materiału, garnitur z kamizelką

i przypinany kołnierzyk. Żadnego dowodu osobistego, prawa jazdy, nawet karty lojalnościowej. Mówili, wie pan, że policja nie znalazła przy nim nic plastikowego. Guziki koszuli były z kości słoniowej, guziki w spodniach rogowe, podeszwy z jakiejś naturalnej gumy...

- Może to bogaty goguś porwany z Östermalmu - odparł praktykant, przyciskając brodą słuchawkę. Teraz pisał już oburącz.

Na światło dzienne

Następny dzień - temat numeru w „Dalakuriren”:

„DALAKURIEN” UJAWNIA: TAJNE ŚLEDZTWO POLICJI

a poniżej akapit wstępny i wytłuszczone nazwisko stażysty:

FALUN

„Dalakuriren” dowiedział się o tajnym śledztwie prowadzonym w sprawie „morderstwa Azów”.

Według nowej policyjnej teorii ofiara leżała w szybie kopalni przez bardzo długi czas - może nawet setki lat.

Jak podają liczne niezależne źródła, ciało zamordowanego było zanurzone w siarczanie miedzi, substancji o właściwościach konserwujących, która powstrzymała rozkład.

Śledczy zakładają obecnie, że morderstwo nie zostało popełnione w ostatnim czasie, lecz jest to sprawa, która już dawno uległa przedawnieniu. Policja nie chce oficjalnie...

Nowe doniesienia „Dalakuriren” wywołały trzęsienie ziemi na porannych zebraniach w redakcjach sztokholmskich gazet.

Co oni tam wyprawiają w tym Falun? To zagadka kryminalna czy archeologiczna? Siarczan miedzi? Czy można sobie wyobrazić coś bardziej naciąganego?

To przecież „morderstwo Azów”, temat tygodnia, a nie jakaś dziwaczna sprawa z ubiegłego stulecia. To śledztwo leżało w interesie całego narodu. A nawet w interesie samej demokracji, chodziło tu bowiem, jak wszyscy wiedzą, o neonazistów i/lub pogan, którzy zabili jakoś tego człowieka, odprawiając staronordycki rytuał. Niedawno! Być może zamierzają zabić kolejne osoby! Ile numerów trzeba jeszcze wydrukować, żeby ludzie to zrozumieli?

Ofiara była zakonserwowana - co to ma być? Gdzie tu news? Jeżeli to prawda, to cała sprawa jest tylko zabawną anegdotą, pasującą najwyżej do kącika rozrywki na ostatnich stronach.

I wreszcie pytanie najważniejsze ze wszystkich: dlaczego policja nie zaprzecza idiotycznym doniesieniom „Dalakuriren”? Oj, źle się dzieje w państwie duńskim.

Niepewność spowodowała, że obie popołudniówki wycofały się z wyścigu, na jedyńce i rozkładówce umieszczając własny nowy sposób na odchudzanie. „Morderstwu Azów” poświęcono pół strony - poczekają, aż w sprawie Falun będzie wiadomo coś więcej. Dziewięciu reporterów zajmujących się tym tematem uzyskało nowe informacje w dniu, kiedy szyb wreszcie został opróżniony z wody.

Na polanie nadal było równie zimno jak poprzednio. Stażysta pomyślał, że jest trochę tak, jakby mgła i chłód jakimś sposobem wydobywały się przez otwór szybu wraz ze stęchłym powietrzem spod ziemi. Kiedy pompa służb ratunkowych zaczęła pracować, smród stał się jeszcze gorszy.

Tłum dziennikarzy zaczął się odsuwać, a woda, bulgocząc, przepływała do ogromnej cysterny. W porze lunchu policyjny technik kryminalny opuścił się do osuszonego korytarza i rozpoczął pracę.

Stażysta i pozostali dziennikarze dowiedzieli się później od rzecznika prasowego policji, że niemal od razu natrafiono na stertę gazet lepkich od siarczanu miedzi. Znajdowała się przy jednej ze ścian pomieszczenia nazwanego przez brukowce „salą morderców”.

Jedną z gazet wciąż dawało się przeczytać. Strony wypełnione były wąskimi szpaltami, a tytuły wydrukowane grubą czcionką: „Wielka niemiecka ofensywa”, „Pochód ostatecznie powstrzymany?”, „Postępy niemieckiej armii minimalne” i, nieco niżej, „Nasze zaopatrzenie”, „Plan reglamentacji żywności na przyszły rok”, „Wypowiedź ministra rolnictwa nie napawa optymizmem”.

Na następnej stronie zachowały się tytuł i data:

„Södra Dalarnes Tidningar” - 7 czerwca 1918.

Po osuszeniu korytarzy zaczęto wypompowywać wodę z niecki otaczającej kamień, na którym nurek znalazł ciało. W zalegającym dno mule natrafiono na duże szydło z pękniętym uchwytem i nie trzeba było długich studiów kryminalistycznych, żeby stwierdzić, skąd wziął się głęboki otwór w czole skąpanego w siarczanie miedzi mężczyzny.

Już kilka godzin po tym odkryciu policyjny technik i dziennikarze dowiedzieli się, że jedyne odciski, jakie udało się zdjąć z uchwytu szydła, należą do samego zmarłego.

- Nie ma więc nawet pewności, że tu chodzi o morderstwo? W grę może też wchodzić samobójstwo? Może nawet sto lat temu nie byłoby o czym pisać?

Łasica z największej popołudniówki machał rękoma, jakby brakowało mu powietrza. Rzecznik prasowy policji skinął głową w milczeniu.

- Pieprzona Dalarna - powiedział Łasica i rozpychając się łokciami, opuścił konferencję prasową, żeby zadzwonić do redakcji.

Jego szef zarezerwował jedną stronę - z czystego obowiązku. W drugiej popołudniówce poproszono za to stałego felietonistę, by napisał „coś fajnego”. Jeszcze tego samego wieczoru obydwie redakcje wezwały swoich korespondentów z powrotem - czas zapłacić rachunek za hotel i wrócić do stolicy. O czymś takim można sobie podyskutować w programie popularnonaukowym albo w dziale kulturalnym, jednak jako temat „morderstwo Azów” zostało odłożone do archiwum.

Głęboko, głęboko do archiwum.

Tajemnica

Dochodziła piąta po południu ostatniego dnia praktyk i przy stole konferencyjnym w „Dalakuriren” trwało pożegnanie. Od czasu odkrycia w kopalni siarczanowego człowieka minął tydzień. Zaszurały odsuwane krzesła.

Kiedy nielicznie zgromadzonej grupie reporterów udało się już przejść do pozycji stojącej, pani od nekrologów, ślubów i narodzin wręczyła stażystcie oklapnięty bukiet i konika z Dalarny z logo gazety. Następnie szef redakcji newsowej powiedział coś miłego o „gazetach popołudniowych, Sztokholmie i przyszłości”, wieńcząc przemowę głuchym papierosowym kaszlem.

Choć stażysta nie patrzył w oczy najbardziej zazdrosnym reporterom w redakcji, i tak usłyszał ściszony komentarz o „najbardziej historycznym odkryciu roku”. Jeszcze tylko kilka pojedynczych wybuchów śmiechu i całość dobiegła końca.

Wrzucił brzydkiego konika do torby, wsunął pęk kwiatów pod pachę i czmychnął w stronę schodów wiodących na parking. W połowie drogi usłyszał za sobą kroki i po raz ostatni poczuł na ramieniu dłoń szefa.

Jego świszczący oddech utrudniał zrozumienie słów, jednak praktykantowi wydało się, że usłyszał coś o ostatnim zleceniu, i już otworzył usta, by powiedzieć: „Nie, muszę lecieć”, kiedy z ust szefa padły dwa rozstrzygające słowa: „Erik Hall”.

- Chodzi o to - wyjaśnił szef, kiedy już wyrównał oddech - że w ostatnim tygodniu ten męczący nurek wydzwaniał raz po raz z pytaniem, jak to będzie z wywiadem w „Dalakuriren”. Pytał, czy nadal jesteśmy zainteresowani.

Odpowiedź, jeszcze do niedawna, była oczywista: historia jest martwa i pogrzebana. Jednak z sobotniego dodatku coś musiało wypaść i między ogłoszeniami zrobiła się nieciekawa dziura. Może artykuł nie musi być wcale obszerny? Zrobiłoby się mały weekendowy portret tego nurka, który w tak krótkim czasie zdobył zainteresowanie wszystkich mediów.

A więc Erik Hall. Stażysta rzucił marynarkę z powrotem na krzesło i wystukał numer. Nurek odebrał już po pierwszym sygnale, jakby czekał na telefon.

- Hall.

Nie jesteśmy już tacy trudno dostępni, kiedy duże gazety straciły zainteresowanie, co? Stażysta pamiętał, jak podczas pierwszej rozmowy nurek próbował go spławić, nie silił się więc na uprzejmość. „Dalakuriren” chce, o ile oczywiście odpowiada to nurkowi, przeprowadzić bardziej osobisty wywiad, poznać jego odczucia po całym tygodniu napięcia i bycia w centrum uwagi.

- Szczerze mówiąc, czuję lekką pustkę - powiedział Erik Hall. - Ja...

Stażysta popatrzył na bilet powrotny do Sztokholmu. Ostatnio dojazd do domku nurka zajął mu przecież aż czterdzieści pięć minut.

- W tego typu artykułach tak naprawdę najważniejsze są zdjęcia... - zaczął stażysta.

- Tak, to na nie przede wszystkim się patrzy. Jeżeli się czytało o kimś w prasie, to chciałoby się...

- Więc może sam wywiad moglibyśmy... - stażysta spojrzał w kierunku drzwi - przeprowadzić telefonicznie?

- Telefonicznie?

- Tak, trochę mi się spieszy. Dziś wieczorem jadę do Sztokholmu.

- Tak, tak, oczywiście - powiedział Hall głuchym głosem. - Oczywiście.

Jakiś kwadrans później wszystkie odpowiedzi były już udzielone. Nurek raczej nie powiedział nic odkrywczego, ale to wystarczyło, by nabić pięć tysięcy znaków i zapełnić stronę w sobotnim dodatku -

stażysta nie miał zamiaru kreślić portretu bohatera. Pozostała jeszcze tylko kwestia zdjęć.

Wyłączył komputer i z wysoko uniesioną głową przemierzył korytarz reporterów. Minął automat z kawą, skręcił w lewo, okrążył odrapany stół z podświetlanym blatem i kserokopiarkę. Tam spotkał fotografkę pochyloną nad popołudniową gazetą.

Szef redakcji newsowej powiedział, że to robota w sam raz dla niej, kogoś na zastępstwie i świeżo po uniwersytecie ludowym, komu przyda się trochę doświadczenia. Włosy miała związane w koński ogon i była dość mocno umalowana, ale dziecinnie puciołowate policzki zdradzały, że mogła mieć niecałe dwadzieścia lat.

Zapisawszy adres i telefon Halla na karteczce samoprzylepnej, stażysta poprosił o kilka zdjęć, które miałyby w sobie świeżość. I bez tego skafandra, w którym pokazywano go w każdej gazecie. Fotografka skinęła głową:

- Jasne.

Zarzuciła na ramię ciężką torbę z aparatem, chwyciła swoją dżinsową kurtkę i zeszła po schodach na dziedziniec, na którym stały redakcyjne samochody. Kiedy odjechała, stażysta usłyszał wesołe pogwizdywanie. Wszystko wskazywało na to, że pogwizdywał on sam.

- Witam w Svartbäck - powiedział Erik Hall. - Może trochę kawy? Właśnie nastawiłem.

Czekał na nią przy samej bramie. Teraz, kiedy szli równo usypaną żwirową ścieżką, fotografka poczuła dłoń nurka błędzącą po jej plecach. Dłoń popchnęła ją zdecydowanie, gdy doszli do schodów prowadzących na oszkloną werandę.

Za drzwiami szybko zdjęła adidas - odniosła wrażenie, że nie należy nawet pytać: pomalowane na zielono panele podłogowe lśniły, a z wnętrza domu dobiegał intensywny zapach środków czystości.

Nurek zaprowadził ją korytarzem do salonu z niskim sufitem, różową kanapą i babcinymi firankami. Potem był jeszcze jeden korytarz - chodniczki, haftowane kilimy... W końcu dotarli do kuchni.

Na blacie przykrytym bieżnikiem w czerwonej kratkę bulgotał ekspres do kawy, a w stojącym w rogu żeliwnym kominku trzaskało brzoźowe drewno. Erik Hall wziął dzbanek, napełnił dwie filiżanki i jedną z nich podał fotografce. Zaproponował, żeby usiedli na kanapie.

Kiedy usadowiła się, nurek przysunął do niej dębowy stół, ale tak mocno, że prawie nie mogła się ruszyć. Sam usiadł okrzakiem na krześle naprzeciw niej.

W „Dalakuriren” było tylko pięciu fotografów i wszystkim się spieszyło. Fotografka pomyślała jednak, że może warto poświęcić kilka minut na gadkę o niczym, żeby poprawić nurkowi nastrój. Z początku bowiem naprawdę nie był w dobrym humorze.

Najwyraźniej wszystko było nie tak, jak sobie tego życzył: pozostałe gazety przekreśliły jego wypowiedź pełną technicznych szczegółów na temat jaskiń i nurkowania, przez co wyszedł na niekompetentnego. Kiedy później próbował to sprostować, odprowadzono go z kwitkiem. Poza tym miał do powiedzenia o wiele więcej - to był tylko początek. Ale czy jest ktoś, komu warto o tym mówić? Weźmy na przykład „Dalakuriren”. Nie byli nawet w stanie przysłać tu swojego reportera, zgadza się? Dziennikarze mieli wszystko gdzieś i byli kompletnie wyzuci z wszelkiego profesjonalizmu.

Następnie Erik Hall przystąpił do długiego wykładu o profesjonalizmie, powiedział też, że pracował kiedyś w firmie elektrycznej w Falun, gdzie również brakowało odpowiedniego podejścia. Fotografka zgadzała się z nim i kiwała głową aż do momentu, kiedy Hall zaczął zadawać jej nieco bardziej osobiste pytania. Wtedy wskazała pustą filiżankę i powiedziała, że chętnie poszukałaby miejsca, gdzie jest dobre światło.

- Możemy pójść rzucić okiem na mój skafander, na pewno będzie pani chciała zrobić mu zdjęcie - odparł Erik Hall.

Odsunął lekko stół i fotografce udało się wydostać.

Gdy znaleźli się w korytarzu, nurek otworzył kluczem pomalowane na niebiesko wiejskie drzwi

prowadzące do prostokątnej sali, wciąż jeszcze oświetlonej promieniami popołudniowego słońca. Za oknami widniał położony na tyłach domu trawnik, który za bramą przechodził w zbocze porośnięte lasem sosnowym.

- Jak ładnie - powiedziała.

- To mama doprowadziła cały dom do porządku. Spędzaliśmy tu razem każde lato. Chcę zachować go takim, jakim był wtedy.

Fotografka skinęła głową.

- To cudowne miejsce. Wystarczy zejść ze wzgórza, żeby móc się kąpać. Czasami jest za dużo lilii wodnych i glonów, ale w tym roku było dobrze.

Skafander wisiał na wieszaku - dyndając na uchylonych drzwiach, wyglądał jak ciało bez głowy.

- To w nim wszyscy mnie fotografowali. Mam włożyć?

Już zaczynał ściągać bluzę, kiedy fotografka go powstrzymała.

- Nie, to ma być o panu, a nie o nurkowaniu, więc zależy nam na bardziej osobistych zdjęciach. Może w kuchni, a może ma pan takie miejsce, gdzie pan zwykle...

Zabrał kombinezon i drzwi się otworzyły. Za nimi unosił się zupełnie inny zapach, zapach stęchlizny. W środku stało zapadnięte łóżko z poplamionym prześcieradłem, na którym leżało kilka błyszczących gazet, ekran komputera zaś rzucał na pomieszczenie popielate światło.

- W kuchni będzie chyba lepiej - stwierdziła fotografka. Kiedy nurek wyprowadzał ją z pokoju, znów poczuła na plecach jego rękę.

Światło w kuchni było dobre. Cienkie płócienne firanki zadziałają jak filtr, idealnie do tego typu zdjęć, trochę marzycielskich - Erik Hall siedzący przy kuchennym stole, z głową opartą na dłoni. Osobiste, tego właśnie chciał stażysta.

Fotografka pracowała w ciszy i przez długi czas jedynym dźwiękiem, jaki dał się słyszeć, był jej oddech, kiedy zmieniała pozycję, i rytmiczne klikanie migawki aparatu.

- Przynajmniej pani wydaje się wiedzieć, co robi - odezwał się nurek.

Posłała mu przelotny uśmiech, jeszcze tylko kilka zdjęć... Hall mówił dalej:

- Proszę posłuchać... jest właściwie taka jedna rzecz, o której mógłbym powiedzieć, coś, co zmienia całą sprawę.

- Mhm - mruknęła fotografka, robiąc ostatnie zdjęcie.

- Wygląda mi pani na dziewczynę, która potrafi się powstrzymać. To znaczy potrafi dochować tajemnicy.

- Aha.

Założyła osłonę obiektywu i wypuściła aparat z ręki - wisiał teraz na jej brzuchu.

- No więc o jaką rzecz chodzi?

- Może to w pewnym sensie głupie, ale... tam, w kopalni, znalazłem trochę rzeczy, których nie... - Nurek odwrócił wzrok i spojrzał przez kuchenne okno na zwirowaną ścieżkę i furtkę. - Wie pani, kiedy stamtąd wyszedłem, byłem w niezłym szoku, więc wrzuciłem wszystko do jednej z toreb. A policja... Kiedy wróciłem do domu, zobaczyłem, że po prostu zostawili moje torby pod drzwiami. Wydaje mi się, że ich nie otwierali, bo te rzeczy wciąż tam były. Nie zadawali też żadnych pytań, a ja... jakoś nie mogłem się zdobyć na to, by powiedzieć. Dziwnie by było, tak po kilku dniach.

- Chodzi o takie rzeczy jak te stare gazety, które policja znalazła w kopalni, czy o coś innego?

Wyszczrzył zęby.

- No, no... teraz zrobiło się trochę ciekawiej, co?

Długo patrzył na fotografkę, nie mówiąc ani słowa. W końcu musiała odwrócić wzrok.

- Chwileczkę.

Nurek wstał i zniknął w korytarzu. Kiedy kilka minut później wrócił, trzymał w ręku coś, co wyglądało jak bordowy ręcznik frotte.

Położył tobolek na stole i powoli rozwinął. W środku znajdował się biały krzyż z pętelką. Fotografka od razu rozpoznała ten kształt.

- To jeden z tych krzyży ankh, prawda? - zapytała, a po chwili zmarszczyła czoło. - Ale chyba jest z plastiku?

- Z plastiku? Gdzie tam... - odparł Erik Hall.

Podał fotografce krzyż, żeby mogła poczuć go w dłoni. Czy on nie jest plastikowy? Bardzo lekki i wykonany z jednego kawałka, jak tania zabawka.

- Czytałem, że to klucz do podziemnego świata.

- Słucham?

- Krzyż ankh w Egipcie jest nazywany również kluczem Ozyrysa, kluczem do podziemnego świata. Można o tym przeczytać w sieci, wystarczy tylko poszukać.

Fotografka przygryzła wargę.

- I mówi pan, że ten plastikowy krzyż leżał w kopalni?

- To nie jest plastikowy krzyż! - syknął nurek. - Znalazłem go tam na dole, ten człowiek wciąż trzymał go w rękach.

Wędrowała spojrzeniem od nurka do krzyża i z powrotem.

- A więc to jest pańska tajemnica?

Spostrzegła, że nurek przetyka ślinę, a jego oczy w jakiś sposób rozbłyskują.

- To niesamowite - powiedziała.

Usłyszała jednak, że nie zabrzmiało to zbyt przekonująco. Nurek był chyba tego samego zdania.

- Nie rozumiem, czym wy, dziennikarze, się zajmujecie! To przecież nadaje wszystkiemu nowy wymiar! Co tam robił ten krzyż?

Położył przedmiot z powrotem na ręczniku i zaczął go szybko zawijać.

- Zabiję cię, jeśli komuś o tym powiesz.

W pierwszej chwili fotografka nie była pewna, czy się nie przesłyszała, jednak cisza, jaka zapadła po tych słowach, była tak nieprzyjemna, że czym prędzej zaczęła się pakować.

- A tak w ogóle, to chyba fajną masz pracę - spróbował zagaić Erik, kiedy już wyszli na werandę.

- To prawda - odparła.

Włożyła adidas i obmacała kurtkę, szukając kluczy od samochodu.

- Słuchaj... - zaczął Erik Hall, a fotografka obróciła się w drzwiach. - Może moglibyśmy się kiedyś spotkać na mieście, tylko ty i ja?

Zamiast odpowiedzieć, zaśmiała się nerwowo.

Dopiero za bramą, kiedy chciała otworzyć drzwi samochodu, zauważyła, że drżą jej ręce. W drodze do domu, kiedy zadzwoniła do stażysty, nie mogła mu nie opowiedzieć o znalezisku nurka.

E4 na północ

Shaynkayt, piękno.

Taka była jego jedyna myśl, kiedy patrzył na zbocze góry opadające ku Vättern. Na północ od Visingsö piętrzyły się wysokie cirrocumulusy, jednak na południu niebo było wciąż czyste, a łagodne popołudniowe słońce połyskiwało w tafli jeziora.

Chociaż to wstyd, *a shande*, że szyba przy stoliku Dona jest tak zatłuszczona, a smród podgrzewanego jedzenia dla dzieci, serdelków i klopsików wpłynie na smak jego kawy. Ale pewnie należy się z tym liczyć, zjeżdżając z trasy do motelowej restauracji. W końcu życie to w zasadzie *a tsore*, cierpienie, jak powiedziałyby Bube.

Don rozwinął wydrukowany artykuł z „Dalakuriren” i położył go koło swojej tacy. Zerknął na zdjęcie Erika Halla. Nie było zbyt korzystne.

Po krótkiej porannej rozmowie, którą jakiś tydzień temu odbyli w telewizyjnej charakteryzatorni, Hall dzwonił niezliczenie wiele razy, w nieskładny sposób przypominając o tajnych znaleziskach z szybu i swoim zaproszeniu do domu w Falun. Telefonował późną nocą i wszystko wskazywało na to, że nie istnieje żaden cywilizowany sposób na skłonienie go, by dał sobie spokój.

Teraz jednak „Dalakuriren” opublikował cały artykuł o tajemnicy nurka i rozesłał go do dziesiątek tysięcy prenumeratorów. Jednocześnie autor artykułu najwyraźniej nie dawał większej wiary dziwacznej opowieści Halla o odnalezionym krzyżu ankh. Z tekstu wynikało, że jest to wymysł człowieka, któremu zależy na zainteresowaniu - informacja spóźniona i nieprawdziwa.

Dziś rano nurek zadzwonił do Dona i wydawał się przybity. To naprawdę nie wyszło tak, jak sobie zaplanował, i wszystko jedno, co sugeruje w swoim artykule ten dziennikarz, opowieść o krzyżu ankh jest prawdziwa.

Poza tym w kopalni znalazł jeszcze jeden przedmiot: trudny do przetłumaczenia dokument, z którym Don może mógłby mu pomóc. A więc, powtarzając pytanie, kiedy badacz z Lund mógłby przyjechać? Don odpowiedział coś wymijająco i odłożył słuchawkę.

Jednak później, w nagłym przyływie energii, zdecydował się mimo wszystko pojechać do Falun, choćby tylko po to, by położyć kres wiecznemu marudzeniu nurka.

Na futrynie swojego gabinetu na uniwersytecie w Lund przyczepił zwyczajową karteczkę, na której nieczytelnym charakterem pisma obwieszczał wszystkim męczącym studentom swoją „tymczasową nieobecność”. Na samym dole - gdyby komuś wbrew wszelkim oczekiwaniom udało się go odczytać - widniał numer wiecznie wyłączonej komórki. Po wszystkich wsiadł do swojego renault zaparkowanego pod wydziałem historycznym i w jakiś czarodziejski sposób sprawił, że silnik zaskoczył.

Don oderwał wzrok od artykułu i powoli odstawił filiżankę. Następnie odwrócił się do zatłuszczonego okna w nadziei, że jeszcze raz zatraci się w widoku na Vättern i Visingsö. Jednak myśli o krzyżu ankh już zajęły jego umysł i nie udało mu się ich powstrzymać. Ankh, krzyż z uchwytem, *crux ansata*, pierwotny krzyż, symbol planety Wenus. Hieroglif, który mógł oznaczać energię życia, wodę i powietrze, nieśmiertelność i wszechświat. Choć były to tylko teorie, nawet egipciolodzy nie wiedzą, co tak naprawdę oznaczał.

Jedna z owych teorii mówiła, że wyobrażał macicę, inna, że został stworzony, by symbolizować Egipt - pionowe ramię miałyby być Nilem, a pętla delta. Ktoś bardziej praktyczny stwierdził, że krzyż ankh przypomina po prostu sandał.

Z drugiej strony, jeśli wierzyć zakonowi różokrzyżowców, znak oświeconych mógłby być użyty jako klucz do wnętrza ziemi. Kto by jednak wierzył różokrzyżowcom? Otóż, niestety, zdumiewająco duża część studentów przychodzących na seminarium z mitologii porównawczej.

Zresztą nie tylko tajemnice tego zakonu ich pociągały. Może mógłby tak opowiedzieć o Atlantydzie albo latających spodkach w Roswell? A może przedstawić wyrwane z kontekstu kabalistyczne teorie o dziesięciu sefirach tworzących drzewo życia albo zorganizować całodniowe seminarium o zaginionych cywilizacjach Lemurii i Agharty, skoro i tak już zaczął.

Kiedy po incydencie koło bloków na Galgamarken wyjechał z Karlskrony, mieszkał najpierw u siostry. To ona poradziła mu, żeby zaczął robić coś zupełnie innego. Po czasie zrozumiał, że zakurzony wydział w Lund naprawdę go uratował.

Bube wypełniała swoją komodę nazistowskimi symbolami jak dziecko, które nie może przestać zdrapywać strupa. Dla Dona studia stały się sposobem na rozerwanie rany, by w ten sposób znaleźć wyjście z mroków babcinej willi. W swoich badaniach chciał się zakopać w symbolach, które napawały go takim strachem.

Pracę magisterską poświęcił organizacji Ahnenerbe Heinricha Himmlera. Był to instytut badawczy, za którego pośrednictwem główny ideolog Holocaustu zamierzał na nowo odkryć, czy raczej wskrzesić, germańskie dziedzictwo przodków.

Don badał każdą odnogę, każdy chory wątek aż do jego śmierdzącego końca: od posługiwania się wymyślonymi runami po idiotyczne pomysły z Włóczęgą Przeznaczenia, od teorii o utraconej aryjskiej ojczyźnie, Ultima Thule, po samą swastykę: symbol słońca i kultu Mitry, który przez niemieckich romantyków został błędnie powiązany z Aryjczykami, a przez to, równie błędnie, z ludami germańskimi.

Z każdym obalonym mitem jego uczucia rzeczywiście słabły, przynajmniej odrobinę. Jak bowiem można czuć strach przed czymś niedorzecznym? Okazało się, że nawet Hitler nie wierzył w teorie Ahnenerbe. Cytat, podobnie jak wszystko inne, potrafił nadal wyrecytować z pamięci co do słowa:

Dlaczego mamy zwracać uwagę całego świata na fakt, że my Niemcy nie mamy żadnej starożytnej historii? Czy nie wystarczy, że kiedy Rzymianie wznosili wielkie budowle, nasi przodkowie wciąż żyli w lepiankach?

Teraz Himmler zaczyna wygrzebywać te lepianki i podskakuje z radości przy każdym znalezionym kawałku glinianego garnka i kamiennym toporku. W ten sposób pokazujemy tylko światu, że kiedy Grecy i Rzymianie osiągnęły szczyt cywilizacji, my wciąż rzucaliśmy oszczepami o kamiennych grotach i kucaliśmy wokół ognisk.

Za wszelką cenę powinniśmy milczeć na ten temat, tymczasem Himmler robi wokół tego mnóstwo szumu. Dzisiejsi Rzymianie z pewnością pękają ze śmiechu, widząc jego znaleziska.

W swoich późniejszych badaniach Don rozkładał na czynniki pierwsze mity narosłe wokół runy sig, wilczego haka, krzyża słonecznego, czaszki SS, Towarzystwa Thule, Karla Marii Wiliguta i tak dalej aż po *die schwarze Sonne*, czarne słońce, kryształowy talerz znaleziony dawno temu w komodzie. W końcu mógł udowodnić samemu sobie, że każdy nazistowski symbol był albo wymyślony, albo kompletnie błędnie użyty. Wszystko to stanowiło jedynie scenografię dla mas, stwarzającą iluzję pokrewieństwa z przeszłymi pokoleniami, żeby usprawiedliwić projekt unicestwienia tych, którzy byli inni.

Po obronie, kiedy już wypędził z siebie nieco strachu, rozszerzył pole swoich zainteresowań na krytyczną analizę symboli i mitów w ogóle. Jednak jego badania zostały, niestety, niewłaściwie zrozumiane.

Na początku tylko nieliczni zwrócili uwagę, że na wydziale historycznym rozpoczęły się wykłady na temat prastarych legend. Kiedy jednak wieść się rozeszła, na zajęcia Dona zaczęli tłumnie przybywać najbardziej zatwardziali newageowcy w kraju. Było to dla nich miejsce, które zapewniało środki na studiowanie historycznego okultyzmu. Jakże zaś fantazje ci pachnący kadzidłem ludzie mogli snuć na temat krzyża w kopalni, który oznaczał klucz do podziemi - o tym Don wolał nie myśleć.

Zamrugnął i potrząsnął głową. Następnie wstał z krzesła, nie odrywając wzroku od pejzażu za oknem. *Shaynkayt*, piękno.

Piękno tkwi w prostocie. Jakże jest więc proste wyjaśnienie obecności krzyża ankh w kopalni?

Prawdopodobnie to coś o wiele bardziej prozaicznego, niż chciałby nurek.

Don pchnął szklane drzwi motelowej restauracji i po rampie dla wózków zszedł na parking. Cirrocumulusy przesunęły się dalej na północ i teraz było nieco jaśniej.

Zatrzymał się przy starym renault 5 i wziął kilka ostatnich haustów świeżego powietrza. Ile może jeszcze potrwać jazda do Falun? Pięć godzin?

Don otworzył drzwi samochodu i podniósł z siedzenia swoją czarną torbę na pasku. Po chwili szukania znalazł odpowiednie pudełeczko i wyjął aluminiowy listek. Wyłuskał z niego pięć jasnobrązowych kapsułek - razem dwieście miligramów ritalinu. Rozgryzł, żeby przyspieszyć efekt.

Pomyślał, że drażniące pobudzenie powinno pojawić się gdzieś w okolicach Gränny. Dokładkę zaserwuje sobie może koło Mjölby, przed zjazdem na Motale i Örebro. Stamtąd pojedzie dalej drogą numer 50. Kiedy będzie dojeżdżał do Falun, powinien, zgodnie z otrzymanymi instrukcjami, szukać tablicy z napisem Svartbäck. Kiedy ją zobaczy, ma skręcić w prawo i potem znowu w prawo na żwirową ścieżkę, a sześćset metrów za zrujnowaną stodołą odbić w lewo. Następnie, jak zapewnił nurek, wystarczy już tylko szukać wzrokiem ogrodzenia i szklanej werandy.

„La Rivista Italiana dei Misteri e dell’Occulto”

Okno w sypialni zatrzęsło się od silnego podmuchu wiatru. Kilka kropel deszczu uderzyło o szybę i rozległ się przytłumiony grzmot.

Erik Hall usiadł w łóżku i naciągnął kołdrę na nogi. Na nocnym stoliku stała butelka ginu i do połowy opróżniona szklanka. Zużyte sprężyny przygniecione jego ciężarem zamieniły materac w hamak. Burzowa chmura za oknem zasnuła niebo, sprawiając, że całe światło powoli zniknęło.

Ta pizda fotografka naprawdę nie umiała się powstrzymać. Wszystko, co jej powiedział, przeinaczone i wypaczone, znalazło się w artykule w „Dalakuriren”. Krzyż ankh, słowa o kluczach do podziemi, a powyżej zdjęcie jego twarzy, której już nikt nigdy nie będzie mógł traktować serio. Po tygodniu wyskoczyć nagle z opowieścią o krzyżu egipskim znalezionym tam, w tej kopalni... Zrobiła z niego pieprzonego pajaca.

Erik smakował gorzki alkohol.

Pieprzony pajac... Czy to właśnie pomyślały dziewczyny z Dykedivers, kiedy wysłał im zdjęcia krzyża? Od tego czasu minęło kilka dni. Zrobił to jeszcze przed ukazaniem się artykułu tej pizdy, ale wciąż jeszcze nie dostał żadnej odpowiedzi. Ani sylaby.

Za oknem błysnęło, po kilku sekundach rozległ się grzmot i rozpadało się na dobre.

Erik odchylił głowę, oparł ją o ścianę i zamknął oczy. Kiedy otworzył je ponownie, niebo otworzyło się już i wylewały się z niego masy czarnej wody.

Pieprzony pajac...

Wystarczyło tylko, że zamknął oczy, a już był z powrotem pod ziemią, słyszał chrzęst odcinanych palców, znów tracił równowagę i wpadał głową do zimnej wody w zbiorniku.

Erik ze świstem wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby, próbując znaleźć wyjście z szybu. Po kolejnym wdechu udało mu się przerzucić nogi nad krawędzią łóżka. Stał przez chwilę na bosaka po tkanym chodniku, próbując złapać równowagę, aż wreszcie odważył się podnieść do pozycji pionowej.

Huk grzmotu zagłuszył skrzypienie otwieranych drzwi sypialni.

Po wejściu do obszernego pokoju nurek przystanął - sam nie wiedział dlaczego. Próbował nie patrzeć na leżącą w rogu torbę do nurkowania, w której spoczywał zawinięty w ręcznik krzyż.

Nie mógł się jednak powstrzymać.

Pakunek był lekki. Wyjął go z torby i błędził opuszkami palców między zwojami bordowego materiału, aż poczuł krzyż. Przez chwilę stał w bezruchu, patrząc na rząd ciemnych okien.

Daleko w dole, u podnóża porośniętego sosnami zbocza, za deszczową mgłą było leśne jezioro. Gdyby teraz po prostu wyszedł na deszcz, poszedł w dół ciemną ścieżką, a później zatopił krzyż głęboko, głęboko... to pewnie ta pizda, Dykedivers i wszyscy czytelnicy tej pieprzonej gazety byliby zadowoleni. Tak, mógłby za jednym zamachem utopić i siebie. Jedno było pewne: nikt by go nie szukał.

Ręcznik się rozwinął, ukazując idealnie biały metal, którego żaden człowiek dobrowolnie nie wrzuciłby do jeziora. Przy akompaniamencie deszczu bębniącego o szyby Erik gładził palcami pętlę krzyża. Od przedmiotu biło zimno, jakby leżał w zamrażarce, i zimny dreszcz przeszedł przez koniuszki palców, nadgarstek i wyżej w kierunku ramienia. Erik zatęsknił za światłem.

Podszedł do drzwi, schylił się, żeby przejść, i zniknął w ciemnym i wąskim korytarzu wiodącym do kuchni.

Choć było dopiero późne popołudnie, równie dobrze mogła być północ. Wiązka światła nisko zawieszonyj porcelanowej lampy oświetlała jedynie niewielki fragment stołu. Erik usiadł na kanapie, plecami do okna, a następnie ostrożnie położył krzyż pośrodku kręgu światła - miał około trzydziestu

centymetrów długości i był, o ile Erik się orientował, wykuty z jednego kawałka. Metal nie był jednak zupełnie gładki - na jego zimnej powierzchni wił się jakiś motyw dekoracyjny: wysokie na milimetr prążki, zbyt cienkie, by gołym okiem dało się je odróżnić od białego tła. Próbował pomóc sobie szkłem powiększającym i silną latarką, jednak bez rezultatu. W końcu się poddał i schował krzyż-widmo, nie chcąc na niego patrzeć aż do przyjscia Titelmana. O ile ten skurczybyk w ogóle się pojawi.

Spojrzał na leżący przy telefonie notatnik, w którym grubym ołówkiem zapisał numer badacza. Gdyby teraz zadzwonił jeszcze raz... gdyby... ale przecież...

Ołówek!

Przesunął się na kanapie w kierunku telefonu i wziął do ręki notatnik z ołówkiem. Kiedy znów był w kręgu światła, oderwał numer Titelmana, chcąc go zachować, choć już od dawna znał go na pamięć. Oderwał też kolejną stronę i zaczął ją metodycznie owijać wokół trzonu krzyża.

Kiedy cienki papier przylegał już odpowiednio ciasno, Erik wziął ołówek i zaczął przesuwac tęym grafitem po zdobieniach - w jedną i w drugą stronę.

Nagły błysk sprawił, że ołówek w jego dłoni zadrżał. Erik odruchowo odwrócił się do okna.

Pociemniało tak mocno, że praktycznie nie dało się już rozróżnić konturów ogrodzenia. Zaczął liczyć: sto jeden, sto dwa... Przy stu trzech rozległ się grzmot, niczym dźwięk dwóch uderzających o siebie ogromnych pokrywek. Jeżeli tak dalej pójdzie, piorun trafi prosto w dom.

Erik wrócił spojrzeniem do karteczki owiniętej wokół trzonu krzyża i zobaczył, że dalej poruszał ręką trzymającą ołówek. Delikatna warstwa grafitu ukazywała teraz szereg zawijasów:

अग्निमीळे पुरोहितं यज्ञस्य देवमृत्विजम् ।

होतारं रत्नधातमम् ॥

अग्निः पूर्वभिर्ऋषिभिरीड्यो (...)* [4]

Poczuł nagle suchość w ustach i zobaczył, że ołówek porusza się coraz szybciej, jakby kierowany dłonią kogoś innego. Kiedy pierwsza kartka była zapisana w całości, jego dłoń - mimo że Erik naprawdę nie chciał już widzieć nic więcej - automatycznie wyrwała nową kartkę z notatnika, owinęła w innym miejscu trzonu i czubek ołówka zaczął znów pracować.

Nie dało się tego powstrzymać:

(...) पूर्वभिर्ऋषिभिरीड्यो नूतनैरुत । स देवाँ एह वक्षति ॥ [5]

Wzory były wszędzie - na belce pionowej, poziomej i na pętli - i wkrótce kartki zapisane węzowatymi znakami zajmowały cały stół.

Erik potrząsał głową, chcąc pozbyć się odrętwienia, poczucia, że jest tylko kimś w rodzaju... widza.

Na niebie pojawiły się dwie błyskawice, jedna po drugiej, a dzięki grzmotowi, który rozbrzmiał zaraz potem, udało mu się wreszcie przestać - puścić ołówek - i powoli, powoli skłonić ręce, by znów zaczęły się ruszać w kontrolowany przez niego sposób. Najbardziej ze wszystkiego chciał zaś w tej chwili zgarnąć pokryte zawijasami kartki na stos pośrodku stołu. W niewyraźnym świetle trudno było zobaczyć, co robi. Był pewien tylko jednego - to wszystko musi natychmiast zniknąć.

Przy świetle kolejnej błyskawicy Erik chwycił zabazgrane kartki między dłonie i zaniósł do kominka. Ukucnął, otworzył drzwiczki i wrzucił wszystko do środka.

Rozległ się grzmot.

Erik poczekał, aż dźwięk przycichnie, i zapalił zapalną. Włożył ją do kominka i puścił. Na początku nic się nie stało, po chwili jednak rozległ się trzask i papier zaczął się palić.

Usiadł, objął kolana i zobaczył, jak ten przeklęty krzyż znika w jeziorze - i nie była to tylko nierealna myśl. To powinno się stać teraz, Erik nigdy więcej nie chciał go dotykać. Może to tylko alkohol, ale tam przy stole coś...

Nagły ból zmusił go do odrzucenia głowy na bok. Co tam...

Pomacał ręką tył głowy.

Coś... coś go przeszyło, jak prąd, pocisk lecący od karku do czoła, a kiedy spojrzał w stronę stołu i okien, odniósł wrażenie, że... ktoś tam jest.

Widział tylko niewyraźne odbicie samego siebie - fale deszczu zmieniły szyby w lustro. Znow zagrzmiało. Burza była teraz nad nim.

Zrobił kilka szybkich kroków, chcąc schronić się przy ścianie obok okna. Zmusił się do zaczerpnięcia kilku głębokich oddechów, po czym rozsunał lekko zasłony i wyjrzał na zewnątrz.

Czy ktoś tam jest?

Na początku mgła nie pozwalała nawet zobaczyć ogrodu, jednak po chwili oczy Erika się przyzwyczyły i mógł już rozróżnić kontury szklanej werandy. Potem dostrzegł rynnę i nasiąknięty wodą trawnik. Zobaczył zmyte do połowy ślady grabi i wielkie kałuże wzdłuż żwirowej ścieżki przed domem... potem rząd krzaków agrestu i, dalej, koło najbliższego słupa bramy dostrzegł... dłoń. Czarną sylwetkę ponad linią ogrodzenia.

Erik znow przysunął się do ściany, firanka zadrżała. To nie może przecież być...

I wtedy poczuł się tak, jakby ktoś gwałtownie wszystko przyciszył - huk przeszedł w łoskot, a dudnienie kropel deszczu w miarowe terkotanie.

...Titelman?

Nastąpiła długa cisza przed kolejnym grzmiotem. Ten jednak się nie rozległ, za to powoli zaczęło wracać światło.

Wkrótce na kuchennej podłodze ukazał się biały kwadrat; Erik bezgłośnie odepchnął się od ściany. Jego palce zostawiły na niej znaki - dwa wachlarze, dziesięć wilgotnych odcisków.

Kiedy znow odważył się podejść do szczeliny między zasłonami, burzowych chmur już nie było. Za lekką mgłą dało się dostrzec słońce, a deszcz tworzył już tylko cienką zasłonę. A przy bramie, pośród mżawki, stała... kobieta.

Miała na sobie przezroczystą pelerynę przeciwdeszczową, a jej wyzierająca spod kaptura twarz była lekko odwrócona. Erik widział między sztachetami jej szczupłą sylwetkę aż po wysokie kozaczki.

Zanim jego spojrzenie powróciło do twarzy kobiety, zdążyła już odwrócić głowę. Teraz bowiem patrzyła prosto na niego i mimo że ukryty za firankami powinien być niewidoczny, ich spojrzenia się spotkały. Była bardzo młoda i sprawiała wrażenie, jakby czekała, aż jej się przyjrzy.

- *Signor Hall?*

Słowa padły, jak tylko Erik odważył się otworzyć drzwi szklanej werandy. Gołe stopy wsunął w drewniaki i wyszedł na schody. Spojrzał na kobietę, przesłoniętą resztkami deszczu.

Pomachała mu ręką.

- *Mi scusi, può uscire un attimo?*

Miała bardzo delikatny głos. Mimo to słyszał jej słowa tak dobrze, jakby stała tuż przy nim i szeptała mu je do ucha.

Erik mlasnął, chcąc zmusić język do działania, jednak nie udało mu się nic wykrztusić; nie miał zresztą pojęcia, co odpowiedzieć. Nie wiedział nawet, w jakim języku kobieta się odezwała.

Po chwili rzekła znowu:

- *Signor Hall?*

Dotknął bolesnego miejsca na karku i poczuł, że najlepiej byłoby się odwrócić, zamknąć za sobą drzwi i przekręcić klucz w zamku. Jednak już ruszył przed siebie, między pokrywającymi żwirową ścieżkę kałużami.

Kobieta machała dalej, uśmiechając się do niego. W rozświetlonej słońcem mżawce obraz krzyża i kartek zapisanych rzędami zawijasów nieco przybladł. Erik poczuł ze zdziwieniem, że i on się uśmiecha, a jego ręka podnosi się w geście pozdrowienia. Pomyślał, że to przecież tylko jakaś dziewczyna... młoda dziewczyna, być może nie miała jeszcze dwudziestu lat. Stojąca przy jego bramie nastolatka. Teraz dzieliło ich już tylko kilka kroków.

- *Scusi per l'intrusione, signor Hall...*

Wyciągnęła drobną dłoń, a kiedy się witali, Erik dojrzał rąbek jasnoróżowej bluzki, wystający spod rękawa jej sweterka. Teraz już naprawdę musi spróbować coś powiedzieć.

- *Speak English?*

Kobieta zdjęła kaptur peleryny i spojrzała na niego zielonymi przydymionymi oczami.

- *Oh yes, of course...* - odparła, uśmiechając się słodko.

Włosy miała obcięte bardzo krótko. Opuścił wzrok na jej szyję, śledził spojrzeniem delikatne żyły, niemalże wyczuwając powolny puls kobiety. Odezwała się i znów podniósł oczy.

- Bardzo przepraszam, że przeszkadzam, panie Hall. Nazywam się Elena Duomi...

- Elena...?

- Tak, Elena Duomi. Pracuję dla włoskiego tygodnika „La Rivista Italiana dei Misteri e dell’Occulto”.

Erik, który już wyciągał dłoń, żeby otworzyć skobel bramy, nagle znieruchomiał. Po tamtej fotografce naprawdę nie miał już siły na kolejnych dziennikarzy.

- Tak... a więc... ja naprawdę... - zaczął, ale kobieta mu przerwała.

- To była bardzo długa podróż i zastanawiałam się... czy mogłabym wejść i przeprowadzić z panem krótki wywiad? I może powiesiłabym to gdzieś, żeby wyschło?

Potrząsnęła mokrą peleryną i znów się uśmiechnęła. Miała szerokie usta i miękkie, niepociągnięte szminką wargi.

- To co, signor Hall... możemy tak zrobić?

Erik opuścił wzrok na dłoń, którą dalej trzymał na skoblu.

- Skąd pani wiedziała, gdzie mieszkam?

- Od policji. To oni mi pomogli. O *l'uomo sotto sale* pisaliśmy już w ubiegłym numerze, ale zainteresowanie czytelników było tak wielkie...

Zbliżyła się o krok.

- Tak go nazywamy, *l'uomo sotto sale*, zasolony człowiek, w magiczny sposób zakonserwowany mężczyzna, którego znalazł pan w kopalni. Jak powiedziałam, znam już wersję policji i...

Kobieta zerknęła na niego, a następnie gładko chwyciła za rękę i pomogła zdjąć skobel. Erik niepewnie otworzył bramę.

- Już oglądałam szyb, w którym to wszystko się wydarzyło - kontynuowała, stąpając zwinnie po zwirowej ścieżce. - Zdaję sobie sprawę, że to niezapowiedziana wizyta, ale spotkanie z panem, signor Hall, i opowieść o tym, jak pan nurkował...To naprawdę skusi naszych czytelników. Powinien pan zobaczyć nasz dział listów do redakcji!

Erik jeszcze raz dotknął obolałego miejsca na karku, starając się uporządkować myśli na temat tej małej. W końcu tylko wyszczerzył zęby i skinął głową, by poszła za nim do domu.

Kiedy Elena Duomi zdejmowała buty, Erik poszedł do kuchni. Zabrał ze stołu krzyż, żeby nie ryzykować kolejnego ośmieszenia.

Obracając go w palcach, rozglądał się dookoła. W końcu zdecydował się na stos gazet koło kominka. Podeszedł do niego, przykucnął, włożył krzyż między strony i docisnął, żeby nie było go widać. Ledwie zdążył się podnieść, kiedy usłyszał jej kroki.

Usiedli przy stole w kuchni. Elena otworzyła torbę i wyjęła z niej mały szary dyktafon, który postawiła między nimi. Nacisnęła przycisk nagrywania.

- Specjalnie dla „La Rivista”, włoskiego tygodnika poświęconego zjawiskom nadprzyrodzonym i wiedzy tajemnej, wywiad ze szwedzkim nurkiem, Erikiem Hallem.

Na zadawane przez włoską dziennikarkę pytania, te same, które słyszał już wcześniej tak wiele razy, Erik odpowiadał na tyle automatycznie, że mógł pozwolić sobie na bliższe przyjrzenie się jej twarzy.

Może jednak nie była aż tak młoda. Miała w sobie coś smutnego, a jej oczy czasami wydawały się niepewne - błdziły wzrokiem po kuchennych ścianach, jakby czegoś szukały.

Wkrótce jednak Erik nie miał już czasu na rozmyślania o wyglądzie Eleny, okazało się bowiem, że włoscy dziennikarze są najwyraźniej niezwykle skrupulatni. Mimo łamanej angielszczyzny Erika udało jej

się skłonić go do przemierzenia korytarzy kopalni tam i z powrotem, podczas gdy sama notowała spostrzeżenia, którymi nawet policjanci nie zaprzęтали sobie głowy.

Największe zainteresowanie Włoszki wzbudziła niecka, w której Erik znalazł zakonserwowane zwłoki. Pytała o zapiski kredą, choć wydawała się wiedzieć, że wersy o Nifflheimie i Naströndu pochodzą z islandzkiej *Eddy* Snorriego Sturlusona. Zresztą nie tylko to wiedziała. Swoimi pytaniami szybko dała do zrozumienia, że w nauce o piekle ludów nordyckich jest dużo bardziej biegła niż Erik, który, bądź co bądź, zdążył na ten temat wyczytać niejedno, zanim teoria o „morderstwie Azów” upadła.

Kiedy dziennikarka wreszcie zrobiła przerwę i Erik popatrzył przez okno, zauważył, że już zdążyło się ściemnić. Zaczął się zastanawiać, jak długo uda mu się ją zatrzymać.

- Nie, teraz musi się pani czegoś napić - przerwał jej w połowie pytania.

Elena machnęła ręką, ale Erik zdążył już się podnieść.

Kiedy z hałasem buszował po szafkach, jego spojrzenie padło na kilka świec w zaśniedziałych świecznikach. Postawił je na stole, chwycił zapalki i zapalił. Następnie wrócił do poszukiwań i w końcu udało mu się znaleźć trzy butelki Pata Negra, które dawno temu zostawiła po sobie matka. Sam, kiedy chciał się nastukać, wołał zwykle wódkę, ale mógł przecież zrobić wyjątek.

Odkorkował butelkę, napełnił po brzegi dwa kieliszki i jeden z nich podał jej pomiędzy zapalonymi świecami. Przez sekundę wydawało mu się, że kobieta odmówi, ale wyciągnęła rękę.

- *Grazie*, dziękuję.

Włoszka upiła duży łyk i zamknęła starannie pomalowane oczy. Kiedy znów podniosła wzrok, rozmowa zmieniła charakter.

Zaczęli rozmawiać o tym, co zasolony człowiek mógł tak naprawdę robić w kopalni. Co signor Hall sądzi na ten temat?

Jak długo mógł tam leżeć i co on sądzi o znalezionych gazetach? Elena kiwała głową z namysłem, niemal z pokorą, słuchając jego odpowiedzi, a kiedy przeszedł do whisky, nie protestowała.

Pomyślał, że jakkolwiek umalowałyby oczy, była tylko drobną, młodą dziewczyną. Małą seksowną Włoszką, która z niezbadanych przyczyn siedziała teraz w jego kuchni.

Noc przyniosła ze sobą duszące ciepło. Namacalny, lepki upał, który w połączeniu z alkoholem sprawił, że jego twarz stopniowo zaczęła spływać potem. Zdążył otrzeć rękawem słoną ciecz, kiedy Włoszka sięgnęła do torby i wyjęła z niej wycinek z gazety: był to artykuł z sobotniego dodatku do „Dalakuriren”.

- To, co tutaj na końcu piszą, o krzyżu... to prawda? - zapytała, wskazując ostatni akapit.

Erik musiał mieć głupi wyraz twarzy, ponieważ dziennikarka wybuchła śmiechem:

- Jeden z policjantów to dla mnie przetłumaczył, sugerując najwyraźniej, że pan to wszystko po prostu... zmyślił. Czy tak było?

Erik poczuł, jak usta wykrzywia mu grymas.

- Ja panu w każdym razie wierzę! - zapewniła Włoszka. - Poza tym już dzwoniłam do mojego redaktora, który powiedział, że dzięki tej historii z krzyżem wszystko robi się o wiele ciekawsze. Ale chce, żebym miała chociaż zdjęcie.

Ledwo ją słyszał, myślami wróciwszy do tej pizdy fotografki. Włoszka spróbowała raz jeszcze:

- Tylko zdjęcie i już mnie nie ma. Myślę, że raczej nie mogę stąd wyjechać bez niego.

„Nie mogę stąd wyjechać bez niego” - Erik spojrzał w stronę sterty gazet.

- Tak, krzyż nada się na zdjęcie - powiedział.

- Byłabym naprawdę bardzo wdzięczna.

Wstając z krzesła, zachwiał się odrobinę. Przytrzymał się oparcia i poczuł, jak pot spływa mu po plecach w kierunku pośladków.

Włoszka wyłączyła dyktafon i schowała go do torby. Stała tuż obok Erika.

- Mogę pomóc - wyszeptala - tylko proszę powiedzieć, gdzie jest krzyż.

Erik czuł w uchu oddech Włoszki i zadawał sobie pytanie, dlaczego nagle zaczęło jej tak bardzo

zależać. Rozumiał jedno: kiedy już pokaże krzyż, kobieta pójdzie, zostawiając go samego.

- Okej... ale proszę najpierw zrobić coś dla mnie.

Spojrzał na nią i zobaczył, że kiwa głową. Nawet się uśmiechnęła.

- Wyjść ze mną na świeże powietrze, tylko na chwileczkę... - Nie czekając na odpowiedź, ciągnął coraz bardziej schrypniętym głosem: - Jeżeli pani ze mną wyjdzie, coś pani pokażę. Potem może sobie pani robić zdjęcia krzyża. Ile tylko pani chce.

Kiedy usłyszał jej głos, musiał zapytać jeszcze raz i dopiero po chwili zrozumiał, że naprawdę się zgodziła.

Stojąc na żwirowej ścieżce u podnóża schodków szklanej werandy, wydawała się taka krucha. Erik podszedł do niej i spróbował objąć ramieniem, ale zrobiła unik. Usłyszał samego siebie, mówiącego nieskładnie coś o domu i matce, po czym ku swojemu zdziwieniu zauważył, że ta mała roześmiała się i udawała, że rozumie.

Poszli wzdłuż ogrodzenia, prowadzącego na tył domu, a kiedy szła przodem, czuł tylko, że chciałby chwycić jej uda, poruszające się zgrabnie w świetle księżyca.

Za domem znajdowała się mała szopa. Erik wszedł do niej i wyszedł z dwoma ręcznikami. Następnie pomachał Włoszce, by poszła za nim do furtki, która wychodziła na ścieżkę prowadzącą w dół ku sosnowemu zboczcu.

Byli już przy zagajniku, kiedy kobieta przystanęła i popatrzyła na księżyc.

- *Quanto è bello.*

Przez chwilę najwyraźniej się wahała, kiedy jednak Erik delikatnie szturchnął ją w plecy, posłusznie ruszyła dalej.

Szli w ciemnościach obok siebie wąską leśną ścieżką, a Włoszka zadawała pytania. Pytała o krzyż, o to, jak wyglądał i czy Erik dokładnie go obejrzał. Kilkakrotnie dopytywała, czy znalazł w kopalni coś jeszcze, o czym nie powiedział policji.

Nawet gdyby chciał, nie mógł odpowiedzieć - słowa uwięzły mu w gardle, jak zawsze, kiedy był tak blisko. Po omacku próbował złapać ją za rękę, ale udało mu się tylko musnąć jej palce. Przyspieszyła kroku i wkrótce byli już przy wzgórzu, które opadało ku brzegowi leśnego jeziora.

Białe lilie wodne pokrywały połyskującą powierzchnię aż po sam koniec pomostu w kształcie litery T. Zwykle we wrześniu kwiaty już nie kwitły, jednak w tym roku płatki wciąż jeszcze się trzymały, a śliskie lodygi tkwiły mocno zakorzenione w szlamie i błocie.

Erik wszedł boso na wilgotny drewniany pomost i dopiero po chwili zauważył, że Włoszka nie zamierza mu towarzyszyć. Podszedł więc samotnie do metalowej drabinki, po której można było zejść do ciemnej wody, i odwrócił się. Elena wciąż stała na brzegu ze skrzyżowanymi ramionami, zaczął się więc rozbierać. Nie dało się dostrzec wyrazu jej twarzy.

- A więc, Eleno... chcesz zobaczyć krzyż?! - krzyknął w jej stronę. - Jeśli naprawdę ci na tym zależy, musisz ze mną popływać.

Następnie, już nago, odwrócił się ku wodzie. Stał tak długo, dając jej się napatrzeć.

- Signor Hall...

Szept rozległ się tuż obok. Teraz jednak Erik był już w ruchu i czuł opór wody.

Nie wiedział, jak długo powinien opadać: alkohol sprawił, że czuł się jak zakuty w ołowianą zbroję. Po chwili jego ręce wykonały pierwszy instynktowny ruch, potem następny, aż w końcu wypłynął na powierzchnię. Obrócił się na plecy i otworzył oczy.

Musiał mrugnąć kilka razy, zanim zdał sobie sprawę, że na pomoście koło drabinki stoi naga Elena z czarną opaską na śnieżnobiałym ramieniu. Przeciągnęła się, nie zasłaniając już rękoma krągłej talii

i trójkąta między nogami. Skoczyła do wody z pomostu i przepłynęła kraulem obok niego, kierując się na środek jeziora.

Dopiero zakrzusiwszy się wodą, Erik zauważył, że ma otwarte usta. Próbował ją dogonić i złapać, ale wkrótce dał za wygraną, a po chwili wszystko się jakby zatrzymało.

Włoszka znalazła się poza jego zasięgiem. Oboje spokojnie unosili się na wodzie. Żadne z nich nie powiedziało ani słowa, żadnemu też najwyraźniej nie zależało na czasie. Niemal pijani, leżeli na plecach, dryfując w świetle dalekiego księżyca. Piersi Eleny unosiły się lekko na wodzie, ona zaś najwyraźniej nic sobie nie robiła z rzucanych przez Erika spojrzeń.

W końcu jednak wszystko znów zaczęło się poruszać i Włoszka wyszła z wody jako pierwsza. Chwyliła jeden z ręczników i się nim owinęła. Następnie ruszyła pod górę w stronę trawiastego splecheta przy zagajniku.

Erik pospieszył za nią. Kiedy brnąc w ciepłej wodzie, dotarł do drabinki i sforsował trzy stopnie, musiał popatrzeć raz jeszcze, żeby być pewnym, że Włoszka nadal siedzi w tym samym miejscu.

Przeszedł po deskach pomostu, zostawiając za sobą mokre ślady, i wszedł na trawę. Przykucnął obok Eleny i znowu spróbował objąć ją ramieniem. Ona jednak szybkim ruchem odchyliła się do tyłu i głosem, w którym pobrzmiwała ostra nuta, powiedziała:

- Obiecał pan krzyż.

- Tak, tak - wymruczał, znów próbując ją złapać.

- Więc najpierw proszę po niego pójść.

Jej czarne oczy błyszczały pod długimi rzęsami. Po jeszcze jednej nieporadnej próbie Erik zrozumiał, że nie ma innego wyjścia, jak tylko znowu wstać.

Z nagim torsem i zawiązanym w pasie ręcznikiem poczłapał z powrotem do domu. Kiedy po chwili wracał, miał ze sobą jeszcze jedną otwartą butelkę wina. Pomachał nią w pozdrowieniu, kiedy jednak podszedł bliżej, zauważył, że ten gest był zbędny. Włoszka utkwiała już wzrok w przedmiocie, który trzymał w drugiej dłoni: kremowym krzyżu z pętlą.

- *Bentornata*[6] - wymamrotała.

Erik położył krzyż ankh na jej wyciągniętych dłoniach.

Siedzieli w pewnej odległości od siebie, mając pod sobą jezioro z liliami wodnymi, pomost i brzeg. Włoszka, pomijając ręcznik, była naga. Oglądała krzyż, podczas gdy Erik pił wino z butelki. W pewnym momencie próbował podać ją Włoszce do ust, ona jednak się odsunęła, nie podnosząc nawet głowy.

To trwało tak cholernie długo - Erik nie potrafił pojąć, o co tej małej chodzi. Obracała krzyż raz po raz, jakby udając, że potrafi odczytać pokrywające go zawijasy. Czasem zdawało mu się, że mruczy jakieś sylaby, kiedy jednak przyglądał się jej ustom, wyglądały na nieruchome.

- To mój krzyż. Ja go znalazłem - powiedział Erik cicho.

Elena odwróciła się w jego stronę i mógł przysiąc, że pokazała zęby, niczym drapieżne zwierzę. Teraz nie było w niej już dawnej przymilności, a jej idealna twarz była zimna i nieprzystępna.

- Wiesz, mam jeszcze jeden mały sekret... - Erik przysunął się bliżej. - Sekretik, który znalazłem tam, na dole. Taki, o którym wiem tylko ja.

Podniosła wzrok znad krzyża.

- Ale to już będzie kosztowało więcej. Buziak. Jeśli chcesz poznać mój mały sekret, to daj mi całusa.

Włoszka wybuchła śmiechem, jednak po chwili zasłoniła usta.

- Całusa - powtórzył Erik niewyraźnym głosem. - Ca...

Zamaszystym ruchem objął kobietę i przycisnął jej twarz do ust. Nagle poczuł mocne uderzenie łokciem w brzuch i zabrakło mu powietrza. Elena znów była wolna.

- Jeden mały całus - spróbował znowu Erik.

- Gdzie? - usłyszał głos Włoszki.

Nie był to już miły głos - miał ostre, szorstkie brzmienie. Erik poruszył parę razy żuchwą - w ustach czuł kwaśny posmak, zrobiło mu się niedobrze. Cały wewnętrzny mrok przewalił się w nim jak lawina, grzebiąc wszystko, co spotkał na drodze.

- To kosztuje, rozumiesz, ty pizdo?

Wskoczył na nią ruchem tak gwałtownym, że aż jego samego to zdziwiło. Przycisnął wargi do jej warg, otworzył na siłę usta i wsunął język. Jednak dopiero kiedy usiadł na jej klatce piersiowej i kolanami przycisnął jej ramiona do trawy, dotarło do niego, co się za chwilę stanie.

- *Pezzo di merda!*

Jedną ręką mocno ścisnął jej usta, a drugą pewnym ruchem zerwał ręcznik okrywający jej piersi. Na krótką chwilę stracił kontrolę nad jedną ręką kobiety i choć prawie udało mu się zablokować cios, policzek palił go żywym ogniem. Jak taka mała dłoń mogła uderzyć tak mocno?

Całkowicie zwolnił uścisk. Nagle poczuł smród z tej pieprzonej kopalni, zobaczył fotografię z końskim ogonem i jej pizdowate zdjęcia. Z powrotem przycisnął ramiona Włoszki do ziemi i przysunął krocze do jej ust.

Kiedy jednak udało mu się ściągnąć ręcznik ze swoich bioder, poczuł, że pęka mu głowa. Rozległ się w niej ostry dźwięk, intensywny i rozdzierający, niczym piła tarczowa przecinająca mu czoło. Przewrócił się ciężko na bok i trzymał się za uszy, jakby to mogło ulżyć cierpieniu. Wewnątrz głowy czuł drapanie ostrych paznokci, tak jakby...

Kiedy Erik odsunął się od Włoszki, ból ustąpił. Mrugając oczami, zaczął szukać jej po omacku, jednak zdążyła uciec.

Rozległ się dźwięk tłuczonego szkła.

Mimo że zdążył usiąść, zanim wymierzyła cios, nie zdołał dostrzec stłuczonej butelki. Nie dowiedział się również, że siła ciosu była na tyle potężna, by ostre jak żyłotka szkło rozcięło mu skroń, jakby była z masła, wyryło krwawą szczelinę w prawej gałce oka i półkuli mózgu, po czym drżąc, utkwilo w wewnętrznej części kości nosowej.

Delikatna bryza poruszała koronami sosen ponad leżącym ciałem. Słychać było delikatny plusk fal i nagle, coraz bliżej, dźwięk krztuszącego się silnika samochodu.

10

Don Titelman

Ledwie Donowi udało się zmusić rozklekotane renault do zatrzymania się przed domem Erika Halla, gdy ciszę nocną przeszył ryk motocykla. We wstecznym lusterku zdążył jeszcze zobaczyć migoczące czerwone światło tuż nad asfaltem, po czym pojazd zniknął w ciemności, kierując się na południe.

Don opuścił wzrok na popękany plastik przy zdezelowanej skrzyni biegów, zacisnął palce na skleionej taśmą ręczce hamulca i pociągnął. Następnie zaczął majstrować przy kapryśnym mechanizmie klamki i po kilku próbach udało mu się w końcu wywołać odpowiednie kliknięcie i otworzyć drzwiczki.

W międzyczasie ryk silnika motocykla zdążył się zamienić w odległy szum, lecz Don zawsze miał dobre ucho do dźwięków - tym, co właśnie słyszał, był duży silnik bokser z nisko umieszczonym punktem ciężkości. Bezwibracyjny dwucylindrowy czterotakt, który przy ośmiu tysiącach obrotów mógł osiągnąć maksymalną prędkość znacznie przekraczającą dwieście pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Niemiecka robota. BMW.

Postawił chude nogi na ziemi. Wyprostował kolana, żeby pozbyć się sztywności i zacząć myśleć o czymś innym, teraz jednak jego wewnętrzny licznik już był w ruchu.

BMW. Bayerische Motoren Werke. Firma, która wyprodukowała pierwszy nadający się do użytku silnik odrzutowy. Zamontowany osiemnastego lipca 1942 roku w „Jaskółce”, samolocie Messerschmitt Me 262. Testowany w locie w Dolnej Saksonii w 1944, a od 1945 roku rzucony do ostatniej desperackiej obrony samego serca zarazy: Stuttgartu, Ulm, Monachium, Innsbrucku, Salzburga. Ostatnia potężna broń obok rakiet V2. To było...

Don uderzył nadgarstkiem o futrynę i nagły ból zatrzymał potok myśli. Wygrzebał się z fotela kierowcy i zatrzasnął za sobą zwichrowane drzwi. Strząsnął z dłoni płatkę rdzy i spojrzął w kierunku ogrodu przed domem Erika Halla.

Nie bardzo wiedział, jak wyobrażał sobie dom nurka, jednak tego, że wszystkie światła będą zgaszone, nie brał pod uwagę. Była przecież... tak, była jedenasta wieczorem, a szklaną werandę oświetlało jedynie światło księżyca. Jeżeli nurek spał, było to coś nowego. W ostatnim tygodniu wiele razy dzwonił do niego w nocy i wyrwawszy go ze snu, przedstawiał kolejną nieskładną teorię na temat swojego dziwnego krzyża.

Tak czy owak, można zapukać. Ludzie na wsi składają sobie takie niezapowiedziane wizyty, pomyślał Don.

Idąc w stronę furtki, przesunął ręką po sztachetach ogrodzenia. Ktoś włożył w ten dom dużo serca i nawet w panującym mroku było to widać. Don zdjął skobel i popchnął furtkę, ta zaś otworzyła się, szorując po żwirze.

Teraz, kiedy motocykl odjechał, słychać było tylko jednostajny szum i deszczówkę skapującą z rynny do beczki. Po drodze spotkała go burza, tutaj jednak musiała przejść już dawno, jak na wieczór było bowiem dziwnie ciepło.

Idąc pod górę zwirową ścieżką w świetle księżyca, dostrzegł swoje odbicie w oknach szklanej werandy. Kiedy wszedł po schodkach, zdecydował się zapukać, ale ze środka nie dobiegła żadna odpowiedź. Przytknął czoło do szyby w drzwiach i zajrzał.

W mroku stała para butów, a kawałek dalej, przed zegarem Mora, dwa wiklinowe krzesła z haftowanymi poduszkami i para zużytych drewniaków. Na wieszaku nurek powiesił kurtkę z pomarańczowym logo i zrobiony na drutach sweter w kolorze niebieskim. Koło wewnętrznych drzwi, które zdawały się prowadzić do czegoś w rodzaju przedpokoju, wisiał plakat przedstawiający kwiaty poszczególnych prowincji Szwecji, a naprzeciwko niezapominajki z Dalslandu stał pusty stojak na parasole.

Don zapukał znowu i tym razem nie było to ostrożne stukanie, lecz porządny łomot, którego Hall nie

mógł nie usłyszeć, o ile był w pograżonym w mroku domu. Nie było jednak żadnej odpowiedzi, tylko szepty wiatru w koronach drzew i kapanie od strony stojącej na rogu budynku przepełnionej beczki.

Już miał się poddać, kiedy w czystym odruchu spróbował nacisnąć klamkę. Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem. Przez chwilę Don stał niepewnie na schodach, po czym zrobił pierwszy krok. Uderzył go zapach czerwonego wina i gorącej stearyny.

- Czy ktoś tam jest?

Odpowiedziało mu stłumione tykanie zegara.

- Halo?

Don stał w ciemnościach, nie wiedząc, co robić. W końcu uznał, że jechał zbyt długo, by tak po prostu zawrócić, i zastukał mocno do wewnętrznych drzwi koło plakatu z kwiatami. Znow zapadła cisza, nie licząc jednostajnego stukania wahadła w starym zegarze.

Przechodząc przez pokój z fotelami z różowego aksamitu, nawoływał dalej. Wreszcie doszedł do małego korytarzyka z niebieskimi drzwiami, które wyglądały na zabytkowe. Pchnął je i zajrzał do podłużnego, ogromnego pokoju z widokiem na tył domu. Kiedy się odwrócił, dostrzegł kolejne otwarte drzwi, najwyraźniej wiodące do kuchni. Wewnątrz jarzyło się pomarańczowożółte światło włączonego ekspresu do kawy. Nurek nie mógł więc być bardzo daleko.

Na stole naprzeciwko kanapy stały dwa kieliszki, świece i kilka butelek wina. Kiedy Don zapalił lampę, zauważył, że jedna z butelek wciąż jest do połowy pełna. Zadrżał, kiedy w oknie ukazała się podłużna sylwetka. Dopiero kiedy ruszył ręką, zrozumiał, że rozmazana postać to on sam.

Zawsze miał haczykowany nos, prawdziwy *jiddische nuz*, wystający z twarzy jak złamany wieszak. Okulary kupił kilka lat temu, kiedy ostrość widzenia zaczęła zanikać, i był to mniej więcej ten sam czas, kiedy jego włosy przerzedziły się i pokryły siwizną. Odrobinę zgarbiony był już jako nastolatek, lecz nie mógł sobie przypomnieć, kiedy tak bardzo schudł albo kiedy skóra na dłoniach nabrała żółtawego odcienia. Sztruksowa marynarka nie pomagała, sprawiała raczej, że jego zmęczone ramiona były jeszcze bardziej wygięte do przodu i w dół, jedyne zaś elementu stroju, z którego mógł być zadowolony - nowych martensów - w szybie nie było nawet widać.

Nagle od strony lodówki, stojącej obok kuchenki, rozległ się hałas, a serce Dona przyspieszyło, choć po chwili zorientował się, że to tylko stęknienie kompresora. Szybkie uderzenia serca przeszły po chwili w tak dobrze obecnie znane kołatanie. Pojawił się nagły niepokój, do którego za chwilę dołączyć miała suchość w ustach i trudności z przełykaniem.

Don pogrzebał w torbie i wyjął z niej świeżo kupione opakowanie clonazepamu. Pierwszy raz wypróbuje ten lek, ale powinien wystarczyć. Wziął sześć płaskich tabletek po dwa miligramy każda, położył na szorstkim języku i próbował przełknąć. Po chwili przypomniał sobie, że przecież w kuchni jest wino, podszedł do stołu i napełnił kieliszek.

Czerwone wino miało delikatny posmak żelaza; pijąc je, Don pomyślał, że Bube nie uznałaby tego za coś, co zrobiłby *chushever mentsh*, przyzwoity człowiek. Ale z drugiej strony propozycja przyjazdu do domu Erika Halla nieopodal Falun nie wyszła przecież od niego.

Odstawił kieliszek i wsłuchał się w tykanie zegara. Na swoim zegarku zobaczył, że zostało pół godziny do północy. Może mógłby poczekać tu na nurka jeszcze trzydzieści minut, gdyby tylko uporał się z tą przytłaczającą ciemnością.

W korytarzu nie znalazł żadnej lampy, ale w sali był bakelitowy włącznik światła. Żarówki rozświetliły rząd okien i wtedy Don dostrzegł sylwetkę pozbawioną głowy i stóp. Wisiała na wieszaku zahaczonym o uchylone drzwi.

Podszedł do nich, dotknął sztucznego materiału, z którego wykonany był skafander, i zaczął się zastanawiać, jacy ludzie dobrowolnie schodzą do labiryntu znajdującego się setki metrów pod ziemią. Wtem usłyszał skrzypienie zawiasów i drzwi powoli się otworzyły.

Przez chwilę myślał, że tam w łóżku ktoś leży, ale było to tylko kłębowisko kołder. Wszystko jednak przemawiało za tym, że nurek musi być gdzieś w pobliżu - tu także było włączone urządzenie: komputer,

na którego ekranie widniał artykuł z lokalnej gazety na temat krzyża. Na podłodze wałały się gazety z innymi zdjęciami, fotografie kobiet z rozkraczonymi nogami oraz góra brudnych ubrań, filiżanek i szklanek. Pokój wyglądał jak *ein chazershtal*, istny chlew, i Don miał już pozwolić drzwiom z powrotem się zamknąć, kiedy jego spojrzenie padło na coś, co nie do końca tam pasowało.

Na nocnym stoliku, za butelką ginu, stało oparte o ścianę zdjęcie w sepii. Przedstawiało jakiś... kościół.

Wszedł do zagraconego pokoju, wziął zdjęcie i zaniósł je do oświetlonego pokoju. Teraz mógł zobaczyć dokładnie, że na zdjęciu była raczej katedra. Budowla miała trzy nawy, a na szczycie fasady był krzyż. Nad zamkniętymi bocznymi drzwiami widniało rozetowe okno, obramowane po bokach dwiema wysokimi iglicami. Jedna strona fotografii była nieco wyblakła, a na wyłożonym kostką brukową placu przed katedrą widać było trzy rozmazane postacie, z których jedna była mała niczym dziecko. Prawdopodobnie przechodzili tamtędy, kiedy robiono zdjęcie, co musiało mieć miejsce bardzo dawno temu.

Don lekko zgiął papier, który okazał się dziwnie sztywny, kiedy zaś spojrzął na drugą stronę, zorientował się, że ma do czynienia z pocztówką. Brakowało znaczka, a na wykropkowanych liniach nie było nazwiska adresata, ale w lewym górnym rogu widniał wydrukowany napis: „La Cathédrale Saint Martin d’Ypres”. Tam, gdzie powinny być pozdrowienia, znajdował się odcisk czerwonych warg, jakby ktoś pocałował kartkę pomalowanymi ustami. Powyżej odcisku można było odczytać wykaligrafowane niebieskim atramentem słowa:

la bouche de mon amour Camille Malraux
le 22 avril
l’homme vindicatif
l’immensité de son désir
les suprêmes adieux
1913

Don odwrócił kartkę i jeszcze raz przyjrzał się zdjęciu. Katedra w Ypres, jakiś rok przed wybuchem pierwszej wojny światowej. Kilka luźnych fraz po francusku, napisanych do ukochanej kobiety dwudziestego drugiego kwietnia 1913 roku. Przypominały wiersz.

Coś zaszeleściło od strony korytarza i szklanej werandy. Don zdążył pomyśleć, że to nurek wrócił do domu, jednak po chwili rozbrzmiało pierwsze z dwunastu uderzeń zegara. Postukał lekko pocztówką o dłoń, poczekał, aż dźwięk przycichnie, i stwierdził, że czas minął.

Kiedy zgasił światło w obszernym pokoju, za rzędem okien zobaczył rozgwieżdżone niebo. Kawałek dalej, przy ogrodzeniu, rozpięty był sznur na pranie, na którym wisiało kilka prześcieradeł, a poniżej zarysowywało się porośnięte wysokimi drzewami zbocze.

Z nowymi tabletkami coś było nie do końca w porządku i Don poczuł, że najchętniej usiadłby w fotelu i odpoczął. Może lepiej byłoby odpocząć w samochodzie - nie wyjdzie na natręta, jeżeli nurek jednak wróci do domu.

Zostawiwszy za sobą szklaną werandę, Don wracał zwirową ścieżką do furtki i nagle zorientował się, że wciąż ma ze sobą pocztówkę. Kiedy w zamyśleniu włożył ją do dziurawej wewnętrznej kieszeni marynarki, wsunęła się pod podszewkę i zatrzymała dopiero na jej dolnym szwie. Zaklął, lecz po chwili uznał, że może tam leżeć do czasu spotkania z Erikiem Hallem.

W samochodzie maksymalnie obniżył fotel, zamknął oczy i leżąc tak, myślał o pocztówce. Od clonazepamu naprawdę zaczął się źle czuć. Otworzył oczy i zobaczył, że kierownica rozciągnęła się w dziwny owal, a mimo niewielkiej odległości od drzwi ma kłopot z ich znalezieniem - musiał wpuścić trochę świeżego powietrza.

Kiedy w końcu wymacał klamkę, palce miał miękkie jak ciasto i musiał naprzeć całym ciałem na drzwi, żeby wydostać się z samochodu. Na ciepłym powietrzu leżał przez chwilę zgięty w pół i ciężko dyszał. Poczul się tak, jakby nogi wypełniał mu dwutlenek węgla. Jakoś musiał się jednak ruszyć. Zmusił się, by stanąć na nogi, i po chwili dotarło do niego, że dokądś idzie.

Błąkał się już dobrą chwilę, gdy zauważył, że znajduje się poniżej domku letniskowego. Przed sobą widział obłany światłem księżycyca początek ścieżki. Wiła się pośród nocy, a może „wiła” to niewłaściwe słowo...? Don włożył rękę do torby w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby rozjaśnić mu w głowie, a kiedy grzebał wśród opakowań z tabletkami i zafoliowanych igieł do strzykawek, jego wypełnione dwutlenkiem węgla nogi niosły go naprzód.

W sosnowym lesie drzewa napierały coraz mocniej, okrążały go, sklepiały się nad jego głową, jakby chciały zamknąć go w grocie. Kiedy wreszcie udało mu się wyłuskać kilka nowych pigulek, jedna z nich upadła i choć przeorał ziemię palcami, nie mógł jej znaleźć. Usiadł ciężko, nie wiedząc, jak wstanie.

Na klatce piersiowej Don czuł coraz większy ciężar, a jego oddech brzmiał jak niebezpiecznie płytkie dyszenie. Po omacku wyciągnął z torby przypadkowy kartonik, połknął coś, nie mając pojęcia, co to takiego, i zaraz potem ogarnął go mrok.

Kiedy oczy Dona znów się otworzyły, leżał na leśnej ścieżce i patrzył w niebo - wydało mu się, że całkowicie straciło swój kolor. Czy niedawno nie było czarne? Teraz zrobiło się jakby beżowe, a może to pasmo błękitu. Czyżby już był ranek? Jeżeli tak, to całe szczęście, że nurek go nie widział.

Usiadł i rozejrzał się dookoła. '

Tak, był ranek. Gdzieś w oddali śpiewał kos, a przy końcu ścieżki połyskiwała woda. W jezioro wychodził pomost w kształcie litery T, a koło niego powierzchnię wody pokrywała gruba warstwa zielonych liści i białych lilii wodnych. Na końcu pomostu leżała koszula.

Donowi przyszło do głowy, że nurek mógł się utopić i że może właśnie to tłumaczyło fakt, iż wszystkie urządzenia w domu były włączone, a drzwi otwarte. Wtedy zobaczył śpiącą na skraju lasu postać.

Krople rosy błyszczały wokół nurka - bo to przecież właśnie on leżał nagi w trawie? Koło jego dużej głowy nic jednak nie błyszczało - tam podłoże było zwyczajną gliną. Wyglądało to tak, jakby Erik Hall zdecydował się na odpoczynek w rdzawej kałuży.

Don podszedł jeszcze kilka kroków. Słońce zaczęło naprawdę przygrzewać, choć był dopiero świt. Nic już się nie wiło ani nie poruszało i było to dość nienaturalne. Don pomyślał, że mimo wszystko musi to być przywidzenie, bo nurek wyglądał tak, jakby ktoś oderwał mu sporą część twarzy - od skroni przez prawy oczodół aż po nasadę nosa. Nie miał jednego oka, a może było gdzieś w tej mazi - trudno powiedzieć, albowiem twarz Halla od opadających na czoło pukli włosów aż po szyję pokrywała skrzepła krew przypominająca krowi placek.

Chciał się zatrzymać, ale nogi nadal go niosły, a kiedy doszedł do nurka, upadł na kolana. Jednocześnie jego dłonie - dłonie lekarza - próbowały podjąć jakieś działanie, ale gdy zaczął grzebać w czerwonej mazi, żołądek wywrócił mu się na drugą stronę i Don musiał pochylić się do przodu, żeby powstrzymać wymioty.

Serce znów zaczęło walić, jakby miało wyskoczyć z piersi, zaczął więc przetrząsać torbę, ale jego palce natrafiły tylko na jakiś kanciasty plastikowy przedmiot.

Don wyjął go i zobaczył, że to jego telefon komórkowy. Włączył go. Bateria była na wyczerpaniu. Wciąż starając się powstrzymać odruch wymiotny, wystukał 112.

11

Solrod Strand

Kilka centymetrów pod antypoślizgowymi podnóżkami, na których spoczywały jej stopy, przemykała asfaltowa nawierzchnia mostu nad Sundem. Elena leżała skulona za owiewką z włókna węglowego, przyciskając wąską klatkę piersiową do śnieżnobiałego baku motocykla. Po tym, jak zmieniła ustawienie zawieszania, tłumienie zostało w zasadzie zminimalizowane, więc gdy tylko najeżdżała na jakąś nierówność, maszyną zarzucało, a ona była zmuszona kontrować udami. Wszystko, byle tylko oddalić myśli od ostatnich wydarzeń, by sprawić, że obraz nie wróci.

Jednak pojawiał się znowu - nurek osuwający się na ziemię i tryskająca z jego twarzy krew. Gdyby butelka w jej dłoni nie była rozbita, byłoby łatwiej znaleźć usprawiedliwienie. Mogłaby wówczas powiedzieć, że starała się nie uderzyć zbyt mocno, ale, niestety, pechowo trafiła.

Stało się inaczej. Z rozmysłem rozbiła butelkę o kamień, a potem z całej siły uderzyła jej ostrą krawędzią w to miejsce na głowie, o którym wiedziała, że jest wrażliwe. Wciąż jeszcze czuła zapach jego krocza, ale nie mogła sobie przypomnieć widoku rozciętej szkłem skroni.

Następnym wspomnieniem był dźwięk: chrupot z wnętrza głowy Szweda, gdy ciągnęła za szyjkę butelki, próbując ją wyjąć z jego kości nosowej i oczodołu. Potem tylko pojedyncze urywki tego, jak wkładała sweterek i buty. To chyba wtedy usłyszała odgłos krztuszącego się silnika - pojazd najeżdżał drogą w kierunku domu.

Zobaczyła siebie biegnącą ciemną ścieżką i przypomniała sobie własne zdziwienie, gdy dobiegłszy do ogrodzenia, spostrzegła, że wciąż ściska w dłoni butelkę. Zamachnęła się i odrzuciła ją tak daleko, jak tylko mogła. Usłyszała tylko brzdęk w gęstych zaroślach. Kiedy odwróciła się z powrotem, chcąc dalej biec w kierunku domu, oślepiły ją dwa reflektory. Nieznany samochód zahamował na drodze przed szklaną werandą. Stał z włączonymi długimi światłami i czekał, ona zaś była w stanie myśleć tylko o tym, że musi chronić krzyż.

Znów zaczęła biec - tym razem w kierunku zagajnika za domem, gdzie zostawiła motocykl. Kiedy już była na miejscu, zawinęła błyszczący krzyż w pelerynę i usiadła na nim, przyciskając z całej siły do motoru, po czym ruszyła w czarną noc.

Następnym wyraźnym obrazem była niebieska tablica z napisem „Ludvika 17”. Tam się zatrzymała i kucnęła w brzozowym zagajniku, żeby się wysikać. Była już spokojniejsza. Dotarło do niej, że zrobiła błąd, uciekając w panice z domu i nie próbując nawet odszukać drugiego skarbu nurka. Lecz teraz było za późno na powrót, a cokolwiek by mówili, przynajmniej zdobyła krzyż.

Podeszła do motocykla i rozpakowała kombinezon. Wbiła się w sztywną skórę i włożyła matowoczarny kask. Pochyliła się, zacisnęła dłoń w rękawicze na manetce gazu i znów ruszyła w drogę.

Aż do Jönköping praktycznie nie było ruchu, dopiero wczesnym rankiem, między Helsingborgiem a Malmö, Szwedzi zaczęli się budzić. Wówczas zwolniła. Teraz zaś, gdy spojrzała znad jasnozielonego wyświetlacza cyfrowego, mignął jej obok duński punkt poboru opłat.

Wreszcie była z powrotem „na kontynencie”.

Zostawiwszy za sobą Kopenhagę, jechała dalej trasą E20 wzdłuż wybrzeża Zelandii i zatoki Køge. Poruszała się zgodnie z instrukcją: zjazd w Cordozavej, potem w lewo w Jersie Strandvej, aż w końcu hamulce radialne zatrzymały bmw przed ostatnim rzędem obłożonych cegłą domów.

Zdjęła kask i zaczęła masować skronie, próbując uciszyć szum wypełniający jej głowę. Słyszała go od świtu i podczas jazdy myślała, że to po prostu dźwięk silnika. Teraz jednak silnik był wyłączony, a w głowie szumiało nadal. Dźwięk zmieniał natężenie, ale był cały czas słyszalny, jak ściszone głosy rodziców towarzyszące zasypianiu.

Krzyż trzymała cały czas w kombinezonie, przyciśnięty do piersi. Rozpięła zamek błyskawiczny, żeby poczuć go przez pelerynę. Choć metal powinien był się rozgrzać od jej ciała, wciąż był lodowaty.

Zasunęła zamek, odepchnęła się rękoma do tyłu i zeszła z siodełka. Jej buty zostawiały odciski na zapiaszczonym asfalcie.

Zgodnie z zapowiedzią przy jednym z domów znajdowała się skrzynka pocztowa z przyklejonym znaczkiem: owal otoczony czerwonymi strzałkami - symbol Duńskiej Partii Ludowej. Otworzyła ją i wyjęła kopertę.

Przeszła deptakiem w stronę ciągnącej się plaży. Zerwał się wiatr od morza, który zdmuchiwał piasek z wydm. Idąc, zatkała ostrożnie palcem najpierw prawe, a później lewe ucho. Otwierała szeroko usta i próbowała ziewać, ale szepty i szelesty w głowie nie chciały ucichnąć. Już od dawna zmysły nie płatały jej takich figli, ale może po prostu była zmęczona.

Kiedy miała już pewność, że jest sama, usiadła w zagłębieniu pomiędzy dwiema wydmami pokrytymi żółtozielonymi kępami wydmuchrzycy. Widziała stąd czarne pasma wodorostów i połyskujące morze. Pewnym ruchem oderwała brzeg koperty, włożyła do niej rękę i wyciągnęła telefon na kartę oraz karteczkę z trzynastocyfrowym niemieckim numerem.

Nastawiła stoper - wiedziała, że rozmówca zakończy rozmowę, jak tylko upłynie ustalony czas.

Rozbrzmiały dwa trzeszczące sygnały, a później mówiący po niemiecku głos, który od dziecka napawał ją strachem.

- Znaki się zgadzają.
 - Dobre wieści, Elena. Bardzo dobre.
 - Ale...
 - Tak?
 - Nie wszystko poszło zgodnie z planem.
 - Wiemy - przerwał głos. - Nie martw się, nasi przyjaciele obiecali, że się tym zajmą.
- Jej palce przestały kurczowo ścisnąć telefon. Spojrzała na zegarek, jeszcze trzydzieści sekund.
- Było jeszcze coś innego...
 - Coś innego?
 - On znalazł coś jeszcze.

Kolejny trzask. Po chwili głos odezwał się znowu:

- Elena?
- Tak?
- Wracaj do domu.

Rozległo się ciche trzaśnięcie. Potem słyszała już tylko wiatr i głosy szepczące w jej głowie.

Powoli wyjęła baterię z telefonu i pomyślała, że wspomniał o domu. Może to i był jej dom, ale nigdy za taki nie będzie go uważała. Zobaczyła w wyobraźni, jak odwrócił się do szerokiego okna, a zmarszczki po bokach jego ust się pogłębiły. Nieznacznie, ale jednak. I dopiero gdy zobaczyła ten obraz, zrozumiała, jak bardzo zawiodła. Czując pod kombinezonem chłód przyciśniętego do piersi krzyża, Elena podniosła się i otrzepała z piasku.

Wracając do motocykla, wrzuciła kartę do kosza na śmieci. Telefon wyrzuciła przez balustradę mostu nad Wielkim Bełtem, tuż przed wjazdem na Fyn.

Teraz przyda się lekka konstrukcja motocykla oraz silnik bokser i felgi magnezowe: do Flensburga po niemieckiej stronie granicy zostało już tylko sto osiemdziesiąt kilometrów. Potem autostrada E45 do Hanoweru, a następnie w stronę Nadrenii Północnej-Westfalii.

Teraz już bolało ją wszystko - aż po zabandażowane ramię. Poczwała, że musi się zatracić, że w końcu musi zatracić się w prędkości.

12 Przesłuchanie

Ze sklepu, który najpierw nazywał się EPA, później Tempo, a teraz Åhlens, wyszła ciężarna kobieta z wózkiem - zdążyła w ostatniej chwili, zanim drzwi zamknęły się z sykiem. Kawalek dalej, przed sklepem monopolowym, siedziały dwie dziewczyny z oczami wymalowanymi konturówką i czekały na diler. Pewnie żadna z nich nie uświadamiała sobie tego, ale Åsgatan - handlowa ulica w Falun - była naprawdę przeraźliwie nudna... Jeśli ktoś poszedłby nią w stronę kościoła, Kristine Kyrka, i Stora Torget, pozostałby w części miasta określanej jako „cudna”. Ale przekroczywszy rzekę koło Fisktorget, trafiłby w okolice kopalni miedzi - na tę część miasta, zbudowaną na wiekowej warstwie żużlu, mówi się „paskudna”.

Po tej właśnie stronie, zaraz za mostem, znajdował się komisariat w Falun.

By zrobić miejsce pod obecny toporny betonowy budynek, którego front był łukowato wygięty niczym leżący półksiężyc, pod koniec lat sześćdziesiątych, nie bez protestów, wyburzono starą pływalnię. Łukowatą fasadę pokrywały podłużne kamienne płytki koloru smoły, wzdłuż wklęsnięcia zaś biegły dwa rzędy dźwiękoszczelnych okien - zaciągnięte białe żaluzje nie wpuszczały do środka promieni przedpołudniowego słońca.

W rogu na drugim piętrze za zaciągniętymi żaluzjami mieściły się cztery pokoje przesłuchań wydziału kryminalnego. W półmroku na biurku leżał otwarty notatnik, w którym dużymi kulfonami zapisane były tak pomocne słowa-klucze. Naprzeciwko notatnika ktoś postawił wiekowy magnetofon na kasety - przycisk nagrywania był wciśnięty. Teraz jednak rejestrator dźwięku wychwytywał tylko szum klimatyzatora i monotonne pobzykiwanie świetlówki na suficie.

Na krześle obciążonym czarnym materiałem siedział zgarbiony człowiek. Ubrany w sztruksową marynarkę miał przekrwione oczy i okulary. Naprzeciwko niego, po drugiej stronie stołu, siedział szorstki faluński policjant z wąsami i katarem. Siedzieli tak już kilka godzin.

Wąs wyprostował się i ponownie spróbował.

- Zacznijmy więc jeszcze raz, od początku. Dlaczego wczoraj w nocy był pan w domu Erika Halla?

Tym razem Don nawet nie próbował odpowiedzieć. Siedzący naprzeciwko policjant był człowiekiem, którego Bube określiłaby mianem *shmendrik*, idiota, i można było tłumaczyć mu coś niezliczenie wiele razy, a tenże idiota wydawał się niezdolny, by cokolwiek zrozumieć.

Pytania zaczęły się już w chwili, kiedy policjanci w odblaskowożółtych kamizelkach znaleźli się przy pomoście. Może rzeczywiście na początku mętnie objaśniał sprawę, zważywszy na liczbę połkniętych tabletek dolcontinu, teraz jednak powtórzył swoją wersję wydarzeń już tyle razy, że jedynym powodem dalszego zadawania pytań mogło być tylko to, że owa prawdziwa wersja z jakichś powodów im nie pasowała.

- Nie zasypia pan tu chyba? - zapytał Wąs.

Don zdjął okulary i zaczął pieczołowicie czyścić je chusteczką.

Policjanci usłyszeli już, że Don został zaproszony przez Halla, żeby zbadał krzyż, który nurek rzekomo znalazł w kopalni.

To tłumaczyło rozmowy telefoniczne z ostatniego tygodnia, których najwyraźniej się uczepili. Wyznał poza tym, że wypił trochę wina, co tłumaczyło odciski palców na kieliszku, oraz wyjaśnił, dlaczego wszedł do domu bez pozwolenia... Czy to naprawdę był wystarczający powód, żeby przetrzymywać go tyle godzin?

Don założył z powrotem okulary.

- A więc przesłuchiwany odmawia odpowiedzi.

Wąs z mozołem próbował sporządzić kolejną notatkę swoim beznadziejnym charakterem pisma.

Znów zapadła cisza i słychać było tylko szum klimatyzatora i trzeszczącą jarzeniówkę, aż w końcu Don nie wytrzymał:

- A dlaczego gdzieś się jest?

Policjant podniósł wzrok znad notatnika.

- Albo, gdyby tak to odwrócić... - ciągnął Don, wpatrując się w tłustą plamę na znoszonym mundurze funkcjonariusza - może mógłby pan wyjaśnić, dlaczego wciąż tu siedzimy?

Wąs postukał władczo długopisem.

- Ponieważ zgłosił pan morderstwo... - Don kopnął w stół, a policjant mówił dalej przez nos: - I wszystko byłoby w porządku, ale potem przyjeżdżamy i znajdujemy pana z zakrwawionymi rękoma.

- Już mówiłem, że jestem lekarzem i próbowałem zbadać jego obrażenia.

- A na ramieniu ma pan torbę, w której połowę zawartości stanowią substancje zaliczane do narkotyków, a drugą silne leki uspokajające. Cuchnie od pana alkoholem i prawie nie można się z panem porozumieć. Denat cuchnie tym samym winem. W kuchni, w której razem piliście, na stole stoją dwa kieliszki, a po sprawdzeniu odcisków okazuje się, że myszkował pan w różnych częściach domu.

- Ja nie...

- Z otrzymanej listy połączeń telefonicznych wynika, że Hall dzwonił do pana wielokrotnie w ciągu ostatniego tygodnia i prowadziliście długie dysputy. W jego komputerze znaleźliśmy zapiski na temat krzyża, z informacją, że bardzo panu zależy, by dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Jednak po przeszukaniu domu żadnego krzyża nie znaleźliśmy. I jak to pańskim zdaniem wygląda?

Kiedy odpowiedź nie padła, policjant westchnął. Następnie zrobił sobie przerwę na wydmuchanie nosa, a kolejne kilka minut w świetle mrugającej jarzeniówki upłynęło mu na wyciąganiu z wąsów resztek tego, co powinno być w chusteczce. *Shmendrik*.

Don sięgnął pamięcią wstecz. Znów siedział w mokrej od rosy trawie przy zwłokach Halla i patrzył na białe lilie wodne w jeziorze.

Po swojej chaotycznej rozmowie z policją miał mnóstwo czasu na zmycie z dłoni najmniejszych śladów krwi i substancji mózgowej. Jednak aż do ich przyjazdu nie był w stanie się ruszyć i po prostu siedział przy rozbitej głowie Halla w osłupieniu pomieszonym z odrazą. Nawet kiedy usłyszał sygnał nadjeżdżających drogą radiowozów, nie miał wystarczająco dużo siły, żeby się podnieść.

Kiedy po chwili zobaczył cienie biegnące ścieżką od strony lasu w kierunku wody, pomyślał, że wreszcie będzie mógł odpocząć. Jednak zamiast tego czyjeś silne ramiona chwyciły go i przycisnęły do ziemi. Pociągnęli go w kierunku domku letniskowego, prowadząc do krzywo zaparkowanego, błyskającego światłami samochodu. Czyjaś dłoń siłą opuściła mu głowę, żeby mógł wejść, a następnie wepchnięto go na tylne siedzenie, gdzie po raz pierwszy zobaczył policjanta z wąsami. Kiedy zrozumiał, że nikt nie chce słuchać odpowiedzi, a wszyscy tylko zadają kolejne pytania, wyłączył się i pozwolił zmęczonym oczom śledzić krętą drogę do Falun.

W garażu komisariatu poprowadzono go korytarzem do pokoju, w którym znajdowało się łóżko z plastikowym materacem. Dopiero kiedy zauważył, że po wewnętrznej stronie drzwi brakuje klamki, dotarło do niego, że został zamknięty w celi. Położył się i próbował zasnąć, ale jak tylko udało mu się rozluźnić, wrócił Wąs w towarzystwie drugiego policjanta. Znowu chwycili go za ramiona i zaprowadzili po schodach do pokoju przesłuchań ze szwankującą świetlówką.

Najpierw zadawali pytania na zmianę, jednak przez ostatnią godzinę kolega Wąsa sprawiał wrażenie, jakby zaczynał się poddawać. Przed chwilą przeprosił i wyszedł z dusznego pokoju po kawę. Ale wąsacz nadal nie dawał mu odetchnąć:

- No więc, panie Don... co pan robił w domu Erika Halla wczoraj w nocy? Oprócz zajmowania się tabletkami.

Policjant podniósł z podłogi zużytą skórzaną torbę i postawił ją na stole. Patrząc na Dona, przerzucał opakowania i igły.

- Zobaczmy, co pan tu ma... - Zaczął metodycznie ustawiać słóiczki obok siebie. - Diazepam,

flunitrazepam, nieoznakowana buteleczka...

- Mówiłem przecież...

Kiedy Don zobaczył swoją torbę z tak bliska, nagle zaczął mieć kłopoty z oddychaniem i poczuł, że skleją mu się usta. Wreszcie udało mu się sformułować zdanie:

- Mówiłem przecież, że jestem lekarzem.

- Apodorm, ketogan, kolejne nieoznakowane opakowanie, dalej dolcontin, medikinet, xanor, haldol, modiodal, coś z rosyjskimi literami, fentanyl...

- Mam prawo sam sobie przepisywać leki.

- Spasmofen, ritalin, nozinan, dormicum, subutex...

- Może pan zadzwonić do Głównego Zarządu Zdrowia i...

- Oxycontin, sobril, mogadon, morfina, jeszcze jeden diazepam, nieoznaczony słoiczek z kapsułkami... efedryna...

Na koniec policjant odwrócił torbę do góry nogami i na stół posypała się lawina luźnych listków z tabletkami, kilka zafoliowanych strzykawkę i gumowa opaska uciskowa.

Potem Wąs wyłączył magnetofon i milczał przez chwilę, aż w końcu powiedział:

- Proszę posłuchać... prędzej czy później znajdziemy resztki butelki, której użył pan do rozcięcia głowy Erika Halla.

Don próbował nie patrzeć na zestaw leków i wbił paznokcie w wewnętrzną część dłoni, żeby powstrzymać ruch w kierunku pudelka mogadonu.

Serce znów waliło mu jak młotem - dlaczego ten policjant nie słyszy, jak trudno mu się oddycha? Co za *jene tsemishung*, pieprzony mętlik. Musi zatrzymać kołowrotek wspomnień: rozciętą skroń Halla, rozerwany płat czołowy, oko, które wypadło z oczodołu, a także żdźbła trawy sztywniejące od świeżo zakrzepłej krwi.

Popatrzył na siedzącego naprzeciwko policjanta, u którego wspomnienia z tych wydarzeń na pewno zdążyły już zblednąć i który wkrótce będzie potrzebował zdjęcia, żeby w ogóle przypomnieć sobie wygląd ofiary. U Wąsa ten obraz już zaczął się rozpląwać i znikać. On nie będzie miał żadnych problemów z zaśnięciem.

Rozległo się pukanie.

Kiedy drzwi się otworzyły, Don skwapliwie zaczerpnął świeżego powietrza, które napłynęło do pokoju. W progu stał policjant, który po półtorej godziny wrócił z dwoma parującymi kubkami kawy.

Don zauważył, że za drzwiami stoi jeszcze jedna osoba: ubrana w beżowy płaszcz kobieta z upiętymi włosami. Trudno było stwierdzić, ile ma lat, ale on obstawiałby czterdzieści pięć - idące ku dołowi linie wokół ust wskazywały, że czas zdążył odcisnąć na niej swoje piętno.

Kolega postawił kawę na stole, a Wąs od razu chwycił parujący plastikowy kubek i zaczął siorbać. Następnie odwrócił się pytająco do stojącej w korytarzu kobiety.

Ten drugi odchrząknął.

- To jest mecenas Eva Strand. Mówi, że przysłał ją tu Afzelius z Borlänge.

Kiwnął lekko do kobiety, żeby weszła. Zrobiła kilka kroków do przodu i stanęła wyczekująco w drzwiach. Funkcjonariusz położył dłoń na ramieniu Wąsa i powiedział:

- Wkrótce prokurator podejmie decyzję w sprawie tymczasowego aresztowania, więc może byłoby dobrze, żeby Titelman kogoś miał, nieprawdaż?

Wąs dalej siorbał kawę i nie odpowiadał.

- Chyba że ma pan kogoś innego, kogo by pan wolał? - odezwał się znowu i dopiero po kilku sekundach Don zrozumiał, że pytanie jest skierowane do niego.

- Kogoś innego...?

- Jakiegoś innego obrońcę, który bardziej by panu odpowiadał?

Don potrząsnął głową ze zmęczeniem. Wciąż trudno mu było zrozumieć, jakim cudem się tu znalazł.

Kobieta podeszła do stołu, chwyciła oparcie krzesła i zwróciła się do siedzącego policjanta.

- Pozwoli pan...?

Wąs wymamrotał coś niezrozumiałego, ale prawniczka i tak usiadła. Wyciągnęła rękę do Dona.

- Dzień dobry. Nazywam się Eva Strand i jestem adwokatem.

Don uściśnął jej dłoń.

- Słyszeliśmy w radiu o morderstwie i o tym, że kogoś już ujęto. Pan, jak rozumiem, to właśnie Don Titelman?

Skinął głową i trzymał jej ciepłą dłoń, jakby nie chciał jej puścić. Pozwoliła mu na to.

- Z tego, co wiem, cały poranek spędził pan tutaj, odpowiadając na pytania? Nie mógł pan zadzwonić, nie dostał nic do jedzenia, żadnej kawy, nic a nic?

Ponieważ Don nie był w stanie odpowiedzieć, odwróciła się do Wąsa.

- Tak mam to rozumieć?

- Tak, ale...

- Wobec tego myślę, że wypadałoby poczęstować pana Dona jakimś śniadaniem.

Wąs w pierwszej chwili nie ruszył się z miejsca, kiedy jednak zobaczył, że kobieta mówi poważnie, z wahaniem wstał z krzesła.

- A to tutaj...? - zapytała, wskazując baterię leków na stole.

W pozycji stojącej policjant odzyskał najwyraźniej nieco pewności siebie.

- Niech pani sama spojrzy. Subutex, zamiennik heroiny. Reszta to benzodiazepiny. - Zaczął wskazywać na poszczególne opakowania. - Tu jest coś rosyjskiego, tutaj trzy nieoznakowane słoiczki. Tu z kolei spasmofen z morfiną, a oprócz tego jeszcze mnóstwo innych świństw dla narkomanów. Sama pani zresztą zobaczy.

- Ma receptę na subutex?

- Tak, tam w torbie jest kilka papierków, ale...

- A na spasmofen?

Wąs przytaknął niechętnie.

- W takim razie proponuję, żeby niezwłocznie przeprosił pan mojego klienta i zwrócił mu wszystkie leki na receptę. Pozostałe chcę mieć w protokole tymczasowego zajęcia mienia ruchomego. Zajmiemy się tym w sądzie.

Don trzymał wciąż dłoń kobiety i był już pewien, że nie chce jej nigdy puścić.

Wyraźnie niezadowolony policjant powkładał leki do torby, po czym pchnął ją po stole w kierunku Dona.

- Rozmawialiśmy też o tym, że powinien dostać coś do jedzenia... - powiedziała prawniczka.

Z ciężkim westchnieniem Wąs podszedł do czekającego przy drzwiach kolegi. Odwrócił się jeszcze i spytał:

- Eva Strand, tak?

Pokiwała delikatnie głową, nie spuszczać wzroku z Dona.

- Z kancelarii adwokackiej Afzelius z Borlänge?

Znów skinęła głową.

- Jest pani nowa?

- To zależy... Przyjechałam tu latem ze Sztokholmu, a tam przez trzynaście lat pracowałam jako obrońca w sprawach karnych. A dlaczego pan pyta?

- Kolega chce tylko powiedzieć, że dość rzadko pojawiają się tu nowe twarze - wtrącił drugi policjant łagodzącym tonem.

- My tutaj mamy zwyczaj współpracować - rzekł Wąs.

- Tak...? - odparła Eva Strand.

- Tylko tyle chciałem powiedzieć. Witamy.

Po tych słowach wymknął się z pokoju. Jego kolega poczekał, aż ten zniknie w korytarzu, po czym

odwrócił się z powrotem do Evy Strand.

- To była długa noc.

- Tak myślę. Dla mojego klienta również. A teraz... mógłby pan zostawić nas na chwilę samych?

Dopiero kiedy za policjantem zamknęły się drzwi, Don puścił jej dłoń.

Eva Strand zdjęła płaszcz i powiesiła go na swoim krześle. Pod spodem miała marynarkę w jodełkę z poduszkami na ramiona i zapiętą pod szyję brązową bluzkę. Don pomyślał, że ze swoją kanciastą twarzą i strojem, wziętym jakby z filmu z lat czterdziestych, przypomina jasnowłosą Ingrid Bergman. Ponadczasowa, to chyba było dobre określenie.

Oczy Evy Strand były niebieskie i delikatnie przezroczyście. Gdyby wcześniej, trzymając ją za rękę, Don nie odniósł innego wrażenia, pomyślałby, że jest zimną kobietą. Teraz jednak zerwał kontakt wzrokowy, całą swoją uwagę kierując na torbę. Po chwili poszukiwań wśród aluminiowych listków znalazł w końcu alprazolam. Trzy jasnyniebieskie, owalne tabletki z nacięciem, każda po dwa miligramy. Popił je łykiem przestygłej już kawy.

- A więc, Don - zaczęła. - Gdybyś tak był łaskaw opowiedzieć o tym, co się wydarzyło.

Zaczął od początku: od spotkania w studiu telewizyjnym, nocnych rozmów z Erikiem Hallem i jego zrzędzenia, by przyjechał do Falun zobaczyć niezwykły krzyż. Opowiedział trochę o swoich badaniach, starając się przy tym podkreślić, że tajemnicze przedmioty tak naprawdę niewiele go obchodzą, a decyzja o wyjeździe do Dalarny była dziełem przypadku. Powiedział w kilku słowach o motocyklu, który odjechał, i dopiero kiedy dotarł do momentu, gdy wchodził do domu Halla, prawniczka mu przerwała.

- A więc drzwi nie były zamknięte?

Don pokręcił głową.

- I korzystając z okazji, wszedłeś do środka?

- To przecież on chciał, żebym tam przyjechał.

Eva Strand coś zanotowała i dała mu znak, żeby mówił dalej. Wyjaśnił, dlaczego wypił wino, i przyznał, że być może pochodził trochę po domu, chcąc się rozejrzeć.

- Coś znalazłeś?

Don zamrugął.

- Dlaczego miałbym coś znaleźć?

- Przecież przyjechałeś tam obejrzeć krzyż.

Jej długopis przestał pisać. Don poczuł irytację.

- Skąd miałbym wiedzieć, gdzie Erik Hall wsadził swój przeklęty krzyż?

- Może powiedział to przez telefon?

- Nie szperałem po domu, szukając krzyża, jeśli o to pani chodzi.

- O nic mi nie chodzi - odparła Eva Strand z lekkim uśmiechem. - Jednak z tego, co wiem, policję martwi zniknięcie krzyża.

Pod stołem Don miętosił podszewkę marynarki.

- Policja przeszukała przecież moje ubrania, więc raczej trudno mi zarzucić, że cokolwiek ukradłem.

- A tak było?

- Jak?

- Ukradłeś coś?

Pocztówka wciąż tkwiła na swoim miejscu - przez sztywny materiał marynarki nie było jej widać.

- Nie, tak jak mówiłem. To wszystko to tylko idiotyczne nieporozumienie.

- No to dobrze.

Don westchnął, po czym zaczął mówić o krwi na rękach i o tym, że po prostu odruchowo starał się pomóc Erikowi Hallowi. Kiedy skończył, postawiła kreskę i z namysłem przeglądała notatki.

- O ile dobrze zrozumiałam, włamałeś się do domu Halla, miałeś na rękach jego krew, a kiedy

przyjechała policja, byłeś pod wpływem narkotyków?

- Narkotyków? Ja...

- A twoje odciski są w całym domu, poza tym twierdzisz, że słyszałeś motocykl wyczynowy marki BMW, o ile dobrze zapisałam, który odjechał, jak tylko się tam pojawiłeś, ale nie masz na to żadnych dowodów. Poza tym zażywasz taką gamę leków narkotycznych, że spokojnie można cię uznać za osobę uzależnioną.

Eva Strand zrobiła krótką pauzę, po czym odłożyła notatnik.

- No dobrze, przynajmniej wiemy, na czym stoimy.

Spojrzała na żaluzje w trzyszybowym oknie, jednak zobaczywszy swoje odbicie, odwróciła głowę. Don pomyślał, że jej twarz jest warta tego, aby na nią patrzeć, swoją zaś ukrył w dłoniach.

- Co teraz zrobimy? - zapytał w końcu.

- Czy jest jeszcze coś, o czym powinnam wiedzieć?

Popatrzył na nią przez palce.

- Ja...

- Tak?

- Ja już raz byłem skazany.

- Aha.

- Ale to było lekkie pobicie, wyrok w zawieszeniu. Demonstracja neonazistów, którzy...

Kiedy Don urwał, chwyciła delikatnie jego palce i odsunęła od twarzy.

- Posłuchaj, Don. Tym możemy się zająć później. Czy jest ktoś, kogo należałoby powiadomić, że tu jesteś?

Pomyślał o siostrze, ale potrząsnął głową. Nagle poczuł, że przez alprazolam jego powieki w końcu robią się ciężkie. Pozwolił fali senności i spokoju przetoczyć się przez klatkę piersiową. Po chwili ze zmęczenia pochylał się do przodu i oparł policzki na stole.

Prawniczka chwyciła Dona za rękę. Jego oddech stawał się coraz wolniejszy.

Siedziała przy nim do momentu, gdy ciszę zakłóciło pukanie. Kiedy Don podniósł wzrok, zobaczył, że Wąs i jego kolega znowu stoją przy drzwiach pokoju przesłuchań. Mieli chmurne miny.

- Tak? - odezwała się Eva Strand.

Drugi policjant zaczął się wiercić.

- Dowiedzieliśmy się właśnie od prokuratora, że dzwonił do niej ze Sztokholmu.

- Tak?

Wtedy wtrącił się Wąs:

- Co za cholerne...

- Okazuje się, że zatrzymanego trzeba będzie przetransportować.

- Przetrasportować? - powtórzyła Eva Strand.

Don z wysiłkiem podniósł się na łokciach, plecy miał zgarbione, a siwiejące włosy rozczochrane. Wciąż nie zdawał sobie do końca sprawy, że rozmowa dotyczy jego.

- I zdaje się, że trzeba to zrobić szybko - powiedział Wąs. - Przyjechało tu paru chłopaków, którzy mają się zająć transportem.

- Z centrali? - zapytała prawniczka.

Wąs uniósł brwi i prychnął.

- Tak. Ładnie by to wyglądało, gdyby ci z centrali przyjeżdżali tu wściubiać nosy i mieszać się w nasze dochodzenie.

Jego kolega podszedł do Ewy Strand i pokazał jej postanowienie prokuratora.

- Może pani klient potrafi to wyjaśnić.

Popatrzył na Dona.

- Przyszło dwóch chłopaków ze służb wywiadowczych.

13

Sen

Kiedy po długich godzinach w pokoju przesłuchań Don wyszedł na dwór, ostre światło słoneczne oślepiło go tak mocno, że musiał mrugnąć kilka razy, żeby zobaczyć swój własny przygarbiony cień. Popatrzył na kajdanki i kiedy metal zaśnił w słońcu, pomyślał, że nawet *shmendrik* powinien zdawać sobie sprawę, iż na skuwanie akurat jego wychudłych nadgarstków zwyczajnie szkoda zachodu. Jednak sądząc po sile, z jaką Wąs trzymał go za ramię, całkiem na serio liczyli się z tym, że będzie próbował uciekać, choćby i teraz, sprzed komisariatu w Falun.

Obaj policjanci czekali na parkingu przy samochodzie kombi w kolorze metalik. Jeden z nich miał przerzedzone włosy, które poprawiał co jakiś czas, kiedy zawiął wiatr. Obaj mieli niebieskie dżinsy i popielate kurtki, a obok nich stała mecenas Eva Strand, gniewnie wymachując jakimiś papierami. Kiedy ten z rzadkimi włosami zobaczył Dona, stracił najwyraźniej zainteresowanie pytaniami pani adwokat i ruszył w stronę wejścia do komisariatu.

Przy przekazywaniu zatrzymanego Wąs pokusił się o jakąś sarkastyczną uwagę na temat sztokholmczyków. Policjant nie był chyba w nastroju na pogaduszki, ponieważ bez słowa chwycił Dona za ramię.

Kiedy mijali Evę Strand, Don poczuł, że nagle uginają się pod nim nogi, do tego stopnia, że policjant z przerzedzoną czupryną musiał mu pomóc wsiąść na tylne siedzenie samochodu. Siedział tam bezradnie i patrzył na swoją obrończynię przez przyciemniane szyby.

Ona najwyraźniej wciąż nie zamierzała się poddać. Don widział, jak rozmawia przez telefon. Policjanci czekali ze skrzyżowanymi rękoma na koniec rozmowy i wyglądali na znudzonych.

Po chwili tylne drzwi z drugiej strony otworzyły się.

- Znajdzie się miejsce?

Don pokiwał z zadowoleniem głową. Eva usadowiła się obok niego i poprawiła obcisłą spódnicę. Zapięła pas i włożyła papiery do torby. W końcu odwróciła się do Dona:

- Czy na pewno nie zapomniał mi pan o czymś powiedzieć?

Don nie odpowiedział. Policjant z przerzedzoną czupryną okrążył samochód i pozamykał wszystkie drzwi.

Kiedy silnik zaskoczył, ruszyli i przejechali pomału obok Wąsa. Don zdążył jeszcze zobaczyć, jak ten *shmendrik* się odwraca, drapie po głowie i człapie w kierunku wejścia do komisariatu.

Na pierwszym czerwonym świetle tylne drzwi zostały zablokowane.

- Teraz proszę mi powiedzieć, dokąd zamierza nas pan zawieźć - odezwała się Eva Strand.

Policjant popatrzył na nią obojętnie w lusterku, po czym przeniósł wzrok na sygnalizator, na którym właśnie zaświeciło się zielone światło.

- To wszystko to na pewno jakieś nieporozumienie - powiedziała prawniczka do siebie.

Samochód znów ruszył.

Eva Strand bębniła palcami o torebkę. Don zauważył, że skóra na jej dłoniach jest wyjątkowo cienka, jak woalka przykrywająca żyły.

Prawniczka znów zaczęła zadawać policjantowi swoje pełne frustracji pytania, jednak po pewnym czasie Don nie był już w stanie tego słuchać. Wrócił myślami do długiego przesłuchania. Jakkolwiek by jednak analizował tę rozmowę, nie potrafił dociec, co mógł zrobić inaczej. To po prostu musiało być idiotyczne nieporozumienie i *nur Got vayst far vus*, tylko Bóg wiedział, dlaczego. Wkrótce pewnie znów znajdzie się w swoim dusznym pokoju na wydziale historycznym w Lund, pośród stert wymieszanych notatek do wykładów i nieprzeczytanych prac studentów.

Wygrzebał aluminiowy listek z halcionem, lżejszym środkiem nasennym, na pociechę. Wycisnął kilka białych tabletek, położył je na języku i przełknął, spoglądając na wciśnięty przycisk blokujący drzwi.

- Also... die Türen bleiben geschlossen, bitte.

Policjant z rzadkimi włosami spojrział w lusterko z tą samą obojętnością. Don odchylił głowę do tyłu, zamknął oczy i powtarzał po cichu:

- Die Türen bleiben geschlossen, bitte. Und wenn denen Wasser so gefällt, gefällt ihnen Jauche noch viel besser.

Wszedł do domu z lat pięćdziesiątych, znów było lato, leżał na pachnącym kurzem dywanie i słuchał głosu babci. Najczęściej leżał w ten sposób u stóp Bube, pod szklanym stołem, i z zamkniętymi oczami słuchał jej opowieści. *Die Türen bleiben geschlossen, bitte...*

Te słowa wypowiedziano na opuszczonej stacji kolejowej pośród polskich lasów bukowych, gdzie zatrzymał się jej wagon bydłocy w czasie długiej podróży z warszawskiego getta do obozu koncentracyjnego Ravensbrück. Temperatura wynosiła czterdzieści stopni, promienie palącego słońca dostawały się do środka przez szczeliny w ciasnych ścianach z zardzewiałej blachy. Stali w tamtym miejscu przez pięć dni, na bocznym torze, zapomniani pośród licznych transportów wiozących mieszkańców getta na śmierć.

Kiedy napór ludzi, którzy wciąż jeszcze mogli stać, nie podnosił Bube do góry, stąpała boso między ciałami tych, którzy zdążyli się już udusić. Za zaryglowanymi drzwiami wagonu udało się pomieścić niemal dwustu Żydów - mężczyzn, kobiety i dzieci. Był upalny sierpień, ale nie dano im nic do picia. Kiedy krzyki stały się już niemożliwe do zniesienia, któryś z Niemców nie wytrzymał.

Rozległ się dźwięk pracującej pompy strażackiej, a chwilę później przez szczeliny wlała się woda. Nic to jednak nie dało, ponieważ zardzewiały metal był tak gorący, że większość i tak wyparowała. Mimo to dowódca wściekł się jak wariat, *toytmeshuge*, za takie marnotrawstwo i żołnierza, który puścił wodę, zbito jak psa. Wtedy Bube usłyszała:

- Die Türen bleiben geschlossen. Und wenn den Juden Wasser so gefällt, gefällt ihnen Jauche noch viel besser.

Drzwi pozostaną zamknięte, a jeśli Żydom smakuje woda, to jeszcze bardziej zasmakują im szczyny.

Następnie wartownicy SS wspięli się na dach wagonu - w swoich czarnych płaszczach wyglądali jak stado kruków - rozpięli spodnie i zaczęli sikać do dziur w zardzewiałym blaszanym dachu. A Bube była tak spragniona, że - *a shande!* co za wstyd! - wdrapywała się po plecach dzieci, żeby napęlić usta ciepłym moczem Niemców...

Samochodem zarzuciło i Don przez klejące się rzęsy zdołał dostrzec tablicę z napisem „Enköping 42”.

Kwas żołądkowy musiał wreszcie rozpuścić triazolam zawarty w białych tabletkach halcionu, kiedy bowiem znów zamknął oczy, było tak, jakby ktoś wyciągnął wtyczkę.

Kiedy znów poczuł, że jest przytomny, dotarło do niego, że powoli opada. Szybując jak piórko, spadał w otchłań, mijając zaokrąglone ściany tunelu. Wreszcie udało mu się rozkleić lepkie rzęsy i wtedy spostrzegł, że ściany te świecą fioletowo-niebieskim światłem.

Przelatywał jak cień obok sączącego się światła, kiedy nagle otworzyła się pod nim przepaść - zaczęła go wsysać i spadał coraz szybciej, aż w końcu wylądował w grubej warstwie pyłu.

Zapadł się aż po łydki, a kiedy poruszył butem, pył wzbił się w powietrze, wzniecając pióropusz popiołu. Don zrobił jeszcze jeden krok do przodu i poczuł, że płynie w powietrzu i może stawiać stopy jak mu się podoba, jakby już nic nie ważył.

Przebierając nogami w ultraszybkim tempie, posuwał się naprzód ponad warstwą pyłu, aż wreszcie na skraju rozpadliny dostrzegł krawędź niecki. W wypełniającej ją wodzie znajdował się kamień, na kamieniu zaś stało coś przypominającego tobołek. Nie, nie tobołek... tam ktoś siedział, a twarz tej osoby zakrywały strąki czarnych włosów.

Nagle Don usłyszał głos dobiegający z wnętrza kamienia, i ten głos był mu znany. Należał do kobiety

i był rozdzierająco nieprzyjemny, jednak z tej odległości nie dało się rozróżnić słów. Musi... wejść do zimnej wody. Zaczął iść w stronę kamienia, a woda sięgała mu aż do pasa. Na szyi czuł lodowate palce, które zaciskały mu się na gardle.

Kiedy wreszcie podszedł blisko, wyciągnął rękę w kierunku długich włosów opadających na twarz kobiety. Naraz jednak się powstrzymał, z jakiegoś bowiem powodu pomyślał o Bube i o tym, że nigdy nie widział jej czarnych włosów rozpuszczonych, zawsze były związane w kok. Wiedział, że zna znaczenie każdego słowa, które mamrotał teraz głos, a mimo to nie potrafił zrozumieć.

- *Di nacht kumt. Red tsu der vand di nacht kumt.* Zapada noc, a ja rozmawiam ze ścianą.

- Bube? Babcia?

Don był prawie pewien, że wypowiedział to pytanie, a jednak nie usłyszał własnego głosu. W tej samej chwili przez tłuste włosy kobiety zaczęła się przebijać biała poświata, kiedy zaś podniósł wzrok nad jej głowę, zobaczył, że za jej plecami wznosi się wysoki na kilka metrów prostokąt ze światła.

- *Loz mir tsu ru, Don. Loz mir tsu ru.* Zostaw mnie w spokoju.

Tak bardzo chciał powiedzieć, że nigdy jej nie zostawi, ale lód nie przestawał ścisnąć mu gardła.

- *S'iz nisht dayn gesheft* - powiedział rozdzierający głos. - To nie twoja sprawa.

Pod ściskającym tchawicę węzłem gromadziły się pęcherzyki z nowymi słowami, ale żadna odpowiedź nie była w stanie przebić się przez lód, który zalegał w jego gardle jak duszący rygiel.

- *S'IZ NISHT DAYN GESHEFT, DON!*

W tej samej chwili, kiedy krzyk Bube rozbrzmiał w pomieszczeniu, przez biały prostokąt za jej plecami przeszedł jakby silny podmuch, odrywając od powierzchni chmurę błyszczącego pyłu.

Chmura przeleciała w powietrzu, minęła siedzącą na kamieniu Bube i kiedy go pochłonęła, poczuł się tak, jakby chwyciły go czyjeś ręce. Jakaś siła wygięła mu ramiona do tyłu i do góry i zorientował się, że szybuje z powrotem w kierunku tunelu.

Kiedy odwrócił głowę, żeby zobaczyć, co go trzyma, spostrzegł, że z pyłu uformowała się postać o świetlistej twarzy. Twarz miała dwie jamy zamiast oczu, w czole zaś było coś czarnego i wirującego z dużą prędkością.

Daleko pod sobą Don znowu usłyszał rozdzierający głos:

- *Don, du kenst mir nishtpishn oyfn rikh meynendik as dos iz bloyz regen!*

Był już coraz bliżej tunelu. Wkrótce znajdzie się na zewnątrz.

- *DON, DU KENST MIR NISHT PISHN OYFN RIKH MEYNENDIKAS DOS IZ BLOYZ REGEN!*

Nagle poczuł intensywny ból tuż nad oczami. Kiedy zaś spojrzął z powrotem na świetlistą twarz z pyłu, czarny element na czole wirował coraz wolniej i bardziej ociężałe, a tuż przed tym, gdy zatrzymał się zupełnie, Don rozpoznał w nim kształt swastyki.

- Musiał pan źle pojechać.

Głos Ewy Strand przebił się przez mrok.

- Nie wydaje mi się - odparł policjant z przeredzonymi włosami.

Don otworzył oczy i poruszył obolałą szyją. Eva przesunęła się na brzeg siedzenia, rękę trzymała na oparciu fotela kierowcy.

- Żeby dojechać do komisariatu, wystarczyło po prostu jechać dalej w kierunku Bergsgatan. Teraz już jesteśmy o wiele za daleko.

- *Du kenst mir nishtpishn oyfn rikh meynendik as dos it bloyz regen* - powiedział Don.

Prawniczka wzdrygnęła się i odwróciła w jego kierunku.

- Takie powiedzenie w jidysz. *Du kenst mir nishtpishn oyfn rikh meynendik as dos it bloyz regen.*

Policjant znów spojrzął w lusterko.

- Nie możesz szczać mi na plecy i wmawiać, że to deszcz.

Eva znów odwróciła się do przodu.

- Żądam, żeby mi pan powiedział, dokąd jedziemy.

Nie słyhać było jednak żadnej odpowiedzi, a jedynie odgłos kół toczących się po asfalcie.

Kiedy mijali szklany obelisk na placu Sergela, do uszu Dona dobiegł skrzekliwy głos demonstranta przemawiającego przez megafon. Potem przez przyciemnione szyby zobaczył wejście do domu towarowego NK i cienie ludzi wracających do domów z zakupami. Minęli szerokie schody Dramaten i pojechali dalej w kierunku Strandvägen i cumujących statków. Po przejechaniu Djurgårdsbron i obraniu kursu na Skansen policjant skręcił w wijącą się aleję po lewej stronie.

Samochód dojechał do potężnych dębów otaczających drogę dojazdową i zahamował na podjeździe krytej ciemnobrązowym gontem willi z przełomu wieków. Dach był nieregularny, pokryty wąskimi zielonymi ceramicznymi dachówkami. Granitowa podmurówka płynnie przechodziła w taras, co wywoływało wrażenie, że dom w pewnym sensie wyrasta ze skały. Don zobaczył przez tylną szybę, że z willi wychodzi dwóch mężczyzn.

Jeden miał na sobie ciemną marynarkę i wyglądał na sześćdziesiąt kilka lat. Drugi był niski i miał szeroką głowę, która zdawała się spoczywać bezpośrednio na ramionach, przez co wyglądał jak ropucha. Drzwi samochodu zostały odblokowane, mężczyzna w ciemnej marynarce zrobił kilka kroków i otworzył tylne drzwi od strony Dona. Powiedział, że nazywa się Reinhard Eberlein, i już w tej pierwszej krótkiej wypowiedzi Don rozpoznał delikatny niemiecki akcent.

14

Eberlein

Za drzwiami willi rozciągał się szeroki hol ze schodami i nisko wiszącymi żyrandolami. Światło żarówek imitujących świece przypominało Donowi jaskinię krasową, jednak ścian nie pokrywał tu chropowaty granit, lecz obrazy olejne. Zapach kurzu i narodowego romantyzmu: przeglądające się w wodzie kobiety Zorna, klucze ptaków Liljeforsa i numer jeden - obraz Carla Larssona powieszony tuż nad pysznięcymi się szerokimi schodami. Dziewczynka z parasolem, dwóch blondasków w tunikach, a na samym dole tytuł: *De mina*, „Moi kochani?”. Na tacy pod złożonym lustrem leżało kilka listów, na których widniał stempel z niemieckim orłem.

Mężczyzna w eleganckim garniturze, który przedstawił się jako Eberlein, chwycił Dona pod ramię i poprowadził po skrzypiącym parkiecie. To prawdopodobnie zszarzała cera sprawiła, że Don sklasyfikował go jako sześćdziesięciokilkulatka, teraz jednak zaczął mieć wątpliwości, Niemiec bowiem poruszał się zwinnie jak kot. Był szczupły i żyłasty, miał wąskie, pochyle ramiona, a na jego spiczastym nosie tkwiła para okrągłych okularów z antyrefleksem. Usta były odrobinę zbyt czerwone i wyglądały, jakby Eberlein cały czas uśmiechał się pod nosem.

Drugi mężczyzna, który wciąż najbardziej ze wszystkiego przypominał ropuchę, kolebiąc się na boki, doprowadził Evę Strand już do połowy schodów. Don śledził wzrokiem dłoni prawniczki przesuwającą się w górę po bejcowanej na biało poręczy.

Dwaj policjanci najwyraźniej nie mieli zamiaru iść za nimi dalej, a kiedy Don odwrócił się i spojrzał w dół, zobaczył, jak policjant z przerzedzoną czupryną niespiesznie zapala papierosa.

Na piętrze Ropuch poprowadził ich dalej ciągiem jasnych salonów, które można by pokazywać w katalogach Svenskt Tenn. Weszli po brzoźowych krętych schodach do ciemnego korytarza, na którego końcu znajdowały się zamknięte podwójne drzwi.

Eberlein wyjął dwa miniaturowe kluczyki, które najwyraźniej zdążył wziąć od rzadkowłosego. Rozpiął kajdanki Dona i delikatnie rozmasował mu nadgarstki. Bił od niego ciężki zapach perfum.

- Rozumie pan, mam nadzieję, że nie ma się czego obawiać - brzmiało zdanie wypowiedziane z koślawą intonacją tuż przy uchu Dona. - Chodzi tylko o zadanie kilku pytań w przyjaznej atmosferze. Możemy to nazwać wymianą informacji.

Niemiec dotknął lekko jego ramienia.

- Tędy.

Za podwójnymi drzwiami znajdowała się łukowato sklepiona biblioteka. Pomieszczenie było wysokie, a biegnące wzdłuż ścian regały zajmowały całą przestrzeń od podłogi do sufitu. Niezliczone rzędy czarnych grzbietów książek harmonizowały z wykładziną tak grubą, że mogłaby wytłumić każdy dźwięk. Pomieszczenie było jak kokon. Na środku, pod szklanymi lampami, stał pociągnięty ciemną bejcą stół - Eberlein dał znak, aby usiedli.

Zielone skórzane siedziska, mosiężne nity. Don usiadł na krześle i przyciągnął do siebie zwiniętą torbę, którą trzymał na kolanach. Nagle usłyszał za sobą, jak ktoś, prawdopodobnie Ropuch, zamyka na klucz oboje drzwi. Również Eva Strand, jakby ciężko oddychając, zajęła miejsce za stołem i zaczęła grzebać w papierach.

- A więc będzie to zupełnie nieformalna rozmowa - zaczął Eberlein i przechodząc koło Dona, musnął lekko jego zgarbione plecy.

Biblioteczny kokon jakby nieco się zacieśnił i wtedy Don poczuł, że Eva próbuje go obudzić szturchnięciem. Kiedy nadal nic nie mówił, odezwała się za niego:

- Nie rozumiemy, o jaką rozmowę chodzi.

Eberlein odsunął krzesło po drugiej stronie stołu, poprawił swoje ciemne spodnie i usiadł. Splótł palce przed sobą, a jego żółtoszare, głęboko osadzone oczy patrzyły zza okularów prosto na Dona.

- Chciałbym powitać państwa w willi Lindarne, która obecnie jest częścią przedstawicielstwa dyplomatycznego Niemiec.

- A więc działacie na zlecenie ambasady? - zapytała Eva Strand.

Na poszarzałej twarzy Eberleina zagościł przelotny uśmiech.

- Ambasadora mógłbym nazwać swoim dobrym przyjacielem, ale do Sztokholmu przyjechałem dopiero dzisiaj po południu. I, tak jak mówiłem, byłbym wdzięczny... - przerwał i wskazał jej długopis - naprawdę wdzięczny, gdybyśmy się starali rozmawiać tak swobodnie, jak to tylko możliwe.

Po chwili wahania prawniczka wzruszyła ramionami i odłożyła długopis.

- Jestem tu po to, aby zadać kilka pytań w imieniu pewnej fundacji. Niemcy są bardzo zainteresowani porządnym zbadaniem tej sprawy z przyczyn, nazwijmy to, historycznych.

- Niemiecka fundacja, która otrzymuje pomoc od szwedzkich służb wywiadowczych? - odparła Eva Strand.

- Tak, organizując krótkie spotkanie w bardzo przyjaznej atmosferze.

Eberlein znów się uśmiechnął, jednak tym razem kąciki ust nie zdążyły się unieść.

- W tej sytuacji wszyscy zyskujemy na współpracy.

- Nie sądzę, żeby prokurator z Falun znała cel tej podróży.

- Mogę państwa zapewnić, że wszystko odbyło się zgodnie z prawem.

- Jeżeli to ma związek ze śmiercią Erika Halla...

- Nie tylko o to chodzi. Chciałbym się przede wszystkim dowiedzieć, co dokładnie Erik Hall zabrał ze sobą z tej kopalni. - Ukryte za szklami oczy Niemca miały w sobie magnetyczną siłę i Donowi trudno było odwrócić wzrok. - Czy Erik Hall wspominał panu o jakichś dokumentach albo przedmiotach, które znalazł tam na dole, nie licząc tego zaginionego krzyża?

- On... - zaczęła Eva Strand, ale przerwał jej skrzeczący dźwięk.

Don z irytacją przełknął ślinę, próbując doprowadzić głos do ładu.

- Na co wam się przyda ta wiedza?

- To bardzo długa historia, panie Titelman. - Rozległo się kasznięcie, Eberlein spojrział na Ropucha, który siedział na stołku oparty o jeden z regałów. - O wiele za długa - powtórzył.

Wyglądało na to, że czeka, jednak gdy Don się nie odezwał, spróbował raz jeszcze.

- Mamy mocne podstawy, by sądzić, że krzyż, który Erik Hall czystym przypadkiem znalazł, tak naprawdę należy do nas. Można powiedzieć, że wszystko, co jest w tej kopalni, stanowi wskazówki do historycznej zagadki, którą fundacja próbuje rozwiązać już od wielu lat. Teraz jednak Hall nas opuścił i zdaje się, że tylko pan może posunąć sprawę naprzód.

- Naprawdę ciężko mi zrozumieć, skąd wziął się pomysł, że mogę wam w tym pomóc - odparł Don.

Skryty w cieniu Ropuch wciągnął nerwowo powietrze.

- Spotkałem Erika Halla tylko raz - ciągnął Don ochryłym głosem - i wiem tylko o krzyżu. Reszty dowiedziałem się z gazet.

- To przykre, że musieliśmy zacząć rozmowę w ten sposób - powiedział Eberlein.

- Naprawdę?

- Tak, ponieważ wydaje mi się, że pan mnie okłamuje.

Don zaczął się wiercić na krześle, jakby chciał poprawić marynarkę.

- Zacznijmy więc od początku - zaproponował Niemiec. - O ile dobrze zrozumiałem, przez tydzień poprzedzający śmierć Erika Halla odbywał pan z nim długie rozmowy telefoniczne. Słyszeliśmy, że na twardym dysku Halla są zapiski, w których wyjawia, że w kopalni znalazł jeszcze przynajmniej jakieś dokumenty i że panu o tym wspominał.

- Nie przypominam sobie - odpowiedział Don.

- Słyszeliśmy również, że Erik Hall mówił o jakiejś tajemnicy, którą zabrał ze sobą z szybu. Nie wiemy, czy miał na myśli dokumenty, czy też jakiś inny przedmiot.

- Inny niż krzyż? - pytanie zadała Eva Strand.

- Przyjechaliśmy tu dzisiaj właśnie po to, żeby spróbować to wyjaśnić - powiedział Eberlein.

Don odwrócił wzrok i spojrzał na Ropucha, który odchylił swoją szeroką głowę do tyłu i patrzył w sufit. Po chwili znów rozległ się głos Eberleina:

- Czy Erik Hall wspominał panu o przedmiocie w kształcie gwiazdy albo terenach na północ od Svalbardu?

Don pokręcił głową.

- A o jakichś innych dokumentach?

- Nie, przecież już mówiłem...

- A więc o czym rozmawialiście?

- Dzwonił do mnie późno w nocy - odparł Don, znów wierząc się niespokojnie. - Głównie marudził, żebym do niego przyjechał.

- Bardzo bym prosił, żeby pan się naprawdę dobrze zastanowił. To, co panu może się wydawać zupełnie bez znaczenia, dla nas może być niezwykle cenne. Najmniejszy trop...

Don, starając się uniknąć spojrzenia Niemca, zaczął patrzeć mu na usta. Były w pewnym sensie zbyt czerwone i nie pasowały do reszty twarzy.

- Tak jak mówiłem. Nie mam nic.

Eberlein pstryknął palcami, na co Ropuch niezgrabnie wstał i przyczłapał do stołu. W ręce trzymał kartkę zapisaną wyblakłym niebieskim pismem.

- Czy to coś panu przypomina?

Zawijasy wyszły spod tej samej ręki, co tekst na pocztówce w kieszeni Dona.

- Nie - odparł Don i spróbował wzruszyć ramionami, ale nagle zrobiły się cięższe.

Wtrąciła się prawniczka:

- Naprawdę nie mogę zrozumieć, jaki sens ma kontynuowanie tego. Jest przecież zupełnie jasne, że mój klient nic nie wie, a poza tym nie ma najmniejszej ochoty na rozmowę z panem. Mówił pan o rozmowie, ale w tym kraju coś takiego nazywamy przesłuchaniem. Proszę natychmiast dopilnować, żeby służby wywiadowcze zawiozły nas z powrotem do Falun.

Odsunęła się z krzesłem i wstała.

- A poza tym, panie Eberlein, czy jak się tam pan nazywa, spora część tego, z czym skonfrontował pan mojego klienta, jest objęta tajemnicą śledztwa. Nie rozumiem, co sobie myśli szwedzka policja, udostępniając postronnym osobom takie informacje.

Chociaż Don również wstał z krzesła, Eberlein wciąż jeszcze siedział przy stole z opuszczoną głową. Wyglądał, jakby się nad czymś zastanawiał. Po długiej chwili znów spojrzał na Dona.

- Myślę, że pański adwokat ma rację.

- Czyżby? - odparł Don.

- Tak, naprawdę ma rację, mówiąc, że to nie powinno być przesłuchanie.

Uśmiech znów zagościł na czerwonych wargach Eberleina, odsłaniając jego szare zęby. Kilkoma zwinnymi krokami obszedł stół i położył dłoń na ramieniu Dona.

- To nie jest żadne przesłuchanie i doskonale rozumiem, że w swojej obecnej sytuacji nie chce pan nic mówić. Ale ponieważ wygląda na to, że jest pan ostatnim ogniwem... - Niemiec w zamyśleniu przesunął palcami po sztruksowej marynarce, jakby rozważał ostatnie za i przeciw. - Ogniwem łączącym nas z Erikiem Hallem i jego znaleziskiem, podejmiemy do sprawy inaczej i przekonamy się, czy możemy sobie zaufać. Ja opowiem panu historię, a pan mi pomoże dodać zakończenie.

- Jak pańskim zdaniem mamy to zrobić?

- Zajmiemy się tym, kiedy już tam dojdziemy. - Eberlein poklepał Dona po ramieniu i nieco ciszej dodał: - Myślę, że pan jako badacz wkrótce będzie zainteresowany rozwiązaniem tej zagadki tak samo jak ja. To znaczy, kiedy już ją pan ujrzy w odpowiednim świetle.

Kiedy Eberlein skłonił Dona i Evę, aby z powrotem zajęli swoje miejsca, podszedł do siedzącego

Ropucha. Przykucnął i coś mu szepnął. Ropuch chrząknął niezadowolony, wstał i wyszedł z pokoju.

- Proszę jeszcze chwilę poczekać - powiedział Eberlein i znów uśmiechnął się do Dona. - Sam pan zobaczy, że było warto.

15 Elena

Już w wieku kilkunastu lat, kiedy jej specjalne zdolności osłabły i przygasły, Elena nauczyła się nigdy więcej nie stawiać żadnych wymagań. Jednak w dniu jej osiemnastych urodzin jeden z niższych rangą szefów fundacji przekazał jej klucz od mieszkania. Mieściło się na strychu kilka przecznic od wielkiego banku.

Wysokie domy obudowane murem pruskim ze schodkowymi szczytami otaczały wyłożony kocimi łbami rynecek z zamurowaną studnią. Za jednym z samotnych okien, na samej górze, po raz pierwszy w życiu mogła się odizolować w zamkniętym pokoju.

Na początku tłumaczyła sobie, że klucz jest znakiem, iż Vater daje jej wolność i nowe życie. Wszystko jednak zostało po staremu. Z mieszkania na poddaszu do jego dyrektorskiego gabinetu szło się tylko piętnaście minut, tam zaś praca trwała dalej jak zawsze, w cieniu północnej wieży zamku.

Owinięta w koc siedziała w swoim aneksie kuchennym, jedząc łyżką miód ze słoika, który najwyraźniej przez nieuwagę zostawiła na stole, kiedy w pośpiechu wyjeżdżała do Szwecji. Ruch łyżki był jedyną oznaką życia w pustym dwupokojowym mieszkaniu. Uznała, że urządzenie go mija się z celem. Przez drzwi aneksu widziała pograżoną w mroku sypialnię. Łóżko, którego nie zdążyła pościelić, komodę z wąskim lustrem i portretem Najświętszej Maryi Panny. Poza tym nic. W drugim pokoju jednak postarała się bardziej: powiesiła na łańcuchu worek treningowy, a przyrządy do ćwiczeń przykręciła koło szafki z bronią.

Elena wylizała łyżkę. Poczowała smak złocistego cukru i lata, *miele di acacia*.

Wciąż jeszcze nie odespała długiej podróży powrotnej przez mgły Lasu Teutoburskiego na granicy z cuchnącym przemysłowym Zagłębiem Ruhry. Przez dwanaście godzin widziała pod sobą pędzący asfalt, leżała z krzyżem wcisniętym między serce a śnieżnobiały bak motocykla.

Biorąc do ust kolejną łyżkę miodu, pomyślała, że ból ud po tyłu godzinach jazdy jest dla niej w pewnym sensie dobry. Ostatnio mało który ból fizyczny wywierał na niej wrażenie - taki był skutek treningów z ponurymi facetami ze służb wywiadowczych. Nic już nie było w stanie zrobić na niej wrażenia.

Jadąc z Danii w kierunku Westfalii, zadzwoniła jeszcze raz do dyrekcji i została zarzucona pytaniami o Erika Halla i kogoś, kogo nazywali Titelmanem. Elena próbowała przywołać w pamięci każde słowo wypowiedziane w domku letniskowym w Falun, a teraz, przy stole w kuchni, postanowiła zrobić to raz jeszcze, by mieć pewność, że nie przegapiła niczego ważnego.

Zatrzymała się już na wspomnieniu pierwszego spotkania z Erikiem Hallem, kiedy to powiedziała, że jest dziennikarką „La Rivista Italiana dei Misteri e dell’Occulto”. Nawet na sekundę nie potrafiła odsunąć na bok swojej tęsknoty za tym, co przepadło. Wybrała nazwę włoskiego magazynu newage’owego tylko dlatego, że kiedyś, dawno temu, wydrukowali niewielką notatkę na temat jej, jak to nazwali, „zdolności astralnych”. Czy jednak naprawdę już wtedy potrafiła czytać? Jak wszystko inne z pierwszego roku jej pobytu, to wspomnienie także było zmieszane z wrażeniem, że śni.

Kiedy Elenie znudził się już słodki smak, zakręciła słoik i pozwoliła ręcznikowi opaść na podłogę. Wstała i mijając zaciągnięte zasłony w oknie, podeszła do lustra nad komodą. Przyjrzała się chłopcim liniom kości policzkowych, nieumalowanym ustom. Zmierzwiała krótkie włosy i choć od razu próbowała zdusić tę myśl, dobrze wiedziała, kogo przypomina.

Miele di acacia o kwiatowym smaku wanilii.

Oparła czoło o lustro, żeby wyprzeć myśl o samotnej kobiecie, która pewnego razu musiała opuścić bank Vatera, kiedy wyrzekła jej się własna, sześćoletnia wówczas córka. W tle pojawił się teraz znany smak ricotty: miód i ricotta, mączne ciasteczka, które ona i jej siostry zabierały ze sobą na plażę. Smak soku z cytryny, żar Zatoki Neapolitańskiej i wszystkie tamtejsze zapachy. Smród stert śmieci przenikający przez niedomknięte drzwi balkonowe w obskurnym mrówkowcu. Pamiętała, jak próbowała je zamknąć, kiedy odór stawał się nie do zniesienia, jednak klamka była zbyt wysoko.

I wtedy zbliżała się do niej twarz mamy, rozświetlony owal ponad sukienką z wiskozy, która była jak dodatkowa, połyskująca skóra. Słyszac śmiech swoich sióstr, Elena daremnie próbowała znaleźć jakiś sposób na cofnięcie się w spirali czasu, by jej życie potoczyło się inaczej w tym dniu. W dniu, kiedy jej zdolności po raz pierwszy zostały poddane próbie.

16 Strindberg

Zaczęło zmierzchać, a zielony dach na wzgórzu zrosiła delikatna mżawka, która okryła korony dębów i chropowate skaliste wzgórza Skansenu wilgotnym płaszczem. Ale w pozbawionym okien sercu willi, jakim była przypominająca kryptę biblioteka, trudno było odróżnić noc od dnia. Z lamp nad stołem padało ciepłe światło żarówek i słychać było tylko powolne bębnienie palców Eberleina o wieko solidnej blaszanej szkatułki. Między wypielęgowanymi paznokciami Niemca Don dostrzegł przynitowaną tabliczkę: „Strindberg 1895-1897”.

Ropuch, który przed chwilą przyniósł szkatułkę, znowu usiadł na swoim stołku, a jego twarz była do połowy pogrążona w mroku. Siedząca obok Dona Eva Strand odchyliła się do tyłu. Założyła nogę na nogę, skrzyżowała ręce, a usta ściągnęła w wąską kreskę. W końcu bębnienie ustało i Eberlein przerwał ciszę:

- No dobrze, pomóżmy panu zobaczyć tę sprawę w odpowiednim świetle... Zacznę może od pytania. Czy zna pan pustynię Takla Makan?

Ropuch westchnął z niezadowoleniem.

- Pustynia Takla Makan - ciągnął Eberlein, nie zwracając na niego uwagi - to ocean piasku rozciągający się od dachu świata, pasma górskiego Pamir, przez trzysta tysięcy kilometrów kwadratowych aż po południowo-zachodnie Chiny. Zimą panuje tam arktyczny chłód, a kiedy już nastanie lato, są takie dni, że pustynia zamienia się w piec, ponieważ temperatura potrafi tam przekroczyć pięćdziesiąt stopni Celsjusza. Piekło na ziemi, tak się o niej mówi. Jest to w każdym razie miejsce, w którym nie da się żyć i które aż do końca XIX wieku było zaznaczane na mapach białą plamą, *terra incognita*, równie dużą jak Niemcy. W tamtym czasie nikt nie wiedział, co tam się znajduje, nawet ludzie, którzy mieszkali w sąsiedztwie pustyni. Jedynym źródłem wiedzy było kilka linijek manuskryptu, który w XIV wieku zostawił po sobie Marco Polo: bajeczne opowieści o prastarych miastach pogrzebanych pod wysokimi na setki metrów piaskowymi wydmi. Pierwszy człowiek, który odważył się wejść na to absolutne pustkowie, pochodził z zapadłej dziury w północnej Europie. Nazywał się Sven Hedin.

Zatrzeszczało krzesło, kiedy Don zmienił pozycję.

- Zakładam, że słyszał pan o wyprawach Svena Hedina - powiedział Eberlein.

- Zachowuję w pamięci głębokie, niezatarte wspomnienie o Adolfie Hitlerze i uznaję go za jednego z największych ludzi w historii świata - powiedział Don. Ropuch wydał z siebie kolejny pomruk, ale Don wzruszył tylko zgarbionymi ramionami. - Sven Hedin tak właśnie napisał o Hitlerze pod koniec wojny. „Zachowuję w pamięci głębokie, niezatarte wspomnienie o Adolfie Hitlerze i uznaję go za jednego z największych ludzi w historii świata”. Nadano mu tytuł szlachecki. Mówię o Hedinie.

- Zapewniam pana, że przekonania polityczne Svena Hedina nie mają tu nic do rzeczy - odparł Eberlein. Następnie odsunął blaszaną szkatułkę i pochylił się. - Nie, tu chodzi o coś, co wydarzyło się na długo, długo przed wojną, kiedy Hedin ledwie skończył trzydziestkę i był młodym podróżnikiem. Na początku 1895 roku stanął na granicy pustyni Takla Makan. Żeby się tam dostać, pojechał koleją z Sankt Petersburga do Taszkontu w rosyjskim Turkiestanie, stamtąd dalej przez zamarznięty step wyłożonym futrami wozem zaprzęgniętym w konia, a następnie piechotą z kirgiskimi nomadami przez wysokie na pięć, sześć tysięcy metrów górskie przełęczce Pamiru. Sama ta wyprawa była, jak na owe czasy, godna uznania. Piątego stycznia 1895 roku dotarł w końcu do Kaszgaru, miasta-oazy niedaleko pustyni Takla Makan, gdzie od tysięcy lat łączyły się północna i południowa część Jedwabnego Szlaku. Dwudziestego drugiego stycznia wziął swój jednoosobowy namiot, narzędzia oraz broń i zniknął na pustyni. Towarzyszyło mu kilka wielbłądów, paru służących i osły. Wtedy jeszcze nic nie wiedział o gwałtownych burzach piaskowych, które w kilka godzin potrafią zmienić krajobraz pustyni, ani też nie słuchał ostrzeżeń z ust mieszkańców Kaszgaru, którzy twierdzili, że na pustkowiu słychać dziwaczne głosy,

jakby zaczarowane, przez które każdy wędrowiec traci orientację w pustynnym labiryncie. Pierwszej i drugiej nocy wszystko przebiegło zgodnie z planem i kiedy grupa rozłożyła obóz pod gołym niebem, Hedin naszkicował węglem ukształtowanie terenu, żeby nie pomylić kierunków. Jednak trzeciej nocy rozpętała się burza piaskowa. Hedin napisał później, że szalała całe siedemdziesiąt siedem godzin. Kiedy czarny pył wreszcie opadł, wszystko dookoła wyglądało inaczej. Burza nie tylko przeniosła stumetrowe wydmy: wiatr zmiotł je z powierzchni ziemi, tam zaś, gdzie wcześniej był piasek, teraz znajdowały się skamieniałe drzewa, wyciągające gałęzie ku niebu. Hedin przeszedł kawałek między pniami i zobaczył kilka białych deszczulek wystających z piasku, kiedy zaś podszedł bliżej, zorientował się, że stoi koło resztek płotu z rzadko rozstawionymi sztachetami. Wraz ze służącymi ruszył wzdłuż niego na zachód i po zaledwie kilometrowym marszu dotarł do skupiska pustych szkieletów domów, pozostałości po mieście uwolnionym przez silne wiatry spod liczącej kilkaset, a może nawet kilka tysięcy lat warstwy piasku. Hedin napisał później, że jego służący zażądali, by opuścić to miejsce, nazwane Domami z Kości Słoniowej, ale sam tańczył z radości, przekonany, że znalazł nowe Pompeje. W pierwszych zapiskach zauważył, że domy wydają się być zbudowane z drewna, a dokładniej z drewna topolowego. Topola na środku pustyni?! Ale choć białe fasady wydawały się twarde, rozpadły się jak stłuczone szkło, kiedy postukał w nie bacikiem. Hedin sporządził kilka rysunków, na których widać, że niektóre ściany pokrywały freskowe malowidła. Przedstawiały modlące się nagie kobiety z wymalowanym na czole znakiem, który Hedin uznał za indyjski znak przynależności do kasty. Byli tam też mężczyźni z dziwną bronią, a u ich boku wizerunki Buddy z kwiatem lotosu w dłoniach. Hedin wywnioskował, że znajduje się w miejscu, które kiedyś było ośrodkiem kultu. Dziś to pogrzebane miasto znamy pod nazwą Dandan-Uiliq. W liście, do którego mamy dostęp, Hedin dość dramatycznie opisuje, jak czystym przypadkiem, zwiedzając jeden z najokazalszych budynków, potknął się i upadł twarzą na coś, co wyglądało jak o wiele starszy grobowiec. Nigdy nie udało mu się ustalić jego wieku. Wokół zielonoczarne serca mozaiki leżało dwanaście zawiniętych ciał, mumii, dawno zakonserwowanych i wysuszonych przez pustynne powietrze. Kiedy podszedł bliżej, zauważył, że na piersi jednej z nich leży kremowy krzyż w kształcie hieroglifu ankh. W górnej części krzyża, w jego belce poprzecznej, ktoś dawno temu umieścił jeszcze jeden przedmiot: była to gwiazda złożona z pięciu promieni wychodzących z centrum. Kształt, który Egipcjanie nazywali *seba* i uważali za symbol Ozyrysa, władcy wszechrzeczy, boga posiadającego klucze do podziemi.

Eberlein zamilkł i długo przypatrywał się Donowi, czekając na reakcję.

- *Ver volt dos gegloybt*, kto by w to uwierzył? - odezwał się wreszcie Don, a Eberlein nie spuszczał z niego wzroku. - Mam na myśli gwiazdę i krzyż pogrzebane pod zasypanym miastem... - Zaczęły go piec oczy, nie spał już całą dobę. - *Ver volt dos gegloybt*.

Eberlein uśmiechnął się słabo.

- Wie pan... Sven Hedin nigdy nie próbował przekonywać kogokolwiek o doniosłości znaleziska w grobowcu pod Dandan-Uiliq. Aż do swojej śmierci uważał całą tę historię za zawstydzającą. Nikt nie chwali się swoim sensacyjnym odkryciem, jeżeli znalezione historyczne przedmioty zaraz potem... gubi.

Zakaszłał, wyjął z kieszeni marynarki chusteczkę i wytarł nią usta.

- Okropnie suche powietrze, nieprawdaż? Może się państwo czegoś napiją?

Eva Strand ani drgnęła, ale Don pokiwał głową. Niemiec odwrócił się do Ropucha, który mamrocząc, wstał z ciemnego kąta. Wytoczywszy się na zewnątrz, zostawił za sobą uchylone drzwi, przez które Don dojrzał okno po drugiej stronie korytarza za krętymi schodami, a w nim czerwone promienie zachodzącego słońca. Znów odezwał się Eberlein:

- Wiemy, że krzyż i gwiazdę Hedin zabrał ze sobą z powrotem do Kaszgaru, znajdowały się bowiem w sporządzonym przez niego spisie inwentarza. To, co się stało później, wynikało w głównej mierze z jego osobowości. Praktycznie rzecz biorąc, miał obsesję na punkcie prawidłowego opisanie każdego przedmiotu przed zapakowaniem go do skrzyń, które wysyłał do akademii naukowych w Sztokholmie. W przypadku krzyża i gwiazdy okazało się to jednak niemożliwe. Mimo podejmowanych prymitywnych

prób nie udało mu się nawet ustalić, z jakiego materiału wykonane są przedmioty. Chcąc ukryć niepowodzenie przed kolegami, szukał rady u znajomego, który tymczasowo mieszkał we Francji. Włożył krzyż i gwiazdę do zapieczetowanego etui, dołączając list, w którym opowiadał o odkryciu i prosił o ekspertyzę. Informacja o wysyłce znalazła się wśród rzeczy po Hedinie, wysłane zaś z Kaszgaru etui, jak nam się udało ustalić, dotarło do szpitala Saint Louis w Paryżu drugiego lutego 1895 roku. Dłonie, które usunęły nity, były owinięte płóciennymi bandażami i posmarowane maścią łagodzącą czerwoną wysypkę, którą wywołały długie noce spędzone na eksperymentach alchemicznych. Były to dłonie, które przez miesiąc ledwo mogły utrzymać choćby pióro.

W miękkim świetle żarówki twarz Eberleina jakimś sposobem wydawała się młodsza, jej szarość już prawie zniknęła, a on sam sprawiał wrażenie, jakby czekał, aż Don wypowie nazwisko.

- Strindberg?

Skinienie głowy.

Don usiłował nie otwierać ust, jednak nie mógł się powstrzymać przed wybuchem ochryplego, kaszlącego śmiechu, który po chwili zamarł, wytłumiony przez wykładzinę i oprawne w skórę grzbiety książek. Ale Niemiec nie odwrócił wzroku i mówił dalej:

- Może się to wydawać niezwykłym zbiegiem okoliczności, jednak proszę pamiętać, że krąg szwedzkich wyższych sfer a był w owym czasie bardzo wąski. Poza tym Hedin wiedział, że Strindberg ma dostęp do laboratorium analitycznego na Sorbonie, jednego z najbardziej zaawansowanych technicznie w ówczesnej Europie.

Don zerknął na Evę, ale przewróciła tylko oczami. Odwrócił się więc z powrotem do Eberleina.

- Sama myśl, że akurat Sven Hedin miałby wysłać cokolwiek Augustowi Strindbergowi... - powiedział.

- Tak? - odparł Eberlein.

- Wie pan o tym, że byli śmiertelnymi wrogami, prawda?

- Oj, ale ta wrogość pojawiła się później! I być może ma to związek ze sposobem, w jaki Strindberg obszedł się z obydwoma przedmiotami Hedina. Nie, do roku 1895 ich wzajemne stosunki były dobre.

Eberlein znów się uśmiechnął.

Słońce najwyraźniej już zaszło, ponieważ kiedy Ropuch otworzył drzwi i wszedł do środka, światło w bibliotece praktycznie się nie zmieniło. Z trzaskiem postawił na stole tacę. Srebrny imbryk na herbatę, trzy filiżanki ze złotymi rantami na złotych talerzykach, a obok stosik białej bawełny, który, jak Don po chwili zauważył, tworzyło kilka par cienkich rękawiczek.

Eberlein wstał, obszedł stół i pobrzękując, rozstawił kilkoma ruchami porcelanę. Para z filiżanek rozsiewała usypiający zapach maku i cynamonu, więc Don wsunął ukradkiem palce do torby, szukając dwóch kapsulek ożywiającej pochodnej amfetaminy. Eberlein, pogrążony w myślach, podniósł porcelanową filiżankę do swoich czerwonych ust.

- Tak czy inaczej - powiedział, kiedy już upił łyk - podejmowane przez Strindberga próby szły beznadziejnie. W końcu tak naprawdę był kimś w rodzaju szarlatana, poetą-chemikiem, jak sam siebie nazywał. Kiedy jednak trzeba było ustalić pochodzenie i właściwości jakiegoś materiału, jego wiedza okazywała się zbyt powierzchowna. Poza tym Strindberg w tym okresie był dość chimeryczny i po miesiącu nieudanych prób miał już dosyć „pustynnych przedmiotów Hedina”, jak je nazywał. Ponieważ nie chciał się przyznać, że próby mu nie wyszły, wysłał tylko krótkie wyjaśnienie, w którym skłamał, że zgubił te przedmioty w Café du Cardinal w paryskiej Drugiej Dzielnicy. Sven Hedin wpadł rzecz jasna w szal, ale będąc na pustkowiu w środkowej Azji, niewiele mógł w tej sprawie zrobić.

Eberlein podszedł do stołu i przesunął palcami po tylnej części metalowej szkatułki, aż gdzieś u dołu pstryknął mechanizm otwierający. «

- Nie, August Strindberg nic nie wskórał z krzyżem i gwiazdą. - Po tych słowach Eberlein wyciągnął jeszcze dwie zawlecзки po bokach i wieko szkatułki się otworzyło. - Kto chce dojść do ładu z historią, ten kocha zbieraczy, prawda, Titelman?

Eberlein stał z ręką. na oparciu krzesła i spoglądał na zawartość szkatułki.

- Tak, kochamy ludzi, którzy podobnie jak August Strindberg są tak przekonani o własnej ważności, że opatrują datami rachunki z pralni, listy zakupów i najpośledniejsze szkice, żeby je zachować dla potomności. Zachowało się podobno ponad dziesięć tysięcy listów: do Zoli, Nietzschego, Georga Brandesa... Są też listy, które Strindberg wysyłał do swojego kuzyna Johana Oscara, zwanego w rodzinie Occą. Ich przyjaźń była tak bliska, że August został ojcem chrzestnym jego syna, Nilsa. I tak się przypadkiem stało, że ów Nils Strindberg w owym czasie, czyli na przełomie marca i kwietnia 1895 roku, był jednym z najbardziej obiecujących młodych fizyków i chemików w kraju. Wiemy, że Occa w liście z siódmego lutego 1895 roku wspominał o wynikach badań syna w dziedzinie rezonansu elektrycznego i że już tydzień później Strindberg wysłał szereg związanych z fizyką pytań bezpośrednio na adres Nilsa na uniwersytecie w Sztokholmie. Nils napisał wyczerpującą odpowiedź, która także się zachowała razem z blisko tuzinem innych listów. Tej wiosny stał się kimś w rodzaju powiernika czy wręcz sprzymierzeńca Strindberga w jego badaniach alchemicznych. Stopniowo ton korespondencji stawał się coraz bardziej osobisty i w jednym z ostatnich listów, z czerwca 1895 roku, Nils skarżył się na nudę w opustoszałym latem Sztokholmie, gdzie całą pracę naukową odłożono na bok. W odpowiedzi otrzymał od swojego ojca chrzestnego przesyłkę, zawierającą dwa przedmioty: krzyż zakończony pętlą i pięciopromienną gwiazdę w egipskim stylu.

Eberlein z brzękiem postawił na stole filiżankę. Następnie usiadł z powrotem naprzeciwko Evy i Dona, przyciągnął blaszaną szkatułkę do siebie i zaczął powoli wkładać bawełniane rękawiczki.

- To, co teraz zamierzam państwu pokazać, miało nam służyć przede wszystkim jako materiał porównawczy z tym, co Erik Hall znalazł w kopalni. Myślę jednak, że można to też wykorzystać do czegoś innego. - Eberlein splótł dłonie i naprężył biały materiał między palcami. - W notatce, którą Strindberg dołączył do paczki, nie wspomniał ani słowem o Svenie Hedinie ani pustyni Takla Makan. Napisał tylko kilka słów, w których zachęcał do dokładnej analizy krzyża i gwiazdy oraz dostarczenia szybkiej odpowiedzi. Pierwsze, co interesujący się fotografią Nils zrobił po zbadaniu przedmiotów...

Eberlein urwał i wyjął ze szkatułki cienkie prostokątne pudełko, które wyglądało na tekturowe. Położył je na stole i rozwiązał sznurki przytrzymujące wieko. Na samej górze leżała warstwa szarawej watoliny, Eberlein wyjął ją i rozłożył przed nimi. Następnie znów wsunął rękę do kartonu i wyjął kilka płyt fotograficznych, które ostrożnie ułożył na miękkiej podkładce.

Don pochylił się, żeby im się przyjrzeć.

Z początku było to trudne, ponieważ w ciemnym szkłe odbijało się światło, kiedy jednak Eberlein osłonił płytki dłonią, nie było już żadnych wątpliwości. Na oksydowanym srebrze błyszczał kremowy krzyż z pętlą, a obok niego widać było jasno połyskującą gwiazdę z pięcioma promieniami wychodzącymi z centrum.

Koło przedmiotów ktoś położył miarkę. Don odczytał z niej, że krzyż razem z pętlą miał 42,6 centymetra długości, belka poprzeczna zaś liczyła 21,3 centymetra. Na innym zdjęciu znajdował się odręczny zapisek, że gwiazda *seba* ma jedenaście centymetrów średnicy.

- Wrażenie jest inne, kiedy można to zobaczyć, prawda? - powiedział Eberlein.

Teraz także Eva się pochylila. Chwyciła szary materiał, przyciągnęła szklane płyty do siebie i spojrzała na nie. Eberlein wytrząsnął ze stosu jeszcze jedną parę rękawiczek i podał ją Evie. Włożyła je na ręce, podniosła delikatne płytki i zaczęła się im przyglądać.

- Mokra płyta kolodionowa - rzekł po chwili Eberlein. - Emulsja składa się z nitrocelulozy rozpuszczonej w alkoholu, czas naświetlania: dziesięć sekund. Dobra ostrość, prawda?

Don w ciemnym kawałku szkła uchwycił spojrzenie Evy.

Kiedy Eberlein usunął kolejną warstwę watoliny, na dnie kartonu ukazał się plik pożółkłych kartek z notatnika. Były jakby związane stalowym drutem, a na pierwszej stronie widniał stempel z napisem: „Uniwersytet w Sztokholmie - Laboratorium Berzeliusa”. Pod stemplem znajdowały się coraz to gęstsze

rzędy cyfr i skrótów, zapisanych niedbale granatowym atramentem.

Niemiec położył plik na stole, koło płytek. Rozwiązał go i razem z parą białych rękawiczek podał pierwszą stronę Donowi.

- Tu są eksperymenty z połowy czerwca 1895 roku - powiedział.

Donowi udało się odczytać kilka pojedynczych symboli chemicznych, jednak reszta tekstu rozplywała się w morzu zawijasów.

- System stenograficzny Arends'a - wyjaśnił Eberlein. - Nils Strindberg zawsze posługiwał się stenografią, kiedy pracował sam w laboratorium. To, na co pan patrzy, to opis wczesnych doświadczeń z kwasami. Później próbował jeszcze oddziaływać na metal środkami chemicznymi, jednak również bez rezultatu.

Eberlein odłożył na bok kilka kartek.

- A to już z późniejszych godzin nocnych, kiedy zaczął badać inskrypcje na krzyżu. Używał do tego lupy i mikroskopu, jednak notatki są dość chaotyczne, ponieważ nie potrafił wyjaśnić, jak komuś udało się wytrawić te napisy. Sam nie był w stanie w żaden sposób wpłynąć na powierzchnię metalu, nawet posługując się obecnym w laboratorium prętem z diamentową końcówką, służącym do pomiaru twardości. Inną rzeczą, która go zdumiewała, była znikoma waga przedmiotu. - Eberlein wskazał kolumnę przekreślonych cyfr. - Wskazanie laboratoryjnej wagi po położeniu na niej krzyża i gwiazdy było bliskie zeru. - Przewrócił jeszcze kilka kartek. - Parę dni później zaczął sobie nawet zadawać pytanie, czy przedmiot w ogóle jest zrobiony z metalu. Wprawdzie odbijał światło i miał metaliczny połysk, jednak jakkolwiek by się starał, ani krzyż, ani gwiazda nie przewodziły prądu i ciepła. Nils próbował ogrzewać przedmioty jeden po drugim za pomocą palnika Bunsena, lecz nawet przy tysiącu pięciuset stopniach nic się nie działo. Nie trzeba było też żadnych szczypców, by zdjąć je z płomienia, albowiem wedle tego, co pisze, po półgodzinnym ogrzewaniu były nadal chłodne, wręcz zimne. Oczekiwany przełom nadszedł dopiero dwudziestego siódmego czerwca 1895 roku.

Eberlein przez chwilę szukał odpowiedniej strony kawałek dalej, w końcu ją znalazł i odłożył na bok.

Notatka, którą teraz mieli przed sobą, różniła się znacznie od wcześniejszych i pełna była schematycznych rysunków sporządzonych prawdopodobnie w wielkim pośpiechu. W wielu miejscach atrament utworzył granatowe kałuże.

- Widzi pan - kontynuował Eberlein - maksymalna temperatura palnika Bunsena z uniwersyteckiego laboratorium wynosiła niemal tysiąc pięćset stopni, jednak wieczorem dwudziestego siódmego czerwca Nils Strindberg zamontował przy wlocie powietrza zbiornik z czystym tlenem, chcąc się przekonać, czy dałoby się ją jeszcze trochę podkręcić. Wskutek zaniedbania czy też, jeśli pan woli, zwykłego lenistwa po raz pierwszy podgrzał oba przedmioty jednocześnie, kładąc gwiazdę na belce poprzecznej krzyża. Tuż przed tym, jak za pomocą regulatora dopływu powietrza zamierzał zmienić niebieski płomień w biały, oba przedmioty niespodziewanie stopiły się ze sobą. Temperatura wynosiła wtedy zaledwie...

- Tysiąc dwieście stopni - dokończyła Eva Strand, wskazując liczbę opatrzoną wykrzyknikiem. Eberlein pokiwał głową.

- Przy temperaturze tysiąca dwustu stopni, jaką osiągnął płomień palnika, krzyż i gwiazda stopiły się ze sobą. Nils Strindberg pisze, że wyglądało to tak, jakby gwiazda nagle wskoczyła na swoje miejsce, idealnie dopasowana do poprzecznej belki krzyża, jakby oba przedmioty były tak naprawdę elementami czegoś, co kiedyś stanowiło pewną całość. W końcu przy wcześniejszych próbach gwiazda i krzyż były odporne na podgrzewanie.

Don poczuł w środku uderzenie fali - kapsułki metaminy najwyraźniej wreszcie się rozpuściły i zaczęły działać. Szybki wzrost koncentracji sprawił, że zaschło mu w ustach.

- Sami się państwo przekonajcie - powiedział Eberlein, wskazując na jeden z obrazków.

W naszkicowanym środku krzyża rzeczywiście było widać pięć cienkich kresek, promieni gwiazdy, która wpasowała się w belkę poniżej pętli. Obok rysunku widniał pionowy dopisek ołówkiem. Don odwrócił kartkę i przeczytał:

- W punkcie przecięcia instrument do nawigacji robi się płynny niby żywe srebro.

Don podniósł wzrok na Eberleina.

- Instrument do nawigacji? - zapytał.

Popatrzył znów na stopione ze sobą krzyż i gwiazdę, które Nils Strindberg pospiesznie szkicował pod różnymi kątami na całym arkuszu. U dołu widniał wariant, na którym tusz rozlał się w niebieską rozmazaną półkulę, przypominającą aureolę wokół leżącego przedmiotu.

- Lepiej udało mu się przedstawić tę reakcję na następnej stronie - powiedział Eberlein i przewrócił kartkę.

Tutaj Nils Strindberg sporządził już dwa znacznie większe i bardziej szczegółowe rysunki. Na górnym to, co Don wcześniej wziął za atramentowy kleks, zostało wrysowane w szaro-niebieskie pole, które niczym kopuła sklepiało się nad gwiazdą i krzyżem. Na samej górze owego pola zaznaczono siedem punktów tworzących znany wzór, przy punkcie położonym najwyżej widniała zaś kolejna notatka ołówkiem: „Gwiazda Polarna w Skrzydle Smoka”.

- Skrzydło Smoka - powiedział Eberlein. - Nils Strindberg ma tu na myśli gwiazdozbiór, który dziś jest znany jako Ursa Minor, Mała Niedźwiedzica. Jej część stanowi Mały Wóz. - Przejechał palcem po siedmiu punktach w polu nad krzyżem i gwiazdą, od czworoboku wozu po koniec jego dyszla. - Najpierw zapaliły się tworzące układ podwójny gwiazdy Pherkad i Kochab. Ta tutaj nazywa się Anwar al Farkadain, a ta Akhfa al Farkadain. Kolejne gwiazdy to Urodelus i Yildun, a na samej górze jest Polaris, Gwiazda Polarna, zwana też Biegunową. Ta, która zawsze jest w tym samym miejscu nad północnym biegunem Ziemi.

Eberlein siedział przez chwilę w milczeniu, przypatrując się rysunkowi. W końcu znów się odezwał:

- Strindberg zanotował, że wzór tych siedmiu punktów pojawił się znikąd tuż nad krzyżem i gwiazdą, niemal od razu po tym, jak przedmioty po raz pierwszy się ze sobą stopiły. Najpierw pomyślał, że to tylko zabłąkane iskry z palnika, i nie mógł zrozumieć, dlaczego wiszą w powietrzu. Później, po jakiejś minucie, wzór wtopił się w tę tutaj, pierwszą sferę niebieską, którą narysował nad krzyżem i gwiazdą. Napisał później, że poczuł się, jakby zobaczył wyrastającą z niczego aureolę.

- Pierwsza sfera? - zdziwił się Don.

Eberlein wskazał na rysunek u dołu. Don oblizał spierzchnięte wargi i powoli przeniósł na niego wzrok.

Na następnym obrazku było kolejne pole. Pod gwiazdozbiorem z Małym Wozem, a nad krzyżem i gwiazdą, Nils Strindberg narysował jeszcze jedno półkole: szarą i rozmazaną dolną kopułę pokrytą konturami, których kształt był jednoznaczny.

- Przerysował półkulę północną? - zapytał Don.

- Przerysował drugą sferę - odparł Eberlein i zaczął wodzić palcem po liniach. - Wybrzeże Syberii nad Oceanem Arktycznym. Półwysep Kolski. Fiordy w północnej Norwegii... Svalbard i Sjuøyane. Skraj lodowca blisko Grenlandii i Morza Lincolna. Północne wybrzeże Kanady i tundra na Alasce koło Cieśniny Beringa. A tutaj... - Eberlein przeniósł palec z powrotem na środek niższej sfery. - Biegun północny.

- Wobec tego co to jest? - zapytała Eva.

Od Gwiazdy Polarnej do punktu położonego kilka centymetrów pod palcem Eberleina biegła cienka linia.

- To jest promień światła - odparł Eberlein. - Pod koniec reakcji padł z Gwiazdy Polarnej na półkulę północną i najwyraźniej Nils Strindberg od razu uznał go za coś w rodzaju drogowskazu.

Don podniósł poźółkły arkusz do światła.

Padający z Gwiazdy Polarnej promień kończył się małym krzyżykiem kawałek na północ od konturu, który Eberlein nazwał Svalbardem. Teraz jednak, w mocniejszym świetle, Don spostrzegł, że w tamtym obszarze znajduje się kilka małych krzyżyków, narysowanych ołówkiem i skrupulatnie ponumerowanych. Wszystko wskazywało na to, że są one powiązane ze znajdującą się na prawym

marginesie listą:

- poz. 1 (29/6): szer. $82^{\circ}50'N$, dł. $29^{\circ}40'E$
- poz. 2 (30/6): szer. $83^{\circ}45'N$, dł. $27^{\circ}10'E!$
- poz. 3 (1/7): jw.
- poz. 4 (2/7): jw.
- poz. 5 (3/7): szer. $83^{\circ}10'N$, dł. $34^{\circ}30'E!!$
- poz. 6 (4/7): jw.!!!

- Po wielu próbach Nilsowi Strindbergowi udało się z zadziwiającą dokładnością wyznaczyć miejsce wskazywane przez promień - powiedział Eberlein, kiedy Don podniósł wzrok. - Jak państwo widzą, już od początku występowały niewielkie, ale regularne zmiany położenia i upłynęło sporo czasu, zanim udało mu się znaleźć w tym jakiś wzór.

Niemiec przerzucił kilka stron, wypełnionych coraz bardziej szczegółowymi rysunkami sfery niebieskiej, półkuli i promienia, aż dotarł do starannie wydzielonej tabeli. Pomagając sobie palcem, zaczął śledzić daty i współrzędne.

- A to, o ile wiemy, pierwsze poważniejsze zestawienie ruchów promienia, jakie sporządził Nils Strindberg. Było to na początku sierpnia 1895 roku. Najwyraźniej nauczył się szybko rysować, reakcja bowiem za każdym razem trwała zaledwie dziesięć minut. Po tym czasie krzyż i gwiazda rozdzielały się i na siatce leżały dwa chłodne przedmioty, które wyglądały dokładnie tak jak przed połączeniem.

Eberlein zostawił na stole listę i zaczął zbierać szklane płytki. '

- Jak państwo widzą - ciągnął z pochyloną głową - przeprowadził jakieś pięćdziesiąt eksperymentów, których przebieg za każdym razem był jednakowy. Nils Strindberg kładł gwiazdę na poprzecznej belce krzyża leżącego na metalowej siatce i ustawiał odpowiednią temperaturę. Kiedy krzyż i gwiazda stapały się w jedno, zawsze zapalało się siedem punktów. Za każdym razem tworzyły rysunek Małego Wozu, a Gwiazda Polarna znajdowała się dokładnie nad gwiazdą leżącą na krzyżu. Po kolejnej minucie pojawiała się sfera niebieska, a tuż pod nią ciemna półkula północna. Na koniec promień, który wystrzeliwał z Gwiazdy Polarnej, wskazywał punkt w pobliżu osiemdziesiątego trzeciego równoleżnika, na północ od Svalbardu i Spitsbergenu. Jak państwo widzicie, podane na liście współrzędne różnią się nieznacznie, w gruncie rzeczy zawsze znajdują się na obszarze o promieniu stu dwudziestu kilometrów. Nils Strindberg doszedł do wniosku, że współrzędne zmieniają się regularnie i że promień zmienia położenie mniej więcej co trzeci dzień. Wyglądało to tak, jakby podążał za czymś na ograniczonym terenie na północ od Svalbardu, niczym wskazówka szukająca celu.

Eberlein owinął szklane płytki miękkim materiałem i ostrożnie włożył do pudełka.

- *Ver volt dos gegloybt* - powiedział spokojnie Don.

17 Przebudzenie

Tamta chwila, zatrzymana w czasie, raz po raz wrzynala się w sny Eleny. W końcu się obudziła, zlana zimnym potem. Nawet teraz, siedząc na skraju łóżka i wpatrując się w mrok wypełniający pokój na poddaszu, nie potrafiła całkowicie odpędzić tego widoku. Wspomnienia kobiety, której twarz tak bardzo przypominała jej własną, jej krótkich czarnych włosów, wystających kości policzkowych, szerokich ust. Mama nadal klęczała z otwartymi ramionami na marmurowej posadzce pod schodami wielkiego banku i krzyczała do Eleny, żeby zeszła.

Potem Elena usłyszała echo własnego głosu, piskliwego i cieniutkiego głosu sześciolatniej dziewczynki, wciąż jeszcze rozbrzmiewającego w wielkim pomieszczeniu.

- *Wer ist sie, Vater?* Vater, kto to jest?

I kiedy zobaczyła nadchodzących strażników, jeszcze bardziej ścisnęła kościste palce Vatera. W końcu wiedziała bardzo dobrze, kim była kobieta, która wreszcie przyszła do banku w Wewelsburgu, aby ją odebrać. Zrobiła to jednak o wiele za późno.

Elena miała pięć lat, kiedy odważyła się szepnąć mamie na ucho swoją największą tajemnicę. Że potrafi odczytywać myśli innych ludzi, oglądać ich marzenia i nadzieje w wykrzywionej, mieniącej się kolorami formie.

Na początku mama się z niej śmiała, zrzucając to wszystko na karb dziecięcej fantazji. Kiedy jednak Elena zaczęła rysować rozmaite dziwaczne perwersje i żądze dorosłych, uśmiech mamy przyszał.

Tej wiosny, tak dawno temu, kiedy Elena chciała się tylko bawić z siostrami, zabrano ją na pierwszą serię testów parapsychologicznych. Jak cyrkowa małpka musiała demonstrować swoją zdolność odczytywania ukrytych ciągów cyfr. Poddano ją eksperymentowi Ganzfelda, podczas którego zawiązano jej oczy i zmuszono do założenia słuchawek, w których słyszała tylko szum. Następnie czekała ją podróż do mężczyzn z północy i dźwięk ich języka, który wydawał się taki twardy i brudny. Pamiętała panikę, jaka ją ogarnęła, kiedy wsunęli jej głowę w coś, co przypominało otwór pralki. Podczas pierwszego pomiaru jej nadzwyczajnych zdolności odbierania fal astralnych i impulsów elektrycznych na włosy założono jej metalowe klamry, a ciemność oklejono taśmami.

Tam właśnie, u Vatera w Wewelsburgu, zostawiono ją samą. Minął rok i jedna zima przemieniła się w kolejną, aż pewnego grudniowego poranka kobieta wróciła, jakby zrzucona do wielkiego banku z nieba, i chciała ją zabrać z powrotem do domu.

Mimo wstydu Elena zawsze uważała, że pytanie, jakie zadała po tak długim czasie, było jak najbardziej trafne. Jakim prawem ta kobieta sądziła, że po tym wszystkim, co się stało, sześciolatnia dziewczynka nadal będzie chciała znać swoją matkę?

Kobieta nigdy już nie wróciła. Dopiero jako nastolatka, kiedy jej zdolności powoli przyszały, Elena przypadkiem wszystkiego się dowiedziała.

Usłyszała, że tego letniego dnia rodzicom się spieszyło, że siostry nie były przypięte pasami, a serpentyna na Wybrzeżu Amalfitańskim była gliniasta od przedłużających się opadów. Że na zakręcie pojawił się jadący o wiele za szybko pikap i że szczęki hamulcowe Citroena były zużyte. Fakt, że samochód wyleciał z drogi i wpadł do morza, był jedną z tych rzeczy, za które nikt nie ponosił odpowiedzialności. Wtedy też straciła wszelkie szanse na uzyskanie odpowiedzi. Jaki jednak pożytek z ich poszukiwania mogło mieć oddane do adopcji dziecko?

Elena podłożyła sobie pod plecy poduszkę i spojrzała w stronę jedyne okna w mieszkaniu na poddaszu, jednak obraz zrozpaczonej kobiety nadal nie chciał zniknąć. Starła się skłonić sześciolatnią dziewczynkę na schodach banku, żeby zamiast na kobietę spojrzała na Vatera. Dostrzegła radość, jaką przez pierwszy rok wciąż było widać w jego oczach. Pomyślała o ich pracy, o połyskującym pyłe pod

szklanymi kapsułami obudowanymi ołowiem i o wzorach, które kiedyś tak jasno dla niej świeciły.

Dopiero gdy była już o wiele starsza, a jej umiejętność dawno wygasła, zrozumiała, co pomogła zobaczyć Vaterowi i fundacji. Lecz nawet z jej pomocą nie zaszli szczególnie daleko. Materiał wyjściowy, którym dysponowali, składał się z pojedynczych odprysków w obudowanych ołowiem szklanych kapsułach, a jego źródło od dawna było dla nich niedostępne.

Elena poczuła, jak stojąca na schodach sześciolatka powoli przenosi spojrzenie w dół, na twarz matki. Robiła, co mogła, żeby zatrzymać ten ciąg wspomnień. Chciała uczeplić się długiej ciszy, która poprzedziła pytanie: *Wer ist sie, Vater?*

W tej przedłużającej się chwili policzyła okna w wielkim banku, zobaczyła zimowe światło padające na gładkie i szare płyty chodnikowe. Szwy w rękawach płaszcza matki, jej zachęcająco otwarte ramiona i nerwowy uśmiech. Po chwili obrazy ruszyły znowu.

Mimo wszystko tym razem coś się zmieniło. Rozległ się trzask i wspomnienia zyskały nową ścieżkę dźwiękową. Pytanie dziecka zniknęło w odległym szumie głosów, tych samych, które słyszała w czasie długiej jazdy motocyklem z Falun do Wewelsburga.

Elena zrzuciła kołdrę i pobiegła do aneksu kuchennego. Znała tylko jeden sposób, żeby przerwać ciągnący się sen, żeby wszystko co trudne ucichło i zamarło.

Wyciągnęła górną szufladę i włączyła kuchenkę. Następnie włożyła ostrze noża w płomień i trzymała je tam, aż zrobiło się gorące. Odwinęła bandaż ze śnieżnobiałego ramienia, odsłaniając rząd czerwonych śladów po oparzeniach. Gdy przyłożyła nóż do gołej skóry, rozległo się syknięcie.

Kiedy ogarnął ją ból, głosy zaczęły mamrotać głośniejsz, jakby ktoś podkręcił gałkę, do tego dochodziły ciężkie wibracje rozchodzące się z punktu tuż za czołem. Po chwili dźwięk brzmiał już jak odtworzony z puszczonej od tyłu taśmy magnetofonowej, dało się rozróżnić sylaby, wypowiedane delikatnym głosem, który tak dobrze znała.

- *Devi darmi la, Elena. Daj mi go, Eleno. La croce. Krzyż. Elena, dammela.*

Znów, tym razem trzęsącą się ręką, włożyła ostrze w płomień, po czym pozwoliła mu wypalić skórę, aż wszystko pociemniało w jej wnętrzu. Opadła na podłogę, przycisnęła ręce do skroni, ale o jakiegokolwiek ciszy nie było mowy.

18 „Örnen”

Na stole, koło stosu pożółkłych kartek, stała blaszana szkatułka. Na obitych zieloną skórą krzesłach siedziały trzy osoby, a nad ich głowami sklepiał się sufit biblioteki w ponadstuletniej willi w Djurgården.

Pod jedną z pokrytych czarnymi woluminami ścian siedział mężczyzna, który wyglądał jak ropucha. Można było pomyśleć, że zasnął tam na swoim stołku, jednak ponuro wykrzywione kąciki ust zdradzały, że wciąż nasłuchuje.

Ostatnia strona laboratoryjnych notatek Nilsa Strindberga składała się z kilku połączonych arkuszy i kiedy Eberlein rozłożył ją przed Evą i Donem, zajmowała większą część stołu. Tak jak na wcześniejszych rysunkach, także tym razem nad krzyżem wznosiła się wysoka kopuła nieba z gwiazdozbiorem Małego Wozu pośrodku. Tym razem pod niebem skrupulatnie zaznaczono szczegóły ukształtowania terenu półkuli północnej.

Od pierwszych pospiesznych szkiców, na których ledwo dało się rozróżnić kontury linii brzegowych, Strindberg przeszedł do szczegółowego odwzorowania kartograficznego z południkiem zerowym biegnącym w linii prostej z londyńskiego Greenwich do Arktyki i bieguna północnego. Na wschód od owej linii rozciągała się łukowata siatka w kierunku Svalbardu i Spitsbergenu, a kawałek na północ od wysp znajdował się zacieniony okrąg z dopiskiem:

co 3-ci dzień nowa pozycja promienia
+ powraca wciąż w obrębie:
szer. 82°10'N-84°20'N
dł. 21°0'E-39°20'E
promień obszaru - ok. 65 mil morskich = 120 km

- Sporo wskazuje na to - powiedział Eberlein - że Nils Strindberg odezwał się do inżyniera już w połowie lipca 1895 roku. Ta mapa zostaje jednak wspomniana po raz pierwszy w notatkach z ich sierpniowego spotkania w Grannie. Jak widzicie, młody fizyk był już wtedy całkowicie pewien, że promień przemieszcza się wyłącznie w promieniu około stu dwudziestu kilometrów. Cokolwiek wskazywałyby Gwiazda Polarna, cel znajdował się kawałek na północ od Svalbardu i teoretycznie można by do niego szybko dotrzeć drogą powietrzną ponad lodem.

Pochylony Don oparł głowę na dłoniach i opuścił wzrok na posklejane arkusze. Przy górnym skraju wybrzeża Svalbardu widniało kilka na wpół wyblakłych wersów, zapisanych staranniejszym od Strindbergowego pismem i zaczynających się od pytania: „Silne wiatry z północnego wschodu?”.

- Nie wiemy, co inżynier Andréé sądził o pierwszym spotkaniu z wyposażonym w mapę i palnik Bunsena dwudziestodwuletnim fizykiem ze Sztokholmu, ale Nils Strindberg opisuje je jako rozczarowujące. - Eberlein ostrożnie wyprostował zagięcie papieru, które utworzyło się wzdłuż konturu kanału La Manche, i mówił dalej: - Strindberg sądził oczywiście, że Andréé poważnie myśli o wyprawie balonem na biegun północny, i z początku rzeczywiście tak było. Podejmując gościa w domu przy skromnym lunchu, inżynier zaczął opowiadać o doskonałych warunkach do latania, jakie panują w Arktyce. O dniu polarnym, kiedy światło słoneczne ułatwia nawigację, i o tym, że w gondoli jest ciepło i przyjemnie. Opisał system żagli sterowniczych i lin, dzięki którym da się kierować balonem, i wspominał o łagodnym letnim wietrze, którego się można spodziewać. Nils wiedział oczywiście o planach inżyniera: gazety nie pisały wtedy o niczym innym, a poza tym właśnie dlatego przyjechał do Gränny. Jednak w sporządzonych po spotkaniu notatkach napisał, że w miarę jedzenia entuzjazm Andréé zdawał się słabnąć, ich rozmowa zaś po jakimś czasie przestała się kleić. Kiedy w końcu Strindberg przygotował wszystko do eksperymentu z palnikiem, Andréé stwierdził, że nie interesują go już antyki i dzieła sztuki, sfery zaś uznał początkowo za tanią sztuczkę. Następnie zaczął się tłumaczyć brakiem

pieniędzy. Królewskiej Szwedzkiej Akademii Nauk oświadczył, że koszt całej ekspedycji wyniesie tylko sto trzydzieści tysięcy koron, co było kwotą znacznie zaniżoną. Przyznał też, że chyba trochę podkoloryzował projekt, starając się skłonić Oskara II i Alfreda Nobla do jego współfinansowania. Kiedy na stole pojawiła się kawa, a wraz z nią koniak i cygara, Nils Strindberg zrozumiał, że plany Andrée to tylko humbug i sposób na uzyskanie darmowego rozgłosu. Zszokował go również fakt, że inżynier leciał wcześniej balonem zaledwie dziewięć razy, a większość przelotów skończyła się katastrofą. Andrée utrzymywał, że po lądowaniu na Gotlandii, dokąd wcześniej tej wiosny doleciał z Göteborga, nadal cierpi na bóle pleców.

Żeby rozłożyć sklejoną z kawałków mapę, Eberlein przesunął blaszaną szkatułkę na skraj stołu. Teraz wziął ją do ręki i postawił przed sobą, wzdłuż konturów Normandii i Bretanii. Kiedy ją otwierał, Don spojrział na Evę. Odwróciła rękę w jego stronę, pokazując zegarek. Lekko pokręciła przy tym głową.

- To, że wyprawa w ogóle się odbyła - ciągnął Eberlein - było wyłącznie zasługą Nilsa Strindberga. W liście datowanym na siedemnastego sierpnia pytał on swojego ojca, jak można by zorganizować większą sumę pieniędzy na realizację projektu Andrée. Occa, który był hurtownikiem nastawionym na handel z Hamburgiem i Berlinem, na początku stanowczo to odradzał, jednak w końcu przekazał mu kontakt do grupy niemieckich przedsiębiorców. Trzeciego września 1895 roku Nils Strindberg i Andrée wysiedli z pociągu na nowo wybudowanym dworcu Berlin Zoologischer Garten, a po demonstracji palnika Bunsena i sklepień udało im się przekonać Niemców do sfinansowania projektu: wyłożyli dwa miliony koron. Były to czasy, kiedy zainteresowanie Egiptem sięgnęło zenitu, a Niemców z pewnością zainspirowały niesamowite odkrycia w Dolinie Królów, dokonane nieco wcześniej przez Anglików. Fundatorzy mieli po prostu nadzieję, że przyrzady nawigacyjne Strindberga okażą się istną mapą skarbów.

Eberlein uśmiechnął się do własnych myśli, po czym kontynuował:

- Przedsiębiorcy postawili jednak kilka warunków. Po pierwsze, zażądali, żeby głównym celem wyprawy balonowej był obszar nad Svalbardem, który wskazywał promień Gwiazdy Polarnej; to, czy później dotrą na biegun północny, mniej ich obchodziło. Po drugie, ponieważ nie chcieli narażać swoich kontaktów handlowych z firmami zbrojeniowymi Nobla, o ich zaangażowaniu w projekt nie mogli się dowiedzieć szwedzcy donatorzy. Nie bez racji wychodzili z założenia, że Alfred Nobel zareagowałby na wieść, iż polarną ekspedycję Andrée usiłuje się nagiąć do niemieckich interesów. Trzeci i ostatni warunek był taki, że wszystkie dane o palniku Bunsena, krzyżu, gwieździe i ewentualnych odkryciach na wskazanym terenie mają pozostać tajemnicą i po wsze czasy być przechowywane przez fundację, której siedziba mieści się w Nadrenii Północnej-Westfalii. Inżynier Andrée w pierwszej chwili odmawiał podpisania takiego porozumienia, ale Nils w końcu go przekonał.

Eberlein otworzył wieko szkatułki i wyjął z niej mały zeszytek w zieloną kratkę. Okładka była wykonana z jakiegoś gładkiego materiału przypominającego ceratę. Kartki wydawały się pofałdowane, jakby wchłonęły zbyt dużo wilgoci.

- Po dwóch latach przygotowań trzydziestego maja 1897 roku statek ekspedycji ruszył w stronę Svalbardu i skalistej wyspy Danskøya. Nie wiem, czy widzieli państwo zdjęcia, ale Andrée i Strindberg stojący ramię w ramię na pokładzie kanonierki „Svensksund” nie wyglądają na dobrze przygotowanych: dwaj drobni mężczyźni w garniturach i ze złotymi zegarkami, trzymający dłonie pod połami marynarek. Jedynym członkiem ekipy, który miał większe doświadczenie, jeżeli chodzi o pracę fizyczną, był Knut Fränkel, a jego obecności domagał się Andrée, ponieważ Fränkel był silny. Prawdopodobnie miał być tym, kto pociągnąłby dwustukilogramowe sanie, gdyby wbrew przewidywaniom rozbili się kawałek od celu. Oczekiwanie na odpowiedni wiatr trwało pięć tygodni. Nils Strindberg wypełnił sobie ten czas grą na skrzypcach i pisanem listów do narzeczonej, Anny Charlier, podczas gdy marynarze ze „Svensksundu” werniksowali i uszczelniali powłokę balonu. Jeżeli chodzi o sam balon, Andrée i Strindberg zamówili go u paryskiego fabrykanta, Henriego Lachambre’a, ale nie zdążyli odbyć lotu

próbny. Jedenastego lipca pogoda wreszcie się zmieniła: rankiem wiatr wiał w kierunku południowo-wschodnim.

Eberlein otworzył obłożony ceratą zeszyt. Don rozpoznał charakter pisma Nilsa Strindberga, tu jednak tekst był zapisany całymi zdaniem, nie stenograficznie.

- To pamiętnik z podróży. Strindberg zaczął go pisać w porze lunchu tuż przed wylotem.

Pierwsza kartka miała zagięty róg - Eberlein ostrożnie go rozprostował. W górnym rogu kolejnej strony widniała notatka:

Danskøya, przystań Virgo

11 lipca 1897

spisano w osłoniętym od wiatru miejscu po północnej stronie hangaru

Szkic świadczył o tym, że Nils Strindberg musiał zapalić palnik Bunsena i stopić ze sobą krzyż i gwiazdę, by ustalić pozycję promienia. Poniżej był dopisek atramentem, rozmazany:

13.27 czas Greenw.

aktualna pozycja promienia:

szer. 84°10'N, dł. 30°45'E

szacow. odległość od Danskøya: 586 km

wiatr wg Frænkle: 7 m/s pn.-wsch. porywisty

Obok notatki widniało zamazane „zatwierdzono” oraz wielkie A.

Wyglądało na to, że akurat w czasie pisania na kartkę spadło kilka kropel deszczu, albowiem słowa pokrywające resztę strony niemal całkowicie się rozplynęły. Donowi udało się rozszyfrować tylko rozważania, których tematem była siła nośna balonu i jego zadziwiająca kruchość.

Z przeciwnej strony stołu dobiegł głos Eberleina:

- Prząd hangaru został rozebrany, Andrée i Frænkel zajęli już miejsca w gondoli, gołębie pocztowe siedziały w swoich klatkach, a mimo to wątpliwości nie ustępowały. Co do samego startu, musimy polegać na relacjach naocznych świadków: Strindberg skinął głową Andrée, by ten wydał rozkaz przecięcia wszystkich lin. Noże poszły w ruch i rozległy się trzy donośne trzaski. Przez chwilę balon stał nieruchomo, wtedy Frænkel rozwinął trzy żagle. Zawisli w powietrzu.

Ziemia została w dole. Kiedy już prawie wylecieli z hangaru, podmuch silnego wiatru sprawił, że balon obił się o ścianę. Potem wzniósł się na wysokość pięćdziesięciu metrów i poszybował nad wyspą Danskøya i przystanią Virgo. Z nadaniem nazwy balonowi czekano aż do startu. Przedsiębiorcy domagali się niemiecko brzmiącej nazwy „Örnen” zamiast zaproponowanej przez Nobla „Le Pôle Nord”.

Eberlein przewrócił kilka kartek w zeszycie. Kolejna notatka brzmiała:

15.33 czas Greenw.

„Örnen” minął Danskattet

Na samej górze strony Don dostrzegł kilka zapisków dotyczących pogody. Następnie parę słów o piwie i kanapkach, szkic ptaków, które leciały obok gondoli, i wzmiankę o tym, że Andrée stanął na kole ponad gondolą, żeby się wysikać. Krótka informacja, że ostatnie pozdrowienia dla narzeczonej, Anny, zostały zapieczętowane i posłane, kiedy przelatywali nad wyspą Vogelsang. Potem podkreślone podwójną linią słowa: „Frænkel wie!”.

Don podniósł wzrok na Eberleina.

- To było zaskoczenie dla Strindberga - wyjaśnił Eberlein. - Wszystkich pomiarów dokonano

w kajucie Andrée na „Svensksundzie”, a palnik Bunsena, wraz z krzyżem i gwiazdą, ukryto w worku z żaglowego płótna i przemycono na pokład balonu tuż przed odlotem. Knut Frænkel, jak i inni Szwedzi, miał pozostać niewtajemniczony, jednak najwyraźniej jakimś sposobem dowiedział się o istnieniu przedmiotów. Strindberg, zdaje się, podejrzewał Andrée, o czym wspomina parę linijek dalej...

Eberlein wskazał palcem kilka zlanych ze sobą słów poniżej.

- To w gruncie rzeczy zastanawiające - ciągnął - że Nils Strindberg miał czas na zajmowanie się tą kwestią. Lot balonem już był katastrofą. Kiedy opuścili przystań, silny wiatr wypełnił żagle, spychając ich w kierunku fal. Lecieli tak nisko, że gondola uderzyła w taflę wody, a kiedy w końcu udało im się wyrzucić dziewięć worków z piaskiem i zaczęli się unosić, balon, zrobiwszy pół obrotu wokół własnej osi, poszybował do tyłu. Ruch obrotowy sprawił, że odczepiło się kilka ważnych lin oporowych, przez co utracili sterowność. Andrée i Strindberg, najwyraźniej ogarnięci paniką na myśl, że gwiazda i krzyż mogą wpaść do morza, zamiast przerwać ekspedycję, opróżniali z piasku kolejne worki. „Örnen” wznosił się na wysokość niemal sześciuset metrów. Kiedy jednak poczuli wiatr, odwaga im wróciła, teraz bowiem silniej dmuchało w stronę północnego wschodu.

Eberlein wskazał kilka cyfr:

obec. poz. wg A. (około) 79°51'N-11°15'E
szacowany dystans do poz. promienia: 560 km
40 węzłów, szacowany czas: 8 godz.

- Za sobą mieli lodowce i skalne szczyty Spitsbergenu, pod sobą czarne morze, Nils Strindberg zanotował zaś, że ich śladem próbuje płynąć jakiś parowiec. Wspólnymi siłami splekli końce lin oporowych, lecz „Örnen” leciał o wiele za wysoko, by dało się nim sterować. Otaczały ich coraz gęstsze stratusy, zaczynało być naprawdę zimno i cienka jedwabna powłoka balonu coraz bardziej się schładzała. Niskie ciśnienie sprawiało, że tracili wodór dużo szybciej, niż zakładali, a mimo to Strindberg nadal uważał, że do punktu, który wskazywał promień, powinni dotrzeć przed wieczorem.

Eberlein wyjął z dna blaszanej szkatułki ostatnie przedmioty: parę szklanych negatywów. Ułożył je rzędem na stole. Jedną z płytek popchnął w kierunku Dona, tak że fotografia znalazła się obok wyrzuszanej strony z dziennika.

- Pierwsze zdjęcie, jakie Strindberg zrobił z gondoli - powiedział Eberlein. Oszklony negatyw był właściwie pusty, nie licząc cienkiej czarnej linii. - Proszę wziąć pod uwagę, że kolory są odwrócone. Zbliżają się do białego skraju pokrywy lodowej.

Podsunał kolejny negatyw: dwie jasne półkule i czarny promień. Pod dolną półkulą można było dostrzec stopione ze sobą gwiazdę i krzyż nad ciemnym płomieniem palnika.

- Strindberg zrobił to zdjęcie mniej więcej godzinę później, w urządzonym w gondoli miejscu do spania. Balon unosił się teraz na wysokości siedmiuset metrów. Chmury sprawiały, że wszystko ociekało wodą, i chyba dlatego Strindberg odważył się włączyć palnik i sprawdzić pozycję promienia. Jedna zbłąkana iskra mogłaby spowodować katastrofę: balon zamieniłby się w kulę ognia.

- Co to jest? - zapytał Don, wskazując kilka białych oznaczeń w dolnym rogu negatywu.

- Strony świata i godziny - odparł Eberlein. - Aparat Strindberga był wyposażony w mechanizm opisujący każde zdjęcie. To zostało zrobione tuż po północy dwunastego lipca i pozycja promienia wciąż się nie zmieniała.

Przerzucił kilka stron w dzienniku. Pismo Strindberga stawało się ze strony na stronę coraz bardziej nieczytelne.

- Zimno chmur i utrata gazu sprawiły, że balon zaczął opadać. Rankiem siatka i liny pokryły się lodem, co obciążało balon prawie o tonę. Co pięćdziesiąt metrów gondola uderzała o lód i, jak widzicie, Strindbergowi trudno się pisało. Lecieli teraz bardziej na wschód i kłócili się o to, jak mają wrócić na kurs wskazany przez promień. Koło jedenastej Frænkel i Strindberg poszli się położyć, ale nie mogli zasnąć.

Eberlein wskazał kilka słów: „liny szorują po śniegu - żagle furkoczą bez ustanku”, i na kolejnej stronie: „boja biegunowa poświęcona”.

- Następnego dnia, trzynastego lipca, wyrzucili wszystko, bez czego mogli się obejść. Poświęcenie boi biegunowej ze szwedzką flagą, którą zabrali ze sobą dla zachowania pozorów, nie było trudne, ale musieli się też pozbyć części prowiantu. W nocy jedna z lin zaklinowała się między lodowymi blokami i przez kilka godzin tkwili w miejscu. Kiedy w końcu udało im się uwolnić, zaświeciło słońce i ciepło sprawiło, że balon się wzniosł. Próbowali jeszcze zwiększyć wysokość, żeby silniejszy wiatr popchnął ich w kierunku północno-wschodnim. Gdy jednak uporali się z żaglami, zrobiło się zimniej i balon znowu opadł. Z tego dnia nie ma żadnych notatek. Strindberg napisał później, że nie mógł pisać ze względu na chorobę morską wywołaną uderzeniami o lód. Dopiero rankiem czternastego lipca szczęście się do nich uśmiechnęło. W końcu.

Eberlein wziął ze stołu jeszcze jeden oszklony negatyw. Również i na tym zdjęciu widać było półkule, jednak różniło się ono od poprzednich: palnik Bunsena, krzyż i gwiazdę otaczała rozmyta świetlista aureola.

- Zrobiono je około drugiej w nocy - powiedział Eberlein i wskazał oznaczenie w dolnym rogu negatywu. - Zrzucili kotwicę przy krze, aby chwilę odpocząć, a słońce o północy świeciło tak słabo, że Strindberg musiał użyć proszku błyskowego, żeby w ogóle móc zrobić zdjęcie. Musiał znajdować się jakieś pięćdziesiąt metrów od balonu, bo, jak państwo widzą, przez sfery można dostrzec kontury gondoli.

Don podniósł negatyw pod kątem, ale nie widział nic poza cienkim promieniem, który padał na niższą półkulę wznoszącą się nad krzyżem.

- Kiedy Nils Strindberg wrócił do balonu, Andrée obliczył już ich pozycję za pomocą sekstansu i chciał się poddać. Wtedy Strindberg pokazał mu...

Eberlein przerzucił jeszcze kilka stron, zmarszczył czoło, cofnął się kawałek i w końcu znalazł właściwe miejsce:

14 lipca

1.47 świt czas Greenw.

promień zmienił miejsce!

podwójny pomiar po problemach z płomieniem

szer. 82°59'N, dł. 31°5'E

nowa odległość: niecałe 45 km!

- Jak państwo widzą - rzekł Eberlein - promień się przemieścił. Strindberga nie powinno to dziwić. Sam przecież, dokonując pomiarów na uniwersytecie w Sztokholmie, wyliczył, że przesunięcie następuje mniej więcej co trzeci dzień. Balon opuścił wyspę Danskøya jedenastego lipca, teraz zaś był czternasty, a nowy punkt wskazywany przez Gwiazdę Polarną był oddalony o mniej niż pięćdziesiąt kilometrów. Podjęto ostatnią próbę uniesienia balonu, wyrzucając z gondoli wszystko poza suchym prowiantem, bronią, śniegowcami i saniami. Dzięki zmniejszonej wadze mogli w wolnym tempie poszybować jeszcze przynajmniej trzydzieści kilometrów na północ. Dziewiętnaście po siódmej uznali, że są już wystarczająco blisko. Po wylądowaniu Andrée zaczął opróżniać balon z gazu. Strindberg wyjął aparat, otrzepał ze śniegu obite skórą bukowe ramy i zrobił jedenaście zdjęć wielkiego jedwabnego płótna leżącego na lodzie. Następnego ranka złożyli sanie i rozpoczęli pieszą wędrówkę do celu.

Don pochylił się nad pamiętnikiem i zaczął go ostrożnie przeglądać. Na stronach poprzedzających ostatnie współrzędne znajdowało się coś na kształt spisu wiezionego dobytku. Wiele artykułów straciło na wadze lub zostało całkowicie wykreślonych. Listę zamykał zapisek w kółku: „6 but. szampana wysłanych przez Króla”.

Don już miał przeglądać dalej, kiedy poczuł, że strona z listą dziwnie słabo trzyma się szytej oprawy,

jakby ją nie dość mocno przymocowano. Wreszcie odpadła całkowicie i wtedy Don pomyślał, że ostatnie strony ktoś najprawdopodobniej wyrwał. Został tylko samotny arkusz, złożony przed tylną okładką. Don spojrzał na Eberleina, który najwyraźniej czekał na jego odkrycie.

- Prawda, że dziwne? - zapytał. - Ostatnich trzynastu stron ze stu dwudziestu brakowało już pod koniec 1899 roku, kiedy odnaleziono dziennik.

Niemiec posunął oszklony negatyw po stole. To najwyraźniej było ostatnie, co miał do pokazania.

- Fundacji udało się wywołać jedno jedyne zdjęcie z ostatniej rolki. Znaleziono ją przy martwym Strindbergu, w miedzianej puszcze w kieszeni jego filcowej kurtki.

W szklanej płytce, którą Eberlein położył przed Evą i Donem, znajdował się negatyw. Odwrócone zdjęcie czegoś, co przypominało śnieżną breję z czarnymi płatkami. Za śniegiem widać było białą dziurę w czarnym lodzie.

- Doszli do przerębla? - zapytał Don.

- Nie do przerębla - odparł Eberlein. - Proszę spojrzeć na krawędzie.

Don jeszcze raz podniósł negatyw. Otwór na zdjęciu tworzył idealne koło. Kiedy dla porównania spojrzał na postać z lornetką, stojącą u wylotu, przy którym zatknięto małą flagę, rozumiał, że otwór w lodzie jest bardzo duży i musi mieć co najmniej pięćdziesiąt metrów średnicy.

- Zdjęcie zrobił na pewno Strindberg, tylko on potrafił się obchodzić z aparatem - rzekł Eberlein. - Nie udało nam się jednak ustalić, czy do środka zagląda Fränkel, czy też Andrée.

Don próbował odwrócić w głowie kolory negatywu i zobaczyć wszystko takim, jakim było tego lipcowego dnia 1897 roku. Z tyłu widniała czarna otchłań w białym lodzie, natomiast na pierwszym planie, na skraju zdjęcia, kontur postaci z lornetką. Wyglądało to tak, jakby ktoś wyciął palnikiem tunel prosto do wnętrza Ziemi.

Eberlein wskazał dane u dołu zdjęcia.

- Osiemdziesiąt dwa stopnie i pięćdziesiąt pięć minut szerokości geograficznej północnej, ranek osiemnastego lipca 1897 roku. Znajdują się dokładnie w punkcie wskazanym przez promień. Dotarcie tu z miejsca, w którym zostawili balon, musiało zająć im dobę.

Don odłożył negatyw i wyjął ostatni, złożony arkusz z obłożonego w ceratę zeszytu. Podniósł wzrok na Eberleina, a ten skinął głową. Don rozwinął arkusz przed sobą i rozprostował. Stronę pokrywały ciasno zapisane kolumny cyfr: daty, ilości opadów, ciśnienie atmosferyczne i siły wiatru.

- To pochodzi z kalendarza meteorologicznego Fränkla - wyjaśnił Eberlein.

Niemiec obrócił arkusz. Na odwrocie, na tle tabelki widniały kleksy rozmytego atramentu i można było rozróżnić tylko pojedyncze, wyrwane z kontekstu słowa:

Wszystko przepadło!!!

pół obcy już byli wejście

Andrée i palnik

egzekucja! Knut krwawi

brzuch! morfina, sześć kratek

sam już od rana szukałem

schronienia w głosy ponad mną

brama otwarta! oni wiedzą!

Krzyż? i gwiazda!

wessać

sklepienie, ściany

za nami aż do tego miejsca?

co się „Örnen”?

Starszy nazywał się Jansen, ale to młodszy

nie można zawrócić bez

Anno, ja

najukochańsza Anno

- Pisze do swojej narzeczonej - powiedziała Eva głucho.
- Do Anny Charlier - potwierdził Eberlein. - To ostatni trop, jaki mamy.

Kiedy również Don podniósł wzrok znad rozsypanych słów, Eberlein przysunął arkusz do siebie. Złożył go z powrotem, danymi o pogodzie do wewnątrz, wsunął na tył zeszytu i zamknął.

- Jeśli mowa o Annie Charlier, można powiedzieć, że cała historia zyskała niepotrzebnie tragiczny finał. Czy mogę...? - Eberlein wziął od Dona ostatni negatyw i włożył go do szkatułki razem z pamiętnikiem. Następnie kontynuował: - Ciało Frænkla i Strindberga znaleziono dwa lata później. Leżały w lodowej rozpadlinie na głębokości trzydziestu metrów. Zwłok Andrée nie znaleziono, jednak Strindberg w ostatnich zapiskach sugeruje, że mógł zostać zabity. Jedynymi dokumentami pozostałymi po ekspedycji są pamiętnik Strindberga oraz nieliczne zdjęcia. Widzieliście państwo praktycznie wszystko, co było do zobaczenia, a mieści się to w blaszanej skrzynce.

- Ciało Andrée... - zaczął Don. Język odmawiał mu posłuszeństwa, jednak trzeba to było powiedzieć.
- Ciało Andrée odnaleziono w ostatnim obozie na Wyspie Białej.
- Wyspie Białej...? - odparł Eberlein.

- Tak. Tam je znaleziono - powiedział Don. Głos już mu się nie łamał tak bardzo. - Z pewnością słyszał pan o odkryciu na Wyspie Białej, w ostatnim obozie, gdzie znaleziono ciała i sprzęt używany podczas długiej wędrówki po lodzie. Wszystkie zdjęcia Nilsa Strindberga, które udało się wywołać i...

- Tak jak mówiłem - przerwał Eberlein - ta część historii jest tragiczna i, z perspektywy czasu, niepotrzebna. - Opuścił wzrok na stół i zaczął zbierać pozostałe szklane negatywy. Z pochyloną głową mówił dalej: - Szwedzi nie wiedzieli, gdzie należy szukać, jednak niemieccy fundatorzy znali współrzędne punktu docelowego i już latem 1899 roku fundacja wysłała ekspedycję ratunkową, która w pobliżu szczątków balonu odnalazła gondolę. W miejscu do spania, na kilku kocach leżały ostatnie obliczenia, których Strindberg i Andrée musieli dokonać przed wyruszeniem w kierunku promienia. Wystarczyło tylko pójść ich śladem.

- A kiedy tam dotarli?

Eberlein podniósł wzrok.

- Nie było żadnej dziury, gwiazdy ani krzyża. Nie było palnika. Ciała Nilsa Strindberga i Knuta Frænkla znaleziono, jak mówiłem, w lodowej rozpadlinie na głębokości jakichś trzydziestu metrów. Frænkel był postrzelony w brzuch. W plecaku Strindberga wciąż jeszcze znajdowały się miedziane puszki ze zdjęciami, które pokazałem, oraz notatki. Karty meteorologiczne Frænkla ukrył w rękawiczce. Po obejrzeniu tego wszystkiego wiedzieli o sprawie mniej więcej tyle, ile my wiemy teraz.

W bibliotece zapadła cisza, przerywana tylko miarowym pobrzękiwaniem szklanych płytek odkładanych z powrotem do blaszanej skrzynki. W końcu odezwała się Eva Strand:

- Wspominał pan coś o narzeczonej Strindberga, Annie Charlier?

- Środek bezpieczeństwa - odparł cicho Eberlein. - Środek bezpieczeństwa posunięty o wiele za daleko. „Sponsorzy” z fundacji przez długi czas mieli nadzieję, że uda się odszukać „obcych” odpowiedzialnych za śmierć mężczyzn i odzyskać krzyż oraz gwiazdę. Nie chcieli, żeby firmy Nobla zaczęły zadawać pytania o Szwedów i losy ich ekspedycji. Tym bardziej że zgodnie z warunkami umowy to oni byli teraz jedynymi właścicielami krzyża, gwiazdy i wszystkich ewentualnych znalezisk. Sfałszowanie kilku dokumentów nie stanowiło żadnego problemu. Znali charakter pisma Andrée, dzięki czemu powstały dwa dzienniki z jego wędrówki. Tak samo było z notatkami stenograficznymi Strindberga i arkuszami meteorologicznymi Frænkla. Spreparowane zdjęcia z ekspedycji udały się chyba najmniej i w dalszym ciągu sprawiają wrażenie dość sztucznych. Żeby odwrócić uwagę od wyższych północno-wschodnich szerokości geograficznych, rozłożyli ślady na południowym zachodzie. Wybór padł na Wyspę Białą, na wschód od Svalbardu, odosobnione miejsce, które można było spokojnie

przygotować. Tam zbudowano ostatni obóz, a na koniec ułożono zmasakrowane ciała wraz z przedmiotami znalezionymi w gondoli. Aby Szwedzi byli w stanie zidentyfikować zwłoki, w ubrania wszyto monogramy Strindberga i Andrée. To wszystko odbyło się latem na przełomie wieków, ale dopiero trzydzieści lat później kilku polujących na morsy myśliwych odnalazło podłożony bosak z napisem „Eksped. polarna Andrée 1897”. Potem głównymi ulicami Sztokholmu przejechał kondukt żałobny. I było po wszystkim.

- A co z rodziną Andrée? Z narzeczoną Nilsa Strindberga, Anną? Musieli chyba wiedzieć, że z Wyspy Białej w trumnach przyjechały ciała zupełnie innych osób.

- Po trzydziestu latach nie było zbyt wiele do oglądania - odparł Eberlein. - Poza tym resztki skremowano, nie przeprowadzając sekcji. Był to w owym czasie wielki skandal.

- A Anna Charlier? - zapytała Eva Strand.

- Cała operacja była przesadą - odparł Eberlein. - Co takiego by się stało, gdyby ciało nigdy nie odnaleziono? To było po prostu niepotrzebne. A Anna Charlier... Nigdy nie przestała opłakiwać Nilsa Strindberga. Pięćdziesiąt lat później jej serce w srebrnym pudełku pochowano u jego boku w miejscu pamięci na Cmentarzu Północnym. To, że leży tam samo jej serce, zawsze wydawało mi się upiorne. Czy mogę...? - Eberlein zaczął składać duży rysunek, przedstawiający sfery. - Po wyciszeniu całej sprawy niemieccy przedsiębiorcy zaczęli własne badania. Oczywiście w miarę upływu czasu posuwały się naprzód coraz wolniej, sama zaś fundacja stała się czymś w rodzaju archiwum, powiernika tajemnicy, historycznej zagadki, która nadal nie doczekała się rozwiązania.

Niemiec włożył arkusz do szkatułki i zamknął ją - rozległy się dwa trzaśnięcia. Stół znowu był pusty.

- Oczywiście dziś pierwotne pobudki już nie istnieją, jednak cel działania fundacji pozostaje ten sam, a spisana wówczas przez Strindberga i Andrée umowę nadal uważa się za obowiązującą. Sami państwo rozumieją, że znalezisko Erika Halla obudziło wielkie nadzieje. Chyba nie przesadzę, mówiąc, że mój niemiecki zleceniodawca jest gotów na bardzo wiele, byle tylko wyjaśnić tę sprawę.

- Chcecie dostać z powrotem przyrzędy nawigacyjne Strindberga - powiedział Don.

Eberlein się uśmiechnął.

- Fundacja chce dostać to, co jej się należy. To, za co kiedyś zapłacono.

Zza okularów patrzyły szarozółte oczy.

- Tak się przypadkiem składa, że pan, panie Titelman, jest ostatnim ogniwem łączącym nas z Erikiem Hallem, krzyżem, dokumentem i innymi przedmiotami, które najwyraźniej znalazł... może z gwiazdą?

Don zaczął się wiercić, poczuł, że jego dłoń sama sięga do pocztówki pod podszewką marynarki.

- Sam pan jest z pewnością zainteresowany wyjaśnieniem tej sprawy, nieprawdaż? - powiedział Eberlein. - Krzyża nie ma... są za to kłopoty z policją. Moglibyśmy jakoś pomóc? A jeżeli chodzi o pieniądze...

Głos Eberleina przycichł, kiedy Don oczami wyobraźni zobaczył otwierające się podwójne drzwi i siebie schodzącego po krętych schodach, mijającego jasne salony, olejne obrazy, złoczone lustro, i wychodzącego na zewnątrz. Otworzył oczy.

- Teraz, kiedy pan to powiedział, przyszło mi na myśl, że Erik Hall rzeczywiście mógł wspomnieć coś o gwieździe... - Don utkwiał wzrok w wykrzywionych w uśmiechu ustach Eberleina, nieco zbyt czerwonych, i dziwnie szarych zębach. - Tak, coś o gwieździe - ciągnął Don. - Było tyle wersji.

Eva Strand odwróciła się do niego:

- Nie powinien pan...

- Zresztą nie tylko o gwieździe. Erik Hall mówił też o jakimś dokumencie, który znalazł tam w dole. To było tak skromne znalezisko, że praktycznie wyleciało mi z pamięci. List z kilkoma linijkami tekstu, a może jakaś kartka.

Mówiąc to, patrzył w oczy temu ubranemu w drogi garnitur aroganckiemu przedstawicielowi wyższych sfer.

- Mówił, o czym jest ten tekst? - zapytał Eberlein głuchym tonem.

- Trudno mi sobie przypomnieć... Treść była niespójna, prawie jak szyfr.
- Szyfr?
- Tak. Albo może wiersz. Wśród słów była data i nazwa miejscowości.
- Co pan sobie przypomina?
- Ja... - zaczął Don.
- Tak?
- Zależy, jak liczyć, ale powiedzmy, że przypominam sobie w sumie cztery słowa, nazwę miejscowości i datę. Instytut Higieny Waffen-SS, obóz koncentracyjny Ravensbrück, rok 1942.

Pocztówka

Wykładzina tworzyła ciemny prostokąt wokół stołu, na którym stała zamknięta szkatułka. Don w milczeniu wodził wzrokiem po suficie biblioteki, szacując, że grzbiety najwyższej ustawionych książek muszą znajdować się na wysokości prawie pięciu metrów.

Gdyby tylko znalazł jakiś sposób na przebicie się przez kilkanaście centymetrów ponadstuletniej izolacji i przez ostatnią warstwę dachówek, mógłby spojrzeć w nocne niebo i może nawet dostrzec wieżę kościoła z Seglory.

Pomocą w takiej próbie ucieczki mogłaby się okazać mosiężna drabina na kółkach, stojąca kilka metrów od skulonego Ropucha, jednak z jakiegoś powodu wydawała się Donowi zbyt krzywa. Poza tym wspięcie się na górę byłoby niemożliwe, ponieważ rzędy regałów wyraźnie pochylały się do wewnątrz.

W świetle lamp widać było, że Eberlein rusza szczęką - ruch ten przenosił się na skronie, gdzie cienka skóra rozciągała się w rytm przyspieszonego pulsu. Nagle Ropuch wstał z szurnięciem ze stołka koło drabiny.

Idąc w stronę stołu, starał się nie patrzeć na Evę i Dona, kiedy zaś dotarł na miejsce, natychmiast się pochylił i wyszeptał coś Eberleinowi do ucha. Nie dało się usłyszeć jego słów, jednak po tylnojęzykowej intonacji Don domyślił się, że Ropuch mówił po niemiecku. Eberlein słuchał i patrzył przed siebie, skupiając wzrok na punkcie daleko za plecami Dona, tam, gdzie znajdowały się zamknięte podwójne drzwi.

Kiedy Ropuch umilkł, Eberlein pokiwał spokojnie głową, a następnie wstał i poprawił błyszczące spodnie od garnituru. Wreszcie się odezwał:

- Muszę zadzwonić.

Uśmiech towarzyszący tym słowom był słaby, a wyraz oczu pozostał ten sam. Twarz Niemca, błyszcząca przez cały czas opowieści, teraz znów była zszarzała i bez wyrazu.

Kiedy za Eberleinem zamknęły się drzwi, Ropuch usiadł przy stole naprzeciwko Ewy i Dona. Eva Strand zaczęła już zbierać dokumenty i właśnie wkładała je do torby razem z długopisem. Kiedy znów podniosła dłoń, trzymała w niej czerwony telefon komórkowy. Spojrzała pytająco na Ropucha, ale ten tylko wzruszył ramionami.

Po kilku sekundach ekran telefonu się rozświetlił i prawniczka szybko wystukała numer. Czekaając na połączenie, patrzyła na Dona.

Po chwili zmarszczyła czoło, spojrzała na telefon, spróbowała znowu, tym razem wolniej wybierając numer. Nie było jednak zasięgu. Wytrzeszczone oczy Ropucha jeszcze się powiększyły.

- Rozumiem, że mają tu panowie telefon stacjonarny? - zapytała Eva.

Ropuch w pierwszej chwili nie zareagował, dopiero kiedy Don powtórzył pytanie po niemiecku, pokręcił masywną głową.

Don przyglądał się, jak Eva próbuje raz jeszcze, ale jego myśli zaczynały błądzić. Amfetamina najwyraźniej wypaliła mu w pamięci wyrwę, obrazy bowiem, wcześniej tak wyraźne, zmieniły się w rozmazaną, powykrzywianą masę. Zdjęcia z ostatniego obozu na Wyspie Białej, które kiedyś widział - ciało Strindberga przygniecione stertą kamieni, dziennik pokładowy Andrée, resztki kości Knuta Fränkla - wszystko to nakładało się teraz na szklane negatywy Eberleina.

Odkaszlnął sucho - był to zduszony jeszcze w gardle śmiech, który ogarnął go na, myśl o naszkicowanych sferach, promieniu nad półkulą północną i ostrożnych ruchach rąk Eberleina w bawełnianych rękawiczkach. Poczul się jak w sali pełnej stłuczonych lusterek i żeby się stamtąd wydostać, zrobił to, co wydawało mu się najłatwiejsze: otworzył torbę i wyjął z niej sześć miligramów xanoru.

Ledwie zdążył zakręcić buteleczkę, kiedy za jego plecami rozległ się szcęk i podwójne drzwi znów wpuściły do środka światło.

Eberlein wrócił.

- Jak się to panu udało? - powiedziała Eva, kiedy podszedł do stołu.

Spojrzał na nią, nie rozumiejąc.

- Pański asystent twierdzi, że nie ma tu telefonu stacjonarnego. A stąd nie da się zadzwonić.

Pokazała mu komórkę.

- Tak, to prawda - odparł Eberlein. - To chyba ze względu na zabezpieczenie przed podsłuchem. W domu, o ile wiem, jest nadajnik zagłuszający, czy coś w tym stylu. Willa, tak jak mówiłem, należy obecnie do ambasady niemieckiej, a oni mają specjalne przepisy.

Eva Strand włożyła telefon do torebki i odsunęła krzesło.

- Telefon czy nie, na nas już czas, jeśli zadał pan już wszystkie pytania. Mam szczerą nadzieję, że zbliżyliśmy się do końca tej osobliwej wycieczki.

Ostatnie słowa skierowała do rzadkowłosego funkcjonariusza oraz jego kolegi, którzy właśnie weszli do środka.

- Obawiam się, że nie - odparł Eberlein.

Znów położył dłoń na ramieniu Dona i lekko przycisnął.

- Mimo że sam chcę wierzyć w pańskie słowa o Ravensbrück, w Niemczech nie zrobiły one chyba wrażenia. Oni mówią, że mam dać panu wybór. Wybór, o którym najchętniej podyskutowałbym w cztery oczy.

- Nie rozumiem...? - powiedziała Eva Strand.

Eberlein dał znak policjantom, rzadkowłosey podszedł do prawniczki i chwycił ją za ramię.

Z początku sprawiała wrażenie, jakby miała zaraz zaprotestować, jednak dała za wygraną i ze zdumiewającym trudem podniosła się z krzesła. Poruszała się sztywno, jej zapięta pod szyję bluzka była wymięta, spod jasnych nylonowych rajstop zaś prześwitywały żyły.

Eberlein podał jej płaszcz.

- To zajmie tylko kilka minut - powiedział.

Eva wzięła płaszcz bez słowa, przewiesiła torebkę przez ramię i długo przypatrywała się Donowi.

- Cokolwiek on powie - rzekła - wkrótce znów będziemy w Falun.

Kiedy za Evą i dwoma funkcjonariuszami zamknęły się drzwi, Eberlein usiadł na krześle obok Dona. Roztaczał wokół siebie ciężki zapach perfum i wbijał w męzczyzną spojrzenie, którego nie dało się zignorować. Dłoń, którą położył na jego kolanie, była drobna, o wąskim nadgarstku - przypominała dłoń kobiecą.

- Istnieje teraz tyle nowoczesnych systemów - zaczął Eberlein. Don spojrzał w stronę drzwi, jednak delikatny głos przywabił go z powrotem. - To, co kiedyś było prostym zamkiem, dziś może składać się z urządzenia, które rozpoznaje tęczęwkę oka albo linie w odcisku palca. A jeżeli chodzi o palce, system może być na tyle zaawansowany, by wykryć, czy skóra jest ciepła, czy zimna, i tym samym stwierdzić, czy jest to palec żywej osoby.

Don na darmo próbował poczuć uspokajające działanie xanoru.

- Jednak jak zawsze w takich przypadkach pozostaje luka dla zręcznego fałszerza.

Eberlein poklepał go po udzie.

- Jeżeli ktoś, tu i teraz, chciałby mieć pańskie odciski palców, mógłby je uzyskać, na przykład posypując pyłem węglowym filiżankę, z której pan niedawno pił. Odcisnięte linie zdjąłby czymś tak prostym jak przezroczysta taśma. Potem linie z taśmy należałoby wyłobić igłą w formie odlewniczej wielkości napałka, którą następnie wypełniliby się cieniutką warstwą żelatyny. Żelatyna po stężeniu przewodziłaby prąd i ciepło, zupełnie jak ludzka skóra. Tym sposobem powstałby sztuczny koniuszek

palca, zdolny oszukać absolutnie każdy czytelnik.

- Zawsze ciągnęło mnie do mechaniki - powiedział Don.

- Jest tyle możliwych zastosowań - ciągnął Eberlein. - Można by na przykład umieścić kilka pańskich odcisków na stłuczonej butelce, która powinna chyba leżeć gdzieś w zaroślach koło jeziora Erika Halla. Butelkę trzeba by później niezwłocznie przekazać szwedzkiej policji, albowiem zachowywanie dla siebie tak ważnego tropu byłoby po prostu niezgodne z prawem. Narzędzie zbrodni z odciskami palców sprawcy to z pewnością dowód, który można uznać za rozstrzygający.

Don poczuł, że kiwa głową.

- Ale to wszystko pracochłonny proces - westchnął Eberlein.

Puścił udo Dona i odchylił się do tyłu.

- Tak, wydaje się skomplikowane - odparł Don.

- Może butelka, która zabiła nieszczęsnego Erika Halla, w ogóle nie zostanie znaleziona. W takim wypadku ta robota byłaby, delikatnie mówiąc, niepotrzebna.

Don znowu pokiwał głową.

- Może nawet nie będziemy mieli powodu, aby szukać. Może panu i pańskiemu adwokatowi przyjdzie do głowy jakaś rozsądna propozycja, dzięki której to wszystko, o czym mówiłem, będzie zbędne.

Don zamknął oczy i światło zgasło. Pocierając nos, próbował pobudzić myśli. W końcu powiedział:

- *O czym się nie da nic powiedzieć, o tym należy milczeć.*

- Ma pan czas na zastanowienie do jutra rana.

Słyszał, jak Ropuch ruszył w stronę drzwi, po chwili zaś rozległo się ciche stuknięcie. Kiedy otworzył oczy, zobaczył, że obaj policjanci i Eva Strand wciąż stali za drzwiami. Niepewnie wstał z krzesła i zerknął na zegarek - pokazywał północ.

- Obawiam się, że wasze lokum będzie trochę ciasne i niezbyt wygodne. Ale musicie zadowolić się tym, co gospodarz ma do zaoferowania.

Don poczuł na ramieniu dłoń Ropucha i zorientował się, że powoli wychodzi z biblioteki, kierując się w stronę krętych schodów.

20

Igła

- *Take a tsemishung* - powtórzył Don już któryś raz z rzędu.

Siedzieli obok siebie na piankowych materacach w ciasnym pokoju za kuchnią, oparci plecami o kredens.

- Skąd pochodzi to wyrażenie? - zapytała Eva Strand. Don skrzywił się, próbując zmienić pozycję. Ból w karku pojawił się już podczas długiej opowieści Eberleina, w bibliotece, a teraz, po kolejnych godzinach bez snu, zaczął promieniować do ramion, dłoni i palców.

- Jedyna dobra rzecz, jaką zostawiła po sobie moja babcia: jidysz.

- Więc jak by to określiła pańska babcia?

- *Take a tsemishung* - powtórzył Don. - Pieprzony mętnik.

Eva wykrzywiła usta.

- *Take a tsemishung* - powiedziała. - To prawda.

Kilka chwil wcześniej, idąc korytarzem piętro niżej, widzieli przed sobą plecy kołyszącego się na boki Ropucha. Minawszy jadalnię, której sufit ozdobiło malowidło przedstawiające dwa lecące orły na białoniebieskim niebie, weszli do kuchni okazałych rozmiarów. Tam Ropuch otworzył drzwi prowadzące, jak się okazało, do pokoju bez okien. Poprosił Evę i Dona, aby weszli do środka, po czym przekazał klucze rzadkowłosemu policjantowi.

Drzwi drewnianych kuchennych szafek miały kolor piaskowca, a półki nad zlewem pociągnięto olejem lnianym. W osłaniającej ścianę przed zabrudzeniem szerokiej ocynkowanej listwie odbijały się miski, chochle i ubijaki. Obok blatu pokrytego laminatem w szarą kratkę stały dwie ciężkie zamrażarki. Za drzwiami z przyciemnianego szkła, wyposażonymi w mały zamek, widać było piwniczkę na wino, w której butelki leżały na stojakach z cienkich metalowych prętów.

Ropuch skinął głową w kierunku leżących na podłodze materacy. Rzakowłosy policjant zamknął z trzaskiem drzwi i przekręcił klucz w zamku.

Przez chwilę Don słyszał jeszcze dobiegające zza drzwi głosy, jednak po niedługim czasie mamrotanie ucichło. Być może obydwaj policjanci zasnęli, ponieważ wskazówki zegara przesunęły się z dwunastej na drugą trzydzieści.

W ciągu spędzonych w ciasnej klitce godzin Don i Eva zdążyli gruntownie przeanalizować groźbę Eberleina. Kiedy Don powiedział o wszystkim Evie, na początku mu nie uwierzyła. Później stwierdziła, że ze wszystkiego, co się zdarzyło po opuszczeniu komisariatu w Falun, sfałszowane odciski palców były chyba najmniej zaskakujące. Don mówił coś o niemieckiej tradycji łączenia bezwzględnej metodyczności z zaćmieniem umysłu, a potem oboje poczuli, jak z powodu wzrastającego zmęczenia ogarnia ich głupawka. Po chwili z klitki zaczęły dobiegać odgłosy zduszonego śmiechu.

Eva wstała z materaca i podeszła do długiego zlewozmywaka. Otworzyła na chybił trafił kilka szafek, aż w końcu znalazła dużą szklanę, którą napełniła wodą. Po chwili jednak zmieniła zdanie i wylała wodę do zlewu. Don podążył za jej spojrzeniem, które padło na szklane drzwi i zamazane rzędy butelek.

- Pisał pan doktorat z historii - powiedziała Eva. - O nazistowskich symbolach, zgadza się?

Don skinął głową, ale prawniczka już się odwróciła i zaczęła przeszukiwać szuflady pod blatem.

- A więc jakie jest symboliczne znaczenie noża?

- Nóża...? - Don zaczął szukać w pamięci i okazało się, że pewne resztki jeszcze w niej zostały. - Nóż oznacza zwykle ofiarę i zemstę. Śmierć. - Wziął głęboki oddech i z zamkniętymi oczami mówił dalej. - Cięcie nożem może symbolizować oswobodzenie, jak w buddyźmie, gdzie oznacza narodziny własnego ja, odcięcie się od wszelkiej ignorancji i pychy.

Eva z trzaskiem zamykała i otwierała szuflady.

- Dla chrześcijan - kontynuował - nóż oznacza męczeństwo. Bartłomiej Apostoł został na przykład żywcem obdarty ze skóry za pomocą noża. - Obcasy Evy Strand stuknęły o kafelki. - Dla nazistów nóż stanowił całość ze swastyką. Godło założonego wcześniej Towarzystwa Thule stanowiła swastyka połączona ze sztyletem. Esesmani w dniu złożenia przysięgi otrzymywali sztylety z podwójnym ostrzem, których mieli bronić za cenę życia. Wynikało to z dziwnego pomysłu, że w ten sposób wstępują do szlachty: jako potomkowie w linii prostej rycerzy zakonu krzyżackiego.

Rozległo się ostatnie trzaśnięcie i zapadła cisza, ale Don dopiero się rozkręcał.

- W mitologii nordyckiej bogini Hel miała tron zwany Łóżem Chorych, stół nazywał się Głód, a jej nóż nosił ponoć nazwę...

- Dziękuję, wystarczy - przerwała Eva Strand.

- Jej nóż nosił ponoć nazwę Łaknienie.

Don podniósł wzrok i zobaczył, że Eva stoi teraz przodem do niego. W dłoni trzymała mały, spiczasty nóż kuchenny.

- Chciałam tylko zapytać... - powiedziała, podchodząc do drzwi piwniczki. - Chciałam zapytać, czy nóż można potraktować jako... - Włożyła ostrze do zamka. - Jako klucz.

Cienka zasuwka w szklanych drzwiach pękła z trzaskiem.

- Będzie o czym pisać w „Advokaten” - podsumował Don.

- Mimo wszystko istnieje kres ludzkiej wytrzymałości - odparła Eva.

Wsunęła nóż między futrynę a drzwi, otworzyła je i zniknęła w ciemności.

Don już prawie zasypiał, kiedy ponownie usłyszał stukot obcasów. Szklane drzwi się otworzyły i Eva Strand ostrożnie postawiła na blacie zakurzoną butelkę. Czarną, o zaokrąglonym kształcie, z napisem „Graham's Vintage Port” na etykiecie.

- Ambasador zgromadził niezłą kolekcję - skwitowała. - To jest z 1948 roku.

Z szafki nad zlewem wyjęła dwa połyskujące zielenią kieliszki i postawiła obok butelki. Don z materaca przyglądał się jej ruchom.

- Jeden z naprawdę dobrych roczników - zachęcała, zrywając firmową banderolę. - Mam rację?

Don nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie.

- Proszę bardzo, może pan udawać niezainteresowanego... - Eva wyciągnęła korek. - Ale mówię panu, że czterdziesty ósmy jest wyśmienity. To porto mogłoby się starzeć kolejne pół wieku bez uszczerbku na jakości. Jest zupełnie ponadczasowe.

Napełniła kieliszki i podała jeden Donowi. Widział, że się mu uważnie przygląda.

- Tak smakowała Lizbona tuż po wojnie - powiedziała.

Po wzięciu pierwszego łyku Don poczuł się, jakby pił syrop. Był to silny, wręcz nieprawdopodobnie skoncentrowany smak karmelu i kawy.

- Tego roku był wyjątkowo zimny lipiec - kontynuowała Eva, przepłukawszy portwajnem usta. - Na początku sierpnia zaczęły się upały, które przyspieszyły dojrzewanie winogron. O ile dobrze pamiętam, było tak gorąco, że zbiory musiano rozpocząć wcześniej, choć i tak większość owoców uschła. Już wtedy winogrona były odpowiednio słodkie. Czterdziesty ósmy już na początku lat sześćdziesiątych był klasykiem i porównywano go z czterdziestym drugim, również bardzo dobrym rokiem.

Przesunęła językiem po wargach, czując na nich słodycz.

- Może dla porto - odparł Don i odstawił kieliszek.

Następnie wstał nieporadnie z materaca i próbował pozbyć się sztywności w ramionach i nogach. Gdy zobaczył swoje odbicie w błyszczącej listwie osłaniającej ścianę przed zachlapaniem, pomyślał, że wygląda jak mechaniczny strach na wróble. Dostrzegł też Evę, opierającą się biodrem o zlewozmywak: brzeg brązowej bluzki wysunął jej się zza paska, a ze starannie upiętych jasnych włosów uwolniło się siwe pasmo, które opadało teraz na oczy.

- Niech się pan sam rozejrzy, może pan coś znajdzie - rzuciła, kiwając głową w stronę wyłamanych drzwi.

- Musi być jeszcze coś innego do roboty? - odparł Don z irytacją.

Eva wzruszyła tylko ramionami.

W piwniczce było zimno i kiedy wszedł w korytarz między wystającymi szybkami butelek, uderzył go strumień chłodnego powietrza. Wbudowane w sufit lampy rzuciły przytłumione światło, a na beczce z winem stał poślaczony korkociąg i dwa kryształowe kieliszki.

Koło beczki znajdowały się prowadzące w dół schody. Don spojrzął przez ramię i przez przyciemnianą szybę dostrzegł sylwetkę czekającej na niego Ewy. Mimo to zdecydował się zejść na dół.

W dolnej części piwniczki ściany zbudowane były z chropowatej cegły. Wzdłuż nich biegły gęsto rozmieszczone grube deski, na których stały rzędy zakurzonych butelek. Z wysokiego sufitu, na kablach oplecionych materiałem, zwisało kilka gołych żarówek.

Don zastanawiał się, w jaki sposób prawniczka tak szybko znalazła dobry rocznik, ale nie będąc znawcą win, pomyślał, że najlepsze muszą być schowane najgłębiej. Doszedł więc do samego końca piwniczki, wspiął się na palce i zdjął butelkę ze środka najwyższego rzędu. Wyglądała niepozornie i była oznaczona rocznikiem 1999. Kolejna była lepsza: burgund z 1972 roku, a trzecia, z 1959, wydawała się już całkiem obiecująca.

- Jeżeli trzyma się coś tak długo, to musi być dobre - wymamrotał Don sam do siebie i spojrzął jeszcze raz na puste miejsce po butelce.

Gdy wrócił do pokoju, Eva Strand wciąż stała, opierając się o zlewozmywak. Wydawała się bardziej zmęczona, niż kiedy wychodził, i najwyraźniej butelka porto już nie zaprzętała jej głowy.

- Ta historia musi się zakończyć - powiedziała.

- Tam na dole jest coś, co musisz zobaczyć - odparł Don.

Poprowadził ją z powrotem do piwniczki i dokładnie zamknął za nimi szklane drzwi.

Minawszy ciasny korytarz i beczkę z kryształowymi kieliszkami, zeszli do dolnej części pomieszczenia. Na podłodze w rzędzie stało mniej więcej pięćdziesiąt butelek, które Don zdjął z najwyższej półki.

- Nie żałuje pan sobie - stwierdziła Eva Strand.

Don wskazał półmetrową drewnianą skrzynkę, którą opróżnił, żeby nie musieć stać na palcach, kiedy przeglądał butelki. Eva zrobiła kilka kroków do przodu, spojrziała pytająco na Dona i weszła na skrzynię. Zaciskając palce na najwyższej półce, zajrzała w otwór po usuniętych butelkach.

- Widzi to pani?

Eva skinęła głową. Wyciągnęła rękę przed siebie.

- Nie sięgam.

- To chyba ze szkła - powiedział Don.

- Nie mogę...

Po ostatniej próbie Eva dała za wygraną, wyjęła rękę i spojrziała na Dona.

- Co zamierza pan teraz zrobić? - zapytała, nadal trzymając się najwyższej półki.

- Proszę mi pomóc zabrać resztę butelek.

Eva spojrziała zdziwiona, ale w końcu podała Donowi pierwszą butelkę bordeaux. Potem następną i następną, a kiedy najwyższa półka była pusta, wspólnie zdjęli grubą deskę i zaczęli opróżnianie kolejnej. Wkrótce całą dolną część piwnicy zajmowały butelki, a gdy zdjęli jeszcze jedną deskę, nie trzeba już było stawać na skrzynce.

Ich oczom ukazało się to, co wcześniej zasłaniały górne półki: wąskie piwniczne okno z niebiesko-czerwonymi szybkami, pasiaste od brudu i kurzu. Don roztrzaskał kopniakiem drewnianą skrzynkę i z wysiłkiem wyłamał jedną z desek. Nadal wystawały z niej dwa zardzewiałe gwoździe. Don trzymał ją

w ręku niczym broń.

- A jeśli nas usłyszą? - zapytała Eva.

Spojrzał na nią i przeciągnął na próbę palcami po gwoździach.

W ciszy nadal oczyszczali półki, aż dotarli do najniższej, która okazała się przykręcona do ceglanej ściany. Don pomyślał, że może dzięki temu wytrzyma jego ciężar.

Dał znak Evie, żeby mu pomogła, oparł się o jej ramię i ostrożnie postawił stopę na dolnej półce. Podniósł się i zachwiał do tyłu - musiała go podtrzymać, żeby zupełnie nie stracił równowagi.

Małe okienko miał teraz w zasięgu ręki, zaledwie jakieś dziesięć centymetrów nad głową. Podskoczył na wygiętej desce, ta jednak wytrzymała. Wyciągnął rękę.

- Proszę mi to dać.

Eva podała mu deskę z wystającymi gwoździami.

- I gdyby mogła mnie pani przytrzymać.

Żadnej reakcji.

- I gdyby mogła...

Poczuł jej dłonie na plecach.

Chwycił mocno deskę, trzymając ją gwoździami do przodu. Nie wiedział, jak mocno uderzyć, więc na początek spróbował lekko stuknąć - gwoździe odbiły się od szkła. Spróbował znowu, tym razem mocniej, biorąc krótki, ale solidny zamach - rozległ się przenikliwy dźwięk tłuczonego szkła i niebiesko-czerwone odłamki posypały się na kamienną podłogę. Don poczuł, że Eva się wzdrygnęła.

Po długiej chwili ciszy wysyczała:

- Tak, to dopiero było dyskretne.

Don naciągnął rękaw marynarki na knykcie prawej dłoni i zaczął wybijać resztki ostrych odłamków tkwiących w ramie piwnicznego okna. Poczuł napływające do środka nocne powietrze.

Kiedy usunął już większość odłamków, puścił rękaw i wysunął dłoń przez okno. Jakies dziesięć centymetrów niżej wymacał coś wilgotnego i kiedy cofnął się, w świetle żarówki zobaczył, że palce ma czarne od ziemi. Pokazał je Evie.

- Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł.

Włosy miała w nieładzie, oczy zaczerwienione.

- A ma pani lepszy? - zapytał Don, schodząc.

Nie było żadnej odpowiedzi.

Benzodiazepiny w kapsułkach xanoru działały już na całego, bo kiedy Don ruszył z powrotem w kierunku szklanych drzwi i wszedł do pokoju, towarzyszył mu dziwny spokój. Na materacu wciąż leżała jego czarna torba - światło z sufitu odbijało się w jej błyszczącej skórze. Chwycił ją za pasek, podniósł, podszedł do zamkniętych kuchennych drzwi i nasłuchiwał. Żadnych kroków, żadnych głosów. Nic. Spojrzał na zegarek. Było wpół do czwartej, na dworze nadal powinno być ciemno. Szybki trucht dębową aleją i znajdzie się na drodze wiodącej obok Skansenu. Stamtąd dostanie się na Karlaplan, a potem na dworzec T-Centralen. Metrem pojedzie na północ, do jedyne go bezpiecznego miejsca, jakie zna.

Zaczął się zastanawiać, kiedy ostatni raz biegał. Pamięć zawsze miał świetną, ale wspomnień takiej akurata aktywności fizycznej nie posiadał. Jednak coś, prawdopodobnie xanor w połączeniu z dekstroamfetaminą, sprawiło, że Don poczuł, iż w sytuacji takiej jak ta będzie w stanie poruszać się z dużą prędkością.

Przełożył pasek torby przez ramię - zawisła pewnie na jego boku - obrzucił ostatnim spojrzeniem pokój i zamknął za sobą drzwi.

Eva czekała na niego. Podniosła wzrok na wybite piwniczne okienko.

- Jest o wiele za wąskie - powiedziała. - Nie precyzyjnie się pan, a nawet gdyby, to co pan zrobi potem?

- Mam pewien mglisty plan.

- To mnie pan uspokoił.

Założyła ręce na piersi.

- Lepsze to niż zostać tutaj. Idzie pani?

Eva spojrzała w kierunku schodów, po czym, uśmiechając się słabo, powiedziała:

- Podczas procesu adwokat musi widzieć wyjścia i nie powinien wprowadzać klienta w ślepią uliczkę, którą kończą zatraskujące się za plecami drzwi.

Donowi udało się stanąć na najwyższej półce.

- Powodzenia - powiedziała Eva.

Don zabrał ze sobą z pokoju dwa białe ręczniki. Owinął je teraz wokół dłoni i chwycił ramę okna. Kiedy zorientował się, że nie da rady, zaczął wołać o pomoc. Eva popchnęła go ku górze, a on oparł stopę o jej ramię.

- To poniżej mojej godności - usłyszał, zanim udało mu się przeciągnąć i do połowy przecisnąć przez okienko.

W brzuch wbił mu się jakiś szklany odłamek, którego wcześniej nie usunął. Poruszył głową i rozejrzał się dookoła. Po prawej stronie, kilka metrów dalej, dostrzegł fasadę willi, po lewej gałęzie i liście.

To pewnie ogród, pomyślał i podciągnął się jeszcze trochę. Kiedy w końcu udało mu się wysunąć nogi przez okienko, kucnął, opierając się plecami o ciemną ścianę.

- I jak tam? - dobiegł z dołu szept Ewy.

Tak cicho, jak potrafił, przysunął się do okienka. Zajrzał do środka i zobaczył zaniepokojoną twarz Ewy Strand.

- Nie sądziłam, że mówi pan poważnie - syknęła.

- Mimo to bardzo mi pani pomogła.

Pokiwała głową i rozejrzała się niepewnie dookoła.

- Zostaje pani? - zapytał.

- Ja...

Don wyciągnął rękę.

Eva zrobiła niepewny krok naprzód. Don chwycił ją za nadgarstki i podciągnął na najniższą półkę. Odchylił się do tyłu i zaparł nogami o futrynę. Eva była zdumiewająco lekka i wydawało mu się, że podnosi dziecko.

Kiedy już prawie ją wyciągnął na zewnątrz, krzyknęła. Puścił jej dłonie i zobaczył, że nerwowo kopie, jakby jej noga o coś zahaczyła. W końcu udało jej się oswobodzić i wczołgała się za nim w zarośla pod ścianą budynku.

Don zobaczył, jak delikatnie dotyka nogi. Pokazała mu potem palce. W ciemnościach nie sposób było cokolwiek zobaczyć, ale gdy złapał ją za rękę, zorientował się, że to krew.

- Skaleczyłam się o coś. Mógł pan być trochę... - Słowa rozplynęły się w jęku, w końcu jednak wykrztusiła: - Mógł pan być trochę dokładniejszy przy usuwaniu szkła.

Don nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Zdjął tylko jeden ręcznik i przycisnął do miejsca, które pokazała: od zgięcia pod kolanem wzdłuż łydki biegła dziesięciocentymetrowa rana.

Siedziała, trzymając się jego ramienia, a on poczuł, że z bólu ściska go coraz mocniej. Po kilku minutach usłyszał cichy szelest, który zamienił się w odgłos kroków.

- Ktoś idzie - szepnął.

Zauważył, że Eva próbuje wstrzymać oddech: wciągała nieznacznie powietrze przez nos, zaciskając wargi.

Don przeczłogał się na skraj krzaków i odsunął kilka gałązek, żeby lepiej widzieć. Na oświetlonym tarasie willi stał rzadkowłosy policjant. Wyjął papierosa, a po chwili jego skuloną dłoń oświetlił płomień. Kiedy zaciągnął się po raz pierwszy, papieros się rozżarzył.

Rzadkowłosy stanął zaledwie kilkanaście metrów od miejsca, w którym siedzieli. Don czuł gryzący zapach dymu. Kawalek dalej, na podjeździe, dostrzegł zaparkowane kombi w kolorze metalik.

Policjant, nie spiesząc się, wypalił papierosa. Potem wytrząsnął z paczki kolejnego, zakaszał i włożył go do ust.

Don zaczął grzebać w torbie, daremnie usiłując znaleźć w niej jakąś broń. Słyszał, że Eva ostrożnie zmienia pozycję. Jej ruchy były praktycznie niedosłyszalne, ale w postawie rzadkowłosego coś się zmieniło. Wyjął papierosa z ust i rzucił go na ziemię. Potem odwrócił się i skierował spojrzenie dokładnie w ich stronę.

Kiedy Don spojrzał policjantowi w oczy, był pewien, że zostali odkryci. Gdy jednak policjant niespiesznie ruszył w stronę zarośli, Don zrozumiał, że mają jeszcze czas. Spojrzał na strzykawkę, którą wyjął z torby - zdziwiło go, że tak dobrze zna wszystkie jej zakamarki. Spróbował się wycofać. Ten nieznaczny ruch wystarczył, by rzadkowłosy wszystkiego się domyślił.

Don poczuł, jak podnosi go za lewe ramię i wyciąga na jasno oświetlony taras. Jakimś cudem udało mu się chyba kopnąć policjanta w nogę, uścisk bowiem jakby odrobinę zelżał.

Wykorzystując to, Don sięgnął strzykawką do ust. Zębami zdarł osłonę z igły i na oślep wbił ją w szyję policjanta. Nie było najmniejszych wątpliwości, że trafił i ugodził go mocno, ponieważ policjant krzyknął i zwolnił uścisk. Kiedy Don na niego spojrzał, coś było nie tak. Rzadkowłosy stał wyprostowany.

Początkowo Don nie rozumiał, o co chodzi, potem jednak zobaczył, że tłok strzykawki nadal nie jest wcisnięty. Igła musiała trafić w tętnicę szyjną, ponieważ strzykawka poruszała się w rytm uderzeń serca.

Podczas gdy policjant niezdarnie błędził dłońmi po karku, Don próbował zebrać siły, by się podnieść. Nagle zobaczył postać, która, kulejąc, weszła w krąg światła. Rzadkowłosy nie mógł jej widzieć, ponieważ zbliżała się do niego od tyłu. Kiedy znalazła się tuż za jego plecami, chwyciła strzykawkę i zdecydowanym ruchem nacisnęła tłok, wstrzykując mu sześć mililitrów leptanalu.

Policjant zdążył zrobić pół obrotu i spojrzeć prawniczce prosto w oczy. Potem zachwiał się, zatoczył i upadł.

Eva Strand przykucnęła nad leżącym ciałem, trzymając się za krwawiącą nogę. Don podbiegł do niej i zaczął przeszukiwać kieszenie kurtki policjanta. Miał przekleństwa, dopóki nie znalazł kluczyków od samochodu.

Zataczając się, ruszyli w stronę podjazdu. Ona obejmowała go ramieniem. Gdy znaleźli się kilka metrów od samochodu, Don pilotem otworzył drzwi. Pod Evą ugięły się nogi i ostatni kawałek musiał ją nieść.

Wepchnął prawniczkę na siedzenie pasażera, dysząc, obiegł samochód, otworzył drzwi i usiadł za kierownicą. Po nieudanej próbie znalezienia stacyjki zapalił światło. Przekręcił kluczyk, silnik ryknął i wreszcie mogli ruszyć. Don zwolnił ręczny, a kiedy pojazd zaczął się toczyć w stronę alei, wcisnął gaz do dechy. W ostatniej chwili zdążył ominąć potężny pień, który nagle przed nimi wyrósł.

Kiedy pędzili Djurgårdsvägen, samochodem trzęsło tak, że Eva zaczęła krzyczeć. Zatrzymał się więc na przystanku linii autobusowej numer czterdzieści siedem i wyjął z torby sześć fioletowych tabletek. Jednak kiedy je już połknęła, zdał sobie sprawę, że dawka mogła być za duża.

Poklepał ją pocieszająco po udzie i spojrzał na jej nogę. Nylonowa pończocha była aż czarna i zupełnie mokra, a kiedy zdjął jej but, okazało się, że jest pełen krwi. Don owinał jej nogę ręcznikiem tak mocno, jak się dało, i zawiązał jego końce. Eva oparła się o siedzenie.

Zwolnił hamulec, spojrzał w lusterko i w ostatniej chwili włączył się do ruchu przed pędzącą ciężarówką.

W myślach wytyczył trasę: Strandvägen, Hamngatan, T-Centralen. Potem pozbędzie się samochodu i niebieską linią metra pojedzie na północ.

21

Krzyż

Elena pchnęła bramę prowadzącą na mały placyk z zamurowaną studnią i uderzyło ją ostre światło poranka.

Na jej twarzy nie było już śladu po nocnych koszmarach. Starannie pomalowała oczy i odważyła się na pociągnięcie policzków różem. Stąpała po cienkim lodzie, wiedziała bowiem, że Vater nie chce widzieć żadnych oznak jej dorosłości. Żeby nie prowokować go jeszcze bardziej, włożyła workowaty dres i trampki.

Chcąc nie chcąc, ruszyła przez miasto w stronę wielkiego banku, a krzyż w jej plecaku był jak sopel lodu. Czowała ciężar w środku, nie potrafiła jednak nie przyspieszyć kroku, a kiedy biegła po wyłożonych kocimi łbami znajomych ulicach, ruchy miała sprężyste i lekkie. Przy pensjonacie Ottenhof skręciła między obudowanymi murem pruskim domami w uliczkę, która miała ją zaprowadzić na plac Ratuszowy w Wewelsburgu.

Pokonując ostatnie metry dzielące ją od wielkiego banku, nie mogła nie spojrzeć na rysujący się ponad dachem zamek. Jako dziecko uważała go za znak, że naprawdę znalazła się w miejscu z bajki - we własnym zamku! - teraz jednak było to dla niej tylko gorzkie wspomnienie wszystkiego, co zostało utracone.

Stanąwszy przed oszklonym wejściem, sięgnęła przez ramię do tyłu, żeby po raz ostatni upewnić się, że w plecaku naprawdę jest to, co mu obiecała. Następnie wciągnęła do płuc tyle powietrza, ile tylko zdołała, i wkroczyła do wielkiej marmurowej sali.

Kiedy podeszła do recepcji w dźwięczącej echem sali, obaj portierzy jak zwykle pozdrowili ją urzędowo. Jeden z nich podsunął czytnik odcisków palców, chociaż znał ją, odkąd była dzieckiem. Kiedy go dotknęła, rozległ się syk i w pancernej szybie naprzeciwko niej otworzyło się przejście. Wchodząc po schodach, stąpała ciężko i próbowała powstrzymać myśli, które mogłyby ją zaprowadzić za daleko.

Schody wreszcie się skończyły i Elena poszła korytarzem w prawo. Długi chodnik doprowadził ją do windy, którą wjechała na górę, do poczekalni przed gabinetem dyrektora. Siedział tu młody asystent o piegowatej twarzy i białych jak kreda włosach. Obrzucił ją krótkim spojrzeniem. Czekano na nią.

Elena spojrzała na olejne portrety nad jego głową: matowoczarne, w złotych ramach. Całe pokolenia surowych twarzy i wszystkie spoglądały na nią, kiedy robiła ostatni krok w kierunku drzwi. Nacisnęła kławkę i drzwi otworzyły się bezszelestnie.

Zobaczyła panele ścienne ze starego dębu, nawoskowany parkiet i rzędy kas pancernych, w których od dawna spoczywały szklane kapsuły z mieniącym się proszkiem. Elena stanęła kawałek od biurka, przy panoramicznym oknie. Chociaż Vater był do niej odwrócony plecami, wiedziała, że słucha jej oddechu.

Jak zwykle wpatrywał się w zamek. Nad przerośniętą północną wieżą zebrały się burzowe chmury. Jego szczupła sylwetka tak bardzo wystawała ponad oparcie, że wyglądało to nienaturalnie, jakby siedział na krześle przeznaczonym dla dziecka.

- Eleno...

- Tak, Vater.

Mówiła do jego pleców.

- Wyświadczyłeś fundacji wielką przysługę, ale popełniłeś też kilka poważnych błędów.

- Zdaję sobie z tego sprawę, Vater.

Przeciągała sylaby - wiedziała, że nienawidzi tej odrobiny włoskiego, jaka wciąż pobrzmiwała w jej wymowie.

- Wysłanie akurat ciebie było dowodem dużego zaufania. Zadanie było proste, ale miało absolutnie kluczowe znaczenie. A ty musiałeś wszystko... skomplikować.

Zrobił pauzę, by dać jej szansę na przeprosiny, uznała jednak, że lepiej będzie milczeć.

- Czym jest krzyż bez gwiazdy, Eleno? - Gumowe kółka jego wózka zapiszczały, kiedy odwrócił się w jej stronę. Mówił dalej: - Zwykłym śmieciem. Antykiem zupełnie pozbawionym wartości.

Vater ominął biurko z błyszczącym skórzanym blatem i wyjechał na środek pokoju. Gdy przesunął do tyłu wajchę w podłokietniku, uruchomił mechanizm w siedzisku i podnózkach i przybrał pozycję stojącą.

Nigdy nie mogła się przyzwyczać do jego pociągłej, pozbawionej zarostu twarzy, do płaskich kości policzkowych, ciasnego uzębienia i zbyt małych ust. Żeby nie widzieć swojego odbicia w jego mętym, niewidzącym oku, skupiła wzrok na drugim - czarnym i przenikliwym.

Zawsze myślała, że choroba upodobiła Vatera do pająka - miał cienkie, patykowate ręce i nogi - jednak nigdy to przekonanie nie było tak dobitne jak teraz, kiedy przysunął się jeszcze kawałek bliżej i spojrzał jednym okiem na otwarty plecak, który trzymała przed sobą.

- Zwykłym śmieciem - powtórzył. - Ozdóbką bez wartości.

Długimi, rozczapierzonymi jak grabie palcami sięgnął do plecaka.

- *Es wiegt ganz leicht, ja?* - zapytał i przytrzymał krzyż przed sobą. - Mówiłem, że będzie lekki, prawda?

Przebierał pajęczymi palcami po trzonie krzyża i mamrotał, próbując odszyfrować inskrypcje.

- Wzywam cię, boski sprawco...

- ...ciebie, który obdarzasz bogactwem - dodała Elena.

Widzące oko Vatera spojrzało na nią przenikliwie.

- To się jeszcze zobaczy - powiedział. - Ze Sztokholmu nie ma na razie żadnych wiadomości.

- Titelman... - zaczęła Elena.

- Powinniśmy byli zmusić Norwegów, żeby przechowywali to w pewniejszym miejscu, ot co - przerwał Vater. - Kosztowało nas to dziewięćdziesiąt lat. Dziewięćdziesiąt, a może o wiele więcej, o ile to naprawdę jedyne, co było w tamtej kopalni. Chociaż jeżeli syn był tak przywiązany do krzyża, że nosił go przy sobie aż do śmierci, nie mógł raczej wyrzucić gwiazdy do morza.

- Hall powiedział..

- A no tak, rzeczywiście! - przerwał Vater. - Erik Hall coś powiedział - ostatnie słowo wymówił z naciskiem. - O tym, że znalazł coś jeszcze. Może powinniśmy poprosić szwedzką policję, żeby porozmawiała z nim raz jeszcze? Wypytała o kilka szczegółów, byśmy nie musieli zawracać sobie głowy tym Titelmanem.

Elena patrzyła w podłogę.

- Z tego, co słyszałem, Szwedzi umieścili jego ciało w kostnicy. Może masz ochotę tam wrócić i przeprowadzić przesłuchanie? Jeśli uda ci się pobudzić twoje wrażliwe zmysły do działania, to może coś z niego wydusisz.

Elena zacisnęła usta i milczała. W pokoju panowała cisza, a jej wydawało się, że nadal słyszy w sobie głosy nocy. Były jednak zbyt słabe, żeby wspominać o nich Vaterowi.

- Żyliśmy jak w półśnie, Eleno. - Vater poruszył wajchę i wrócił do pozycji siedzącej. - Żyliśmy jak w półśnie i cała nasza przewaga wkrótce zniknie. Ostatnie lata były na kredyt. Musisz zrozumieć...Rozległo się głośne pukanie do drzwi. Vater umilkł.

Drzwi otworzyły się i wszedł asystent.

- *Ein Anruf aus Schweden* - powiedział. - Telefon ze Szwecji.

Elena zobaczyła, że piegowaty przestępuje z nogi na nogę. Wreszcie zebrał się na odwagę:

- Coś się stało.

22

Stacja

Eva Strand próbowała znów zapaść w kojący sen, ale ból stał się zbyt silny. Z na wpół otwartymi oczami próbowała unieść nogę, żeby ocenić wielkość rany, jednak sygnały z mózgu najwyraźniej nie docierały do kończyny.

Oburącz chwyciła lewe udo i pomalutku podniosła je na tyle, by móc dosięgnąć łydki. Jej palce natrafiły na jakąś tkaninę, bandaż zawiązany tak mocno, że niemal blokował przepływ krwi. Kiedy ostrożnie uciskała nogę wzdłuż dziesięciocentymetrowego rozcięcia, czuła pod palcami kontury małych kawałków przylepca, którymi ktoś najwyraźniej połączył brzegi rany.

Wtedy wszystko zaczęło pomału do niej wracać. Widok Titelmana upadającego na kamienny taras i plecy rzadkowłosego policjanta zaledwie dziesięć centymetrów od jej twarzy. Zabarwiona na różowo strzykawka, wystająca z szyi i poruszająca się w takt pulsu.

Eva nie wiedziała, kim była kobieta, która nacisnęła tłok.

W swoim długim życiu nigdy nie zrobiła nic ryzykownego, a mimo to pamięć podpowiadała, że to właśnie ona, Eva, wyszła z krzaków pod ścianą willi i zdecydowanym ruchem przycisnęła tłok strzykawki. Kiedy rzadkowłosy upadł na ziemię i, co dziwne, stracił przytomność, także pod nią ugięły się nogi.

Przypomniała sobie własną myśl, że raczej nie tego oczekuje się po praworządnej szwedzkiej pani mecenas. Potem ból wziął górę i pamiętała już tylko, że połknęła tamte tabletki. Gdy jechali po Djurgårdsbron, autem rzucało, a potem wszystko zniknęło.

Otworzyła oczy, jednak żeby zrozumieć, co widzi, musiała parę razy zamrunąć.

Panował półmrok. Po jedwabnej tkaninie wiły się złote liście i łodygi, haft był utrzymany w indyjskim stylu, a tkanina spływała z betonowego sufitu. Eva przesunęła się kawałek, żeby móc dotknąć materiału. Drgnął, wisząc luźno przy ścianie.

Kiedy spojrzała w stronę stóp, zobaczyła ramę łóżka z kutego żelaza i kolejną haftowaną tkaninę. Za głową też miała jedwab, a za nim wyczuła ścianę.

Przed łóżkiem leżał gruby orientalny dywan, dokładnie pokrywający podłogę o powierzchni mniej więcej dziesięciu metrów kwadratowych. W pokoju było więcej indyjskich tkanin w łagodnych kolorach, a na niewielkich kryształowych podstawkach niedaleko drzwi paliły się świece i kadzidełka. Zrozumiała, skąd się wziął zapach drzewa sandałowego, choć oprócz niego wyczuwała coś jeszcze. Wydawało jej się, że wyczuwa smród... palącej się gumy.

Kiedy udało jej się usiąść na brzegu łóżka, w łydce czuła rwanie. Zobaczyła, że jej buty zostały równo ustawione obok drzwi. Gdy spróbowała się podnieść, poczuła, że dywan nie daje wystarczającego oparcia stopom. Próba się nie powiodła i Eva opadła między ułożone na łóżku poduszki. Siedziała przez chwilę, czekając, aż ból ustanie. Jej ciężki oddech zmieszał się nagle z innym dźwiękiem: szybko zbliżającym się metalicznym huczeniem. Pomyślała, że przecież to niemożliwe, ale brzmiało to tak, jakby zaraz miał ją przejechać jakiś ciężki pojazd.

Zacisnęła palce na materacu i spróbowała zwalczyć odruch, który kazał jej uciekać, by uniknąć zderzenia. W końcu instynkt zwyciężył, poderwała się i zrobiła kilka chwiejnych kroków. Mimo bólu zdołała utrzymać się na nogach, ale nie miała gdzie się schować przed tym czymś, co z hukiem pędziło wprost na nią. Coś szybko podskakiwało na złączeniach... czyżby szyn? Huczało i łoskotało już tylko jakieś pięćdziesiąt metrów od niej. Miała wrażenie, że za moment to coś ją przejedzie. Jak to możliwe? Stoi przecież w pokoju, osłaniają ją cztery ściany i sufit.

Nagle sam dźwięk stał się niczym ściana, która na nią naparła. Eva skuliła się i zasłoniła ramieniem głowę.

Przez chwilę, która zdawała się trwać wieczność, coś przetaczało się tuż nad jej głową, a pomiędzy betonowych płyt na suficie posypały się chmury piasku. Podmuch powietrza poruszył płomieniami stojących na podłodze świec, a huk rozpląnął się w oddali.

Zapanowała cisza.

Uświadomiła sobie, że drży.

Przez drzwi wsunęła się czyjaś ręka, przejechała po ścianie i nagle w pokoju zrobiło się jasno. Mrużąc oczy, Eva zobaczyła niską postać, która ruszyła w jej stronę. Ktoś chwycił jej rękę, oparł sobie na ramionach i pomógł wstać.

- Przepraszam. Znów im się coś pomyliło - powiedział wysoki kobiecy głos. - Ale i tak musiałyby się pani kiedyś obudzić, prawda?

Eva nie wiedziała, co odpowiedzieć. Wspierając się na kobiecie, chwiejnym krokiem minęła drzwi. Zobaczyła słabo oświetlony korytarz, pokryty ręcznie tkanymi dywanami: *kashmar*, *shiraz*, *karachi* i *afgan*. Kiedyś, przed wieloma laty, nauczyła się rozróżniać poszczególne wzory i teraz miała wrażenie, że znalazła się w sali domu aukcyjnego.

Kobieta spojrzała na nią z ukosa.

- Mają tłumić hałas - wyjaśniła. - Kiedy jakiś *shmok* w dyspozytorni ruchu wpadnie na pomysł, żeby puścić tędy skład, robi się cholernie głośno.

Czarne kręcone włosy nie były naznaczone siwizną jak włosy Dona, a w oczach kobiety Eva zobaczyła innego rodzaju spokój. Jednak ta blada twarz, z wyraźnie zarysowanymi nozdrzami, i lekko pochylona sylwetka...

- Nie kładł się, tylko czekał, aż się pani obudzi. Dochodzi siódma.

- Siódma - powtórzyła Eva, próbując określić upływ czasu. - Rano?

Kobieta zatrzymała się przed drzwiami na końcu korytarza. W nosie miała mały okrągły kolczyk, a na bluzie na wysokości piersi napis „Majomas IK”.

- Siódma wieczorem - powiedziała, krzywiąc się. - Odpoczywała sobie pani, odkąd pani przyjaciel wpadł na wyjątkowo idiotyczny pomysł, żeby tu panią przyprowadzić.

Potem pomogła Evie przejść przez próg do pomieszczenia o białych betonowych ścianach.

Wyglądało jak warsztat: wzdłuż ścian stały przemysłowe regały z metalu, na półkach piętrzyły się twarde dyski, kable, kartonowe pudła, zasilacze, rzutniki, płyty główne, splątane przewody, przejściówki, puste obudowy komputerów, płyty z obwodami drukowanymi, segregatory, postrzępione mapy i rysunki... A pośrodku tego całego informatycznego magazynu był stół, na którym migotało pięć monitorów. Eva zauważyła, że z każdym krokiem szum wentylatorów jest coraz głośniejszy.

Zdziwiła ją ulga, jaką poczuła, podchodząc do Titelmana, który siedział zgarbiony przy klawiaturze jednego z komputerów. Na uszach miał wypukłe plastikowe słuchawki i najwyraźniej nie zauważył, że Eva za nim stoi. Wciąż wpatrywał się w najbliższy monitor, na którym widniała strona szwedzkiego radia z notatką informacyjną:

18.43, czwartek, 14 września

POLICJA POSZUKUJE UCIEKINIERÓW

Policja poszukuje listem gończym 43-letniego mężczyzny, który wraz z 47-letnią kobietą uciekł wczoraj z konwoju jadącego z Falun do Sztokholmu.

Mężczyzna jest podejrzany o morderstwo, a kobieta o pomoc w ucieczce i atak na funkcjonariusza.

Jak podaje rzecznik policji, Johan Widen, policja prowadzi obecnie intensywne poszukiwania na północy Sztokholmu,

[aktualizowane na bieżąco]

Ciemnowłosa kobieta szturchnęła go mocno w plecy, a Don obrócił się z irytacją. Wtedy jednak zobaczył Evę i na jego zmęczonej twarzy pojawił się lekki uśmiech.

- Wpadłaś pod pociąg? - zapytał.

Spojrzała na swoje wygniecione ubranie.

- Tak, chyba można tak powiedzieć.

Nachyliła się do monitora i przeczytała krótką informację.

- Ta czterdziestosiedmioletnia kobieta to niby mam być ja? - zapytała.

- Pomoc w ucieczce i atak na funkcjonariusza: tak, myślę, że chodzi im o ciebie - odparł Don. - Ale to w końcu ty znasz tę prawniczą mowę.

Zdjął słuchawki i podał je Evie, żeby mogła wysłuchać fragmentu radiowych wiadomości. Słuchając, zaczęła przetrząsać torebkę w poszukiwaniu telefonu. Wyjęła go i wolną ręką oparła się o blat biurka, żeby zmniejszyć obciążenie bolącej nogi.

Po wysłuchaniu do końca jeszcze raz puściła fragment, coraz szybciej bębniąc palcami po biurku. W końcu odłożyła słuchawki i wzięła głęboki oddech.

- Policjanta, który pomaga Eberleinowi, zmuszono najwyraźniej, żeby zmyślił jakąś historyjkę.

Zacząła wystukiwać numer.

- Do kogo dzwonicz? - zapytał Don.

Spojrzała na niego zdziwiona.

- Do kolegów z kancelarii, rzecz jasna. Ktoś musi nam pomóc ustalić, co tak naprawdę się dzieje w komisariacie w Falun.

- Stąd pani nie zadzwoni - powiedziała kobieta.

Eva Strand patrzyła pytająco to na nią, to na Dona.

- Mojej siostrze chodzi o to - wyjaśnił Don - że może lepiej poczekać trochę z telefonem, do momentu, kiedy zakończą się poszukiwania w Sztokholmie i okolicach.

Eva opuściła dłoń z telefonem na stół.

- Aha, twoja siostra.

Don wyglądał tak, jakby chciał ugryźć się w język.

- Szkoda, że nie mogę zaprzeczyć - odparła kobieta.

Don grymasem twarzy dał siostrze znak, aby wyciągnęła rękę. Niechętnie posłuchała.

- Hex.

- Hex?

Kobieta nie wyglądała, jakby miała zamiar się powtarzać. Eva zdobyła się na uśmiech.

- Eva Strand - powiedziała. - Młodsza czy starsza?

- Słucham?

- Siostra. Młodsza czy starsza siostra?

- A jak ci się, kurwa, wydaje? - odparła Hex.

Po chwili niezręcznej ciszy Don wstał i pomógł Evie usiąść na swoim krześle.

- Pozwól, że zerknę na tę nogę - powiedział. - Gdybyś tak...? - Dał jej znak głową, by zdjęła nylonową pończochę, ponieważ chciał mieć dostęp do bandażu. Widząc jej wahanie, zapytał: - Jak myślisz, kto cię opatrzył, kiedy spałaś?

Eva poczuła, że się czerwieni. Zacząła ściągać pończochę. Kiedy Don ukucnął przy jej nodze, nachyliła się i powiedziała mu do ucha:

- Może mógłbyś mi powiedzieć, gdzie właściwie jesteśmy?

- Jesteśmy w moim domu w Kymlinge - odparła Hex, zanim Don zdążył cokolwiek powiedzieć.

Ona również usiadła przed jednym z komputerów i zaczęła bujać się na krześle.

- Nie musisz... - zaczął Don.

- To ty nie musiałeś jej tutaj przyprowadzać - przerwała Hex. - Naprawdę nie rozumiem, czemu to ma służyć. Tylko tracisz czas.

Odwróciła się i pochyliła nad klawiaturą. Najwyraźniej zaczęła nad czymś pracować, wkrótce bowiem wszystkie ekrany rozbłysły.

- Mieszkasz tutaj? - zapytała Eva.

- Tak. Czy pani mecenas ma z tym jakiś problem? - wymamrotała Hex, nie podnosząc wzroku.

Eva skrzywiła się, kiedy Don odchylił opatrunek. Następnie pokręciła głową.

- Nie, żadnego.

- No i dobrze.

Don westchnął.

- Moja siostra chce powiedzieć, że czuje się wspaniale w nienadającej się do zamieszkania i przeznaczonej do rozbiórki piwnicy pod stacją metra w Kymlinge, dokładnie w połowie drogi między Hallonbergen a Kistą. Linia niebieska.

- Kymlinge? - zapytała Eva.

- Większość ludzi zareagowałaby na fragment o mieszkaniu w piwnicy pod metrem - powiedział Don.

- Nie wiedziałam, że w Kymlinge w ogóle jest stacja metra.

- I o to właśnie chodzi - powiedziała Hex, skoncentrowana na stukaniu w klawisze.

- Kymlinge - rzekł Don, znów bandażując nogę - miało być stacją na trasie niebieskiej linii w kierunku Akalli i głównym punktem centrum, które planowano tu zrobić w latach siedemdziesiątych. Budowy jednak zaniechano, więc stacja składa się tylko z paru betonowych schodków i peronu. Nad nami jest głównie świerkowy las i...

- Jeszcze trochę i będziesz mógł napisać o tym książkę - mruknęła Hex.

- Ten przejeżdżający pociąg... - zaczął Don.

- ...jechał na Akallę, zgadza się - przerwała mu siostra. - Rzadko jednak zjeżdżają na boczny tor. Gdyby robili to częściej, miejsce raczej nie nadawałoby się na sypialnię.

- Teraz za to jest świetne - rzekł Don.

Eva zobaczyła w monitorze, że Hex się skrzywiła.

- Dziękuję, że pozwoliłaś nam tu przyjść - powiedziała.

Hex z początku sprawiała wrażenie, jakby nie dosłyszała, jednak przestała stukać w klawisze i odwróciła bladą twarz w kierunku Ewy, jakby dopiero teraz ją zauważyła.

- Nie ma za co. Naprawdę żaden problem - powiedziała z krzywym uśmiechem, po czym znów zgarbiła się przed monitorem.

Wreszcie Don dał Ewie znak, by założyła pończochę.

- Dobrze to wygląda - powiedział. - Przepraszam za to szkło.

Założywszy pończochę, Eva starannie naciągnęła spódnicę za kolana i włożyła buty na obcasie. Jeszcze raz spróbowała przenieść ciężar ciała na ranną nogę. Twarz wykrzywił jej grymas bólu. Delikatnie oparła stopę o podłogę.

Hex była pogrążona w pracy, Don zaś się nie odzywał, twarz miał poszarzałą ze zmęczenia. Przez długi czas słychać było jedynie szum wentylatorów.

- Co teraz będzie? - zapytała w końcu Eva.

Don nie odpowiadał.

- Co teraz... - chciała powtórzyć Eva, ale Hex jej przerwała:

- Twoja Eva zastanawia się, co zamierzasz zrobić, *Danele*. Chce, żebyś wtajemniczył ją w swoje plany na najbliższą przyszłość.

- Nie jestem jego...

- Pomyślałem, żeby... na jakiś czas wyjechać z kraju - odparł Don, nie odwracając się do Ewy.

- Wyjechać z kraju? - zapytała zdezorientowana.

- *Danele* dziś w nocy wyjedzie stąd pociągiem - odezwała się Hex. - Obiecałam, że pomogę mu

z biletami.

- Pociągiem?

- Twoja koleżanka się zacięła - stwierdziła Hex.

- Tak, pociągiem - odparł Don.

- Jesteś poszukiwany listem gończym i chcesz wsiąść do pociągu? - zapytała Eva Strand.

- Boże święty - wymamrotała Hex. - Nie mogę się skupić, słuchając czegoś takiego. - Odwróciła się do Ewy. - Wyślę *Danele* z kraju jako uszkodzony towar, którym w istocie jest. Tym się nie martw. Powinnaś się za to martwić, jak ty, jako adwokat, rozwiążesz to zamieszanie z policją. Z tego, co słyszałam od Dona, dotąd najwyraźniej się nie popisałaś.

- Obawiam się, że chyba trudno...

- Tak?

- Obawiam się, że chyba trudno będzie cokolwiek zrobić, jeśli Don tak po prostu zniknie.

- W takim razie jedź ze mną.

Don stanął za Hex i czytał tekst na monitorze. Eva zaczęła się zastanawiać, czy się nie przesłyszała. Wtedy Don odwrócił się w jej stronę.

- Jeśli ze mną pojedziesz, twoi koledzy z kancelarii w Borlänge będą nam mogli pomóc ustalić, co tu się dzieje. Po tym zdarzeniu ze służbami wywiadowczymi jesteś w takich samych tarapatkach jak ja.

Uniosła brwi.

- No dobra, może nie w takich samych.

- Ty i ja, morderca Erika Halla i jego czterdziestosiedmioletnia adwokat, uciekamy przed policją pociągiem. Dokąd? Na południe?

- Na południowy zachód - odparł Don.

Stukanie palców w klawisze ustało, jakby również siostra Dona czekała na odpowiedź.

Eva poczuła nagle, że potrzebuje czasu na zastanowienie, czasu dla siebie. Chwyciła się poręczy i zamaszystym ruchem dźwignęła się z niskiego krzesła. Kiedy po pierwszym niepewnym kroku przeniosła ciężar ciała, przeszył ją palący ból poniżej łydki. Wkrótce zdała sobie sprawę, że zaciskając zęby, jest w stanie samodzielnie dokuśtykać do zgromadzonych pod ścianą rupieci. Za sobą słyszała klójące się rodzeństwo. Wysoki głos wzburzonej Hex co jakiś czas zagłuszał zachrypnięty głos Dona, który brzmiał dokładnie tak, jak podczas dłużących się godzin w zamkniętym pokoju za kuchnią.

Eva nie mogła powstrzymać małego uśmiechu, jaki pojawił się na jej zaciśniętych wargach, kiedy przypomniała sobie Dona zręcznym tonem przytaczającego wybrane fragmenty dziwacznych teorii, jakie szerzyły się wśród jego studentów. Długą opowieść w bibliotece nazwał skondensowaną czarną wizją seminariów z całego dziesięciolecia, jednak w pewien sposób wydawał się zainteresowany historią Eberleina na temat półkul i Strindberga.

Eva przesuwała rękę wzdłuż półek, na których leżały puste obudowy komputerów, jej palce mijały zniszczone pamięci flash i pasty termoprzewodzące do procesorów. Dotarło do niej, że musi przestać oszukiwać samą siebie. Wiedziała przecież bardzo dobrze, kogo on jej przypomina, kogo przypominał jej od pierwszej chwili, przez co tak trudno było jej jasno myśleć. Ten sam urywany śmiech, który słyszała tak dawno temu, ta sama fascynacja wszystkim, co dziwne, mitami i skarbami ukrytymi w zapomnianych dokumentach. Ten sam zrezygnowany i trochę smutny wyraz twarzy...

Odwróciła się z powrotem do rodzeństwa i uznała, że nie ma sensu dłużej zwlekać.

- Jadę z tobą - oświadczyła.

Usiadła obok Dona. Nic nie odpowiedział, ale na jego twarzy malowała się ulga.

- No proszę, czasami da się zrozumieć, co mówisz - powiedziała Hex.

- Ale niech to będzie inny środek transportu niż pociąg. To brzmi jak wyjątkowo głupi pomysł. Kto na niego wpadł?

- Myślę, że będziesz zadowolona - odparła Hex.

Przez chwilę słychać było tylko szum komputerów.

- Don? - odezwała się Eva.

Don się zawahał, popatrzył na siostrę.

- Mogę...?

Hex skinęła głową, więc Don odchrząknął i powiedział:

- Będziemy podróżować we własnym przedziale, o ile można tak powiedzieć.

- Raczej wagonie towarowym - wtrąciła Hex.

- Wagonie towarowym? - spytała Eva.

- To moje oczko w głowie - odparła Hex.

Wpisała adres strony i dała znak Evie, by podjechała z krzesłem. Kiedy ta zbliżyła się do ekranu, ukazała się na nim zielono-biała strona z tekstem: „Green Cargo. Spersonalizowane rozwiązania logistyczne”.

- Jeżeli o tym komuś powiesz, Evo Strand, będę cię prześladować do końca życia.

- To byłoby męczące - odparła Eva.

- Okej, no więc tak - zaczęła i wskazała zielono-biały ekran. - W roku 2001 koleje państwowe podzieliły się na sześć różnych spółek. Stary wydział transportu towarowego, SJ Gods, miał być, jak mówili, „komercyjny”, więc przekształcono go w spółkę akcyjną Green Cargo. Był to dość nieskoordynowany proces, zwłaszcza jeżeli chodzi o system informatyczny. Śledziłam go z wielkim zainteresowaniem i, korzystając z okazji, podprowadziłam im jeden z około siedmiu tysięcy wagonów.

- Ukradłś wagon?

Eva nie mogła ukryć niedowierzania w głosie.

- Można powiedzieć, że pożyczyla - odezwał się Don.

- Okej, pożyczyla. Załatwiłam sobie dostęp do niewiarygodnie dziurawego systemu Green Cargo i dokonałam tam drobnej modyfikacji. Może można ją nazwać kreatywną księgowością.

- Kreatywną księgowością...? - powtórzyła Eva.

- Naprawdę powinnaś coś z tym zrobić - poradziła Hex.

Zamknęła stronę z logo Green Cargo i otworzyła coś, co wyglądało jak schemat blokowy. Mówiła dalej:

- To miało przede wszystkim posłużyć jako test na to, czy system można zmodyfikować. Piękne w tym wszystkim jest to, że w Green Cargo nie domyślili się, nadal się nie domyślają, że ukradłam... pożyczyla sobie ich wagon. Kiedy go używam, w systemie figuruje jako część ich transportu, kiedy zaś go nie potrzebuję, wydaję systemowi polecenie, by umieścić go wraz z pozostałymi nieużywanymi wagonami na bocznicy w pobliżu Kymlinge. Wystarczy parę prostych kodów, aby myśleli, że wagon jest zarezerwowany albo w naprawie, i zostawili go w spokoju. Tak jest od lat.

Wskazała migający rząd znaków:

GC 21-74-2262098-9

- Nazywam go Srebrną Strzałą - powiedziała Hex.

- Ale jazda wagonem towarowym... - zaczęła Eva.

- To był wagon towarowy - podkreśliła Hex. - Teraz stał się dla mnie czymś w rodzaju hobby. Bocznice kolejowe nie są zbyt pilnie strzeżone, więc przez ostatnie lata trochę go przebudowałam.

- Powiedz jej prawdę - polecił Don.

- Hm... w każdym razie jest w nim przedział i mogę zagwarantować, że podróż nim do męczących nie należy. Na początku korzystałam z niego głównie na terenie kraju, ale kiedy zrozumiałam znaczenie traktatu z Schengen i otwarcia granic, zaczęłam też wysyłać go na kontynent.

Hex zauważyła, że Eva wciąż kręci głową, więc zamknęła schemat blokowy i pochyliła się nad

klawiaturą.

- Myśl sobie, co chcesz. Teraz jednak muszę się postarać o wasze dokumenty podrózne, więc jeżeli chcesz mieć bilet i stąd wyjechać, pozwól mi pracować.

Eva skrzyżowała ramiona, odsunęła krzesło od stołu i przez chwilę śledziła dłonie Hex tańczące po klawiaturze. Spojrzała na Dona, który czekał z głową wspartą na ręce. Poczula, że noga znów zaczyna ją porządnie boleć, i zamknęła oczy, próbując zebrać myśli.

- Green Cargo - mruknęła pod nosem.

23

Wagon

Koło drugiej w nocy ucichły twarde dyski komputerów. Nagła cisza wyrwała Evę ze snu. Hex przeciągnęła się i ziewnęła, spoglądając na czarne monitory. Zrobiła pół obrotu i szturchnęła Dona. Kiedy jako tako oprzytomniał, powiedziała, że na nich już czas. System Green Cargo wreszcie przełknął informację o nadawcy, adresacie i rodzaju przesyłki. Wagon miał zostać włączony do transportu o trzeciej czterdzieści trzy nad ranem. Wprawdzie czasu mieli niewiele, ale inaczej musieliby czekać kolejną dobę.

Kiedy wyszli na niedokończony peron nad piwnicą do rozbiórki, wiatr połączony z mżawką siekł Evę po twarzy. Hex zapaliła silną latarkę kieszonkową i przyświecając sobie, prowadziła ich wzdłuż torów, potem w górę po wzniesieniu i przez gęsty las. Eva, szukając oparcia, ze wszystkich sił zaciskała rękę na ramieniu Dona, ale i tak się ślizgała, a uderzenia gałęzi sprawiały, że co chwilę traciła równowagę. Wyszli na wysypaną żwirem dróżkę i w świetle latarki zobaczyli stojący kawałek dalej rdzewiejący samochód.

Hex otworzyła drzwiczki, a Don pomógł Evie zająć miejsce na przegniłym tylnym siedzeniu. Hex wcisnęła się za kierownicę i przekręciła kluczyk w stacyjce. Silnik stęknął kilka razy, po czym zaskoczył. Jedyne działająca wycieraczka uparcie skrzypiała, gdy toczyli się przez ciemny las.

Koło stacji benzynowej wyjechali na autostradę. Poprzez strugi deszczu zalewające boczną szybę Eva zobaczyła parking Råstagaraget, na którym w oczekiwaniu na poranne kursy stały rzędami czerwone autobusy miejskie. Droga przed nimi była praktycznie pusta. Eva ucieszyła się, że nie ma ruchu, ponieważ przy zjeździe z autostrady w wąską drogę w stronę Solny i Råsundy hamulce działały bardzo kiepsko.

Kiedy przejechali mostem nad torami, Eva zobaczyła kremowy budynek. Na szczycie jego fasady znajdował się podświetlony szyld z napisem: „Solna TennisCenter”.

Wolno wjechali na parking przy centrum. Hex zaciągnęła hamulec, a Eva odpięła sflaczały kawałek materiału, który kiedyś był pasem bezpieczeństwa. Postawiła stopy na jezdni i wsparła się na ramieniu Dona. Kiedy spojrzała na bagażnik, zobaczyła, jak Hex wyjmuje z niego dwa duże plastikowe kanistry.

Eva i Don pokuśtykali za Hex w stronę kawiarni, przy której znajdował się kran. Hex zatrzymała się przy nim, przekręciła mały wihajster i zaczęła napełniać kanistry. Kiedy były już pełne, podała jeden z nich Donowi, zgasila latarkę i wszyscy troje ruszyli drogą przy hali sportowej. Z trudem weszli po zarośniętym chaszczami wzgórzu, a schodząc w dół, ślizgali się, dopóki nie trafili na wysokie ogrodzenie. Hex zaczęła szukać czegoś między słupami, po chwili znalazła zaczepioną stalową linkę, zdjęła ją i rzuciła na bok. W ogrodzeniu pojawiła się szpara.

- Mają tu psy, więc ruszaj się najszybciej, jak potrafisz - wyszeptała Hex do brata i z kanistrem w dłoni przecisnęła się przez ciasny otwór.

Kiedy Don pomógł przejść Evie, ta spróbowała się oprzeć na bolącej nodze i popatrzyła na rozciągające się przed nimi wielkie żwirowisko poprzecinane torami kolejowymi, tworzącymi nieregularny wzór. Jakies sto metrów od nich stały długie łańcuchy wagonów, a przez zasłonę deszczu powoli przedzierała się samotna lokomotywa. Na torowisko padało ostre żółte światło, a z autostrady dobiegał odległy szum ciężarówek.

Don postawił ciężki kanister na ziemi, żeby odsapnąć. Hex szepnęła, że nie ma na to czasu, rozejrzała się w prawo, w lewo i zgięta wpół pobiegła w stronę torów.

Obejmując ramieniem Dona i patrząc pod nogi, Eva pokuśtykała tak szybko, jak mogła, mijając betonowe podkłady i kałuże na żwirowej nawierzchni. Co jakiś czas udawało jej się podnieść wzrok i wtedy widziała Hex, machającą w biegu kanistrem. Jej kołyszący się cień wprawdzie przemykał po torach.

Wagony w pierwszym rzędzie miały otwarte platformy z ułożonymi w połyskujące piramidy

metalowymi rurami. Hex skierowała się na koniec składu i przystanęła, schowana za wystającymi cysternami.

Kiedy tam dotarli, Don po raz drugi próbował postawić na ziemi kanister, jednak siostra szturchnęła go i wskazała coś ręką.

W żółtym świetle, dwa tory dalej, stał samotny wagon towarowy. Był seledynowy z czarnym napisem „Green Cargo”. Przez skrajne litery przechodziły linie, wyznaczające krawędzie drzwi.

Podeszli do kłocowatego wagonu, długiego na trzydzieści metrów i wysokiego na cztery. Pierwsza szła Hex: szczupła, w kurtce przeciwdeszczowej, z kapturem naciągniętym na głowę. Za nią Eva w dwuczęściowym komplecie w szare cętki, ciągnąc jedną nogą po żwirze - wciąż obejmowała ramieniem Dona i słyszała, jak przeklina w jidysz ciężar swojego kanistra.

Kiedy się zatrzymali, Eva zwolniła uścisk i popatrzyła na napis widniejący nad masywną osią wagonu.

21 RIV

74 GC

226 2 098-9

Hex wyjęła z kieszeni kurtki duży klucz. Włożyła go w zamek rozsuwanych drzwi i przekręciła - rozległy się dwa trzaski. Następnie oburącz chwyciła dolną krawędź i pociągnęła, aż drzwi się rozsunęły.

- Jak mamy się tu pomieścić? - Eva usłyszała swój własny głos.

Wewnątrz wznosiła się ściana ciemnobrązowych pudeł z płyty pilśniowej. Ułożono je jedno na drugim i zdawały się wypełniać cały wagon, od podłogi aż po sufit. Metalowe okucia na bokach błyszczały we wpadającym do wagonu świetle i wyglądało na to, że bez wózka widłowego nie da się przenieść nawet jednego z samej góry.

Eva poszukała wzrokiem Dona, on jednak bez słowa pomógł Hex wdrapać się na wąski pasek podłogi wolny od pudeł.

Hex musiała usunąć jakąś blokadę, ponieważ rozległ się cichy trzask, a po chwili udało jej się odsunąć na bok fronty środkowych pudeł. Za nimi znajdował się szeroki na kilkadziesiąt centymetrów ciemny korytarz.

Odwróciła się i przykucnęła.

- No jazda, szybciej!

Eva z wahaniem chwyciła wyciągniętą dłoń i z pomocą Dona zdołała się wspinać na krawędź wagonu. Hex pokazała, jak precyzyjnie się obok skrzynek, idąc bokiem. Eva niepewnie ruszyła do przodu, przyciskając klatkę piersiową do ściany korytarza. Przez krótką chwilę do środka wpadało jeszcze żółte światło, jednak zaraz drzwi za ich plecami zamknęły się ze zgrzytem.

Eva po omacku błędziła dłońmi po skrzynkach, ostrożnie posuwając się naprzód. Kiedy natrafiła na tylną ścianę wagonu, nie miała nawet wystarczająco dużo miejsca, żeby się obrócić.

- Na górze w lewo - wyszeptała Hex.

Jej słowa musiały być skierowane do Dona, Eva poczuła bowiem, że sięga on do sufitu ponad jej głową, i usłyszała metaliczne szczęknięcie. Na podłodze zaszurał róg pilśniowej płyty, która została odsunięta na bok. Potem rozległ się charakterystyczny turkot, kojarzący się z rozsuwaniem drzwi starodawnego pociągu.

Wokół nadgarstka poczuła palce Dona, który pociągnął ją w lewo przez jakieś drzwi. Obcasy zapadły się w coś miękkiego i zaraz usłyszała głos Hex:

- Gdzie on, do cholery, jest?... Tu?...

Rozbłysło przyjemne światło żarówki i Eva pomyślała, że najwyraźniej wpadła w dziurę czasową, jakimś cudem bowiem poczuła się jak w domu.

Przed nimi rozciągała się dziesięcio-, nie, z pewnością dwunastometrowa salonka o ścianach

wyłożonych panelami z tekowego drewna. Na środku stał okrągły stół inkrustowany masą perłową, a przy nim dwa klubowe fotele ze skóry w odcieniu czekoladowego brązu. Kawałek dalej ustawiono bogato zdobiony cedrowy stół i sześć wygodnych krzeseł. Na ścianie po lewej wisiały miedzioryty przedstawiające indyjskie pałace i wille, a wzdłuż prawej ściany biegła elegancka półka na książki ze szlachetnego drewna, wypełniona zaczytanymi kryminałami.

Eva podeszła bliżej i zdjęła z półki jeden z nich.

- Agatha Christie... - powiedziała do siebie.

- Tak, ale nieźle się musiałam napracować - rzuciła Hex.

Słyszając jej głos, Eva się odwróciła. Siostra Dona nadal stała w drzwiach.

- Taaak... *Morderstwo w Orient Expressie* - rzekła. - Ingrid Bergman, Sean Connery, Lauren Bacall...

Hex przeszła powoli wzdłuż lewej ściany salonki, zapalając po kolei wszystkie lampki oświetlające zawieszane obok miedzioryty.

- I oczywiście Albert Finney jako Poirot. Kawał roboty odtworzyć to wszystko.

- Z pewnością - przytaknęła Eva.

Odłożyła kryminał na półkę i próbowała dojść do siebie.

- To był naprawdę szczególny czas, lata trzydzieste - odezwała się po chwili i uśmiechnęła.

Na końcu wagonu pod ścianą stała duża mahoniowa szafka, którą Hex otworzyła. W środku było coś w rodzaju kuchenki: mała płyta z dwoma palnikami, półki na przyprawy, talerze i garnki, a na samym dole dwie lodówki z satynowanej stali.

Don poszedł za siostrą, ciągnąc oba kanistry po dywanie, po czym włożył je do lodówki po lewej. Kiedy otworzył drugą, Eva dostrzegła kilka butelek wina oraz liczne rzędy słoików i konserw.

- Leżą tu od kilku miesięcy, ale nie ma czasu na zrobienie nowych zapasów. Aha, oszczędzajcie wodę.

Przeszła na drugą stronę i otworzyła drzwi prowadzące na zastawiony pudłami korytarz. W ciemności rozległy się trzaski i po chwili otworzyło się kolejne ukryte przejście, a po drugiej stronie wagonu rozbłysło światło.

Eva spojrzała na Dona, ale on skinął tylko głową, by tam poszła.

Kiedy przeszła na prawą stronę wagonu i otworzyła kolejne drzwi z mleczną szybą, ujrzała przytulny przedział. Znajdowały się tam dwa przymocowane do ściany miejsca do leżenia. Koło dolnego stał stolik z laptopem. Nad każdym z łóżek wisiała pomarańczowa lampka z porcelany. Tak jak w salonce, podłogę pokrywała intensywnie czerwona wykładzina.

Hex usiadła na brzegu łóżka, trzymając na kolanach cienką skórzaną aktówkę. Rozsunęła zamek, z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjęła kopertę i włożyła ją do środka.

- Myślę, że powinniście uznać swoje karty kredytowe za tymczasowo nieaktywne - powiedziała, zasuważąc zamek. - Daję wam całą gotówkę, jaką miałam w domu, a później skontaktujemy się przez internet - mówiąc, skinęła głową w stronę komputera - i znajdziemy jakieś rozwiązanie.

Odwróciła się i wsunęła aktówkę za elastyczną siatkę nad łóżkiem.

- Ale to nie jest prezent, *Danele* - dodała, wstając.

Podeszła do Dona, który wyczerpany opierał się o ścianę.

Drobnymi dłońmi chwyciła go za kłapy marynarki i spojrzała mu prosto w twarz.

- Już niedługo, prawdopodobnie w ciągu pół godziny, lokomotywa zawiezie was z Hagalund do węzła towarowego w Västberdze. Tam zostaniecie doczepieni do transportu kolei państwowych, który w piątki jeździ do portu w Helsingborgu. Następnie czeka was spokojna podróż do Skanii. Na tej trasie kursuje zwykle sporo pociągów. Na drugą czterdzieści pięć po południu zamówiłam kolejne przełączenie: tym razem to francuski pociąg towarowy z lepszymi wagonami, więc za Helsingorem prędkość wzrośnie. Na miejscu będziecie po kolejnych dziesięciu, może jedenastu godzinach. W kopercie jest cała dokumentacja.

Don wyglądał, jakby miał zamiar coś powiedzieć, jednak nachylił się tylko do siostry i niezgrabnie ją przytulił. Hex z uśmiechem zawstydzenia cofnęła się odrobinę.

- Masz mój login i hasło, więc możemy się kontaktować przez sieć. Tylko, do cholery, uważajcie, żeby nie wpaść podczas którejs z kontroli granicznych. Zadeklarowana masa własna to dwadzieścia jeden ton plus dwie tony ładunku. Określiłam was jako materiały do recyklingu.

- Zasłużyłaś na swoje imię, Sarah - powiedział Don.

Hex zeszytywniała, po chwili jednak wzruszyła ramionami.

- Nie chce się wierzyć, że to działa, ale w dzisiejszych czasach kontrole przeprowadza się tak niedbale. Schengen jest naprawdę fantastyczne. A tobie przyda się to.

I podała Donowi klucz. Przez chwilę stała niepewnie. W końcu położyła dłoń na jego policzku.

- *Ich vintsh dirglik, Danele* - powiedziała. - Życzę szczęścia. Odwróciła się do Evy.

- Tobie też.

Po raz ostatni musnęła twarz Dona i ruszyła w stronę drzwi przedziału. Otworzyła je i rzekła:

- Pamiętajcie, żeby po przyjeździe kupić sobie nowe ubrania. Wyglądacie naprawdę koszmarnie.

Zniknęła w ciemnym, zastawionym pudłami korytarzu. Jakąś minutę później ukryta ściana zamknęła się z zewnątrz i rozległ się głuchy odgłos zasuwanych drzwi.

Eva opadła na dolne łóżko, a po chwili na podłogę spadły zrzucone z nóg buty.

- Sarah? - odezwała się.

- Co? - odpowiedział Don.

- Nazwałeś ją Sarah? Swoją siostrę.

- Tak... nie, jestem po prostu zmęczony. Ona nie lubi tego imienia. To długa historia.

- Ma na imię Sarah?

- Tak... a ściślej Chana Sarah Titelman, ale gdybym tak się do niej zwrócił, wyrzuciłaby nas stąd. Można powiedzieć, że ma problem z żydowskim dziedzictwem.

- A ty nie masz?

Don odwrócił wzrok.

- Rodziny się nie wybiera - powiedziała Eva cicho.

Nie odpowiedział, siedział tylko, pocierając oczy.

- Skąd w takim razie imię Hex?

- To coś z komputerami - odparł Don. - Chyba jakaś ksywa.

- Podróżowałeś wcześniej tym wagonem?

- Jestem raczej domatorem - odparł Don.

Podczas długiej ciszy myślał o tym wszystkim, co mógł opowiedzieć o Chanie Sarze Titelman.

Gdyby nie było tak późno, gdyby nie był tak śmiertelnie zmęczony, pewnie wróciłby myślami do wiosennej nocy w roku 1994, kiedy jego młodsza siostra okazała się dojrzała od niego, wzięła go pod swój dach i opiekowała się nim, jakby był dzieckiem. Co go obchodzi, jakie sobie nadała imię? To przecież ona nosiła go, kiedy nie miał siły stać.

- Tutaj są termofory - odezwała się Eva.

Wyciągnęła spod łóżka szufladę i wyjęła z niej gumowy termofor. W tej samej chwili wagon zatrząsał się od mocnego uderzenia i ruch rozszedł się po przedziale. Mleczna szyba w drzwiach zadrżała.

Don spojrzał na zegarek.

- Lokomotywa - powiedział.

Z zewnątrz dobiegało dzwonienie łańcuchów oraz głosy i kroki ludzi krzątających się wokół wagonu. Ktoś krzyknął, rozległ się przenikliwy gwizd i znów poczuli ostre szarpnięcie. Potem wszystko się uspokoilo.

- Musisz zasnąć - powiedziała Eva.

Przesunęła się pod ścianę. Donowi ledwo udało się przejść kilka kroków do łóżka i w końcu położył się obok niej z twarzą zwróconą w przeciwnym kierunku.

Nagle szyba w przedziale znów zadrżała i wagon cofnął się parę metrów. Przez kilka minut stali nieruchomo, aż lokomotywa w końcu pociągnęła ich wagon. Eva słyszała odgłos kół na szynach, rytmiczne stukotanie, które czuła pod sobą, leżąc na łóżku. Już prawie zasypiała, ale wyszeptała jeszcze:

- Zanim poszła, powiedziała coś w jidysz. Hex. A człowieka, który źle puścił pociąg w Kymlinge, nazwała chyba *shmok*.

- Jest nadzieja - wymamrotał Don.

Eva pomyślała, że powinna milczeć, nie mogła jednak powstrzymać się od pytania:

- Dlaczego nazwała wagon Srebrną Strzałą?

Don odwrócił się do niej i zgasił pomarańczową lampkę. Następnie włożył rękę do szuflady, w której był termofor, wyjął koc i naciągnął go na siebie i na Evę. Położył głowę i wpatrując się w ciemność, próbował znaleźć rytm w drganiach sunącego po szynach pociągu.

- Don?

Wagon towarowy zatrzymał się na bocznicy, obok z hukiem przejechał inny.

- Don? - powtórzyła Eva.

- Stara pogłoska - powiedział sennie.

- Jaka stara pogłoska?

Don odwrócił się z westchnieniem i w ciemności próbował rozpoznać jej twarz. Następnie zaczął szeptać o pociągu umarłych, jeżdżącym podziemnymi tunelami Sztokholmu. Przez jego szyby trupy spoglądają na żyjących, kiedy srebrne wagony pociągu otwierają swoje drzwi na peronach. A jeśli ktoś odważy się wsiąść...

Mówiąc, przeciągał pauzy między słowami.

Srebrna Strzałą, podziemny Latający Holender, zatrzymuje się tylko w Kymlinge, na stacji umarłych.

Kiedy umilkł, po oddechu Evy domyślił się, że zasnęła. Było piętnaście po szóstej. A kiedy wagon wyjechał z Västbergi w kierunku południowym, również Don, pierwszy raz od dwóch dni, pozwolił sobie na odpoczynek.

Słysząc było szum powoli budzącego się miasta, które właśnie zostawiali za sobą. W przedziale panował bezpieczny mrok, a ciężkie koła rytmicznie podskakiwały na spojeniach szyn.

Poczuł, jak Eva szuka jego ramienia, jak owija je wokół siebie. Przysunął się bliżej i powoli zapadł w sen.

24

Ypres

Miasto miało pozostać w gruzach, być pomnikiem broni nowych czasów. Jednak okazało się to niemożliwe, bo ludzie, mieszkający w Ypres przed wojną, zaczęli się domagać prawa powrotu do domu. Powiedziano im, że nie mają do czego wracać, ale nie chcieli przyjąć tego do wiadomości.

Jesienią 1918 roku władze dały za wygraną. W rowach pełnych złomu, w które zamieniło się miasto, zaczęto zakładać prowizoryczne obozy. Na głównym rynku, Grote Markt, stały wówczas jedynie dwie okopcone ruiny: fragmenty krużganka, zdradzające miejsce, w którym kiedyś wznosiła się katedra, i złamana dzwonnica średniowiecznych sukienic. Wszystko wyglądało tak, jakby ktoś za pomocą wielkiej maszyny raz na zawsze zrównał Ypres z ziemią i wymazał je z nizinnego belgijskiego krajobrazu.

Źródłem wszystkich nieszczęść, jakie spadały na miasto, okazało się jego strategiczne położenie. Ypres było niczym przynęta wśród żyznych pól Flandrii Zachodniej: tylko kilkadziesiąt kilometrów dzieliło je od Anglii, jeszcze mniej od Niemiec i Francji. Tereny te doskonale nadawały się do przemarszu, gdyż w płaskim krajobrazie brakowało naturalnych przeszkód. I przechodziły tędy armie bez mała wszystkich europejskich krajów.

Rzymski legion splądrował Ypres krótko po założeniu miasta. Kiedy w średniowieczu, dzięki handlowi tkaninami, zapanował tu względny dobrobyt, od północy przyszli Anglicy i dokonali całkowitego spustoszenia. Niedługo potem miasto nawiedziła dżuma i pod koniec XVI wieku liczba mieszkańców spadła do kilku tysięcy. Przez kolejne wieki Ypres, wielokrotnie oblegane przez Francuzów, popadło w ruinę i zapomnienie.

Z czasem miasto tak bardzo straciło na znaczeniu, że rzadko które dziecko pochodzące z Brugii czy Gandawy potrafiło wskazać je na mapie. A przecież mowa o kraju, którego powierzchnia jest bardzo mała.

W październiku 1914 roku Flandrię Zachodnią zalała ofensywa wojsk niemieckich, maszerujących w stronę nadmorskich miast i północnej Francji. Dla państw ententy Ypres było szpilką na mapie, oznaczającą miejsce, w którym należało powstrzymać napierającą piechotę; było punktem oparcia francuskiej linii obrony. Miasto wraz z przyległościami zaczęto nazywać Ypres Salient - było klinem otulonym linią frontu. Pierwsze okopy pierwszej wojny światowej powstały kilka kilometrów za murami miasta.

Niemcy zdołali otoczyć Ypres z trzech stron i rozlokowawszy się na pobliskich niskich wzgórzach, mogli bez przeszkód prowadzić ostrzał artyleryjski. Po miesiącu walk, w listopadzie 1914 roku, było już ćwierć miliona ofiar - zabitych i rannych - jednak alianci zachowali kontrolę nad miastem. Później tę pierwszą bitwę pod Ypres nazwano *Kindermord*, „rzeź niewinnych”, ponieważ na błotnistych polach Flandrii Zachodniej poniosło śmierć całe pokolenie nastoletnich żołnierzy.

Niecałe pół roku później, w kwietniu 1915 roku, rzeź kontynuowano. Niemiecki przemysł zbrojeniowy opracował nową zaawansowaną broń: gigantycznych rozmiarów działa, które mogły wystrzeliwać pociski artyleryjskie o wadze nawet jednej tony. Po kilku tygodniach ostrzału średniowieczne zabudowania Ypres zostały całkowicie zniszczone.

Trzecia bitwa stała się symbolem szaleństwa pierwszej wojny światowej i przeszła do historii jako bitwa pod Passchendaele. Przez cztery miesiące padały ulewne deszcze, a coraz to nowych młodych chłopców pędzono, pod ostrzałem karabinów maszynowych, przez bezdenne błota na zasieki z drutu kolczastego. Jedynym rezultatem trwających do listopada 1917 roku prób przerwania niemieckiego frontu przez siły aliantów była śmierć setek tysięcy ludzi. Potem obie wycieńczone strony ogarnęła rezygnacja i końca wojny doczekano na pozycjach zajętych w dniu rozpoczęcia walk.

Dzięki odszkodowaniom wojennym, które miały się stać zarzewiem kolejnego konfliktu zbrojnego, jesienią 1918 roku Ypres zaczęło podnosić się z gruzów. Z czasem prowizoryczne obozy zniknęły, z dużą starannością odbudowywano dumę miasta, średniowieczne sukiennice - Lakenhalle. Pomału ich ostrołukowe okna przywrócono do pierwotnego stanu, a nawet poprawiono. W 1967 roku na siedemdziesięciometrowej wieży głównej umieszczono nowy karylion - kiedy znalazł się na miejscu, miasto wyglądało, jakby nigdy nie doświadczyło wojny.

Dla tych, którzy chcieli pamiętać o jego zagładzie, wytyczono trasę prowadzącą do okopów z czasów pierwszej wojny światowej. Zaznaczony żółtymi strzałkami szlak zaczynał się przed monumentalną fasadą sukiennic i prowadził wzdłuż Meensestraat, drogi, którą młodzi mężczyźni szli, jeden za drugim, na leżące na północnym wschodzie miejsce rzezi.

Dla upamiętnienia brytyjskich żołnierzy, których ciała nigdy nie zostały odnalezione, wzniesiono łuk triumfalny nazwany Menin. Wryto na nim pięćdziesiąt pięć tysięcy nazwisk. Na setkach cmentarzy, które rozciągają się za murami miasta, pochowano blisko pół miliona poległych. Rzędy białych krzyży, pod którymi spoczywają żołnierze, ciągną się kilometrami...

Katedrę Świętego Marcina odbudowano na podstawie fotografii, które zachowały się sprzed wojny, choć iglicy nadano nowy, gotycki kształt. Wkrótce wznosiła się wysoko nad kamienicami otaczającymi Grote Markt, dumnie wycelowana w niebo, z którego niegdyś spadały bomby.

Z iglicy katedry widać było białe światło zbliżające się do południowych granic miasta. To tam znajdował się terminal towarowy, który z lotu ptaka wyglądał jak żółty prostokąt. Na leżącej w dole ruchliwej Rijnsestraat właśnie zamknięto ostatni bar. Nocną ciszę przecięła syrena pociągu, doskonale słyszalna, mimo że sam pociąg wciąż miał jeszcze do pokonania kilkanaście kilometrów.

W wagonowym salonie trzeszczało i trzęsło, kiedy Don na stole między fotelami rozwijał plan pomieszczeń belgijskiego przedsiębiorstwa kolejowego. Znalazł go w zostawionej przez Hex aktówce - był na nim również schematyczny plan terminalu towarowego. Siostra zaznaczyła kółkiem tor siódmy i dopisała ołówkiem rozkładowy czas przyjazdu.

Wspólnie z Evą próbowali ustalić, jaka odległość dzieli tor siódmy od wyjścia z terminalu, i doszli do wniosku, że jest to jakieś sto pięćdziesiąt metrów.

Eva zapewniała, że da radę przebiec ten krótki odcinek bez podparcia, jednak dopiero po zbadaniu jej łydki Don zrozumiał, że nie zgrywała odważnej. Tam, gdzie wcześniej była paskudna rana, teraz widać było tylko delikatną bliznę. Kawalki przylepca Eva już oderwała. Pomyślał, że być może przecenił głębokość rozcięcia, a jego wiedza medyczna jest już pewnie przestarzała. Mimo wszystko było to dość niespotykane, że rana tak szybko się zabiłniła.

Jechali pociągiem od ponad dwudziestu godzin. Don nie spał, odkąd minęli Hassleholm. Była wtedy pora lunchu i słońce stało wysoko na niebie, a w przedziale panował zaduch. Kiedy dojechali do Helsingborga, zaryzykował i otworzył przesuwane drzwi wagonu, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza. Słyszac szum fal, domyślił się, że stoją blisko portu, gdy zaś wyjrzał na zewnątrz, za torami dostrzegł nabrzeże i spokojną, ciemnoszarą wodę. Zastanawiał się, czy nie wyjść i trochę się nie poruszać, ale usłyszał dobiegający z ciemnego wagonu krzyk Ewy. Zasunął więc drzwi z powrotem i ruszył w stronę ukrytego korytarza.

Zjedli prosty obiad: zupa jarzynowa z puszki, kieliszek białego wina, chrupkie pieczywo i ciasteczka. Na drugie danie Eva znalazła puszkę z owocami konserwowymi. Później włączyli komputer.

Przez internet śledzili postępy w policyjnych poszukiwaniach. Eva wysłała też maila do kancelarii z Borlänge i zapytała, czy mogliby im jakoś pomóc. Na razie jednak nie było żadnej odpowiedzi.

Teraz siedzieli w salonie nad rozłożonym planem, a ciężki pociąg towarowy wreszcie zaczął hamować. Przez ponad godzinę po zatrzymaniu nie ruszyli się jeszcze z miejsc, czekając, aż na zewnątrz ucichną wszystkie głosy. Za piętnaście trzecia rozległ się tylko odległy krzyk z jakiegoś trzeszczącego głośnika w języku, który przypominał mieszaninę angielskiego i niemieckiego.

Wstali i włożyli swoje złachmanione okrycia. Don zawiązał buty podwójnym węzłem i skinął głową Evie, by poszła za nim ciasnym korytarzem.

Przy ukrytej ścianie ostrożnie usunął zewnętrzną blokadę. Następnie nasłuchiwał jeszcze chwilę, po czym wsunął klucz w zamek, przekręcił i powoli odsunął ściankę na bok.

Kiedy wychylił głowę na zewnątrz, zobaczył, że dworzec jest oświetlony tylko punktowo, a droga do znajdującego się jakieś sto metrów dalej wyjścia z terminalu stoi przed nimi otworem. Samo wyjście zagradzały dwa proste, drewniane szlabany, a stojąca obok stróżówka pogrążona była w ciemności. Dwóch pracowników nocnej zmiany, ubranych w żółte kamizelki, przykucnęło u stóp dźwigu. Najwyraźniej coś spawali, od czasu do czasu bowiem pojawiał się koło nich biało-niebieski płomień, z którego sypały się iskry.

Don pomógł Evie zejść po stopniach na żwirową nawierzchnię. Następnie pogrzebał w torbie i wyjął z niej awaryjny inhalator z trichloroetenem. Wziął dwa wdechy i poczuł, jak spływa na niego błogi spokój. Zamknął drzwi i zaciągnął się zapachem gumy i oleju silnikowego.

Ruszyli w stronę żółto-czarnych szlabanów, a żwir chrzęścił im pod stopami przy każdym kroku. Nagle, daleko za ich plecami, rozległ się dźwięk przypominający krzyk. Zamiast się odwrócić i popatrzeć, skąd dobiega, Don przyspieszył kroku i pół minuty później minęli już stróżówkę i znaleźli się na terenie przemysłowym.

Don schował się za jednym z kontenerów i czekał, chcąc się przekonać, czy ktoś na dworcu ich nie zobaczył i nie zaczął za nimi iść.

Kiedy jednak nikt nie nadchodził, wyjął z torby otrzymaną od Hex mapę, która miała im pomóc dotrzeć do centralnej dzielnicy Ypres. Eva wskazała otwarty plac o nazwie Grote Markt, po którego bokach narysowano kilka czerwonych kółek oznaczonych literą H.

Saint Martin d'Ypres

Hotel Langemark był wciśnięty w obudowany cegłą siedemnastowieczny dom, tak wąski, że mimo dwudziestu metrów wysokości mógł pomieścić tylko kilka pokoi. Miał ostrołukowe okna z witrażami i jak każdy budynek otaczający średniowieczny rynek Ypres, Grote Markt, po pierwszej wojnie światowej został odbudowany cegłą po cegle.

Nad hotelowym ogródkiem rozpięta była biało-czerwona markiza. Zanim nocny recepcjonista zszedł otworzyć im drzwi, minęło trochę czasu. Kiedy Don zaczął wyjaśniać, dlaczego nie mają paszportów ani dowodów osobistych, zmęczony machnął tylko ręką.

Odebrawszy zaliczkę, starszy mężczyzna zdjął klucz z haczyka w szafce za ladą. Bez dalszych pytań pokuśtykał, prowadząc ich stromymi schodami na czwarte piętro hotelu. Tam otworzył drzwi do zapuszczonego pokoju z tapetą w wielkie wzory i szprosowym oknem wychodzącym na fasadę ratusza i sukiennic.

Kredy recepcjonista sobie poszedł, położyli się obok siebie na narzucie podwójnego łóżka, chcąc odpocząć jeszcze trochę przed nastaniem poranka. Nie trwało długo, nim oboje zasnęli, wymęczeni długą podróżą.

Koło dziewiątej Don wstał i przejrzaawszy się w hotelowym lustrze, doszedł do wniosku, że naprawdę powinni posłuchać rady Hex. Rękawy jego marynarki były poszarpane od wychodzenia przez piwniczne okno na Djurgården, a wzdłuż nogawek bieżyły ślady ziemi. Siedząca na krześle Eva również nie wyglądała zbyt elegancko w swoim pomiętym ubraniu. Jedną nogę wciąż miała zabandażowaną, a na jej lewym bucie widniały rdzawe ślady krwi.

Don zaproponował, żeby spróbowali kupić nowe ubrania jeszcze przed śniadaniem. Eva skinęła głową, więc pomógł jej wstać, a w korytarzu jak zwykle podsunął ramię, by mogła się na nim wesprzeć. Ona jednak odparła nieco opryskliwie, że poradzi sobie, i sama zeszła po stromych schodach. Kiedy zaś w promieniach wrzesniowego słońca spacerowali po rozległym rynku, zauważył, że już w ogóle nie kuleje.

Don sądził, że tę sprawę uda się załatwić szybko, jednak godzinę później nadal krążyli uliczkami otaczającymi Grote Markt i szukali odpowiednich ubrań dla prawniczki. Don w pierwszym lepszym sklepie kupił sobie garnitur w czarne prążki i przebrał się już w przymierzalni.

Starą sztruksową marynarkę niósł teraz w żółtej reklamówce i ze wszystkich sił starał się nie narzekać. Eva, jak się okazało, miała bardzo sprecyzowany gust i nie znosiła żadnych odstępstw. Dopiero w bocznej uliczce daleko od głównej handlowej ulicy, Rijselsestraat, znaleźli butik, który miał odpowiednio konserwatywny sznyt.

Ponieważ w środku łokciami rozpychała się gromada starszych kobiet, Don zaczekał na zewnątrz. W końcu Eva dała mu znak przez szybę.

Przy kasie stała już w wybranych przez siebie ubraniach. Najwyraźniej zatrzymała się na stylu lat sześćdziesiątych: szerokie spodnie w kant, biała satynowa bluzka, prochowiec w kolorze mchu i jedwabny szalik.

Jej brudne dwuczęściowe ubranie leżało na ladzie, a Eva tłumaczyła ekspedientce po francusku, że te stare szmaty można spalić. Ta ostrym tonem odparła, że w Ieper, tak jak w całej Flandrii Zachodniej, nie mówi się po francusku, niech więc spróbuje po angielsku albo najlepiej po flamandzku, jeżeli chce uzyskać jakąś odpowiedź. Do malej plastikowej torby, którą wręczyła Evie, zapakowała parę łososiowych jedwabnych pończoch i pas do nich. Rozległ się brzęk kasy.

Na szczęście kawałek dalej Eva znalazła odpowiedni sklep obuwniczy. Pieniędźmi od siostry Don zapłacił za lśniące wysokie buty z włoskiej skóry i prawniczka wreszcie miała wszystko, czego potrzebowała.

Spacerkiem przeszli z powrotem przez Grote Markt i usiedli w hotelowym ogródku w cieniu markizy. Kontynentalne śniadanie wciąż jeszcze było dostępne, ponieważ jednak dochodziła jedenasta, Eva uznała, że lepiej będzie zjeść wczesny lunch. Zamówiła talerz skorupiaków i kieliszek chardonnay z Domaine Saint Martin de la Garrigue w Langwedocji. Don spróbował croissanta, który smakował zaschniętą czekoladą i od razu rozpadł się na górę suchych okruszków. Zamówił jeszcze jedną filiżankę kawy i tymczasowo porzucił wszelkie myśli o jedzeniu.

Między nimi na stole leżała kolorowa broszura turystyczna, którą Don wziął z hotelowej recepcji. Z przodu widniał napis *Ieper - city of peace*, w środku zaś znajdowała się mapa centrum miasta.

Kiedy spojrzął na plac i zobaczył wylewające się z autobusu tłumy turystów kierujących się w stronę ratusza i sukiennic, przyszło mu do głowy, że on i Eva wyglądają pewnie jak para w średnim wieku, która urwała się z wycieczki. Skoro mieli podróżować tak dyskretnie, jak to tylko możliwe, nie widział w tym żadnego problemu.

- *A more sacred place for the British race does not exist in the world* - przeczytał na głos, żeby iluzja była całkowita.

Eva podniosła wzrok znad talerza skorupiaków i wytarła usta serwetką.

- To słowa sir Winstona Churchilla na temat Ypres - wyjaśnił Don, wskazując cytat wypisany wielkimi literami nad zdjęciem cmentarzyska pełnego białych krzyży.

- Ieper - odparła Eva. - To słowa Churchilla na temat Ieper .

- Miasto po francusku nazywa się Ypres i tak nazywali je Francuzi i Anglicy w czasie pierwszej wojny światowej. A francuska nazwa tej katedry... - Wrócił do mapy w środku ulotki i wskazując mały kolorowy rysunek, dokończył: - ...brzmi, o ile dobrze zrozumiałem, Saint Martin d'Ypres.

- A dla tutejszych mieszkańców jest to bez wątpienia Sint Marteen - powiedziała Eva sucho. - Jeżeli jednak nastawiłeś się na zwiedzanie, sądzę, że to kiepski pomysł. Lepiej chyba założyć, że belgijska policja ma już nasze zdjęcia. - Kiedy spostrzegła, że Don się waha, mówiła dalej: - W każdym razie jeden z właścicieli Afzeliusa dał mi do zrozumienia, że szwedzka policja kryminalna już wczoraj wysłała za nami międzynarodowy list gończy. Skontaktowałam się z nim w hotelu, kiedy ty w najlepsze spałeś.

Don obserwował rynek, powoli mieszając kawę.

- Aha - powiedział w końcu. - Mówił coś jeszcze?

- Pytał, gdzie jesteśmy. Chyba proszono go, by o to zapytał, gdybym zadzwoniła.

- I co mu powiedziałaś?

- Prawdę. Że wyjechaliśmy z kraju w prywatnym wagonie towarowym i teraz jesteśmy w niewielkim miście gdzieś na północnym zachodzie Europy. - Eva odsunęła talerzyk. - No jasne, że się rozłączyłam. Jeżeli chcesz, mogę się skontaktować z kilkoma dawnymi kolegami prawnikami ze Sztokholmu i zapytać, czy mieliby ochotę nam pomóc, ale... - westchnęła - ale nie wiem, Don.

Przyglądała się fusom w filiżance. Siedzieli przez chwilę w milczeniu, aż w końcu odezwał się Don.

- Myślę, że tam w oddali widać katedrę Świętego Marcina.

- Tak jak mówiłam...

- Która przed wojną wyglądała inaczej - dokończył Don.

Sięgnął do żółtej reklamówki i wyjął z niej swoją starą, brudną marynarkę. Położył ją sobie na kolanach i próbował wyczuć pod palcami sztywny kartonowy prostokąt. W końcu włożył palce do dziurawej wewnętrznej kieszeni i wyłuskał widokówkę ze starym zdjęciem.

- Spójrz na to - powiedział, wskazując poźółkły obrazek. - Przed pierwszą wojną Saint Martin d'Ypres miała znacznie niższą czworokątną wieżę, rozetowe okno również było o wiele mniejsze.

Eva długo przyglądała się zdjęciu. Bez słowa. Następnie odstawiła kieliszek i wyjęła je Donowi z ręki. Obróciła ostrożnie i westchnęła na widok krótkiego tekstu na odwrocie.

- Co to? - zapytała, nie podnosząc wzroku.

- Znalazłem to w sypialni Erika Halla - odparł Don.

Skinęła głową i zaczęła czytać.

- *Les suprêmes adieux*. Ostatnie pożegnanie.

Położyła kartkę między nimi na stole, niebieskim atramentowym tekstem do góry. Przez chwilę wydawała się zatopiona w myślach, w końcu jednak się odezwała:

- O czym jeszcze mi nie powiedziałeś? - Eva Strand przyjrzała się Donowi, badawczo i bez uśmiechu.

- A więc *Le Cathédrale Saint Martin d'Ypres*.

Don wskazał drukowany napis w górnym rogu pocztówki.

- Zdjęcie zrobiono kilka lat przed pierwszą wojną. Nie ma znaczka, nie ma adresu, tylko ten krótki wiersz.

- I to on go napisał - powiedziała.

- Erik Hall?

- Nie - wymamrotała nieobecny głosem - nie Erik Hall. To musiał napisać człowiek z kopalni, tak mi się wydaje.

- Można tak chyba założyć - zgodził się Don.

- Ale dlaczego nie pokazałeś tego Eberleinowi?

Don zaczął się zastanawiać, lecz żadna sensowna odpowiedź nie przychodziła mu do głowy.

Eva nie pytała już więcej. Dopiła wino i przysunęła kartkę bliżej. Jedno po drugim przeczytała słowa zapisane dawno temu na tle odcisku czerwonych ust.

la bouche de mon amour Camille Malraux

le 22 avril

l'homme vindicatif

l'immensité de son désir

les suprêmes adieux

1913

- *La bouche de mon amour Camille Malraux...* Oto usta mojej ukochanej Camille Malraux... usta albo wargi - powiedziała Eva, dotykając blaknącej szminki.

- *Cherchez la femme* - odparł Don.

- Więc to dlatego tu jesteśmy?

- Jakiś kierunek musieliśmy obrać.

Eva znów wymamrotała po cichu imię kobiety, a następnie czytała dalej:

- *L'homme vindicatif...* mściciel, *l'immensité de son désir...* jego bezgraniczna żądza, *les suprêmes adieux...* ostatnie pożegnanie. Napisane dwudziestego drugiego kwietnia...

- Roku 1913. Rok przed wybuchem pierwszej wojny światowej.

Eva powoli odchyliła się do tyłu i krzywo uśmiechnęła.

- I to było na tyle ważne, żeby ukrywać to przed Eberleinem i Niemcami? Buźka i kilka linijek poezji, napisanej do ukochanej kobiety ponad sto lat temu?

Don wzruszył ramionami. Wziął widokówkę ze stołu i włożył do torby. Skinął na kelnera.

- Więc jaki jest plan? - zapytała Eva, wstając. - Szukamy tej całej Camille Malraux? Dlaczego miałyby być tutaj, w Ypres?

- Przychodzi ci do głowy jakieś lepsze miejsce na rozpoczęcie poszukiwań?

Don wyjął z kieszeni plik euro i odliczył kilka banknotów.

- Może jest tu ktoś, kto ją znał - ciągnął. - Ona sama na pewno od dawna nie żyje. Być może pozostały dokumenty, które wyjaśniłyby...

Umilkł, zdawszy sobie sprawę, jak naciągane jest to, co mówi. Położył pieniądze na stole.

- A nuż ta cała Camille Malraux ma dobre geny - powiedziała Eva z uśmiechem, wkładając

prochowiec. - Kto wie, może wciąż żyje?

26

Stadsarchief

Sztucznie uśmiechnięta pracownica zatłoczonego centrum informacji turystycznej w Lakenhalle nawet nie starała się zrozumieć pytania Dona. Potem jednak, głównie po to, żeby kolejka znowu ruszyła, rzuciła propozycję, by poszukiwania historycznych dokumentów zacząć od Stadsarchief, Archiwum Miejskiego w Ypres. Były tam wszystkie rejestry urodzeń, zgonów, ślubów, napływu i odpływu mieszkańców, obejmujące nie tylko samo Ypres, ale cały region Westhoek we Flandrii Zachodniej.

Dodała jeszcze, że Archiwum Miejskie to zazwyczaj punkt startowy dla tych, którzy interesują się genealogią własnej rodziny. W niektórych przypadkach można tam podobno znaleźć kopie testamentów, różne dokumenty, a nawet prywatne listy. Zresztą Camille Malraux to rzadko spotykane nazwisko, przynajmniej we flamandzkiej części Belgii.

Udzieliwszy informacji, kobieta nacisnęła wściekle czerwony przycisk w niewielkiej skrzynce, rozległ się sygnał, a na cyfrowym wyświetlaczu nad jej głową pojawił się kolejny numer.

Don przekonał Evę, żeby z historycznej dzielnicy wyjechać taksówką, mijając po drodze średniowieczne mury. Kiedy wybrukowany most nad kanałem zostawili za sobą, miasto zmieniło nagle charakter: stało się współczesne i nieciekawe. Tak jakby na budowę tej jego części nie wystarczyło już pieniędzy.

Archiwum Miejskie, podobnie jak Biblioteka Miejska, mieściło się przy Weverijstraat, w przypominającym pudło budynku z czerwonej cegły i szkła. Już przy wejściu znajdowała się reklama w pięciu językach, informująca, że przechowuje się tu ponad sto trzydzieści tysięcy metrów bieżących cennych dokumentów. Kiedy jednak udało im się znaleźć niewielkie stanowisko *Archief en Genealogie*, ich entuzjazm opadł.

Siedząca za komputerem ziewająca dziewczyna mogła mieć niecałe dwadzieścia lat. Wyglądała na zatrudnioną na zastępstwo, względnie porażkę rekrutacyjną. Miała chude, białe ramiona, pomalowane na fioletowo usta i czarną koszulkę, na której krwistoczerwona głowa kozła widniała na tle napisu „Church of Satan”.

Dziewczyna włożyła do ust gumę i ziewnęła raz jeszcze, demonstrując znużenie, kiedy starszy mężczyzna niefortunnie zajął miejsce naprzeciwko. Kiedy wreszcie wstał i odszedł, najprawdopodobniej nie uzyskawszy odpowiedzi na swoje pytanie, wyjęła ukradkiem fioletową książkę w kieszonkowym formacie i zaczęła ją czytać z wielkim zainteresowaniem.

Don spojrzał na Evę, po czym podszedł do stanowiska i zakaszał.

- *Een moment...* - odparła opryskliwie dziewczyna, nie podnosząc głowy.

- *Yes, hello* - powiedział Don. - Nazywam się Don... Malraux. Chciałbym...

Dziewczyna potrząsnęła zirytowana głową i podsunęła mu notatnik z przymocowanym długopisem.

- *Write it down, please* - wymamrotała.

Don próbował się do niej uśmiechnąć, ale dziewczyna już wróciła do lektury. Zapisał nazwisko MALRAUX wyraźnymi, drukowanymi literami. Dziewczyna spojrzała na efekt jego pracy i westchnęła ciężko.

- Jezu... Imię. Miejsce urodzenia. Rok.

- Miała na imię Camille - odparł Don szybko, póki jeszcze nic nie odwróciło jej uwagi. - Moja siostra i ja myślimy, że być może była naszą krewną.

- Pańska siostra? - odparła dziewczyna sceptycznie i spojrzała na stojącą za Donem blondynkę, a później z powrotem na jego śniadą twarz.

- Tak. Nasza rodzina ma walońskie korzenie.

- Jak są państwo spokrewnieni z tą Camille?

- To...

- Są państwo jej wnukami? Kuzynami w trzeciej linii?
- Obawiam się, że to dość długa historia. Czy to ma jakieś znaczenie?
- Nie, nie - wymamrotała dziewczyna. - W sumie mam to gdzieś. Ta cała Camille urodziła się w regionie Westhoek?

- Tak...

- Tak nam się wydaje - powiedziała Eva i usiadła koło Dona z pewnym wyrazem twarzy.

- Aha. A kiedy?

Don zerknął na Evę.

- Chyba jakoś pod koniec dziewiętnastego wieku - powiedział.

Dziewczynę nagle zainteresowały jej własne paznokcie i zaczęła im się bacznie przyglądać.

- Może pani poszukać między 1870 a 1895 - odezwała się Eva.

- 1870 do 1895. W Ieper czy w którejś z okolicznych wiosek?

- My... - zaczął Don, ale przerwał mu potok słów.

- Boezinge, Brielen Dikkebus - wymieniała dziewczyna niedbałym tonem. - Może Elverdinge? Hollebeke, Sint-Jan... Zillebeke?

- My...

- A więc Zillebeke - rozstrzygnęła.

- Wydaje nam się, że owa Camille Malraux zmarła w Ieper - powiedziała Eva. - W roku 1913 wciąż jeszcze żyła, to wiemy z całą pewnością. Może zmarła w czasie wojny.

Dziewczyna niechętnie odwróciła się do klawiatury i otworzyła archiwum ewidencji ludności. Jednym palcem wstukała „Camille Malraux”.

- Aha - zaczęła, nie odwracając się w ich stronę. - W czasie wojny zmarły dwie osoby o tym nazwisku. Jedna urodzona w 1885 roku w Voormezele, imiona rodziców...

- A druga? - przerwała Eva.

- Jeżeli chodzi o drugą, brakuje imion rodziców i miejsca urodzenia. Obywatelstwo francuskie. Jest informacja, że zmarła w Ieper w 1917 roku.

- Co jeszcze? - zapytała Eva niecierpliwie.

Dziewczyna westchnęła jeszcze głębiej, wyjęła z ust gumę i wrzuciła ją do kosza.

- To wszystko - odparła. - Do komputerów nie wprowadza się wszystkich informacji. Niestety. Jeżeli chcą państwo wiedzieć więcej, będę musiała zejść do archiwum i poszukać jej teczki. Zazwyczaj szkoda na to fatygi.

- Nalegam - stwierdziła krótko Eva.

Chuda dziewczyna ze stęknieniem wstała z zapadniętego krzesła. Dwoma przyciskami wyłączyła komputer, po czym z demonstracyjną powolnością ruszyła między półki.

Kiedy po jakichś trzydziestu minutach wróciła, niosła ze sobą dwie cienkie teczki na dokumenty. Rzuciła je Evie i Donowi i wróciła do lektury.

W pierwszej znaleźli tylko kilka skąpych informacji. Camille Malraux, z domu Holst, urodziła się w 1885 roku, w 1905 w kościele Najświętszej Marii Panny w Brugii wzięła ślub z Ronaldem Malraux. Brakowało danych na temat miejsca pracy, posiadanych dzieci i rodzeństwa. Tylko historia choroby, świadectwo śmierci i krótka notatka o tym, że mąż zmarł już w 1907 roku.

- Nie szkoda było fatygi? - wymamrotała dziewczyna, nie odrywając się od książki.

W drugiej teczce Camille Malraux były tylko dwie kartki. Akt zgonu oraz adnotacja, że wszystkie pozostałe dokumenty zostały przewiezione do jej miejsca urodzenia, Charleville-Mézières.

- Czy można zamówić kopie jej francuskich dokumentów? - zapytał Don.

Dziewczyna udawała, że nie słyszy.

- Chcemy, żeby zamówiła pani kopie wszystkich zachowanych dokumentów tej właśnie Camille Malraux we francuskim archiwum ewidencji ludności - oświadczyła Eva, akcentując każdą sylabę.

Dziewczyna dała za wygraną i położyła książkę przed sobą na stole.

- Coś takiego - powiedziała - zajmuje bardzo, ale to bardzo dużo czasu. Trzeba wypełnić całe mnóstwo papierków i przystawić sporo pieczętek.

Wzięła do ręki teczkę pierwszej Camille Malraux, tej, która na początku nosiła nazwisko Holst.

- Obstawiałabym, że to ta.

- Chcemy zamówić... - zaczęła znowu Eva.

- Długo zamierzają państwo zostać w Ieper? - przerwała dziewczyna z szyderym uśmiechem. - Dostarczenie dokumentów z innego kraju zajmuje zwykle kilka miesięcy. Zwłaszcza z takiego kraju jak Francja. Poza tym trzeba to wszystko wpisać do rejestru i...

Don miał przeczucie, że Eva za chwilę wybuchnie.

Wyjął pocztówkę, którą po dokładnym sprawdzeniu szwów trzymał teraz w wewnętrznej kieszeni nowej marynarki. Położył ją na stole przed dziewczyną i pokazał jej zdjęcie katedry Świętego Marcina.

- Widzę, że byli państwo na wycieczce w Lakenhalle - powiedziała. - To niewiarygodne, że ludzie naprawdę kupują takie sentymentalne śmieci.

- Ta pocztówka należy do naszej rodziny, kupiono ją przed wojną - powiedział Don.

Odwrócił kartkę i pokazał wiersz oraz odcisk ust. Po raz pierwszy w oczach dziewczyny pojawił się ślad zaciekawienia. Wczytała się w tekst.

- Tak, rzeczywiście wygląda na to, że jest z 1913 roku. Co to takiego, liścik miłosny? - Mamrocząc, przeczytała tekst raz jeszcze. - Nieźle dobrane słowa - stwierdziła. - Ale pożyczone.

- Napisał to nasz dziadek do tej Camille - powiedział Don. - Bylibyśmy niezmiernie wdzięczni, gdyby mogła nam pani pomóc. Ona była miłością jego życia.

- Są państwo pewni, że tu chodziło o miłość? - zapytała dziewczyna, odkładając kartkę. - No bo przecież: *Uhomme vindicatif, Vimmensité de son désir, les suprêmes adieux...* On pisze, że jest mścicielem pełnym niedającej się stłumić żądz. Choć mnie tam w sumie wszystko jedno.

Eva zaczynała być zmęczona.

- Pomoże nam pani czy nie?

- Z czym? - dziewczyna próbowała jeszcze udawać, że nie rozumie.

- Z wypełnieniem podania do Charleville-Mézières we Francji, żebyśmy wiedzieli, czy zachowały się tam jakieś dokumenty - odparł Don. - Jesteśmy gotowi poczekać.

- No dobrze, ale tylko dlatego, że państwa dziadek miał taki dobry gust literacki.

Z szuflady biurka wygrzebała gruby formularz, strzeliła kostkami palców, pochyliła się i zaczęła powoli wypełniać puste kratki. Po jakimś czasie, nie podnosząc wzroku, powiedziała:

- Nie muszą państwo tu siedzieć i mi się przyglądać. Proszę zadzwonić za parę dni, może już będziemy coś wiedzieć.

- Dziękuję - wziął widokówkę do ręki i wstał.

- *Dessin d'un maître inconnu* - wymamrotała dziewczyna do siebie. - Obraz nieznanego mistrza.

- Słucham? - zaciekawił się Don.

- *Dessin d'un maître inconnu* - powtórzyła dziewczyna i spojrzała na niego. - Nie sądzili chyba państwo, że wasz szwedzki dziadek sam to wymyślił? *Combla-t-il sur ta chair inerte et complaisante. L'immensité de son désir...* Pożyczył każde słowo, ale na pewno państwo o tym wiedzieli.

Don spojrzał na Evę i z powrotem na białą twarz o fioletowych wargach.

- Przecież nie da się nie kochać Baudelaire'a - powiedziała, po czym spokojnie wróciła do wypełniania formularza.

In Flanders Fields

Gdy Eva i Don czekali na taksówkę, zaczęło kropić. Teraz, kiedy samochód zatrzymał się w jednej z kałuż na Grote Markt, pojedyncze krople przeszły w ulewę.

Eva wskazała grupkę skulonych turystów, którzy schronili się pod łukowatym wejściem do Muzeum Wojny w Lakenhalle. Otworzyła drzwi i pobiegła w ich stronę, naciągając prochowiec na głowę.

Czekając, aż taksówkarz wyda mu resztę, Don widział, jak Eva wciska się pod dach obok turystów.

Tuż przed wejściem do muzeum wisiały dwie oklapnięte flagi. Gdyby były suche, miałyby prawdopodobnie kolor jasnoczerwony, jednak ociekające wodą były ciemne jak krew. Na tych krwistych flagach widniał biało-niebieski krzyż, ozdobiony pękiem maków z łodygami z drutu kolczastego. U dołu, na czarnej lamówce, znajdował się napis:

In Flanders Fields Museum
Ieper 1914-1918

Przyszła kolej na Dona - rozpychając się łokciami, próbował zmieścić się pod sklepieniem, jednak raz za razem wypychała go stamtąd para starszych Japończyków. Wreszcie go to zmęczyło, chwycił Evę za rękaw i wspólnie przepchnęli się przez ściśniętą grupkę, po czym weszli do muzeum.

W kolejnej sekundzie było już cicho i spokojnie. Znajdowali się w miejscu przypominającym wnętrze katedry. Wzdłuż ścian biegły rzędy gotyckich spiczastych okien, w których ołowiane ramki niczym pajęczna sieć oplatały kawałki żółtego i różowego szkła. Don wypuścił powietrze i przeciągnął ręką po przemoczonych i skołtunionych włosach. Stojąca obok Eva próbowała chusteczką powstrzymać spływający tusz.

W wysokiej sali słychać było przytłumione szepty, czyjś kaszel oraz odległy dźwięk wystrzałów i wybuchów z filmu puszczanego w ciemnych salach wystawowych. Przy punkcie z biletami stały dwie figury woskowe w strojach z epoki: mężczyzna był odziany w mundur polowy, od szyi po pas zapięty na mosiężne guziki. Miał żółtawą twarz, mały wąsik i porcelanowe oczy o obojętnym spojrzeniu. Na małej tabliczce widniał napis: „Robert Launer, niemiecki artylerzysta”.

U boku Launera stała kobieta, zastygła w błagalnym geście, z białym czepkiem na sztucznych włosach. Wzorem figury była niejaka Roosje Vecht, holenderska pielęgniarka pracująca na tyłach okopów, która tuż po południu dwudziestego trzeciego stycznia 1915 roku straciła nogi.

Kiedy zapłacili i minęli bramkę, plecy Evy nagle zeszytniały. Z posępną miną przeszła obok długiej kamiennej ściany, na której wyryto złowieszcze słowa Herberta George’a Wellsa:

Every intelligent person in the world felt
that disaster was impending and knew no way of averting it^[7].

Muzeum okazało się naprawdę duże, Eva zaś z irytującą powolnością chodziła między zacinającymi się sekwencjami czarno-białych obrazów, zupełnie jakby chciała wchłonąć w siebie całą tę śmierć. Przystawała przy każdym fragmencie filmu, dając sobie czas, aby dobrze mu się przyjrzeć.

Don pomyślał, że ciemne sale, zaaranżowane scenki i woskowe figury naturalnej wielkości sprawiają upiorne wrażenie. Pogrzebane na wieki w ciasnych okopach powykręcane postacie, które czołgają się w błocie.

Po jakimś czasie powolne tempo prawniczki oraz wszystkie okropne szczegóły bitew, którymi się z nim dzieliła, zaczęły go drażnić. W kwestiach związanych ze sztuką wojenną tamtego okresu okazała

się mocniejsza od niego. Znała szczegóły i osiągnięcia techniczne, o których on nie miał pojęcia. Kiedy o to zapytał, odparła, że pewnych rzeczy po prostu się nie zapomina.

Jej wypowiedziane szeptem komentarze na temat wyświetlanych przez projektory migoczących obrazów ognia pistoletów maszynowych i rozrywanych ciał sprawiały, że Don czuł się coraz bardziej przygnębiony. A przecież, jak udało mu się wyczytać na tablicy informacyjnej przedstawiającej poszczególne działy muzeum, za sobą mieli dopiero pierwsze z czterech pięter.

W oko wpadł mu mały symbol komputera na poziomie czwartym. Z ulgą wskazał go Evie i od razu zaproponował, że spróbuje się zalogować i sprawdzić, czy da radę skontaktować się z Hex.

Kiedy wchodził po schodach prowadzących na wyższe piętra, czuł, że przygniatający mu barki ciężar zaczyna maleć. Filmowe krzyki i wystrzały były coraz mniej słyszalne, aż w końcu, w betonowym korytarzu na najwyższym piętrze, nic już nie zakłócało ciszy.

Strzałka wskazywała drogę w stronę *documentation centre*. Kiedy Don dotarł do drzwi, dostrzegł metalową tabliczkę, której tekst brzmiał złowrogo:

DOCUMENTATION CENTRE RULES

Nothing is lent out.

Fragile documents must never be reproduced.

Always attain the express consent of centre supervisor.

Pod tabliczką wisiało surowe pouczenie, że komputerów w żadnym razie nie wolno używać do celów innych niż przeszukiwanie ich unikatowej bazy danych poświęconej grobom poległych.

Wewnątrz znajdował się rząd szafek na akta i kilka boksów z prostymi biurkami, na których stały komputery stacjonarne. Don zdał sobie sprawę, że jest tu jedynym gościem. W małej szklanej kabinie siedziała tylko starsza pani, pracownica muzeum - niebieskosiwe włosy upięte miała w ciasny kok.

Wchodząc ostrożnie do pogrążonego w kompletnej ciszy pokoju, czuł, że kobieta śledzi każdy jego ruch. Usiadł przy pierwszym z brzegu komputerze i usłyszał, jak ze skrzypieniem odsuwa krzesło.

Po chwili wyszła ze szklanej kabiny, mocno przyciskając do piersi teczkę z dokumentami. Ponad nią można było zobaczyć plastikowy identyfikator z napisem „Iste Opzichter - Ist Supervisor”. Kobieta przyjrzała mu się z niezadowoloną miną.

Po nieudanej próbie skłonienia Dona do powrotu na wystawę nacisnęła kombinację klawiszy i monitor się obudził.

- Nazwisko? - zapytała niezadowolonym tonem.

- Titelman - odpowiedział Don.

- Armia?

Tego pytania Don się nie spodziewał i żadna rozsądna odpowiedź nie przychodziła mu do głowy.

- Do jakiej armii należała osoba, której pan szuka? - wyjaśniła kobieta niecierpliwie. - Belgijskiej, francuskiej, angielskiej czy niemieckiej?

- Do... belgijskiej - odparł Don.

Pracownica otworzyła szary formularz o nazwie *casualty database*. Zaznaczyła opcję *casualties from the Belgian army* i wpisała nazwisko TITELMAN. Kliknęła *search*. Brak wyników.

- Rozumiem, że jest pan Żydem - powiedziała.

Don postanowił zignorować pytanie.

- Chciałbym wyszukać jeszcze kilku innych krewnych... - Urwał, bo kobieta wciąż stała za jego plecami. - Dam sobie radę, potrzebowałbym tylko trochę czasu.

- Aha, no dobrze. Za dziesięć minut zamykamy.

- Tyle mi chyba wystarczy - odparł Don.

Kobieta zrobiła kilka kroków do tyłu i nadal nie spuszczała wzroku z monitora.

- Bardzo dziękuję - powiedział Don.

Odwróciła się na pięcie i przyciskając teczkę do piersi skrzyżowanymi rękoma, wróciła do szklanej kabiny. Don rzucił okiem w tamtą stronę i dostrzegł, że usiadła tak, by mieć go na oku.

Nie widziała jednak, co pisze, zaczął więc wstukiwać kody do domowego serwera Hex. Po chwili na ekranie ukazała się emotikona z opuszczonymi kącikami ust - znak, że siostry chwilowo nie ma.

Don napisał krótką wiadomość, informując ją o wszystkim, co się zdarzyło od chwili ich wyjazdu ze Sztokholmu. Zakończył prośbą, by spróbowała dowiedzieć się czegoś na temat niejkiej Camille Malraux, urodzonej pod koniec XIX wieku w małym francuskim miasteczku Charleville-Mézières.

Rzucił okiem na zegarek i spostrzegł, że minęło dopiero pięć minut.

Za oknem wciąż padało, długie smugi spływały po oprawionych w ołów szybkach. W sali unosił się słaby zapach środków czystości, a cisza zaczynała przytłaczać.

Don spojrzał na siedzącą w szklanej kabinie kobietę i dostrzegł, że ta unosi brwi. Mimo wszystko pomyślał, że nie wyjdzie stąd, dopóki kobieta go nie wyrzuci, liczył bowiem na to, że Hex zdąży wrócić do domu i się zalogować.

Dla zabicia czasu włączył zwyczajną przeglądarkę.

Na głównej stronie jednej ze szwedzkich popołudniówek zobaczył zdjęcie kolegi, którego zawsze nie znosił. Pod spodem widniał napisany tłustym drukiem tytuł:

PRZYJACIEL OPOWIADA: PRAWDA O EKSPERCIE OD NAZISTÓW

Kliknął w artykuł i przeleciał wzrokiem wszystkie przeinaczone cytaty ze swoich wypowiedzi. Minęła tylko doba, a już najwyraźniej awansował z historyka na uzależnionego od leków i właściwie już skazanego przestępcę, chorobliwie opętanego nazistowskimi mitami i symbolami. Szybko zamknął okienko z artykułem.

Następnie, mając złe przeczucia, postanowił zajrzeć na strony gazet porannych. Tam było jeszcze gorzej, w końcu więc uznał, że prawniczka miała rację. Policja kryminalna utrzymywała, że prowadzą działania na szeroką skalę, także poza granicami Szwecji. Twierdzili, że śledztwo jest teraz w decydującej fazie i dlatego bezwzględnie muszą się powstrzymać od wszelkich komentarzy.

- *Oyf tsores* - mruknął Don. - Niedobrze.

Jeszcze raz spróbował się połączyć z serwerem Hex, jednak siostra najwyraźniej wciąż jeszcze nie wróciła do swego domu pod stacją metra. Don nie miał odwagi spojrzeć w stronę szklanej kabiny, ale uznał, że zostanie tu jeszcze przynajmniej kilka minut.

Czekając, przypomniał sobie usłyszane w archiwum słowa na temat Baudelaire'a i żeby zabić czas, wpisał w wyszukiwarce nazwisko poety i frazę *l'homme vindicatif*.

Już pierwszy link pokazywał, że żująca gumę dziewczyna miała rację. Doprowadził go do wiersza numer 178 na stronie fleursdumal.org - „Kwiaty zła”.

Charles Baudelaire
Une Martyre
[Dessin d'un maître inconnu]

Obok wiersza znajdowała się krótka biografia pisarza, na którą Don rzucił okiem w nadziei, że znajdzie jakąś wskazówkę do dalszych poszukiwań. Kiedy jednak owa nadzieja zgasła, wrócił do wiersza, który wydawał się wyjątkowo długi.

Świetną znajomością francuskiego nigdy nie mógł się poszczycić, o ile się jednak orientował, miał do czynienia z pełnym szczegółów i graniczącym z pornografią opisem nekrofilii: tęsknoty mężczyzny za brutalnym seksem z kobiecymi zwłokami.

Fragmenty z pocztówki znalazł w trzeciej i czwartej strofie od końca.

L'homme vindicatif que tu n as pu, vivante,
Malgré tant d'amour, assouvir,
Combla-t-il sur ta chair inerte et complaisante
L'immensité de son désir?

Réponds, cadavre impur! et par tes tresses roides
Te soulevant d'un bras fiévreux,
Dis-moi, tête effrayante, a-t-il sur tes dents froides
Collé les suprêmes adieux?

Po chwili poszukiwań znalazł w sieci przekład:

Czy ten mściciel, któremu nie umiałaś już, żywa,
Dać dosytu, kochając tak wiele,
Niepomiernych żądz swoich ukojenie zdobywał
Na bezwładnym, powolnym twym ciele?[8]

Bezwładne, powolne ciało, które koi niepomierne żądze, pomyślał Don. Mężczyzna w kopalni musiał być *toytmeshuge*, nie całkiem zdrowy na umyśle.

Powiedz, trupie nieczysty! Czy za włosów twych sploty
Drżąc w gorączce cię unióś ku górze?
Powiedz, głowo straszliwa! Czy ostatnie pieszczoty
Kładł na zębów twych chłodnym marmurze?

- Straszliwa głowa i chłodne zęby - mruknął Don do siebie, przymierzając się do zamknięcia przeglądarki.

Jednak mimo wszystko, choć był to naprawdę beznadziejny idiotyzm, *narishkayt*, kliknął przycisk *print*. Ustawiona kilka metrów dalej drukarka wydała pomruk i zabrała się do pracy.

Jej dźwięk sprawił, że kobieta w kabinie zdumiewająco szybko zerwała się z krzesła i zanim Don zdążył zareagować, chwyciła wypluty właśnie przez drukarkę długi wiersz.

- Chyba już czas na pana - powiedziała i zaczęła czytać pierwszą stronę. - Chory z pana człowiek.

Było to stwierdzenie i Don poczuł, że może jedynie skinąć głową. Z westchnieniem zarzucił torbę na ramię i zamknął okno przeglądarki. Zobaczył, że kobieta rusza w stronę stanowiska, przy którym siedział. Kiedy jednak poczuł, jak się nad nim pochyla, chcąc zmusić go do wylogowania się z systemu, przysłała mu do głowy ostatnia myśl.

- Musi mi pani pozwolić sprawdzić jeszcze jedno nazwisko.

Myślał, że pracownica będzie próbowała go powstrzymać, ona jednak zrobiła nerwowy krok w tył. Teraz na ekranie widniała już tylko *casualty database*. Don zaznaczył opcję *casualties from the Belgian army*, wpisał nazwisko i kliknął.

Zero wyników.

Kobieta znów zebrała się w sobie:

- Naprawdę prosiłabym, żeby pan...

Don zawahał się na moment, po czym zaznaczył *casualties from the French army* i ponownie wpisał nazwisko. Nie zrobił literówki? Nie. Kliknął *search*.

Mecenas Eva Strand stała przed szklaną gablotą, w której można było oglądać woskowe figury we francuskich mundurach, wijące się w kłębach szarozielonego dymu. Jedna z nich zaciskała palce wokół szyi, jakby nie mogła zaczerpnąć powietrza. Koło twarzy innej połyskiwała czerwona kałuża ilustrująca krwawe wymioty wywołane przez gazy bojowe.

Eva zdawała się nie dostrzegać, że przyszedł, choć stał tuż za jej plecami. Było to dość dziwne, ponieważ sapał ze zmęczenia po przebiegnięciu kilku ciemnych sal muzeum. W końcu najwyraźniej wyczuła, że tam jest, zaczęła bowiem do niego mówić, nawet się nie odwracając.

- Kiedy Francuzi wdychali gaz, ten momentalnie wżerał się w gardło i płuca. Nieliczni, którzy mimo to mogli nadal oddychać, zmarli w niedługim czasie, gdy ich płuca wypełniły się ropą i krwią. Agonia w tym przypadku przebiega tak jak przy tonięciu, choć dookoła jest powietrze.

- Eva... - zaczął Don, ale nie potrafił odciągnąć jej od sceny.

- Użycie trującego gazu pod Gravenstafel było złamaniem wszystkich praw wojennych - powiedziała głucho. - Leżący w okopach francuscy żołnierze nie wiedzieli, co się do nich zbliża. Patrząc w stronę niemieckich pozycji, widzieli tylko zieloną chmurę dymu, która powoli wygaszała całe światło. Wzniosła się na wysokość trzydziestu metrów, a następnie pomału ruszyła naprzód, z wiatrem. Kiedy dotarła nad ich okopy, tłusty dym opadł na ziemię. Cięższy od powietrza spłynął im na twarze i po kilku minutach prawie nikt już nic nie widział. Gaz wgrzyzał się im w oczy, a kiedy próbowali wdrapać się na wały, ginęli od ognia przeciwnika.

- Eva... - spróbował znowu Don.

- Wtedy po raz pierwszy użyto gazu na froncie zachodnim. Kilka tygodni wcześniej w walkach z Rosjanami Niemcy wypróbowali granaty artyleryjskie ze związkami bromu. Później technikę oczywiście rozwinęto, idąc o wiele dalej: zaczęto stosować fosgen, luizyt i sarin.

Don pociągnął Evę za rękę, ta jednak się oswobodziła i wskazała małą tabliczkę informacyjną zawieszoną na wysokości ich kolan.

- O godzinie piątej po południu - czytała - uwolniono sto siedemdziesiąt ton gazu z pięciu tysięcy siedmiuset metalowych cylindrów. Sześć tysięcy Francuzów zmarło lub zostało ciężko rannych. Niemcy byli jednak tak zaskoczeni rezultatem, że nie udało im się w pełni wykorzystać przewagi. Nigdy. Więc...

- Wystarczy, Eva - przerwał Don, chwytając ją za ramię. W drugiej ręce trzymał wydruk, którego oddanie wymusił na pracownicy, zanim wyszedł z sali komputerowej. - Posłuchaj - ciągnął - myliliśmy się, i to od samego początku.

W końcu udało mu się nawiązać z nią kontakt wzrokowy.

- Kartka została napisana do mężczyzny.

Eva milczała przez chwilę, po czym potrząsnęła głową.

- Nie, to niemożliwe. A szminka, a pocałunek...

- Tak - odparł Don. - Nieboszczyk z kopalni napisał te słowa do mężczyzny, którego niegdyś kochał. Sama przeczytaj.

Podsunał jej wydruk z muzealnej bazy danych.

Name: Malraux
First name: Camille
Rank: Sous-Lieutenant
Regiment: 87 RIT
Date of Death: 22/04/15

Po przeczytaniu Eva odezwała się niepewnie:

- Równie dobrze może to być ktoś inny. W samym archiwum miejskim były dwie kobiety o nazwisku Camille Malraux. A nie wydaje mi się...

- Jestem całkowicie pewien.

- Według mnie to się nie zgadza.
- Wróciła spojrzeniem do szklanej gabloty.
- Evo...
- To po prostu niesamowity zbieg okoliczności - mówiła powoli.
- Tak czy inaczej, może to być list miłosny, może byli kochankami? Może uważał Malraux za swoją kobietę? Może oni...
- Nie, nic z tych rzeczy. Spójrz, którego dnia zmarł twój Camille Malraux.
- Don spojrział na wydrukowaną datę, a następnie na tabliczkę przy gablocie.

The Battle of Gravenstafel Ridge
22nd - 23rd April 1915

- A więc został zagazowany - wymamrotał Don.
- Eva skinęła głową. Następnie wzięła głęboki oddech i otrząsnęła się, jakby chciała się obudzić.
- Mimo wszystko nie rozumiem, jak możesz być taki pewny. Mówiłam przecież...
- Don wyjął pocztówkę z wewnętrznej kieszeni marynarki i podał ją Evie.
- No i? - zapytała Eva, kiedy po raz kolejny przeczytała krótki tekst.
- Spójrz na ostatnią liczbę.
- Pocztówkę napisano w roku 1913. No i co?
- 1913 to nie data. To numer grobu Camille'a Malraux. Spoczywa na francuskim cmentarzu wojennym Saint-Charles-de-Potyze, nieopodal Ypres.

Saint-Charles-de-Potyze

Porywisty wiatr zmusił Dona do schronienia się pod sklepieniem Lakenhalle. Cienki materiał marynarki ciasno przylegał do jego zgarbionych ramion. Zapadł już wieczór, a szalejąca na rynku ulewa wyparła stamtąd całe światło. Don czuł się tak, jakby w każdej chwili lodowata wilgoć miała go przeszyć na wylot.

Na Grote Markt deszcz siekł z każdej strony. Studzienki kanalizacyjne bulgotały przepelnione wodą, a brukowaną ulicą co jakiś czas przelewały się brunatne fale unoszące niedopałki i śmieci. Handlowa Rijkselstraat wyglądała na od dawna nieczynną. Małe sklepiki złożyły markizy, a na każdej wystawie panował mrok.

Jedyną żywą istotą, która mimo woli stawiała czoło ulewie, był samotny pies. Zapomniany przez kogoś, został na deszczu przywiązany do latarni. Całkiem przemoczony, szarpał i ciągnął za smycz w daremnej nadziei na uwolnienie.

- Tak czy inaczej, powinniśmy tam pojechać i przekonać się, czy masz rację - rozległ się głos za plecami Dona.

Eva związała prochowiec pod szyję i wsunęła ręce głęboko w kieszenie. W ciemnościach pod sklepieniem z trudem dało się dostrzec jej twarz.

- Na grób Malraux, ma się rozumieć - kontynuowała. - Numer 1913 na Saint-Charles-de-Potyze, o ile sobie przypominasz.

Don w pierwszej chwili nie odpowiedział, myśląc, że Eva żartuje. Ona jednak mówiła poważnie.

- Dowiemy się, czy to ciało rzeczywiście tam leży.

- W takim razie jutro rano - wydusił, trzęsąc się z zimna. Oczy prawniczki były niewidoczne. - Co nam to właściwie da? - zapytał.

- A co nam mają dać poszukiwania Camille Malraux?

Don drżał na całym ciele. Czuł się tak, jakby gwałtowny deszcz wywiał z niego cały entuzjazm.

- Będziemy przynajmniej wiedzieli - przekonywała - że próbowaliśmy zrobić wszystko, co w naszej mocy.

- Jeżeli w tamtym grobie leży właściwy Malraux, to będzie w nim również leżał, kiedy pogoda się poprawi i...

Eva podniosła już jednak rękę i zaczęła machać w stronę rzędu taksówek stojących na Grote Markt.

W pierwszej taksówce paliło się światło, ale kierowca nie zareagował. Zajęty był lekturą gazety, którą powiesił na kierownicy. Druga taksówka wyglądała na opuszczoną - światło w kabinie było zgaszone - trzecia zaś ospale mrugnęła stłuczonym reflektorem. Kiedy kryjąca się pod sklepieniem para nie ruszyła od razu, do krótkiego sygnału wizualnego dołączył wściekły ryk klaksonu.

Eva chwyciła Dona za ramię i pociągnęła za sobą w deszcz. I choć kluczył między kałużami tak szybko, jak tylko potrafił, to gdy w końcu opadł na kremowe tylne siedzenie taksówki, koszula pod marynarką była już na wskroś przemoczona.

W lusterku zobaczył naznaczoną plamami wątrobowymi twarz o przekrwionych oczach. Dłoń na skrzyni biegów pokrywały niewyraźne niebieskie tatuaże, a kiedy Eva zamknęła drzwi, wyczuwalny w kabinie zapach oparów alkoholowych przybrał na sile.

- *La nécropole Saint-Charles-de-Potyze* - wymamrotał Don z rezygnacją.

Powtórzył jeszcze adres kilka razy po angielsku, aż kierowca w końcu zrozumiał. Ruszyli Meensestraat. Don zobaczył przez szybę, jak kilku emerytów w przeciwdeszczowych kurtkach wskazuje zapomniane nazwiska żołnierzy na łuku triumfalnym Menin.

Kiedy zostawili za sobą Ypres i wyjechali na spowity szarą mgłą teren, kierowca zaczął wskazywać

im wszystkie cmentarze, jakie powoli mijali.

Tę właśnie ulicę - Zonnebeekseweg, jak bełkotliwie tłumaczył im kierowca - angielscy żołnierze idący na śmierć w czasie pierwszej wojny światowej nazwali „Oxford Street” - teraz zostały już po nich tylko długie rzędy posępnych białych krzyży. Samochodem zarzuciło, kiedy kierowca spojrzał na Dona.

- Podobno zwłoki, które tam leżą, nadal czują zapach deszczu - powiedział. - Błoto i gliniasta breja skapują im do trumien przez zmurszałe wieka, a wtedy tych umarłych ogarnia nadzieja, że wciąż jeszcze żyją.

Don spojrzał na Evę, ona jednak wpatrywała się w zamglony cmentarz.

- Na wojnie koniec nadchodzi o wiele za szybko - ciągnął kierowca, a język cały czas mu się plątał. - Wszystko zmienia się tak gwałtownie, że dusza za tym nie nadąży. W jednej sekundzie słychać szcęk metalu i każdy mięsień prze naprzód, a w kolejnej jest już po wszystkim. Dusza nie radzi sobie z takim przeskokiem. Czołga się w błocie i będzie się czołgać zawsze, mimo że brakuje jej ciała. Nie chce zrozumieć, że jej czas się skończył, a życie nieodwołalnie minęło.

Kierowca znów spojrzał w lusterko.

- Pan też widzi, jak się czołgają między nagrobkami?

Don postanowił nie odpowiadać. Deszcz padał dalej, kiedy zaś zbliżyli się do niskiego ceglanoego muru, kierowca zwolnił. Po drugiej jego stronie rozciągały się symetryczne rzędy białych krzyży na tle karłowatych drzew. Kiedy przejeżdżali obok, w jednej chwili wszystkie one tworzyły prostą, w następnej zaś ukośną linię.

Wkrótce taksówka zatrzymała się przed bramą cmentarza. Zobaczyli dwie białe kolumny i czarną furtkę z kutego żelaza. Do każdej z kolumn przymocowano żelazny miecz, którego podłużne ostrze oplatały liście laurowe.

Za murem widniał posępny pomnik Golgoty. Na granitowym postumencie stały dwie kobiety w płaszczach z brązu. Twarze miały schowane pod kapturami. Ponad nimi wznosił się krzyż z postacią Chrystusa. Chrystus miał koronę cierniową i otwarte oczy.

- Nie mają spokoju umarli we Flandrii - powiedział kierowca, odwracając się do Evy i Dona.

Koszula, która przykleiła się Donowi do krzyża, była jak lodowata dłoń.

- Będzie tak padało całą noc - mówił dalej kierowca. - Przynajmniej tak mówili w radiu.

- To może mógłby pan pożyczyć parasol - odparła Eva.

Chwyciła leżącą na tylnym siedzeniu torbę i rzuciła ją Donowi, żeby mógł zapłacić. Wyjął kilka banknotów i odezwał się do kierowcy:

- To nie potrwa długo. Sprawdźmy tylko jedną rzecz i już jesteśmy z powrotem.

- Nie mogę tak tu stać i...

Don wręczył mężczyźnie trzydzieści euro.

- Teraz są akurat kursy na...

Kierowca dostał jeszcze kilka banknotów i na jego plamistej twarzy pojawił się uśmiech odsłaniający rzadkie uzębienie. Don poczuł mocny zapach alkoholu.

- Niech pan sprawdzi z tyłu, może znajdzie się coś na deszcz. Osłony przed tym drugim już nie mam.

Eva ponagliła Dona spojrzeniem. Ten zatrząsł się z zimna raz jeszcze i otworzył drzwi.

W bagażniku rzeczywiście leżał parasol z urwaną rączką. Po rozłożeniu ukazał się na nim napis „Colruyt Supermarkt - laagste prijzen”. Przynajmniej był odpowiednio duży.

Przyciśnięci do siebie pod parasolem otworzyli skrzypiącą bramę. Wyłożona kamieniami ścieżka tworzyła linię między polami krzyży wznoszących się ponad podmokłą trawą. Mogłoby się tu zmieścić kilka tysięcy grobów, pomyślał Don, podchodząc do najbliższego z nich. Powierzchnię białego betonowego krzyża pokrywała drobna siateczka pleśni, jednak plastikowa tablica z nazwiskiem była nadal czysta. Pod francuskim nazwiskiem widniały słowa, których Don szybko się nauczył: *Mourtpour la*

France. Przez chwilę chodzili skuleni między grobami, szukając tego z numerem 1913, aż w końcu znaleźli mapę cmentarza. Wznosiła się jak obraz ołtarzowy nad niską kamienną ławką.

Don wyjął z torby małą plastikową zapalniczkę i oświetlił płomieniem tablicę.

Nécropole Nationale Française
Saint-Charles-de-Potyze

Pod czarnym napisem widniał schemat cmentarza, podzielony na cztery czerwone prostokąty - każdy z nich pokrywały malutkie liczby.

Don zaczął przeszukiwanie od dołu i przyświecając sobie zapalniczką, posuwał się coraz wyżej. W końcu zapalniczka zrobiła się tak gorąca, że nie mógł już jej utrzymać, musiał więc zgasić płomień.

- Grobu Malraux tu nie ma - powiedział do Ewy.

- Na pewno przegapiłeś. Spróbuj jeszcze raz.

Don westchnął. Zaczął wskazywać cztery prostokąty, których czerwone kontury były teraz ledwo widoczne.

- Z tej strony są numery do 1800. A tutaj... - Przeniósł palec. - Tutaj zaczyna się następna seria: od grobu z numerem 2101 do ostatniego, numer 3567. Numeru 1913 brak. W Lakenhalle musiał być jakiś błąd.

Ewa wyjęła mu z ręki ostygłą już zapalniczkę i raz jeszcze, kawałek po kawałku, zaczęła oświetlać płomieniem mapę. Tuż pod czarnym kirem, wyznaczającym granicę cmentarza, dostrzegła niebieskawy prostokąt.

- *La mausolée de Gravenstafel* - przeczytała.

Płomień zapalniczki zgasł i przez chwilę stali w deszczu bez słowa.

Wreszcie Eva chwyciła Dona za rękę, on zaś rzucił ostatnie spojrzenie na taksówkę, po czym dał się poprowadzić kamienną ścieżką coraz głębiej w mrok.

Minęli francuską flagę rozpiętą tuż nad ziemią w centralnym punkcie cmentarza - padający deszcz wyrzucił materiał, tworząc z niej sadzawkę pełną brudnej wody. Ewie najwyraźniej zaczęło się spieszyć i nawet nie starała się omijać pokrywających ścieżkę kałuż.

Przy końcu cmentarza stał prosty obelisk oznaczający miejsce, w którym znajdował się zbiorowy grób. Za nim, niczym mur, ciągnął się rząd wierzb, których gałęzie opadały ku ziemi. Tuż obok biegła mała żwirowa ścieżka skręcająca w lewo. Możliwe, że kiedyś była dobrze utrzymana, teraz jednak stanowiła wąski, gliniasty pasek.

Kiedy szli ścieżką wzdłuż muru cmentarza, Don zauważył, że nazwiska na nagrobkach nie są już francuskie. Spoczywały tu ciała Marokańczyków, Algierczyków i Tunezyjczyków. Kamienie nagrobne kończyły się szpicem w kształcie cebuli i znajdowały się na nich arabskie zawijasy. Dаты śmierci były jednak takie same jak u Francuzów.

Gliniana ścieżka wiodła do zagajnika. Między gałęziami prześwitywał budynek w kształcie świątyni. Fasada być może przypominała kiedyś rzymski marmur, teraz jednak betonowe filary były popękane. Z pochyłego dachu lała się deszczówka, tworząc przed szerokimi schodami małe jezioro.

Ewa pociągnęła Dona za sobą między drzewami, żeby nie musieli już dłużej brnąć w błocie. Mauzoleum zamiast drzwi miało portal z napisem *Les crimes de guerre - La grâce divine*.

- *Après vous* - powiedziała Ewa. - Ty przodem.

Don z wahaniem wszedł do środka. Wewnątrz panował taki mrok, że nie był nawet w stanie dostrzec, gdzie kończy się betonowa sala. Słyszał tylko swój własny oddech, odbity echem od ścian. Po chwili dołączył do niego odgłos kroków Ewy i ich oddechy splotły się ze sobą.

- Musi tu być jakieś światło - szepnął Don.

Przesuwał ręką po ścianie w kierunku migoczącego czerwonego światła. U sufitu rozległ się trzask i szklane klosze z mrożonego szkła rozświetlił jasnoniebieski blask.

- No i co my tu mamy - odezwał się, żeby cokolwiek powiedzieć.

Podłoga mauzoleum była wyłożona kaflami, a ściany pokrywała szachownica nagrobków z czworokątnych betonowych płyt. Widniały na nich, pokryte zielonkawą pleśnią, daty i nazwiska zmarłych.

W pomieszczeniu pachniało jak w publicznej toalecie, w pokrytej plamami podłodze znajdowała się dziura przykryta kilkoma grubo ciosanymi deskami, które zbito gwoździami w prowizoryczną klapę.

Don zrobił kilka kroków do przodu i zorientował się, że zgnięty zapach dochodzi właśnie z przykrytej dziury. Słyszał też było ciche bulgotanie, jak z nieszczelnego syfonu.

Odwrócił wzrok od tego przykrego widoku i zaczął przyglądać się liczbom na ścianie. Pierwszy numer znajdował się w lewym rogu pomieszczenia.

-1801-

MONTARD JEAN-LOUIS
MORT POUR LA FRANCE 22-4-1915

Idąc wzdłuż nagrobków, dotarł do płyty numer 1850. Na drugiej ścianie liczby biegły dalej, by w końcu zatrzymać się o trzynastcie numerów za wcześnie, na nagrobku 1900. Don spojrzał na szczelinę między rozeschniętymi deskami przykrywającymi dziurę w podłodze.

- Musi tu być jeszcze jeden poziom - powiedział szeptem.

Przy dźwiękach deszczu bębniącego o dach mauzoleum chwycili z dwóch stron niedbale zbite deski. Musieli pociągnąć naprawdę mocno, żeby podnieść klapę, a kiedy udało im się ustawić ją pionowo, Don zorientował się, że sam utrzymuje cały ciężar.

Eva puściła deskę i zakryła dłonią usta, chroniąc się przed przeraźliwym odorem, który uderzył ich w nozdrza. W ukrytej wcześniej pod deskami prostokątnej dziurze znajdowały się schody prowadzące w zupełny mrok - tam światło najwyraźniej kompletnie nie działało.

Don odepchnął stojącą drewnianą klapę, która z trzaskiem upadła na podłogę. Spojrzał z nadzieją na Evę, ona jednak tylko pokręciła głową i dała mu znak, że to on powinien iść.

Wziął głęboki wdech przez usta i znowu pstryknął zapalniczką. Przesunął mały plastikowy regulator na najsilniejszy płomień i postawił but na pierwszym stopniu.

Schody wiodły wzdłuż ściany niższego pomieszczenia. Don spojrzał na Evę - wciąż jeszcze zakrywała dłonią usta. Wsłuchał się w bębnienie deszczu. Pomyślał, że zaszli już za daleko, by teraz się wycofać, i powoli zaczął schodzić po schodach.

Kiedy jego oczy przyzwyczyły się już do mroku, zrozumiał, skąd dochodził paskudny zapach. Gdzieś tutaj przeciekała z pewnością rura kanalizacyjna, ostatnie stopnie i podłogę dolnego poziomu pokrywała bowiem brunatna, chlupocząca maź, sięgająca powyżej dolnego rzędu nagrobków. Don miał nadzieję, że cementowe spojenia płyt nagrobkowych nadal są szczelne.

- Nie musisz za mną iść! - krzyknął do Ewy.

Światła i tak wystarczyło tylko dla jednej osoby, a i to niezupełnie.

Płytko oddychając, zszedł na ostatni suchy schodek. Zgasił zapalniczkę, żeby mogła się ochłodzić. Z góry dochodził przytłumiony dźwięk bębniącego o dach deszczu.

Don ponownie pstryknął zapalniczką i wychylił się w lewo, próbując odczytać numery na najbliższych nagrobkach.

1907,1908,1909...

Zapalniczka sparzyła Dona w palce. Zaklął i potrząsnął ręką.

Wpatrując się w nieprzeniknioną ciemność, próbował wyobrazić sobie układ grobów. Numery bieły od lewej do prawej. 1909 był ostatnim, jaki udało mu się dostrzec. Musiał wychylić się jeszcze trochę, by zobaczyć nagrobek oznaczony liczbą 1913. Cztery numery były granicą jego możliwości, później musiałby już brodzić w brunatnym szlamie.

Wyciągnął ręce do góry i złapał się krawędzi otworu. Wisząc na jednej ręce, wychylił się do przodu na tyle, na ile pozwalał mu sztywny kręgosłup. Drugą rękę przysunął do ściany i zapalił płomień zapalniczki. Przeczytał:

-1912-
BELLEMERE GEORGES
MORT POUR LA FRANCE 23-4-1915
Blessures de guerre

Don zgasił zapalniczkę i odchylił się do tyłu. Potrzebował krótkiej chwili odpoczynku. Zamknął oczy i nasłuchiwał. Wreszcie otworzył oczy i podjął ostatnią próbę - jeszcze tylko kawałek.

Wyciągnął się tak daleko, jak potrafił. Pstryknął głośno zapalniczką. W migoczącym świetle zobaczył napis:

-1913-
MALRAUX CAMILLE
MORT POUR LA FRANCE 22-4-1915
Tue a lennemi

Szklane kapsuły

Elena wiedziała bardzo dobrze, że nie jest jedyną osobą wychowaną przez fundację. Przez lata Vater przywoził do Wewelsburga wiele dzieci, ale jej moce przebijały wszystkie inne.

Pozostałe dzieci pracowały w dwunastoosobowych grupach - z jakiegoś powodu taki układ był najbardziej korzystny. Ludzie z fundacji wszelkimi metodami próbowali rozwinąć ich zdolności receptywne. Zmysły dzieci okazały się jednak beznadziejnie nieostre i to ona pozostała największym i najbardziej unikatowym odkryciem Vatera.

Jako że była wybranym adoptowanym dzieckiem, Vater otoczył ją szczególną troską. Jeszcze zanim Elena potrafiła zrozumieć, co to takiego, pokazywał jej najstarsze szkice z głębi źródeł. Wizje pojawiały się obok czysto technicznych opisów tunelu. Na marginesach widniały pojedyncze pospieszne szkice, które wyglądały tak, jakby wykonała je obca ręka.

Jednak niewielu spośród wcześniejszych badaczy posiadało jakiegokolwiek zdolności pozwalające odbierać pola astralne kryjące się w podziemnym świecie. Ci zaś, którzy poczuli oddziaływanie i wykonali szkice, odrzucili je jako coś pozbawionego racjonalnego znaczenia.

Sytuacja uległa zmianie, kiedy odkryto, że mimowolne szkice miały kształt samopowtarzającej się molekuly, której nigdy wcześniej nie widziano. Mógł to być przypadek, jednak wkrótce zjawisko powtórzyło się na szkicach materiału budowlanego o niezwykle frapujących właściwościach.

Wydawało się, że wizje pojawiają się bez jakiegokolwiek wewnętrznej logiki i ich interpretacja wkrótce stała się najważniejszym zadaniem fundacji. Notatki, które pozostały po kontaktach ze źródłem, bez wątpienia mogłyby dostarczyć pracy na kilka dziesięcioleci.

Dopiero kiedy każdą wizję wyjaśniono w najdrobniejszym szczególe, spróbowano wywołać nowe. Wciąż jeszcze posiadano próbki błyszczącego pyłu, zamkniętego w obudowanych ołowiem szklanych kapsułach. Ten osobliwy proszek nosił ślady duchowej energii obecnej w świecie podziemnym. Pozostała nad nim poświata, którą potrafiła dostrzec jedynie osoba posiadająca wystarczająco wrażliwe zmysły i duszę...

Takim właśnie darem obdarzona została Elena. Pomogła dotrzeć fundacji dalej, niż ktokolwiek śmiałby przypuszczać. Nie pamiętając własnej przeszłości, była posłusznym dzieckiem i nagradzano ją za wszystkie te szczegółowe rysunki, które wykonała przez pierwsze lata pobytu.

Z chwilą gdy jej ciało zaczęło nabierać kobiecych kształtów, pył w kapsułach przestał do niej przemawiać: leżał pod szkłem, niczym szare płatki popiołu, niemy i martwy.

Gdy Vater zauważył, że jej próby coraz częściej kończą się niepowodzeniem, Elena, broniąc się, powiedziała, że nie może nic poradzić na to, że materiał ze szklanych kapsuł stracił moc. Kiedy jednak inne dzieci dokonały nowych odkryć, kłamstwo wyszło na jaw i musiała przyznać, że jej zmysły nie są już tak wyczulone.

Mówiono, że Vater okazał jej niespotykane względy, zatrzymując ją mimo wszystko przy sobie. Z jego punktu widzenia odegrała już swoją rolę, szukając nowej, próbowała jedynie usprawiedliwić własne istnienie.

Mężczyźni ze służb wywiadowczych nauczyli Elenę używać ciała jako broni. Okazało się, że również w tej dziedzinie była wyjątkowo utalentowana. Pokazali jej, jak kierować maszynami, o których sile nigdy nawet nie śniła. Wyszkolili ją w walce wręcz i śmiali się z niej, dopóki nie nauczyła się panować nad mimiką, która mogłaby ją zdemaskować.

Potem w zaskakującym przypiływie czułości Vater właśnie jej zlecił zadanie przywiezienia znaleziska Erika Halla. Mógł wysłać kogoś innego, co, biorąc pod uwagę rozwój wydarzeń, pewnie byłoby lepszym pomysłem.

Elenie powiodło się i nie powiodło zarazem. Przez ostatnie dni wciąż to powtarzano. Teraz to ona będzie musiała naprawić to, co tak niewyobrażalnie źle poszło.

Kiedy krzyż zamknięto w bankowym skarbcu, ucichły niewyraźne głosy, które słyszała. Zniknęły razem ze wspomnieniami o innym życiu i pozostawiły wewnątrz Eleny puste i wypalone.

Les suprêmes adieux

Kiedy Don wszedł z powrotem po schodach na wyższy poziom mauzoleum, musiał pochylić się do przodu, oprzeć o coś kolanami i głęboko oddychać, by pozbyć się obrzydliwego zapachu ścieków, jaki wypełniał mu płuca. Stojąc na brudnej kafłowej podłodze w niebieskawym świetle i dysząc ciężko, zastanawiał się, co właściwie miał nadzieję tam znaleźć.

Krzyż i gwiazdę Strindberga wyciosane w kamieniu? Jakiś trop? Na co liczył? Na szkie sfer wciśnięty między nagrobek a betonową ścianę?

- *S'iz nur vi redn tsu der vant* - wystękał sam do siebie i z powrotem zasunął drewnianą klapę, żeby zdusić paskudny zapach.

Następnie powłókł się do ściany mauzoleum i skulił w rogu, obejmując rękoma chude nogi. Siedział w ten sposób do chwili, kiedy przed nosem zatańczyła mu torba.

- Może to ci się przyda - powiedziała Eva.

Don wyjął jej torbę z ręki i zaczął chciwie przeszukiwać, aż w końcu znalazł bułgarski lek przeciwlękowy. Nawet nie pamiętał, że zabrał go ze sobą z gabinetu w Lund.

Kiedy kolorowe tabletki znalazły się na języku, poczuł gorzki smak wodzianu chlorału. Przełknął i szybko zaciągnął się trichloroetenem z inhalatora. Wszystko po to, aby przyspieszyć nadejście chemicznego spokoju.

Oczy musiały uciec mu na kilka sekund do góry, Eva bowiem z niepokojem szarpnęła go za ramię.

- No i co tam było? - zapytała, kiedy udało mu się skupić na niej wzrok.

- Nic - odparł Don.

- Malraux nie jest tu pochowany?

Don przechylił głowę, aż chrupnęło w karku, i spojrzał na szklane klosze pod sufitem.

- Tak myślałam, że nie może tu chodzić o mężczyznę - powiedziała Eva. - Teraz pozostaje tylko...

- Camille Malraux tam leży - przerwał Don. - *Gants geshtorben*, całkiem martwy, o ile jego grób nie jest pusty.

Eva ukucnęła naprzeciwko niego. Po chwili ciszy powiedziała:

- I nie ma nic więcej?

- Idź i sama zobacz, skoro tak cię to ciekawi.

- Data się zgadza? Pisownia nazwiska też?

- Jest tylko napis: *Tué à l'ennemi*. Zabity przez wroga. *Tué à l'ennemi*.

Don spojrzał na Evę i uśmiechnął się słabo.

- *A dead end*, można by powiedzieć. Ślepa uliczka.

Eva Strand przez chwilę siedziała nieruchomo, nic nie mówiąc. Następnie wstała i podeszła do czarnego wyjścia na cmentarz, gdzie deszcz nadal lał się z nieba. Oparła rękę o przeżarty pleśnią filar, drugą zaś poprawiła kosmyk upiętych włosów.

Don zamknął oczy i wsłuchiwał się w stukanie deszczu.

- Camille Malraux - odezwała się Eva. - Camille Malraux, *tué à l'ennemi*. Zabity przez wroga. Pocztówka napisana do ukochanego mężczyzny, który zginął na wojnie.

Don usłyszał szuranie jej butów, a kiedy podniósł wzrok, zobaczył, że Eva na niego patrzy.

- Co to oznacza? - zapytała.

Zobaczył ciemnozielony prochowiec, splecione na piersi chude ramiona, przewieszoną przez ramię torebkę i kwaśną minę.

- Że czeka na nas taksówka - odparł.

Przewiesił pasek torby przez ramię i zaczął zbierać siły, aby się podnieść. Eva stała przed ścianą deszczu jak cień.

- Eberlein bardzo chciał się dowiedzieć, co znalazłeś u Erika Halla...

Don westchnął i znów oparł się o ścianę.

- Pewnie myślał, że chodzi o coś innego. Nurek wiedział być może więcej, niż mi zdradził. A tę widokówkę znalazłem przecież zupełnie przypadkowo. Nie musi nic znaczyć. Erik Hall mógł sam to wszystko napisać. Może pasjonował się pierwszą wojną światową.

- Choć z drugiej strony Camille Malraux rzeczywiście leży w grobie 1913 na cmentarzu Saint-Charles-de-Potyeze koło Ypres - powiedziała Eva. - Data też się zgadza, zmarł dwudziestego drugiego kwietnia zagazowany pod Gravenstafel.

Odsunęła się od drzwi, podeszła do Dona i wyciągnęła rękę.

- Niech no raz jeszcze na to spojrzę.

Don wyciągnął pocztówkę z wewnętrznej kieszeni marynarki. Deszcz prawie ją zniszczył, rogi były miękkie i zaczynały się rozłazić. Kiedy ją odwrócił, okazało się, że szczęśliwie atrament nie zaczął jeszcze spływać. Podał ją Evie, ona zaś jeszcze raz przeczytała tekst, mamrocząc do siebie:

la bouche de mon amour Camille Malraux
le 22 avril
l'homme vindicatif
l'immensité de son désir
les Suprêmes adieux
1913

Z zimna czubek jej nosa nabrał czerwonego odcienia. Don przyglądał się jej cienkim wargom, liniom na czole i przezroczystym oczom, którymi wodziła od lewej do prawej.

W końcu odwróciła kartkę i kolejny raz spojrzała na zdjęcie kościoła.

- A może to jakaś gra słowna? - dywagowała. - Może to szyfr?

- A może nic nieznacząca stara widokówka, którą człowiek z kopalni chciał sobie zachować na starość, ale odebrał sobie życie za pomocą szydła.

Eva się nie uśmiechała.

- *La bouche de mon amour Camille Malraux* - powiedziała. - Oto usta mojego ukochanego Camille'a Malraux.

Wpatrzyła się w Dona, jakby spodziewała się od niego pomocy. Ten wziął głęboki wdech i spróbował:

- Może siedzą sobie razem w kawiarni na Grote Markt. Wojna szaleje, ale wciąż jest nadzieja. Mężczyzna z kopalni ma starą pocztówkę ze zdjęciem katedry sprzed rozpoczęcia walk. Ta pocztówka ma dla nich szczególne znaczenie. Może sobie coś obiecują. Mężczyzna prosi Camille'a o odcisnięcie umalowanych ust na pocztówce i wkłada ją do kieszeni. Słowa na kartce pisze dużo później, na pamiątkę ich miłości. Mogło tak być?

- Możliwe, kto wie? - odpowiedziała Eva. Wyglądała na zadowoloną z jego próby, ponieważ usiadła obok na podłodze.

- A później? - spytała.

- Wybiera datę, która jest datą śmierci Camille'a Malraux: dwudziesty drugi kwietnia 1915 roku, atak gazowy pod Gravenstafel. 1913 to numer grobu Malraux. Dopisuje *les suprêmes adieux*, ponieważ w ten sposób po raz ostatni żegna się z osobą, którą kochał.

- Czy kochali się czysto fizycznie, tego nie wiemy - powiedziała Eva. - Może byli po prostu dobrymi przyjaciółmi?

Don spojrział na nią zdziwiony.

- Jakże to ma znaczenie?

- Nie ma żadnego, chciałam tylko... Mów.

- W takim razie zostały jeszcze dwa wersy: *Vhomme vindicatif l'immensité de son désir*. Mściciel

i niepomierne żądze.

- No więc?

- Niepomierne żądze mogłyby świadczyć o tym, że istniało między nimi jakieś zauroczenie. A mściciel... Może chodzi o zemstę na Niemcach. Chociaż wydaje mi się, że to wszystko tylko *meshugas*, bzdury. Kilka wersów mających zachować w pamięci wiersz, który obaj lubili.

- Baudelaire'a?

Don skinął głową.

- Zgadza się, to fragmenty Baudelaire'a, tak jak powiedziała dziewczyna z archiwum. Odszukałem ten wiersz w muzeum, zanim znalazłem notatkę o grobie Malraux.

- I?

- Nie wiem. Wszystkie trzy frazy pochodzą z tego samego wiersza w *Kwiatach zła*. Z powodu tego zbioru Baudelaire został oskarżony i skazany, a jego fragmenty aż do lat pięćdziesiątych były we Francji zakazane jako wyjątkowo niemoralne.

- Czy się zmieniają - stwierdziła Eva.

Don zamknął oczy i próbował przywołać w pamięci ekran muzealnego komputera.

- Nie miałem zbyt wiele czasu, ale pomyślałem, rzecz jasna, że mimo wszystko musi istnieć coś, co łączyłoby ich ze sobą: Baudelaire'a i człowieka z kopalni.

- Tak?

- Ale z lektury dowiedziałem się tylko, że dzielili mroczną fascynację piekłem. W końcu mężczyzna napisał na ścianie „Niflheim” i „Naströndu”, wybrzeże trupów. A Baudelaire w przedmowie do *Kwiatów zła* złożył hołd diabłu.

Znów zobaczył przed sobą wersy Baudelaire'a i tytuł *Au lecteur*. Kiepską francuszczyznę zaczął recytować:

*C'est le Diable qui tient les fils qui nous remuent!
Aux objets répugnants nous trouvons des appas;
Chaque jour vers l'Enfer nous descendons d'un pas,
Sans horreur, à travers des ténèbres qui puent.*

- To diabeł... - zaczął.

- To diabeł kontroluje nasze ruchy - powiedziała Eva szeptem. - We wszystkim, co odrażające, znajdujemy upodobanie. *Chaque jour...* każdego dnia opadamy coraz niżej ku piekłu. I brniemy przez cienie i fetor, nie czując strachu.

Don skinął głową.

- Mniej więcej.

Jedna z żarówek zamrugała i zgasła.

- Z jakiego wiersza pochodzą słowa na pocztówce? - zapytała Eva.

- To fragment długiego wykładu na temat nekrofilii, szczegółowego opisu tęsknoty pewnego mężczyzny za seksem ze zwłokami kobiety.

- Jaki jest tytuł?

- *Męczennica. Une Martyre [Dessin d'un maître inconnu]*, obraz nieznanego mistrza. Dokładnie tak, jak mówiła dziewczyna. *Un cadavre sans tête épanché, comme un fleuve*, trup bez głowy, broczący krwią na płótno, które pije ją z pragnieniem... łąki i tak dalej, i tak dalej.

Don zaczerpnął tchu.

- Mam zabrać widokówkę? - zapytał.

- Jeszcze nie.

Na dworze wiatr szarpał wierzbnami. Kolejna żarówka zaczęła się przepalać, rozległo się charakterystyczne pstrykanie.

- *Męczennica* - mruknęła Eva sama do siebie. - Może chodzi mu o Malraux.

- Był męczennikiem za swój kraj, to jasne - odparł Don. - Ale może człowiek z kopalni chciał dać do zrozumienia, że to on cierpi, udręczony smutkiem i tęsknotą za swoim francuskim podporucznikiem. I że to właśnie pchnęło go do samobójstwa.

Eva skuliła się i oparła głowę na dłoniach. Don chciał zapytać, czy wszystko w porządku, ale najwyraźniej tylko się zastanawiała, bo po chwili zapytała:

- Jak dokładnie brzmiał ten wiersz?

- W tłumaczeniu?

Wzruszyła ramionami.

- Fragment pochodzi z opisu samego aktu.

Don zamknął oczy i wyrecytował z pamięci:

Czy ten mściciel, któremu nie umiałaś już, żywa,
Dać dosytu, kichając tak wiele,
Niepomiernych żądz swoich ukojenie zdobywał
Na bezwładnym, powolnym twym ciele?

Powiedz, trupie nieczysty! Czy za włosów twych sploty
Drżąc w gorączce cię uniósł ku górze?
Powiedz, głowo straszliwa! Czy ostatnie pieścizoty
Kładł na zębów twych chłodnym marmurze?

Kiedy otworzył oczy, zorientował się, że prawniczka patrzy na niego zdziwiona.

- Powiedziałaś: ostatnie pieścizoty kładł na zębów twych chłodnym marmurze?

- Tak było w przekładzie.

- Brzmi dziwnie.

- Może trzeba używać dziwnych słów, chcąc dobrze przetłumaczyć Baudelaire'a - odparł Don.

Eva siedziała w skupieniu i oglądała widokówkę pod światło. Znów odezwała się szeptem:

- *Les suprêmes adieux*. Ostatnie pieścizoty na chłodnych zębach. A powiedz... jaka była końcówka w pierwotnym tekście?

- Pierwotnym tekście?

- Jak to jest po francusku.

- Naprawdę to wytrzymasz?

- Jeśli przestaniesz się silić na francuskie r.

Don zamknął oczy i przywołał w myślach kobietę i szumiący komputer w muzeum. Przeczytał z ekranu:

Dis-moi, tête effrayante, a-t-il sur tes dents froides
Collé les suprêmes adieux?

Zapadła cisza. Po jakimś czasie Eva powiedziała:

- *Collé les suprêmes adieux?*

Don skinął głową.

- Nic o żadnym pocałunku? *Une bise, un bisou, une baiser?*

Pokręcił głową.

- *Collé* znaczy po francusku przyklejać - powiedziała Eva. - Te ostatnie wersy znaczą dosłownie: przykleił ostatnie pożegnanie na twoich zimnych zębach, czy raczej na twoich zimnych ustach. Co człowiek z kopalni mógł chcieć przykleić do ust ukochanego?

Don spojrzał pytająco na Evę, kiedy ta się podnosiła.

- Czy mogło być tak, że...

- Nie myślisz chyba...

- ...że odcisk na pocztówce wykonano po śmierci Malraux, kiedy już leżał w grobie? Może człowiek z kopalni otworzył nagrobek i potem go zamknął. Co innego mógł w takim razie chcieć schować u swojego kochanka?

Don zaczął szarpać włosy.

- Sądzę, że powinieneś pójść do taksówki i zapytać o jakieś narzędzia - powiedziała Eva.

Kiedy Don wreszcie trafił do furtki, buty miał całe w glinie.

Światło w taksówce było zgaszone, pomyślał więc z odrobiną ulgi, że kierowca pewnie zasnął. Nagle jednak reflektory się zapaliły, oślepiając Dona. Zasłonił ręką oczy i po omacku posuwał się naprzód, chcąc zapukać w szybę koło kierowcy.

Szyba poszła w dół.

- A pańska koleżanka?

- Została - odparł Don. Mówił głośno, żeby przekrzyczeć deszcz.

- Wie pan, która jest? Siedzę tu już prawie godzinę.

- Tak, my...

- Widzieliście umarłych?

- Leżą na swoich miejscach.

Taksówkarz poruszył ustami, ale ulewa zagłuszyła jego słowa. Don mówił najgłośniej, jak potrafił:

- Chodzi o to, że... chcielibyśmy pożyczyć kilka narzędzi.

Przez chwilę Don nie był pewien, czy pytanie dotarło, jednak po chwili twarz kierowcy znów rozjaśnił rzadki uśmiech.

- Możecie je wypożyczyć - powiedział, patrząc na Dona przepitym wzrokiem. - Za trzysta euro może pan wziąć z bagażnika, co tylko chce.

Don zaczął się zastanawiać, czy nie zbyć Evy jakąś wymówką, jednak w końcu wyjął plik banknotów od Hex i trzymając je pod parasolem, zaczął przeliczać.

- Dwieście pięćdziesiąt - powiedział.

- Trzysta, jeśli chcecie kopać na cmentarzu. I jeszcze trzysta, jeżeli mam czekać.

Język kierowcy poruszał się szybko.

Den odszedł kawałek, zaklął pod nosem i jeszcze raz przeliczył wszystkie pieniądze.

- Trzysta za wszystko - powiedział, kiedy wrócił.

Taksówkarz wyjął mu z ręki zwinięte banknoty, pochylił się do przodu i otworzył bagażnik od środka.

Kiedy Don się odwrócił i ruszył w kierunku bagażnika, kierowca krzyknął coś za nim. Don spojrzał za siebie i zobaczył wyciągniętą przez okno rękę z wizytówką. Najwyraźniej był dobrym klientem. Zabrał wizytówkę, a szyba natychmiast powędrowała do góry - kierowca nie chciał pewnie wychłodzić kabiny.

W bagażniku pod zapasowym kołem leżał pęk dużych śrubokrętów. Don wsunął go za pasek spodni. Po chwili szperania udało mu się również znaleźć czarną gumową latarkę z prawie przepaloną żarówką. W drodze powrotnej na cmentarz zdążyła zgasnąć kilka razy, kiedy zaś działała, świeciła pomarańczowoczerwonym światłem o zaledwie metrowym zasięgu.

Kiedy podszedł do portalu mauzoleum, zobaczył, że Evie udało się własnoręcznie odsunąć klapę. Znowu było widać schody, z dolnego poziomu zaczął też z powrotem napływać nieprzyjemny zapach.

- *A groyse shande* - wymamrotał Don, podchodząc do Evy z narzędziami w dłoni. - Wielki wstyd.

Wybrał długi śrubokręt z drewnianym trzonkiem i skierował światło latarki na najwyższy stopień.

- Nie powinno się niepokoić zmarłych - powiedział.

- Mogę iść sama - odparła Eva.

Don poczuł ucisk w klatce piersiowej, znów sięgnął więc do torby i wyjął dwa tramadole. Zobaczył, że Eva schodzi po schodach, i zdał sobie sprawę, iż nie ma wyboru.

Latarka była naprawdę kiepska. Po kilku sekundach zgasała i Don musiał nią potrząsnąć. W pomarańczowoczerwonym świetle zobaczył, że Eva na niego patrzy. Stała na ostatnim suchym stopniu.

- Gdzie jest nagrobek Malraux? - zapytała.

Don przesunął strumień światła kilka metrów dalej, ponad brunatną wodą.

- *Tué à l'ennemi* - wyszeptała Eva.

Don podał jej długi śrubokręt.

- Proszę.

Był to jednak tylko pusty gest, wiedział bowiem dobrze, że to on powinien zejść do brudnego ścieku. Zanurzył ostrożnie czubek buta i poczuł lodowate zimno.

- *Di ale toyte mentshen*. Ci wszyscy umarli ludzie - powiedział do siebie i powiódł spojrzeniem po nagrobkach.

Zanurzył całą stopę i po kilku krokach był w wodzie po kolana.

- Wygląda na to, że nie jest zbyt głęboko - stwierdziła Eva.

Don chrząknął coś w odpowiedzi i pospiesznie zszedł po schodach na sam dół. Breja sięgała mu do pasa, ze wszystkich sił starał się nie oddychać przez nos. Jednocześnie musiał raz za razem oddychać, żeby nie zasłabnąć.

Zawrócił w kierunku Ewy i wyciągnął w jej stronę czarną latarkę.

- Mogłabyś mi trochę poświecić?

Wiązka pomarańczowoczerwonego światła opadła z sufitu na ścianę i zatrzymała się na liczbie 1913 oraz nazwisku Camille Malraux.

Brodząc w brunatnej mazi, Don dotarł do nagrobka i wstrząsany dreszczami chwycił oburącz śrubokręt, żeby go nie wypuścić. Czuł się tak, jakby nogi zaplątały mu się pod wodą w jakiś oślizgły sznur, który związał je w stawie skokowym i utrudniał ruch.

- Nie przestajesz mnie zadziwiać, Titelman.

Don nie wiedział, czy były to jego myśli, czy też usłyszał głos Ewy, doszedł już jednak tak daleko, że mógł przytrzymać się nagrobków w ścianie. Odwrócił się i spojrzał na prawniczkę siedzącą w kucki na suchym odcinku schodów.

Zbadawszy palcami nagrobek Malraux, znalazł niewielką szczelinę, która wyglądała obiecująco. Wetknął w nią wielki śrubokręt tak głęboko, jak się dało, czyli zaledwie na kilka centymetrów. Mimo to odchylił się do tyłu i z całej siły podważył, napierając ciężarem ciała. Betonowy odłamek oderwał się od ściany i z impetem wpadł do wody, która bryznęła Donowi w twarz.

- *A bisele naches!* - zaklął.

Nagle musiał pochylić się do przodu, ponieważ przy okazji zaciągnął się potężnie fetorem. Kiedy ogarnęła go fala mdłości, dosłyszał głos podobny do głosu Ewy. Brzmiało tak, jakby mówiła, że idzie coś przynieść. Kiedy Don się odwrócił, zobaczył, że znika na schodach.

Lodowatą maź czuł w butach, w skarpetkach, pod spodniami, sięgała aż do gołej skóry.

- *Reboyne shel oylem...*

Kiedy Eva w końcu wróciła, pokazała Donowi swoją dłoń. Trzymała w niej chropowaty kamień, który teraz z całej siły wyciągnęła w jego stronę. Don dobrnął z powrotem do Ewy i chwycił kamień.

- Jesteś pewna, że nie chcesz tu zejść?

Eva Strand się roześmiała, szybko jednak zakryła dłonią usta, żeby nie wciągać więcej powietrza, niż było to konieczne.

Brodząc z powrotem w kierunku nagrobka Malraux, Don czuł, że nogi ma jak nieruchome bryły lodu. Wiedział, że już wkrótce nie będzie w stanie nic zrobić.

Wsunął długi śrubokręt w szczelinę i zaczął dobijać go kamieniem. Już przy drugiej próbie drewniany trzonek pękł, a po niedługim czasie, od uderzania kamieniem o metal, Donowi zaczęła drętwieć ręka.

Wkrótce nie miał już siły, liczył tylko na to, że śrubokręt tkwi odpowiednio głęboko, aby wytrzymać mocne uderzenie z boku. Nabrał rozpędu całym ciałem i tak silnie naparł na wystający trzonek, że kiedy kamień ustąpił, poleciał do przodu.

Wziął się w garść, chwycił palcami brzeg kamienia i zaczął nim poruszać. Kiedy wreszcie udało się go obluźnić, okazał się tak ciężki, że Don natychmiast wypuścił go z rąk. Z głuchym łomotem wpadł do wody i wylądował tuż koło jego stóp.

Don znów podniósł głowę i zobaczył, że Eva oświetla latarką podłużny sarkofag. Światło padało na bladożółtą kulę pokrytą szaro-czarnymi kosmykami. Potrwało chwilę, nim zrozumiał, że patrzy na ludzką czaszkę.

- I co teraz? - odezwał się do Ewy.

- Nie możesz spróbować go wyjąć?

- Gotteniu...

- Po prostu chwyć go za barki i pociągnij.

Don zacisnął zęby i zajrzał do grobu. Malraux leżał na plecach, ze stopami zwróconymi do wewnątrz.

Ostrożnie wsunął ręce do środka, wzdłuż betonowych ścian sarkofagu, żeby nie dotykać kości policzkowych Malraux i tego, co kiedyś było jego uszami. Macał na oślep, aż w końcu natrafił na coś twardego, co, jak przypuszczał, było barkiem.

- Teraz ostrożnie - powiedziała Eva szeptem.

Pociągnięcie za jedno ramię nie przyniosło efektu. Kręgosłup nieboszczyka jakby utknął w betonie. Kiedy jednak Don chwycił również za drugie ramię i szarpnął, szkielet oddzielił się od resztek skóry z dźwiękiem przypominającym zasuwanie zamka błyskawicznego. Szkielet wysunął się z sarkofagu tak gwałtownie, że tylko dzięki refleksowi Don zdołał złapać tył czaszki i ją podtrzymać.

Oglądając w świetle żarówki twarz Francuza, stwierdzili, że jest wyjątkowo dobrze zakonserwowana. Kawałki cienkich jak pergamin policzków wciąż jeszcze były na miejscu, biegnące od kości policzkowych pośrodku ściągnięta nadal zaś utrzymywały szczękę.

- Nie ma żadnych obrażeń? - zapytała szeptem Eva.

- Przecież zabił go gaz - odparł Don.

Dał jej znak, aby nadal oświetlała twarz, i wolną lewą dłonią ostrożnie rozchylił wargi Camille'a Malraux. W jamie ustnej, w której wszystko zdążyło już dawno zgnieć, coś się mieniło.

Don włożył palce do ust nieboszczyka i wyłuskał przedmiot. Wyglądał na zrobiony z metalu, zachrobotał o zęby trupa. Don pokazał go Ewie.

Spod warstwy kurzu przebijała kremowa biel. Była to gwiazda ze zdjęć Eberleina, ta, którą nazywał *seba*, druga część przyrządu nawigacyjnego Nilsa Strindberga.

- Daj mi ją - wyszeptala Eva.

Don jednak nadal trzymał gwiazdę w dłoni i poprosił, by jeszcze raz skierowała strumień światła na otwarty sarkofag.

W środku było coś jeszcze... Przesunął palcami po klatce piersiowej i natrafił na coś, co nieboszczyk wciąż jeszcze trzymał w kościstych palcach. Don wyciągnął to i zobaczył zwinięty kawałek papieru. Pokazał go Ewie.

- Chodź tu natychmiast - powiedziała, tym razem głośniej. - W każdej chwili możesz wszystko upuścić.

Don spojrzał na trzymane w lewej dłoni białą gwiazdę i kawałek papieru. W prawej czuł ciężar czaszki. Może da radę sięgnąć.

- Trzymaj! - syknął do Ewy.

Kiedy zrozumiał, że wyciągnął się zbyt mocno, było już za późno. Gładka czaszka wyslizgnęła mu się z ręki.

Bez podparcia kark Malraux odchylił się powoli do tyłu i głowa z głuchym łoskotem uderzyła o betonową ścianę poniżej wejścia do grobu. Odwrócona do góry nogami twarz patrzyła teraz na Ewę pustymi oczodołami. Eva była jednak tak zajęta kawałkiem papieru, że tego nie zauważyła.

- To jakiś list - powiedziała. - To jest...

Urwała w pół zdania, kiedy coś brzęknęło jak rozrywany łańcuch. Don spojrział na zwłoki i zobaczył, że kręgi szyjne nie wytrzymują już ciężaru czaszki. Pękały jeden po drugim, niczym różaniec, a kiedy Don próbował się stamtąd wydostać, nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

Przez krótką chwilę czaszka wisiała na ostatnim pośliskłym ścięgnię, jednak po chwili oderwała się i ze złowieszczym pluskiem wpadła do brunatnej mazi.

Zebrane w pustej czaszce powietrze sprawiło, że brudna woda zabulgotała jak gotująca się zupa.

31

Telefon

Gwar unoszący się w porze lunchu nad stolikami ogródka Langemark sączył się przez uchylone okno do pokoju na czwartym piętrze. Wewnątrz cuchnęło grobem, a na podłodze leżały upaprane gliną spodnie od garnituru i skarpetki Dona. Buty, które w przypiływie desperacji próbował umyć, suszyły się w wannie.

Szalejąca w nocy burza już dawno ucichła, słabe światło słońca wpadało do pokoju przez cienkie lniane zasłonki. Eva i Don wciąż jeszcze spali. Leżeli nieruchomo obok siebie, przykryci kołdrą frotte.

Pokój, w którym stało podwójne łóżko, wyglądał, jakby ostatni raz odnawiano go w latach siedemdziesiątych. Podniszczoną tapetę, na której widniały kwiaty w morelowym kolorze, tu i ówdzie pokrywały tłuste plamy, a wzdłuż ścian biegły miedziane rury, część przestarzałej instalacji. Na ścianie obok okna wychodzącego na Grote Markt wisiał tani telewizor - na głośniku ktoś brązową taśmą przykleił kartkę z odręcznie napisaną informacją, że pilot się zgubił.

Eva przesunęła się na bok i zmuszając do działania zeszywniałe ciało, próbowała usiąść. Gdy na jej twarz padł promień słońca, zamrugła, po czym potrząsnęła głową, próbując przypomnieć sobie, gdzie jest. Siedziała chwilę na brzegu łóżka i zbierała siły. Starła się oddychać cicho, żeby nie obudzić Titelmana. W końcu udało jej się skłonić starzejące się ciało do ruchu, wstała i boso poszła do łazienki.

Tam wszystko do niej wróciło: krypta, chłód trzymanej w dłoni gwiazdy, kartka, którą Donowi udało się wyciągnąć spomiędzy palców Francuza.

Długi czas spędzony w wodzie sprawił, że Titelman był bardzo wychłodzony. Kiedy wracali taksówką z Saint-Charles-de-Potyze, wstrząsały nim silne dreszcze. Eva przypomniawszy sobie, że przyciągnęła go do siebie i przytuliła jak dziecko, próbując ogrzać go trochę swoim ciepłem. Przynajmniej tyle mogła dla niego zrobić po tym wszystkim, co go spotkało.

Ubrała się i podeszła do krzeselka, na którym Don powiesił marynarkę.

Po powrocie do hotelu byli tak zmęczeni, że nie mieli siły rozmawiać o treści listu. Eva wyjęła go teraz z wewnętrznej kieszeni marynarki, ostrożnie rozłożyła i zaczęła czytać. Był napisany po norwesku:

Kochany Camilleu!

Obietnica, którą Ci złożyłem, została wypełniona. Brama prowadząca do świata podziemnego jest zamknięta.

Żałuję, że nie mogłem zrobić więcej.

Wybieram się stąd do mojego własnego Niflheimu, w którym drugi przedmiot zostanie ukryty na wieki.

Twój Olaf

Lekko drżącą dłonią wsunęła kartkę z powrotem do kieszeni marynarki.

Potem włożyła włoskie kozaczki, narzuciła prochowiec na ramiona i ostatni raz spojrzała na chudą postać leżącą w podwójnym łóżku. Don nadal był pogrążony w snach.

Kiedy znalazła się w ciasnym korytarzu, odwróciła się, nacisnęła klamkę i zamknęła drzwi tak cicho, jak tylko umiała. Mosiężna poręcz była słabo przykręcona, więc schodząc po stromych schodach, Eva trzymała się ściany. Na dole skinęła głową recepcjonistce i otworzyła drzwi wychodzące na Grote Markt.

Czerwone flagi muzeum trzepotały w promieniach słońca przed Lakenhalle. Eva chciała opuścić otwarty plac, skręciła więc w Boomgaardstraat. Mijając okna wystawowe i samochody, zaglądała w boczne uliczki w poszukiwaniu jakiegoś zacisznego miejsca. W jednej z nich dostrzegła wystający szyld, na którym widniał ozdobny napis „Cherry Blossom Tearoom”.

W oknie kawiarni wisiała biała firanka. Eva weszła do środka. Kiedy odezwał się dzwonek nad drzwiami, młoda kobieta za zakręcającym barem odwróciła twarz w jej stronę. Eva zamówiła filiżankę czekolady z bitą śmietaną i gofra. Następnie, żeby nie rzucać się w oczy, usiadła przy stoliku w głębi

lokalu.

Kiedy poczuła w ustach orzechowy smak czekolady, sięgnęła po komórkę. Zdziwiła się, że wyjmując ją z torebki, czuje wstyd. Mimo to wybrała prefiks międzynarodowy i długi numer, który tak dobrze pamiętała.

Przeciągle, odbijające się echem sygnały.

W chwili gdy już miała zrezygnować, ktoś odebrał. Ktoś, kto miał prawo wiedzieć o tym, co się wydarzyło.

Maszt

Pajęcza sieć kontaktów Vatera rozrastała się przez wiele lat. Teraz jednak, kiedy pociągnął za wszystkie nitki, nic nie działało jak należy.

Oprócz niedbalstwa policji w małym ościennym państewku na północy działała mu na nerwy opieszałość niemieckich funkcjonariuszy i ich pozostawiająca sporo do życzenia zdolność współpracy. Wokół wszystkich skrótów zawsze unosiła się aura niekompetencji, niezależnie od tego, czy chcieli się nazywać BfV (Federalny Urząd Ochrony Konstytucji), LfV (Regionalny Urząd Ochrony Konstytucji), BND (Federalna Służba Wywiadowcza) czy też, dlaczego by nie, SS albo Gestapo.

Jedyną profesjonalną organizacją, z jaką się spotkał - po policji Cesarstwa Niemieckiego - było Ministerium für Staatssicherheit, czyli wschodniemiecka służba bezpieczeństwa, Stasi. Niestety, od dawna już nie działała, a wyczyszczenie pozostałych po niej archiwów ze śladów fundacji wymagało dużych nakładów pracy.

Jak Bundesnachrichtendienst, w końcu służba wywiadowcza, mogła przegapić krótką rozmowę telefoniczną, pozostawało zagadką. Dzięki skomplikowanemu procesowi legislacyjnemu mieli teraz takie same możliwości nasłuchu jak Francuzi, jednak wydawało się, że kompletnie nie potrafią ich wykorzystać.

Powiedziano mu, że w dobie globalnej wioski nie ma znaczenia, gdzie stoją maszty, a mimo to cały ranek musiał targować się z biurokratami w Direction Générale de la Sécurité Extérieure, namawiając ich do przesłania informacji z Paryża. Jak zwykle zachowywali się arogancko, mimo że przez lata udzielał pomocy francuskiemu przemysłowi zbrojeniowemu.

Teraz miał przed sobą zdjęcie satelitarne ze wszystkimi współrzędnymi. Widział rdzawe ceglane dachy i znajdującą się w pobliżu placu Grote Markt szarą katedrę na planie krzyża. Pozycję masztu, który przechwycił sygnał komórki, określały z pozoru przypadkowo zestawione litery:

VOORUITGANGSSTRAAT

Kiedy znajdą się na miejscu, będą musieli ustalić aktualne położenie jej telefonu. Wtedy jednak fundacja będzie przynajmniej mogła działać samodzielnie, bez żadnych jełopowatych urzędników nad głową.

33

Odwiedziny

Eva leżała samotnie na podwójnym łóżku w ciemnym hotelowym pokoju. Dzwony Lakenhalle właśnie wybiły północ, a ponieważ była niedziela, na Grote Markt od dawna panowała cisza i spokój.

Od kilku godzin siedziała w małej kawiarence, rozgrzewając się belgijską czekoladą. Bez reszty pochłonęły ją myśli o dawnych czasach i wszystkich życiowych marzeniach, które nigdy się nie spełniły.

Kiedy udało jej się otrząsnąć z melancholii i wróciła do pokoju, okazało się, że jest pusty. Titelmana nie było. Marynarka z listem i gwiazda także zniknęły. Don nie zostawił żadnej kartki. Eva pytała w recepcji, ale tam wrzuszili tylko ramionami i nie potrafili udzielić żadnej odpowiedzi.

Przez pierwsze godziny nie niepokoiła się zbyt. Tylko czekała, wychodząc z założenia, że Titelman poszedł kupić nowe ubranie w miejsce tego, które przesiąkło zapachem z Saint-Charles-de-Potyze. W miarę upływu czasu zaczęła się jednak zastanawiać. W końcu nadeszła noc i wciąż nic nie było wiadomo. Nie paliła się do wychodzenia na ulicę w poszukiwaniu Dona. Postanowiła, że zaczeka z tym do rana.

Zamknęła oczy i próbowała uwolnić się od nieprzyjemnego uczucia. Towarzyszyło jej już w ponurym Muzeum Wojny i od tamtej pory tak naprawdę ani na chwilę nie ustąpiło.

Chciała wymazać z wyobraźni czarno-białe kroniki filmowe. Te wszystkie ciała, rozszarpywane jedno po drugim. Dwie okaleczone i krwawiące figury woskowe, które leżały w szklanej gablocie otoczone zieloną chmurą gazu.

Kilka kroków dalej znalazła chłodne sprawozdanie na temat zdumiewająco szybkiego rozwoju broni w czasie pierwszej wojny światowej. Przykładem były granaty zapalające z białym fosforem. Pamiętała, że potrafiły przepalać skórę i kości.

Spojrzała w sufit i spróbowała wrócić myślami do Titelmana. Chciała zobaczyć, jak przygarbiony, z torbą na ramieniu, chodzi ulicami Ypres. Czy wpuszczano go do uroczych małych butików, kiedy tak okropnie śmierdział grobem?

Eva poczuła, że na ustach wykwita jej coś na kształt uśmiechu, i przewróciła się na bok.

Spać na plecach nie mogła. Między szesnastym a siedemnastym kręgiem miała bolesny punkt, miejsce, które nigdy już się nie zrośnie. To tam lekarze wbili jej grubą igłę, kiedy wstrzykiwali jej do kanału kręgowego fioletowy płyn. Blizna wciąż tam była, mimo że pierwsze zastrzyki dostała w wieku piętnastu lat. Powiedziano jej, że to wszystko wydarzyło się wyłącznie dla jej dobra. Poczuła, że ręka zaciska jej się w pięść nad przeponą, w miejscu, gdzie wszystko było puste i martwe.

W końcu jednak zaczął ogarniać ją błogi spokój. Usłyszała kapanie wody w łazience, ale nie miała siły się podnieść.

Sennie opadała w ciemność, a plusk skapujących z kranu kropel głuchł coraz bardziej, aż w końcu zmieszał się z delikatnym stukaniem.

Eva obudziła się i leżała przez chwilę, nasłuchując, co to za dźwięk. Pomyślała, że musiała się przesłyszeć. Poprawiła poduszkę pod głową, wymamrotała coś do siebie i już po chwili hotelowy pokój znów zaczął odpływać.

I wtedy dźwięk rozległ się znowu. Tym razem stukanie było głośniejsze i dobiegało od strony drzwi.

- Tak? - powiedziała Eva, zanim zmysły wyostrzyły jej się na tyle, by zdała sobie sprawę, że lepiej byłoby się nie odzywać.

Stukanie powtórzyło się.

Usiadła najostrożniej, jak mogła, i nie zapalała lampki nocnej. Zaczęła się zastanawiać, gdzie położyła buty i prochowiec - w końcu dostrzegła je kawałek dalej, na krześle.

Stała bosymi stopami na podłodze. Bez butów mogła bezszelestnie przemknąć po chodniku do przedpokoju. Po drodze zastanawiała się, ile wytrzymają te drzwi, jeśli pukający naprawdę będzie chciał

dostać się do środka. Daremnie próbowała sobie przypomnieć, czy kiedy rano zamykała je za sobą, wydały jej się ciężkie czy lekkie. Pamiętała tylko, że zamek był solidny.

Do ciemnego przedpokoju wpadała przez wizjer cienka strużka światła. Eva przytknęła oko do okrągłej dziurki i wyjrzała. Zobaczyła parę zniekształconych oczu, zielonych i przydymionych. Młoda kobieta po drugiej stronie najwyraźniej wiedziała, że Eva podeszła do drzwi.

- Miss Strand? - zapytała dźwięcznym i wyjątkowo przyjaznym głosem.

Eva miała już otworzyć, kiedy zobaczyła w korytarzu dwa cienie: kobiecie towarzyszyli mężczyźni - jeden postawny, w wojskowej kurtce, i drugi o spiczastej, ogolonej głowie.

Jednak to najwyraźniej kobieta wydawała polecenia. Miała na sobie kombinezon motocyklowy przylegający tak mocno, że wyglądał jak przyssany do jej szczupłej sylwetki. Pod jednym z ramion trzymała czarny kask. Drugie właśnie podniosła i zapukała jeszcze raz, bardzo mocno.

- Miss Strand. *Please, open up.*

Co to za akcent? Niemiecki? Nie, nie niemiecki... Francuski? Włoski?

Nie zdążyła pomyśleć nic więcej, drobna dłoń kobiety zacisnęła się bowiem w pięść i z brutalną siłą zaczęła tuc w drzwi.

- Miss Strand! Ma pani coś, co należy do nas.

Później, kiedy Eva wspominała to zdarzenie, nie mogła zrozumieć, dlaczego nie odsunęła się od wizjera już po pierwszym uderzeniu. Nastoletnia dziewczyna za drzwiami miała jednak w sobie coś, co sprawiało, że nie dało się oderwać od niej wzroku - ogromną energię skumulowaną w o wiele za małym ciele.

Kolejne uderzenie pięścią było tak potężne, że dźwięk musiał się roznieść po wszystkich piętrach hotelu. Eva usłyszała, jak kobieta znów wykrzykuje jej nazwisko, tym razem jednak poczuła się tak, jakby głos dobiegał z wnętrza jej własnej głowy. Fale dźwiękowe wibrowały z taką siłą, że dłoń Ewy, jakby sama z siebie, zaczęła zmierzać w kierunku klamki.

Siła uderzenia pchnęła ją na podłogę przedpokoju. Trzymając się za oko, poczuła, że coś cieknie jej między palcami. Spojrzała na drzwi i ze zdziwieniem stwierdziła, że nadal widzi. Wizjer wyciął jednak w jej brwi głęboką szparę i twarz zalała się krwią.

Nad głową Ewy, przez otwór, w którym jeszcze przed chwilą tkwił metalowy wizjer, do pokoju zaglądało zielone przydymione oko. Rozległ się łagodny głos:

- Miss Strand? Czy wszystko dobrze?

Leżąca na podłodze Eva pokręciła głową. Pospiesznie zaczęła wycofywać się w kierunku łazienki, gdzie ściągnęła ręcznik, żeby przynajmniej chwilowo zatamować krwawienie.

Nie widząc zbyt dobrze, spróbowała dostać się do telefonu, który, jak pamiętała, stał na nocnym stoliku. Podniosła słuchawkę do ucha - nie było sygnału. Dopiero wtedy zrozumiała, w jaki sposób ją wytropiono. Niech szlag trafi maszty telefonii komórkowej i coraz to nowocześniejszą technikę.

Ktoś z wściekłością kopnął w drzwi, jednak zamek z niewiadomych powodów wytrzymał. Wysoki głos powiedział coś, co brzmiało jak rozkaz, i wkrótce potem rozległ się głuchy odgłos. Tuż po nim nastąpił drugi i Eva zrozumiała, że mężczyźni próbują wyważyć drzwi. To nie powinno potrwać długo, zawiąsy bowiem już zaczęły się obluzowywać.

Chcąc znaleźć się tak daleko od drzwi, jak to tylko możliwe, podbiegła do okna na drugim końcu pokoju. Odsunęła zasłonę i otworzyła górną blokadę okna wychodzącego na Grote Markt. W szybkach zobaczyła odbicie odłamków drewna i pojęła, że drzwi długo już nie wytrzymają.

- Chcemy tylko dostać to, co do nas należy, miss Strand - głos rozległ się całkiem niedaleko.

Evie w końcu udało się odsunąć dolną blokadę i okno otworzyło się do środka. Poczuła zapach śmieci i usłyszała szum restauracyjnych wentylatorów. Zastanawiała się, czy nie otworzyć okna i nie krzyknąć, kiedy jednak spojrzała za siebie, straciła cały animusz. Pośrodku drzwi zobaczyła dziurę szerokości ramienia i zaglądną do środka nastoletnią twarz.

- Miss Strand - odezwała się kobieta.

Eva bosymi stopami stanęła już na parapecie.

- Skoczę! - krzyknęła.

Kiedy jednak piętnaście metrów pod sobą zobaczyła kamienny bruk, pomyślała, że może jeszcze nie pora.

Zamiast tego odwróciła się na parapecie i lewą ręką zaczęła badać ceglana fasadę hotelu. Szczeliny między cegłami były odpowiednio duże, aby zmieścić w nich palce. Nogi można było oprzeć na wystającej blasze, biegnącej w stronę okna sąsiedniego pokoju. Eva wysunęła lewą stopę i zacisnęła palce. Pod cienką bluzką poczuła lekki wiatr wrześniowej nocy.

Po raz ostatni rzuciła okiem na pokój i dostrzegła ziejącą w drzwiach wielką dziurę. Nie było jednak czasu, by czekać na rozwój wypadków.

Balansując ciałem, zaczęła się ostrożnie przesuwać, przywierając do ściany tak mocno, jak tylko się dało. Z dołu musiała wyglądać jak ludzki krzyż, poruszający się wysoko między oknami hotelu Langemark.

Kiedy udało jej się obrócić twarz i szorując policzkiem o cegły, spojrzeć do przodu, zobaczyła, że blacha, którą ma pod stopami, mija kolejne okna i kończy się rynną, po której być może da się zejść. Odległość wydawała się równa tej, jaka dzieliła ją od kocich łbów Grote Markt, teraz jednak, kiedy wisiała uczepiona fasady, wyglądało na to, że nie ma wyboru.

Zaczęły ją już boleć nadgarstki, a przy każdym małym kroku trzęsły jej się łydki. Pomyślała, że jest na to zdecydowanie za stara. Usłyszała huk i trzask pękających drzwi w hotelowym pokoju. Nie odwracając się, drobnymi kroczkami szła dalej.

Dźwięczny głos znów się odezwał. Kobieta powiedziała coś o zawracaniu. Nie był to jednak odpowiedni moment, Eva bowiem właśnie dotarła do pionowej przegrody sąsiedniego okna. Złapała jej górny róg i poczuła, że jest wystarczająco duża, żeby się jej porządnie chwycić. Zarzuciła lewą nogę na szeroki okienny gzyms, potem postawiła prawą i wreszcie mogła odsapnąć.

Usłyszała dźwięk przypominający czyjś oddech i odwróciła głowę w kierunku, z którego dobiegał. Wtedy dotarło do niej, że musi czym prędzej ruszać dalej, ponieważ nastolatka również wyszła przez okno. Eva odetchnęła głęboko i spojrzała w okno. Tuż za szybą zobaczyła młodego mężczyznę ze spiczastą, ogoloną głową. Pokiwał jej ręką, a wtedy ona zrobiła krok do tyłu, prosto w pustkę.

Próbowała naprawić swój błąd i w ostatniej chwili złapała się termometru na ramie okna. Był on jednak zbyt słabo przykręcony, by wytrzymać ciężar nawet drobnej kobiety. Eva zakołysała się i zdążyła jeszcze zobaczyć światło latarni połyskujące na kamieniach piętnaście metrów niżej. Potem poczuła, że spada.

Nie trwało to jednak długo, nagle bowiem coś chwyciło ją za ramię i podciągnęło z powrotem na gzyms.

Balansując ciałem, próbowała uwolnić się z uścisku tajemniczego szponu. I wtedy zorientowała się, że jest to drobna dłoń. Kobieta, która ją trzymała, wydawała się całkowicie niewzruszona. Spokojnie wisiała wzdłuż ceglanej fasady, ubrana w czarny motocyklowy skafander.

- Gdzie jest nasza gwiazda? - zapytała.

Następnie wyskoczyła lekko do przodu i wylądowała obok Evy, jakby na stopach miała przyssawki. Pochyliła się i wyszeptała:

- No i gdzie, miss Strand, jest pani przyjaciel Don Titelman?

34

Login

Kiedy barman w małym ponurym lokalu przy Minneplein mniej subtelnie dał do zrozumienia, że czas już iść, Don zaczął błędzić ręką w poszukiwaniu okularów i zsunął się z chwiejnego barowego krzesła. Kolana ugięły się pod nim, jakby były z gumy, i musiał złapać się baru, żeby nie upaść.

To ostatnie belgijskie piwo było całkowicie niepotrzebne, poza tym dawno już stracił rachubę, jeżeli chodzi o łykanie mających wyciszyć lęk barbituranów. Don zdjął z oparcia krzesła niedawno kupioną aksamitną marynarkę. Okulary w porysowanych metalowych oprawkach balansowały na czubku jego nosa. Kiedy barman odwrócił się do niego plecami, żeby podliczyć utarg, Don był jeszcze na tyle przytomny, by upewnić się, że gwiazda nadal spoczywa w wewnętrznej kieszeni marynarki.

W ciągu godzin spędzonych w barze podjął kilka niezdarnych prób przeczytania inskrypcji na gwieździe. Barman pożyczył mu pióro - Don chciał przerysować znaki, które próbował odczytać w słabym barowym świetle. Chyba jednak Nils Strindberg słusznie używał lupy i mikroskopu podczas badania gwiazdy, ponieważ na zapisanej przez Dona serwetce widniała jedynie plątanina linii, która najbardziej ze wszystkiego przypominała abstrakcyjne dzieło sztuki.

Krótki list do Camille'a Malraux nadal leżał w kieszeni marynarki. Don nie musiał go czytać po raz kolejny, ponieważ jego tajemniczą treść mógł w każdej chwili odtworzyć z pamięci:

Kochany Camilleu!

Obietnica, którą Ci złożyłem, została wypełniona. Brama prowadząca do świata podziemnego jest zamknięta.

Żałuję, że nie mogłem zrobić więcej.

Wybieram się stąd do mojego własnego Niflheimu, w którym drugi przedmiot zostanie ukryty na wieki.

Twój Olaf

Norweskie słowa mówiące o zamkniętej bramie sprawiły, że Don zaczął się nad sobą użalać. Gdyby tylko dał za wygraną i przekazał gwiazdę Eberleinowi, sprawy w Szwecji pewnie szybko by się ułożyły. Spędziłby kilka tygodni w areszcie, a oni zrozumieliby, że zataczający się koło domu Erika Halla mężczyzna, mimo że znajdował się pod wpływem narkotyków, był całkowicie niewinny. Był kimś, kto nie miał nic wspólnego z nagłą śmiercią nurka. Don nie mógł przecież zostać oskarżony i skazany wyłącznie wskutek nieszczęśliwego zbiegu okoliczności - coś takiego po prostu nie mogło wydarzyć się w Szwecji.

Przerwał rozważania, przypominając sobie odgłos pociągania nosem Wąsa z komisariatu w Falun. To wspomnienie sprawiło, że wyłuskał jeszcze kilka kapsulek pentobarbitalu i zdecydował, iż powstrzyma się przed pochopnym podejmowaniem jakichkolwiek decyzji, przynajmniej tego wieczoru. Poza tym nie słyszał, żeby obdarzenie Niemców zaufaniem kiedykolwiek dobrze się skończyło.

Kiedy w końcu barman wypchnął go z lokalu, Don chwiejnym krokiem ruszył w stronę hotelu Langemark. Miał na sobie ciemnobrązowy aksamitny garnitur i mijając ciemne ostrołukowe okna Lakenhalle, całkowicie zlewał się z mrokiem.

Kiedy spojrzał w stronę wąskiej ceglanej fasady hotelu, pomyślał, że musieli zacząć jakiś remont. Na czwartym piętrze, pomiędzy dwoma oknami, zobaczył biały krzyż, który skojarzył mu się z oznaczeniami na budowie.

Potem krzyż zaczął się wolno przesuwając w lewo. Don zamrugał. Pomyślał, że choć przeciwlękowe barbiturany zażywa od dawna, takich halucynacji nie pamięta. Kiedy znalazł się bliżej hotelu, zobaczył, że krzyż ma nogi i ręce. Piętnaście, może dwadzieścia metrów nad ziemią ktoś w bluzce i białych szerokich spodniach, które łopotały na wietrze, szedł wzdłuż gzymsu. Mimo że rozpoznał tę sylwetkę bez problemu, nie chciał do siebie dopuścić myśli, iż postać, która właśnie się potknęła i zaczęła tracić równowagę, to Eva.

Instynktownie przyspieszył kroku i ruszył biegiem w stronę hotelowego ogródka z niedorzecznym zamiarem nakazania jej, żeby natychmiast zesłała. Kiedy znalazł się na tyle blisko, że Eva mogłaby go usłyszeć, w oknie kawałek od niej pojawił się cień. Szczupła postać, ubrana w połyskujący czarny strój, uczepiła się cegieł i ruszyła śladem Evy. Poruszała się zwinnie i zaskakująco szybko, niczym pajak spieszący do zdobyczy.

Eva zbliżyła się do następnego okna, a Don uniósł ręce do ust, żeby wykrzyknąć ostrzeżenie. W tej samej chwili pani adwokat nagle się zachwiała i patrzący na nią Don odniósł wrażenie, że jej ciało traci oparcie i zaczyna spadać. Cienki jak nitka cień jakimś sposobem dał susa i doskoczył do prawniczki. Chwytał jedną z wymachujących szaleńczo rąk i Eva zawisała jak ryba złapana na haczyk. Dodatkowy ciężar zdawał się nie mieć dla ubranej na czarno postaci żadnego znaczenia - jej ręce i nogi sprawiały wrażenie przyklejonych do fasady.

Eva została wahadłowym ruchem postawiona na gzymsie i Don odetchnął z ulgą. Nagle krzyknęła. Wyrwała się postaci, zobaczyła Dona i dała mu ręką znak, żeby uciekał. Potem została wciągnięta przez okno do pokoju i na Grote Markt znów zapanowała cisza.

Postać w czarnym stroju spojrzała na Dona i trzymając się cegieł, zaczęła schodzić po fasadzie. Kiedy znalazła się na wysokości pierwszego piętra, przygotowała się do skoku.

Don zachwiał się, odwrócił i na chwiejnych nogach pognął przed siebie tak szybko, jak mógł - oddech wiązał mu w gardle. Pobiegł Rijselstraat, potem skręcił w prawo w Burchtstraat, w pamięci odtwarzając sobie plan miasta. Koło poczty w lewo, potem żwirowaną ścieżką prowadzącą do parku. Znalazł się za murami miasta, zamknął na chwilę oczy i rzucił się między trąbiące samochody na czteropasmowej Oudstrijderslaan.

Zatrzymał się dopiero przy autokarach stojących na parkingu po drugiej stronie trasy. Kucnął, chowając się za jednym z kolorowych pojazdów, i po raz pierwszy obejrzał się za siebie. Kiedy minęły go światła licznych samochodów, zrozumiał, że nikt go nie śledzi.

Niezdarnym truchtem ruszył w stronę południowej części miasta. Torbę trzymał pod pachą, przyciskając ją do siebie niczym amulet.

Po mniej więcej godzinie dotarł w końcu do Ypres Vrachterminal. Na dworze nadal było ciemno. Pochylił się i przeszedł pod czarno-żółtym szlabanem obok budki wartownika, która najwidoczniej nadal stała pusta. Niemal czołgał się wzdłuż torów, usiłując zgadnąć, ile czasu potrwa, nim prawniczka opowie o terminalu i wagonie towarowym.

Samotny zielony wagon Green Cargo stał w strumieniu światła. Kiedy Don zobaczył czarne litery umieszczonego na boku logo, poczuł, że tęskni za domem. Otworzywszy zamek, odsunął drzwi na bok i wspiął się do środka. Zamarł na chwilę, stojąc między brudną ścianą a płytą pilśniową. Wzdrygnął się, gdy z głośników popłynęły jakieś słowa po flamandzku, potem usłyszał gwizd nadjeżdżającego pociągu. W chwili gdy ciężkie wagony wjeżdżały na stację, usunął blokadę i wcisnął się w korytarzyk prowadzący do ciepłego i przytulnego przedziału sypialnego.

Powietrze w środku było zatęchłe, wciąż było czuć, że ktoś tu spał. Don, błądząc w ciemności dłońmi, znalazł i zapalił porcelanową lampkę nad dolnym posłaniem. W jej łagodnym świetle zobaczył, że przedział wygląda tak, jak go zostawili przed kilkoma dniami: narzuta leżała skłębiona na łóżku, a otwarty laptop stał na nocnym stoliku. Na wykładzinie widać było ślady jego butów. Zdjął je, opadł na posłanie i schował twarz w dłoniach.

Nie mógł zapomnieć o tracącej równowagę Evie Strand i czarnym cieniu na ścianie. Widział, jak daje mu znać, żeby uciekał, i jak znika, wciągnięta przez okno do ciemnego pokoju.

Don przesunął ręką po klawiaturze laptopa, który zaszumiał i rozpoczął pracę.

Czuł promienie gwiazdy *seba*, która tkwiła w wewnętrznej kieszeni otoczona złożonym kawałkiem papieru. Pomyślał o zapasach w torbie na ramię, o chemicznym spokoju... Nie czas na uspokajanie się. Nie może też się położyć i raz na zawsze zamknąć oczu. Spojrzał na ekran, który wreszcie zamigotał.

Wpisał kody do serwera, stojącego w betonowym pomieszczeniu na opuszczonej stacji Kymlinge. Eva też je знаła. Chodziło o to, żeby oboje byli w stanie nawiązać kontakt z Hex, w razie gdyby zaszło coś nieprzewidzianego. Wydarzenia na pewno nie potoczyły się tak, jak Don się tego spodziewał.

Kiedy się połączył z serwerem siostry, pojawiła się uśmiechnięta emotikona: uniesione kąciki ust świadczyły o tym, że Hex jest w domu. Donem wstrząsnął dreszcz. Poczł coś w rodzaju ciepła rozchodzącego się z klawiatury i przepływającego przez palce w kierunku klatki piersiowej.

Kiedy jednak wesoła buzia zniknęła i otworzył okno, w którym widniał pulpit komputera siostry, nic nie wyglądało tak, jak powinno. Zamiast ukrzyżowanego prezesa Microsoftu pojawiło się czarne okno dialogowe, w którym za znakiem większości migał samotny biały kursor:

>_

Na zewnątrz rozległ się jakiś hałas. Don zaczął nasłuchiwać. Z emocji zaschło mu w gardle. Łoskot wózków widłowych zmieszał się z krzykami dobiegającymi od strony pociągu towarowego, który niedawno wjechał na stację i teraz był rozładowywany.

>

> jest tam kto?_

Poziomy kursor wciąż migał. Po chwili Don się zniecierpliwił i dopisał:

>

> jest tam kto?

> sarah? hex?_

Pojawiła się nowa linijka, ktoś - kto znajdował się w piwnicy w Kymlinge - zaczął pisać. Don zobaczył zapalające się kolejno litery:

> nie ma czasu, ktoś_

Migający kursor stanął w miejscu.

Siostra wróciła dopiero po dziesięciu minutach:

> teraz lepiej, co_

Don napisał:

> musisz przestawić wagon towarowy, eva zniknęła_

Tym razem wymiana zdań potoczyła się szybko:

> ktoś kontroluje dysk, nie mogę otworzyć

> kto?

> nie wiem. zdolny, oni

> musimy pomóc evie

> zostawili

> znaleźliśmy gwiazdę strindberga

>_

Kursor migał przez chwilę, potem pojawiło się zdanie:

> wiem, że znaleźliście gwiazdę

Język Dona był jak tarka. Zebrał się w sobie i napisał jeden jedyny znak:

>?_

Ale Hex już nie było.

Pół godziny później nic się nie zmieniło i Don poczuł, że zaczynają boleć go ręce. Spojrzał w dół i zobaczył, że zacisnął pięści tak mocno, że aż odpłynęła z nich krew.

Powoli spróbował wyprostować skurczone palce. Nagle wydało mu się, że na zewnątrz coś zaszeleściło. Potem zapanowała cisza, którą przerwało ciche pukanie.

Don siedział jak skamieniały i wpatrywał się w dłonie. Wstrzymał oddech i czekał. Na zewnątrz rozległy się kroki. Cichy chrobot żwiru świadczył o tym, że ktoś odchodzi.

Kiedy Don wolno spojrział na ekran, zobaczył, że na czarnym tle zapaliły się białe litery:

> don. oni zostawili dla ciebie wiadomość

Mittelpunkt der Welt

Sprawa została przesądzona pewnego mglistego dnia w listopadzie 1933 roku.

Stary, siedemnastowieczny zamek w małym westfalskim miasteczku Wewelsburg miał zostać przejęty przez SS i zamieniony na ich mistyczną kwaterę główną. Według rysunków północna wieża miała tworzyć centralny punkt przyszłego, zdominowanego przez nazizm świata. Projekt otrzymał nazwę *Mittelpunkt der Welt*, środek świata.

Mogłoby się wydawać, że tak kluczową decyzję podjął sam szef SS, Heinrich Himmler. Tak naprawdę jednak podjął ją człowiek, który, jak można się domyślać, był jeszcze bardziej szalony.

Jako szef SS i Gestapo Himmler był szarą eminencją Trzeciej Rzeszy. To on odpowiadał za wszelką kontrolę rasową i ideologiczną i to jego ludzie pilnowali, żeby w piecach krematoryjnych wciąż palił się ogień.

Poza ową formalną władzą posiadał on również wzbudzającą postrach kartotekę, w której były akta setek tysięcy osób. Mroczne tajemnice tam zawarte mogły wpędzić każdego nazistę w najgorsze tarapaty. Mając takie haki na konkurentów, odpowiadał tylko przed Adolfem Hitlerem. Pod koniec wojny zaś nie było już pewne, czy Himmler właściwie pojmował stosunek władzy.

Jako dziecko był wąty i słaby, i miał tak kiepską równowagę, że nigdy nie nauczył się jeździć na rowerze. Miał też problemy z oskrzelami, przez co mówił wysokim, skrzekliwym i często łamiącym się głosem. Cherlawy chłopak stał się zapamiętany mołem książkowym, zakochanym w germańskich baśniach i mitach. Jako dorosły nadal uważał, że każde ich słowo jest prawdą. Dostrzegał tam rzekomo ślady prastarej aryjskiej cywilizacji. Jego zdaniem wywodziła się ona z Atlantydy, która zatonięła w północnym Atlantyku mimo wyjątkowo zaawansowanej technologii.

Po zwycięstwie narodowych socjalistów w wyborach w 1933 roku szef SS zaczął się rozglądać za godnym miejscem, z którego mógłby głosić swoje teorie. Chciał stworzyć wyższą szkołę SS, gdzie głównymi przedmiotami byłyby mitologia germańska, archeologia i astronomia.

Mniej więcej w tym czasie w berlińskim biurze Himmlera pojawił się znikąd starszy mężczyzna. Przedstawił się jako Karl Maria Wiligut i wkrótce miał się stać kluczową postacią. Oczywiście Himmler próbował zdobyć informacje na jego temat, ale udało mu się jedynie ustalić, że człowiek ten jest dobrze sytuowany i ma rozległe kontakty w niemieckim i międzynarodowym przemyśle zbrojeniowym. W gruncie rzeczy zaimponował Himmlerowi twierdzeniem, że jego aryjskie korzenie sięgają ponad dwieście dwadzieścia tysięcy lat wstecz. Zwyczajny oficer SS musiał udokumentować swoje pochodzenie od roku 1750, co dawało, skromne w tym kontekście, niecałe dwieście lat.

Karl Maria Wiligut utrzymywał, że w linii prostej pochodzi od nordyckiego boga Thora. Żeby to udowodnić, wprowadził się w stan podobny do transu, podczas którego skontaktował się z „pamięcią o swoich aryjskich przodkach”. Czerpiąc z tego zasobu wiedzy, opowiedział prawdziwą historię Aryjczyków. Początkowo Himmler osłupiał, jednak po kilku godzinach zdziwienie ustąpiło miejsca żywemu entuzjazmowi.

Według Wiliguta historia świata rozpoczynała się dwieście dwadzieścia osiem tysięcy lat temu. Ziemię, oświetlaną wciąż jeszcze przez trzy słońca, zamieszkiwały wówczas karły, olbrzymy i smoki. I oczywiście przypominający bogów Aryjczycy, na których czele stali przodkowie Wiliguta.

Przez tysiąclecia, jak podczas transu mówił Wiligut, Aryjczycy stworzyli wszystko to, co wartościowe. Chrześcijaństwo na przykład miało germańskie korzenie, jednak zostało wypaczone przez żydowskich uzurpatorów. Jezus był tak naprawdę aryjskim bogiem Baldrem, który u zarania dziejów przeniósł się na Bliski Wschód.

Dzięki tego typu opowieściom Himmler mianował Wiliguta generałem brygady SS, powierzył mu kierownicze stanowisko oddziału prehistorycznego instytutu badawczego Ahnenerbe w Monachium

i oddał do dyspozycji willę w Berlinie wraz ze służbą.

Pierwszym zadaniem Wiliguta stało się spisanie wszystkich wspomnień o aryjskich przodkach. On jednak wolał pośredniczyć w kontraktach obronnych i zarzucał Himmlera wciąż nowymi planami budowy. Naciskał na stworzenie potężnej fortecy SS w Westfalii, utrzymując, że okaże się ona niezbędna do odparcia podludzi ze Wschodu. Twierdził, że jego przodkowie jako miejsce idealne wskazali zamek w Wewelsburgu - tamtejsza ziemia pełna była aryjskich linii mocy zawierających potężną energię.

W listopadzie 1933 roku Himmler wybrał się z Wiligutem w podróż przez mokre i zimne lasy Westfalii. Karl Maria pokazał mu Wewelsburg, przyczajony na wapiennej skale ponad miastem o tej samej nazwie. Siedemnastowieczne mury zamku tworzyły przypominający klin trójkąt. Trzy wieże wyciągały się w stronę germańskiego jesienno nieba i, zdaniem Wiliguta, tylko tu mogła się znaleźć mistyczna kwatery główna SS.

Himmler był początkowo niechętny temu pomysłowi, Westfalia bowiem leżała daleko od Berlina i władzy politycznej. Jednak Wiligut go przekonał, mówiąc, że miał wizję, w której słowiańscy podludzie zostali rozbici właśnie w tym miejscu. Pokazał nawet zabrany ze sobą, oprawiony w wytłuszczoną skórę manuskrypt, w którym napisano, że do bitwy dojdzie w latach czterdziestych. Himmler wolał nie ryzykować i wynajął zamek za symboliczną cenę jednej reichsmarki rocznie.

Zamek, do którego SS otrzymało klucze, w gruncie rzeczy stanowił ruinę. Północna wieża zaczęła się pochylać i podtrzymywało ją zaledwie kilka cienkich żelaznych żerdzi.

Karl Maria Wiligut wspianiałomyślnie zobowiązał się zająć techniczną stronę prac remontowych. Wkrótce na trójkątny dziedziniec zamku zaczęły wjeżdżać przykryte plandekami ciężarówki. W przywożonych przez nie beczkach znajdowała się zaprawa - zdaniem Wiliguta najodporniejszy materiał budowlany świata. Użyto go do wzmocnienia wnętrza północnej wieży, reszta zamku go nie interesowała.

W wyższej partii wieży zbudował okrągłą salę, w której podłoga wyłożona została jasnoszarym marmurem. Nowe sklepienie, podtrzymywane przez dwanaście solidnych kolumn, pokryto białą sztukaterią. Wzdłuż ścian biegły arkady, a w nich znalazło się osiem wąskich, wpuszczających światło okien.

Na środku podłogi Wiligut kazał ułożyć mozaikę w formie krzyża słonecznego w kolorze tak głębokiej zieleni, że w słabym oświetleniu wydawał się czarny. Środek krzyża stanowiła płyta ze szczerego złota, od której rozchodziło się dwanaście hakowatych promieni.

Kiedy Himmler podczas inspekcji ten krzyż zobaczył, Wiligut wyjaśnił, że jest to czarne słońce, *die schwarze Sonne*, które w gruncie rzeczy składa się z trzech połączonych ze sobą swastyk. Jednak nikt tak naprawdę nie wiedział, skąd wziął on ten symbol.

Tuż pod salą zbudował kryptę. Kazał obniżyć poziom gruntu, a wykopaną ziemię zastąpić dziwnym materiałem z ciężarówek. Na środku krypty polecił stworzyć nieckę, która zachowała się do dnia dzisiejszego. Pod ścianami umieszczono dwanaście odpowiednio wysokich, nadających się do siedzenia cokołów. Można z nich było obserwować rurę doprowadzającą gaz, która wystawała na środku niecki. Wiligut obiecał, że w tym miejscu po wsze czasy płonąć będzie ogień.

Kiedy Himmler zażyczył sobie umieszczenia w krypcie swastyki, Wiligut, chcąc nie chcąc, polecił ją odlać i umieścić na wklęsłym sklepieniu. Jednak wzdłuż ramienia krzyża wybił cztery kanciaste otwory, które zepsuły akustykę krypty. Kiedy tylko padało jakieś słowo, wydawało się, że natychmiast zostaje wessane i znika gdzieś w północnej wieży.

Resztę sal Wiligut pozostawił w pierwotnym stanie. Nigdy nie dowiedziano się, do czego miał zamiar wykorzystywać północną wieżę. Kilka lat przed wybuchem wojny został nagle zwolniony przez Himmlera z powodu, jak to określono, „słabego zdrowia psychicznego”. Wkrótce potem Karl Maria Wiligut rozpułnął się we mgłę historii.

Według neonazistów najtrwalszym jego śladem, pomijając północną wieżę Wewelsburga, był pierścien

z trupią główką, zaprojektowany przez niego dla najwyższych oficerów SS. Himmler życzył sobie, żeby wzór składał się wyłącznie ze staronordyckich run. Jednak Wiligitowi udało się dodać gwiazdę, która kształtem przypominała egipski hieroglif. Nikt nie mógł zapytać twórcy, co oznaczała, ponieważ nikt nie wiedział, co się z nim stało. Nagłe rozstanie z SS rzadko kiedy dobrze wróżyło.

Mimo dziwnych pomysłów Wiliguta związanych z północną wieżą Himmler po przejęciu zamku był bardzo zadowolony. Mógł teraz urządzić puste sale głównego budynku wedle uznania.

Do zaprojektowanej przez Wiliguta sali w północnej wieży dowódca SS polecił wstawić dębowy okrągły stół. Pomieszczenie to nazwał Obergruppenführersaal. Zamówił też dwanaście krzeseł z poduszkami ze świńskiej skóry - to na nich zasiadać miało dwunastu najwyższych oficerów SS, tworząc nazistowski odpowiednik dwunastu rycerzy króla Artura. Dzięki temu, można było również zasłonić mozaikę z czarnym słońcem, która zdawała się pochłaniać całe światło.

Kryptę pozostawiono pustą i nie korzystano z niej, ponieważ nikt nie wiedział, w jakim celu została zbudowana. Himmler też jej unikał, a zapytany o powód wyjaśniał, że jego oskrzela nie radzą sobie z panującym w niej chłodem.

Zamek stał się siedzibą dwóch pupilków przywódcy SS oraz centrum historycznych badań prowadzonych przez Ahnenerbe oraz RuSHA, czyli Główny Urząd Rasy i Osadnictwa SS. Zadaniem Ahnenerbe było znalezienie jak największej liczby dowodów potwierdzających wspaniałą przeszłość Germanów.

Badacze organizacji swoją pierwszą podróż odbyli do Backi, leżącej w szwedzkim Bohuslän, ponieważ byli przekonani, że tamtejsze ryty skalne przedstawiają aryjski alfabet. Fakt, że już na miejscu w wyciosanych w granicie postaciach dopatrzyli się kształtu przypominającego swastykę, sprawił, iż ich znaleziska stały się jeszcze bardziej sensacyjne. Na Wyspach Kanaryjskich od razu trafiono na pozostałości Atlantydy, kolebki aryjskiej cywilizacji. W Tybecie i Himalajach szukano śladów wędrówki Aryjczyków z Atlantydy do starożytnych Indii. Badacze uznali, że na Islandii znajdują się tak ważne i dobrze zachowane dowody, że skierowanie tam ekspedycji warte będzie każdej sumy. Jednak Islandczycy nie wpuścili niemieckich naukowców, uważając, że prowadzone przez nich badania mają znikomą wartość naukową.

Heinrich Himmler był osobiście zaangażowany w prace Ahnenerbe, zwłaszcza w badania dotyczące sztuki wojennej Aryjczyków. Był zainteresowany Mjölnirem, miotającą pioruny bronią Azów, i dlatego w charakterystycznym biurokratycznym stylu rozkazał:

Do wykonania: zbadać nordycką germańsko-aryjską kulturę pod kątem wszelkich informacji odnoszących się do błyskawic, pioruna, młota Thora, latającego młota albo młota, którym rzucano, jak również przeanalizować wszystkie posążki boga, na których przedstawiono go z toporkiem, z którego rozchodzą się błyskawice. Proszę zebrać wszystkie dowody, takie jak: rysunki, rzeźby, spisane opowieści i mity.

Jestem przekonany, że u podstaw tych wyobrażeń nie leżą występujące w przyrodzie pioruny i grzmoty, lecz dawna, bardzo zaawansowana broń naszych przodków, do której dostęp oczywiście mieli tylko Azowie lub bogowie. Oznaczałoby to, że byli w posiadaniu wciąż nam nieznaną wiedzę o elektryczności.

Kiedy sytuacja na frontach się skomplikowała, Himmler musiał ograniczyć działalność Ahnenerbe. Führer był zdania, że zasoby Rzeszy powinno się teraz przeznaczać na naprawę ważnych spraw. Pocieszeniem dla Himmlera był fakt, że RuSHA wciąż się do nich zaliczała.

Jednak eugenicy już wówczas tkwili w martwym punkcie. Inwazja na Związek Radziecki obaliła wszystkie stworzone przez nich teorie.

W idealnie zorganizowanym rejestrze nie było miejsca na miriady nowych nazw. Kto w ogóle słyszał o Czuwaszach, Mordwinach czy Tunguzach? Kto mógł wiedzieć, które z tych ludów należy zaliczyć do

rasy żydowskiej? A może wszystkie są aryjskie? Niemieccy urzędnicy nie znali odpowiedzi.

Wszystko dodatkowo skomplikował fakt, że brakowało naukowych dowodów na istnienie różnic między niemieckimi Żydami a tymi, których uważano za Aryjczyków. Badania wykazały, niestety, że co dziesiąty Żyd w Rzeszy posiadał takie aryjskie cechy jak niebieskie oczy i blond włosy. Trzeba się było pogodzić z faktem, że tylko nieliczni mieli, ujęte w formularzu, wszystkie cechy charakteryzujące prawdziwego Żyda, do których zaliczały się:

- niski wzrost
- powłóczenie nogami
- płaska klatka piersiowa
- garbate plecy
- wątle mięśnie
- mięsiste uszy
- haczykowaty nos
- żółtawa cera
- wrodzona podatność na: schizofrenię, chorobę maniakalno-depresyjną i morfinizm

Kiedy okazało się, że selekcja dokonana na podstawie powyższych kryteriów przyniosła nikłe rezultaty, zaczęto desperacko szukać nowych, możliwych do zmierzenia różnic.

Nemieccy urzędnicy badali szwy czaszki, mięśnie łydek, rytm serca, odciski palców i grupę krwi - jednak nie znajdowali żadnych większych różnic. W odruchu desperacji zaczęto badać woskolinę uszną Żydów i zapachy wydzielane przez ich ciała, ale również w tym wypadku, niezależnie od starań, badania przyniosły mierne rezultaty.

Wtedy narodziła się myśl, by stworzyć specjalne zbiory porównawcze, składające się wyłącznie ze szkieletów Żydów. Ofiary wybierano spośród więźniów obozu koncentracyjnego Natzweiler-Struthof, a egzekucje były starannie przeprowadzane. Nie wolno było uszkodzić żadnego elementu szkieletu, ponieważ obniżyłoby to wartość naukową zbiorów. Ciała przewożono w ciężarówkach do nowo zbudowanego laboratorium, gdzie zwłoki umieszczano w zbiornikach wypełnionych alkoholem.

Na tym etapie prac pojawił się problem, który urzędnikom trudno było rozwiązać: w jaki sposób usuwać tkanki miękkie, nie zostawiając niepotrzebnych śladów na kościach?

Najpierw próbowano je wypalać za pomocą środków chemicznych, jednak proces ten okazał się czasochłonny, a po jego zakończeniu szkielet cuchnął. Potem pojawił się pomysł, żeby ciała szczelnie zamykać w pojemnikach. Robaki spokojnie oczyściłyby wówczas kości. Jednak szybko go zarzucono, uznawszy, że w nowo wybudowanym, czystym laboratorium nie ma miejsca na robactwo.

W końcu urzędnicy uznali, że najskuteczniejszym sposobem będzie swego rodzaju ługowanie. Jeśli ciała zanurzyć w kąpieli z chlorku wapnia, mięśnie powoli się rozpuszczą. Tak oczyszczone szkielety można potem zalać na jakiś czas benzyną, która usunie chrząstki i resztki tłuszczu.

Zaczęto już gromadzić zbiory porównawcze, kiedy laboratorium zostało zdobyte przez aliantów. W salach kliniki żołnierze znaleźli szesnaście ciał młodych kobiet i mężczyzn. Zwłoki pływały w dużych zbiornikach, a urzędnicy zdawali się nie mieć najmniejszego pojęcia, skąd się tam wzięły.

Na piętnastu ciałach wycięto już fragment skóry na przedramieniu, jednak szesnaste zwłoki wciąż miały rozmazany niebieski tatuaż, który zdradzał miejsce ich pochodzenia.

Nawet pod koniec wojny Himmler wciąż miał imponujące plany związane z Wewelsburgiem. Tak się zachwyił stworzoną przez Wiliguta północną wieżą, że widział w niej samo centrum mającego powstać w przyszłości ogromnego kompleksu SS.

Projekt otrzymał nazwę *Mittelpunkt der Welt*, środek świata. Rysunki były już przygotowane - szacowano, że budowa potrwa jakieś dwadzieścia lat. Wszystko powinno być gotowe w połowie lat sześćdziesiątych: kompleks, sąsiadujące z nim lotnisko i elektrownia wodna.

Ludność z okolicznych dolin miała zostać przymusowo przesiedlona, a tereny te, ze względu na potrzeby elektrowni, zalane wodą. Kiedy jednak nadeszły wojska amerykańskie, musiano się wstrzymać z realizacją planów.

W marcu 1945 roku oddziały specjalne SS wysadziły zamek w powietrze. Nie chciano oddać go w ręce aliantów, którzy znajdowali się już tylko kilkadziesiąt kilometrów od Wewelsburga. Mimo usilnych starań esesmanom nie udało się zniszczyć północnej wieży. Zgodnie ze słowami Karla Marii Wiliguta materiał, z którego została wykonana, był odporny na działanie dynamitu.

Tuż po wojnie elity polityczne Wewelsburga oświadczyły, że zamek należy traktować jako pomnik. Twierdzę starannie odbudowano i zamieniono na muzeum poświęcone głównie okresowi do 1933 roku.

Sprawami zamku zajmuje się miejscowa fundacja, której członkowie raz w miesiącu spotykają się w gmachu banku. Z panoramicznych okien gabinetu, będącego miejscem spotkań, roztacza się widok na wieżę Wiliguta.

36

Wewelsburg

Don starał się nie poruszać nogami, jednak pudełko, które miał na kolanach, lekko drgało. Przez siedzenie taksówki czuł wibracje idące od obracających się kół.

Związany sznurkiem karton prawie nic nie ważył. Pod warstwą waty była w nim tylko biała gwiazda Strindberga, wykuta z niezwykle lekkiego metalu.

Postępował zgodnie ze wszystkimi zaleceniami Hex. Objęła dowodzenie, znajdując się tysiąc dwieście kilometrów od niego. Teraz Don zastanawiał się, czy faktycznie był to taki świetny pomysł.

Wiadomość, jaką zostawili Niemcy, była krótka i przypominała uprzejme zaproszenie:

Nasza gwiazda za Pańską przyjaciółkę,
Alter Hof w Wewelsburgu, w środę o dwunastej.

W tym przyjaznym tonie pobrzmiwały jednak fałszywe nuty, nadawca wiadomości był bowiem o krok od skopiowania zawartości serwera Hex i zniszczenia go. Kiedy Hex wreszcie udało się odzyskać kontrolę nad komputerem, przesłała szkodliwy kod jednemu z internetowych znajomych, szefowi Wydziału Cyberbezpieczeństwa w Agencji Bezpieczeństwa Narodowego w stanie Maryland.

Kolega uznał kod za interesujący i obiecał, że da znać, jak będzie wiedział coś więcej. Jednocześnie nie był pewien, ile tak naprawdę wolno mu zdradzić, ponieważ już na pierwszy rzut oka widział, że fragmenty kodu były dziełem znanych mu i przyjaźnie nastawionych niemieckich służb wywiadowczych.

Hex udało się uratować większość z tego, co miała na serwerze, w tym dostęp do systemu logistycznego Green Cargo. Wagon towarowy opuścił już Ieper Vrachterminal. Dla bezpieczeństwa zmieniła mu numery, co kosztowało ją kilka godzin prostej, ale wymagającej cierpliwości pracy w od wieków nieaktualizowanym pliku administracyjnym. Wagon miał być w Mechelen późnym wieczorem.

Don siedział więc na delikatnie wibrującym siedzeniu kremowej taksówki, jadącej autostradą do Wewelsburga. Nigdy nie przypuszczał, że kiedykolwiek jego noga znów tam postanie.

Kiedy po raz pierwszy usłyszał tę znienawidzoną nazwę, myślał, że Hex żartuje. Ona jednak wpadła w szal i powiedziała, że to nie jest żaden pieprzony żart. Teraz będzie musiała zmienić wszystkie adresy i przebudować cały system. A jeżeli Don zamierza jechać do Wewelsburga i liczyć na dobrą wolę Niemców, to jest to najbardziej idiotyczny pomysł, jaki kiedykolwiek słyszała.

Kiedy próbował jej wytłumaczyć, że nie może zawieść prawniczki i że chyba najlepiej dla wszystkich byłoby, gdyby gwiazda trafiła we właściwe ręce, nie odpowiedziała. Ekran jego komputera przez wiele godzin był czarny, aż w końcu Hex powróciła z nieśmiałą propozycją.

Don ostrożnie poprawił pudełko na kolanach i pomyślał, że byłoby dobrze, gdyby ostatni odcinek drogi z Salzkotten do Wewelsburga nie był tak wyboisty, jak go zapamiętał. Siostra zawsze miała spory dar przekonywania, zwłaszcza gdy była wściekła. A gdy przesyłała szczegółowe instrukcje, humor miała naprawdę fatalny.

- Blut und Boden - rozległ się głos.

W lusterku Don zobaczył przekrwione oczy kierowcy, z którym odbył nocną podróż do Saint-Charles-de-Potyze. Wezwał go, dzwoniąc pod numer z wizytówki, którą otrzymał owego deszczowego dnia pod bramą cmentarza.

W tej chwili nie potrafił sobie przypomnieć, co nim kierowało - prawdopodobnie chciał widzieć w Niemczech znajomą twarz. Dużo trudniej jednak było zrozumieć, jak udało mu się wyprzeć z pamięci fatalny styl jazdy Belga.

- Krew i Ziemia - powtórzył kierowca. - W samo serce bestii.
Telefon pod numer z wizytówki był naprawdę złym pomysłem.
- Jacyś krewni w Westfalii? - zapytał kierowca.
- Raczej nie - odparł Don i wyjrzał przez brudną szybę.

Nad Wewelsburgiem wisiały nisko ciemne chmury, jednak nie zaczęło jeszcze padać. Małe miasteczko było takie, jak je zapamiętał. Najpierw minęli rozproszone ceglane domy w stylu lat pięćdziesiątych - postawione w miejscu, gdzie zniszczenia wojenne były największe. Następnie wjechali do rustykalnego centrum z murem pruskim i średniowiecznymi budynkami, które już tak bardzo nie ucierpiało w wyniku bombardowań aliantów. Ta okolica była hołdem dla chłopstwa i folkloru - część tutejszych niskich domów wyglądała jak wyjęta z baśni braci Grimm.

Kierowca zatrzymał się pod niepasującym do kamiennych domów Volksbankiem i zapytał o drogę. Pulchna kobieta w jesionce spojrzała przez okno i wskazała *links, links, rechts und geradeaus*. Kierowca próbował zrozumieć coś ze wskazań pulchnej dłoni, ale w końcu potrząsnął tylko głową i zasunął szybę, nie mówiąc nawet „dziękuję”.

Trafienie do celu nie było jednak szczególnie trudne.

Alter Hof okazało się restauracją z rustykalnymi stolikami, mieszczącą się na placu Ratuszowym, gdzie nienaturalnie wysoka fasada banku całkiem zdominowała resztę krajobrazu. W tle dało się dostrzec górną część złowroziej północnej wieży zamkowej.

Wzdłuż wypukłych okien restauracji wił się bluszcz, a stoliki w ogródku świeciły pustkami. Mała grupka mężczyzn w wojskowych kurtkach i z ogolonymi głowami naprawdę się wyróżniała.

Nie wyglądają jak typowi neonaziści - pomyślał Don, kiedy taksówka skręciła na rynek. W uszach mieli słuchawki, jeden z nich zaś trzymał w dłoni coś czarnego, co mogło być bronią, ale raczej było jakimś urządzeniem do komunikacji.

Wyglądało na to, że oczekiwano jego przyjazdu, kilku mężczyzn bowiem wstało. Jeden z nich miał spiczastą głowę, drugi grubo ciosaną sylwetkę zapaśnika. Jednak mecenas Evy Strand nigdzie nie było widać.

Kierowca zaciągnął hamulec ręczny i odwrócił się. Zgodnie z poleceniem Dona zaparkował na środku placu, kawałek od restauracji.

- Proszę odpalić samochód - wymamrotał szybko Don. - Silnik ma być cały czas włączony.

Taksówkarz przewrócił oczami i przekręcił kluczyk w stacyjce.

- Zamierzam to przekazać - powiedział Don, wskazując głową karton, który trzymał na kolanach. - Kiedy moja przyjaciółka zatrześnie tylne drzwi, proszę natychmiast ruszyć. Pojedzie pan w stronę Mechelen tak szybko, jak się tylko da.

Kierowca nie wyglądał na szczególnie przejętego. Mimo to pozwolił silnikowi pracować na jałowym biegu, dodał nawet trochę gazu.

Don zobaczył przez szybę, że pozostali mężczyźni wstali z krzeseł. Jeden z nich zniknął za drzwiami restauracji.

Po krótkiej chwili w drzwiach pojawiła się szczupła młoda kobieta, która spojrzała na taksówkę. Miała na sobie codzienne ubranie, jednak spod kurtki prześwitywała kabura.

Skinęła głową w stronę zapaśnika, jednak dopiero gdy ruszyła samotnie w kierunku taksówki, Donowi przypomniały się cienie na ceglanej fasadzie hotelu Langemark. Ostrożnie położył zasnurowane pudełko na siedzeniu obok, otworzył tylne drzwi i wysiadł. Na placu unosiła się zmieszana z zapachem piwa woń pikantnej kiełbasy i grillowanego mięsa.

Kobieta uśmiechnęła się do Dona, on jednak uniósł rękę na znak, że podeszła już wystarczająco blisko. Przystanęła więc jakieś dziesięć metrów od taksówki, ale uśmiech nie zniknął jej z twarzy.

- Gdzie jest pani mecenas? - zapytał Don.
- Przepraszam za ten kłopot... - zaczęła kobieta po angielsku z delikatnym włoskim akcentem.
- Dobrze, dobrze - przerwał Don. - Gdzie jest Eva? Chcę, żeby ją pani tu natychmiast przyprowadziła.
Kobieta przykryła dłonią swoje miękkie wargi i wyszeptwała coś do słuchawki. Don spojrzał w kierunku restauracji i zobaczył odbijającą się w wypukłych szybach taksówkę.

Gdy siedział w wagonie towarowym w Ypres, plac Ratuszowy wydawał mu się bezpiecznym miejscem na przekazanie gwiazdy: otwarta przestrzeń, gdzie w dzień powszedni w południe powinien panować duży ruch. Teraz jednak, kiedy Don naprawdę tu stał, oparty o kremową karoserię taksówki, nie czuł się już tak dobrze.

Najbliżej niego znajdowali się mężczyźni z ogolonymi głowami oraz dzieci jeżdżące na deskorolkach obok kiosku, jakieś pięćdziesiąt metrów dalej. Na ławce, z głową odchyloną do tyłu, jakby właśnie świeciło słońce, siedział kłoszard, przy schodach zaś znajdował się człowiek na wózku otoczony przez grupkę ubranych na czarno mężczyzn. Nie oszczędzają na niepełnosprawnych. Niemcy dbają o swoich, pomyślał Don, obserwując, jak opiekunowie reagują na każde skinienie.

Mężczyzna na wózku patrzył na szczęście w ich stronę i wyglądało na to, że zamierza śledzić rozgrywającą się koło taksówki scenkę. To uspokoiło Dona. Przynajmniej jeden postronny obserwator zareaguje, gdyby wymiana przebiegła niepomyślnie.

Po chwili Don miał już co innego na głowie, kiedy bowiem zobaczył postać stojącą w drzwiach restauracji, na chwilę zabrakło mu powietrza. Twarz Evy Strand była sina i nabrzmiała, a pod lewym okiem widniał żółtobrazowy strup, który robił się czarny.

- Miss Strand, jak pan widzi - zwróciła się do niego kobieta. - Naprawdę przepraszam, ale nie dała nam wyboru.

- Doprawdy? - odparł Don, czując, że chciałby opuścić to chore miasto tak szybko, jak to tylko możliwe.

- A czy pan ma...? - zapytała kobieta i zrobiła kilka kroków do przodu.

Starając się nie spuszczać z niej oka, Don sięgnął na tylne siedzenie i złapał pudełko za sznurek. Za plecami kobiety dostrzegł Evę, prowadzoną przez trzymających ją brutalnie pod rękę zapaśnika i któregoś z pozostałych członków fundacji.

Kiedy Eva w końcu stanęła koło kobiety, ta zapytała, jak Don wyobrażał sobie przebieg transakcji.

Don trzymał pudełko mokrymi dłońmi i nie potrafił wykrztusić żadnej odpowiedzi. Język kleił mu się do podniebienia, kiedy myślał o dawce diazepam, którą zażył w taksówce. Na wszelki wypadek wziął więcej, jednak uczucie znieczulenia zdążyło go już opuścić.

- Eva... - zaczął, a prawniczka podniosła na niego zbolałą twarz. - Co oni ci zrobili?

Patrzyła na niego bez słowa. Kobieta u jej boku odezwała się zamiast niej:

- A teraz bardzo proszę dać nam to, co do nas należy.

Kiedy Don wskazał głową karton, machnęła ręką.

- Wystarczy tylko gwiazda.

Don rozwiązał supeł i pozwolił sznurkowi opaść na bruk. Otworzył pudełko i ostrożnie usunął górną warstwę waty. Ukazała się gwiazda. Don przechylił pudełko w stronę kobiety, żeby mogła ją zobaczyć.

- Zadowolona? - zapytał po chwili.

Kobieta oderwała spojrzenie przydymionych oczu od niewielkiego przedmiotu.

- Zaraz zobaczymy - powiedziała. - Czy mogę...? Wyciągnęła rękę i podniosła pięciopromienną gwiazdę z wyściółki. Trzymając ją przed sobą, z irytacją strząsnęła kilka białych drobinek. Kiedy przyglądała się wyrytym na gwieździe zawijasom, poruszała ustami.

- Rozumie pani, co znaczą te słowa? - Don nie mógł powstrzymać tego pytania.

- Tak, ale gwiazda wydaje się czymś pokryta.

- Tak wyglądała, kiedy ją znaleźliśmy. Czy jest jakiś problem?

Kobieta potrząsnęła głową i włożyła gwiazdę do kieszeni kurtki. Na jej twarz powrócił uśmiech.

- W żadnym wypadku. Wszystko jest tak, jak być powinno. Dała znak mężczyznom w wojskowych kurtkach, żeby puścili prawniczkę. Ona jednak ich uprzedziła, uwalniając się sama. Rzuciła okiem na puste pudełko i przechodząc powoli koło Dona, powiedziała szeptem:

- Jak mogłeś być tak naiwny?

Don poczuł nagle w ustach jeszcze większą suchość i w tym samym czasie usłyszał, jak po drugiej stronie taksówki zamykają się drzwi. Silnik pracował, Eva siedziała na tylnym siedzeniu, a mimo to coś było zdecydowanie nie tak.

Dla kobiety sprawa była już zakończona. Trzymając rękę w kieszeni i obracając w palcach gwiazdę, poszła z powrotem do Alter Hof. Jednak obaj mężczyźni nie ruszyli się z miejsca.

Don usłyszał, że kobieta przywołuje ich krzykiem, lecz oni wydawali się nie zwracać uwagi na jej polecenia. Zorientował się, że zapomniał ostrzec ją przed gwiazdą - wszystko przecież poszło zgodnie z planem - teraz jednak dość miał własnych problemów.

Zapaśnik podszedł bardzo blisko, trzymając w dłoni wilgotną płócienną szmatkę. Nagle przycisnął mu ją do ust i Don poczuł kwaśny zapach eteru. Chwył za szyję był tak silny, że nie mógł się oswobodzić, zwłaszcza gdy nagle wszystko zaszło mgłą.

O co tutaj chodzi, zdążył jeszcze pomyśleć Don, ale już po chwili ugięły się pod nim nogi i to, co niemieckie, litościwie znikło.

Oślepienie

Zaaplikowany przez Niemców środek usypiający najwyraźniej rozpuścił Donowi w czaszce całą amortyzację, przez co mózg szorował o ściany, wywołując ból, który rozsadał mu głowę.

Przyciskając policzek do lodowatej kamiennej podłogi, zastanawiał się, czy po uśpieniu wstrzyknęli mu jakiś rodzaj ketaminy. Tak dobrze rozpoznawał falę mdłości, która ogarnęła go, gdy próbował unieść się na łokciach. Wyczuwalny w ustach smak cytryny i gorzkich migdałów też był znajomy. Jednak nigdy wcześniej pod wpływem ketaminy Don nie stracił wzroku. A teraz nic nie widział.

Kiedy dotykając oczu, próbował się upewnić, że są otwarte, poczuł szczypanie rogówki. Świat wokół niego nadal jednak był czarny jak smoła, a w ustach i nozdrzach utrzymywał się stęchły zapach piwnicy i wilgoci.

Zaczął masować zeszywniałe od zimna kolana i wyprostował plecy, aż strzyknęło. Nie miał pojęcia, jak długo leżał nieprzytomny na podłodze. Prawdopodobnie kilka godzin, wstać udało mu się bowiem dopiero po kilku bolesnych próbach.

W końcu jednak odzyskał równowagę i drobnymi kroczkami zaczął posuwać się naprzód. Wyciągnął ręce przed siebie jak lunatyk, w nieprzytomnej nadziei, że przypadkiem uda mu się wydostać z tych kompletnych ciemności. Niestety, zaledwie po kilku metrach jego palce natrafiły na ścianę. Kiedy powiodł palcami po chropowatej powierzchni, zrozumiał, że ma przed sobą mur. Był łukowato wygięty, jakby tworzył okrąg. Don zaczął iść wzdłuż niego, posuwając się od kamienia do kamienia.

Idąc i próbując liczyć kroki, zaczął myśleć o Evie i o tym, co tak naprawdę zdarzyło się przed restauracją Alter Hof.

O ostrzeżeniu, którego nie zdążył wypowiedzieć, ponieważ do ust przytknięto mu nasączoną środkiem nasennym szmatkę. Nie zobaczył też, co stało się z Evą, i po namyśle uznał, że lepiej nie zgadywać.

Zrobił już trzydzieści kroków, gdy usłyszał dzwonięcie łańcucha, na który najwyraźniej wszedł. Wziął grube ogniwa do ręki i w tej samej chwili zorientował się, że jest w piwnicy pod zachodnią wieżą.

Na próżno próbował powstrzymać przytłaczające wspomnienie. Już widział przed sobą muzealną przewodniczkę o blond włosach, pomalowanych brwiach i czerwonych ustach. Tego dnia, dawno temu, miała na sobie kolorowy szalik - Don pamiętał, że przyozdobiła go porcelanową broszką, będącą odzwierciedleniem trójkątniej sylwetki nazistowskiego zamku.

Wycieczka z przewodnikiem po zamkowym muzeum zaczęła się przy fotografii Heinricha Himmlera. Oboje przyglądali się twarzy wodza SS, tak pozbawionej charakteru, że trudno ją było zapamiętać. Uczesane na mokro włosy na wysoko podgolonej głowie przypominały jarmułkę. Himmler miał typowe dla mężczyzny w średnim wieku zaczątki drugiego podbródka, a nad górną wargą coś pomiędzy jednodniowym zarostem a wąsami.

Pod zdjęciem w gablocie wyeksponowano kilka przedmiotów przypominających martwą naturę. Znajdował się tam pasek z napisem: *Meine Ehre heißt Treue*, „Mój honor to wierność”. Koło niego leżały pierścienie z trupa główką i ostry sztylet SS.

Mimo badań nad Ahnenerbe i nazistowskimi symbolami Don starał się unikać zamku Himmlera najdłużej, jak się dało. Teraz, po czasie, żałował, że w ogóle postawił stopę w jego północnej wieży. Ponieważ jednak wybrał się tam na prywatne zwiedzanie, przewodniczka otworzyła mu drzwi i zaprosiła do środka.

Pierwszy krok do Obergruppenführersaal był najdłuższym, jaki kiedykolwiek zrobił, a duszne pomieszczenie zamigotało mu przed oczami. Był gorący lipiec i żar sączył się do środka przez wysokie okna.

Don zmusił się, aby podejść do mozaiki z czarnym krzyżem słonecznym, i stanął na złotej płycie.

Spojrzał na dwanaście kolumn biegnących wzdłuż ścian wieży i zrozumiał, że oto znalazł się u samego jądra tego, czego dotyczyła kolekcja w domu Bube.

Mimo to nie czuł zupełnie nic.

Przynajmniej do momentu, kiedy odwrócił się do przewodniczki i zobaczył, że ta przykładła palec do ust. Ten pełen szacunku gest nappełnił go takim niesmakiem, że chciał natychmiast przerwać zwiedzanie. Blond przewodniczka musiała jednak zupełnie opacznie zrozumieć wyraz jego twarzy, wyszeptała bowiem, że znajdują się w niezniszczalnej sali bohaterów, a następnie poprowadziła go do krypty na dolnym piętrze wieży. Kiedy nogi zaczęły odmawiać mu posłuszeństwa, uchwycił się żelaznej poręczy przy schodach. Doczłapał się do okratowanych drzwi krypty, lecz dalej nie miał już siły iść, mimo że przewodniczka chciała je otworzyć. Na suficie dostrzegł swastykę, a blondynka wskazała rurę gazową. Pamięta, że nazwała tę salę „miejscem wiecznego płomienia”.

Kiedy zapytał, kogo miał spalić ten płomień, odpowiedziała mu milczeniem. Coś w jego wyglądzie musiało sprawić, że skojarzyła fakty i ogłosiła koniec zwiedzania. Don przypominał sobie, że wchodząc po stromych schodach z powrotem do górnej sali, pomyślał, że właśnie zobaczył pozostałości po dziele szaleńca.

- Wiligut - wyszeptał Don sam do siebie.

Wypuścił z rąk łańcuch, który z łoskotem odbił się od ściany. Nagle wydało mu się, że słyszy pociąganie nosem. Najpierw zeszywniał, wściekły, że nic nie widzi, po chwili jednak usłyszał czyjś zachrypnięty głos:

- Czy ktoś tu jest?

Zrobił kilka kroków do przodu, zgiął się w pół i zaczął błądzić rękoma na oślep. Wymacał płaszcz z guzikami i połami. Na końcu rękawa odnalazł ciepłą dłoń.

- Eva?

Prawniczka przyciągnęła go do siebie bez słowa i poczuł, jak niezdarnie obejmuje jego głowę.

- Ty też nic nie widzisz? - zapytał szeptem.

- Nie, jak miałabym coś widzieć - odparła. - Zabrali nas do zamku, prawda?

- Zamknęli nas w swoim muzeum - powiedział Don. - Na samym dole zachodniej wieży. Nad twoją głową powinna być tabliczka o obozie koncentracyjnym Buchenwald.

- Buchenwald?

- SS uwięziło tu okolicznych Żydów zaraz po nocy kryształowej. Byli tu stłoczeni przez kilka tygodni, zanim wysłano ich do Buchenwaldu. Czytałem o tym notkę podczas zwiedzania.

- Byłeś tu już wcześniej?

Don westchnął.

- Wewelsburg był marzeniem Himmlera o rycerskim zamku Camelot. Nie mogłem tu nie przyjechać.

- Dobrowolnie?

- W celach badawczych. Może też po to, aby uhonorować jeńców wojennych, którzy odnawiali ten zamek. Kilka tysięcy ludzi, głównie Rosjan, pracowało aż do śmierci z wycieńczenia, z głodu, przez rozstrzelanie albo powieszenie. Nazywało się to *Vernichtung durch Arbeit*, wyniszczenie przez pracę.

Eva milczała.

- Lokalny obóz koncentracyjny, Niederhagen, był tak sprawnie zarządzany, że szefa awansowano na komendanta obozu w Bergen-Belsen. Słyszałem, że jego dawna stróżówka została teraz przerobiona na willę dwurodzinną.

- Zamykanie ludzi w muzeum to kretyński pomysł - wymamrotała Eva.

Don wzruszył ramionami.

- Tak czy inaczej, chyba trudno będzie się wydostać - powiedział.

Następnie zaczął lekko przesuwając palcami po jej twarzy. Po obrzęku pod okiem nie było już śladu.

- Naprawdę szybko się regenerujesz - stwierdził.

- Bili mnie tylko przez pierwsze godziny. Kiedy udało im się wyciągnąć ode mnie kody do serwera Hex, doszli najwyraźniej do wniosku, że mogą cię tu zwabić. Ale teraz... - Eva zawiesiła głos, po czym zapytała: - Jakie nazwisko wtedy wymieniałeś?

- Kiedy?

- Tuż przed tym, jak prawie na mnie wszedłeś.

- Wiligut?

- Tak... Wiligut. Brzmi w pewnym sensie znajomo.

- To jego wina, że zamek nadal stoi. Północnej wieży nie dało się wyburzyć, nawet kiedy sami esesmani próbowali to zrobić. W nazistowskich Niemczech był mroczną, kojarzoną z okultyzmem postacią. Starym austriackim oficerem, który w okresie międzywojennym pracował sobie spokojnie w przemyśle zbrojeniowym, by na początku lat trzydziestych pojawić się u Himmlera jako praaryjska wyrocznia. Nie wiadomo o nim wiele poza tym, że swego czasu był pacjentem szpitala psychiatrycznego i że z tego powodu Heinrich Himmler go zwolnił. On...

Rozległ się dźwięk przekręcanego w zamku klucza. Coś zaskrzypiało i mrok zmienił odcień.

Pojawiła się smużka światła: najpierw padła na podłogę, a potem powoli przesunęła się po ścianie. Kiedy wreszcie dotarła do ich twarzy, jasność sprawiła, że zaczęli mrugać.

- Don Titelman? - rozległ się znajomy głos.

Następnie zapaliło się światło na schodach i Don, mrużąc oczy, zobaczył zarys okularów z antyrefleksem, które mogły należeć tylko do Reinharda Eberleina. Zza pleców Niemca wyglądała nieforemna postać, która najbardziej ze wszystkiego przypominała ropuchę.

Północna wieża

Wiatr tłukł w szyby wieży, sprawiając, że drżały za zaciągniętymi zasłonami. Kilka metrów przed nimi, kolebiąc się w ciemnym świetle, szedł Ropuch. Mijał posępne popiersia ksiąząt biskupów, a klucz od wieży dyndał mu w dłoni. Za nim szła prawniczka z kancelarii Afzelius z Borlänge, przedstawiająca się jako Eva Strand.

Eberlein chwycił Dona pod ramię i ruszył, przyciskając go mocno do siebie. Niemiec wyglądał tak samo jak wtedy, kiedy spotkali się w willi Lindarne w Djurgården. Jediną różnicę w jego kocim wyglądzie stanowił opadający na bladyszarą twarz kabel od słuchawki. Nadal jednak wargi tego podstarzałego mężczyzny były odrobinę zbyt czerwone, a z ust nie zniknął uśmieszek.

Nikt tu się najwyraźniej nie spieszył - mała grupka powoli posuwała się naprzód kamiennym, odbijającym echo korytarzem.

Niemcy zatrzymali się koło modelu Himmlerowskiego projektu *Mittelpunkt der Welt* i patrzyli na niego przez długi czas. Za szkłem znajdowała się monstrualna forteca SS, o której naziści marzyli w roku 1941. Północną wieżę otaczał gęszcz potężnych betonowych budynków, tłumiący każdą oznakę życia w okolicznym pejzażu.

- Karl Maria Wiligut, wyjątkowy człowiek - wymruczał Eberlein do siebie.

Zanim Don zdążył zaprotestować, Niemiec machnął ręką, jakby właśnie usłyszał w słuchawce jakąś wiadomość. Słuchał przez chwilę z przekrzywioną głową, po czym zakończył rozmowę zdawkowym skinieniem.

- *Noch eine Kleine Weile*, to potrwa jeszcze chwilę - powiedział do Ropucha.

Ten wzruszył tylko szerokimi, spadzistymi ramionami. Następnie wskazał tabliczkę, na której widniał napis KREISMUSEUM WEWELSBURG REZEPTION.

Światło w sali wejściowej było przytłumione - emitowały je porcelanowe owale, które wisiały nad otwartym kominkiem, obramowanym marmurowym fryzem w stylu rzymskim. Kilka metrów od ogniska stały wysiedziane skórzane sofy. Eberlein zaproponował Evie i Donowi, aby spoczęli na chwilę. Następnie sam usiadł pomiędzy nimi, Ropuch zaś czekał w ciemności jak workowaty pomnik.

- Jak państwo widzą - zaczął Eberlein - przygotowania nie dobiegły jeszcze końca. Wciąż czekamy na kilku gości z daleka, którzy powinni się zjawić na nocnej ceremonii.

Don zacisnął usta, Eva zaś skuliła się w rogu sofy, obejmując się ramionami. Z jej twarzy zniknęły siniaki, a po żółto-brązowym strupie pod lewym okiem pozostał tylko bladoróżowy krąg.

Zapadła długa cisza, podczas której Eberlein raz po raz spoglądał na zegarek. Wyglądało to tak, jakby nie był pewien, czy czas się zatrzymał, czy płynie jak dawniej.

W końcu Don miał tego dosyć. Pochylił się do przodu i szeptem powiedział do Eberleina:

- Pan wie, że siedzimy w starej sali ślubnej nazistów, prawda?

- Powiem szczerze, że nie mam pojęcia, jakie szaleństwa wyprawiał tu Himmler w czasie wojny - odparł Eberlein. Jego żółtoszare oczy błyszczały.

- W takim razie może ja opowiem - rzekł Don. - W tej sali odbywały się ceremonie zaślubin zwane *SS-Eheweihen*. To Himmler osobiście opracował ich reguły. Przed ślubem panna młoda miała obowiązek dostarczyć zdjęcie czaszki *en face* i z profilu. Do tego musiała dołączyć zaświadczenie od lekarza, że jej krew jest wystarczająco czysta, a następnie wysłać rodowód do Głównego Urzędu Rasy i Osadnictwa SS. Jeżeli uznano ją za odpowiednią, dokumenty podbijano w biurze, które mieściło się tu, w zamku.

Skórzana sofa zatrzeszczała, kiedy Eberlein zmienił pozycję.

- Kilkoro drzwi dalej - kontynuował Don - mieściły się kliniki programu rozrodczego Lebensborn. Tam zapładniano czyste rasowo kobiety, którym nie udało się znaleźć męża. Kiedy ciąża dobiegała końca, noworodki umieszczano w specjalnych sierocińcach, w których oceniano ich jakość rasową.

Lebensborn... wie pan, co znaczy to słowo?

Eberlein westchnął.

- To znaczy „źródło życia”.

- Mówiłem już, że nie mam pojęcia, co robili tu naziści w czasie wojny - odparł Eberlein. - To niefortunne, że w ogóle zabrali się za nasz zamek, zwłaszcza że interesowała nas tylko przebudowa jego północnej wieży.

Niemiec poprawił okulary, a kiedy spostrzegł, że Don zeszywniał, w jego oczach pojawiło się zadowolenie.

- Zadaniem Karla Marii Wiliguta było stworzenie w krypcie odpowiednio uroczystego pomieszczenia na krzyż i gwiazdę, a także godnego miejsca na spotkania fundacji w górnej sali północnej wieży. I nic poza tym. Za wszystko, co stało się później, odpowiadają Heinrich Himmler i SS.

Don poczuł zawroty głowy i opadł na oparcie sofy

W ciemnym świetle twarz Eberleina wydawała się nieco bardziej różowa. Niemiec przesunął się o kilkanaście centymetrów do przodu, tak że balansował na krawędzi siedzenia. W zamyśleniu strzelił kostkami palców.

- Widzimy się po raz ostatni, panie Titelman - powiedział, przeciągając zgłoski. - Naprawdę ogromnie nam pan pomógł. Nie chciałbym, żeby pan myślał, iż fundacja i ja jesteśmy jakimiś... nazistami.

Don milczał. Eberlein przyglądał się swoim paznokciom.

- O co więc w tym wszystkim chodzi?

- Chodzi o to - odparł Eberlein - że znajdując gwiazdę Strindberga i przywożąc ją tutaj, umożliwiłeś dalszy rozwój nauki i wiedzy. A kiedy dziś w nocy gwiazda i krzyż na nowo się połączą, przerwana praca fundacji będzie mogła znowu ruszyć.

- Przerwana praca fundacji...? - powtórzył Don.

Wsunął jedną rękę do torby, chcąc znaleźć coś orzeźwiającego. Coś, co pomogłoby mu pozbyć się narastającego uczucia, że śni.

- Rzecz w tym - powiedział Eberlein - że być może ubarwiłem trochę historię Nilsa Strindberga podczas naszego spotkania w Sztokholmie.

- Więc nie było żadnych półkul? - wymamrotał Don, zaglądając do torby w poszukiwaniu odpowiedniego listka z tabletkami.

- Sfer Strindberga? - prychnął Eberlein. - Przecież sam je pan widział na negatywach z wyprawy balonem, oglądał ich szkice na stenograficznych notatkach z laboratorium i śledził zmieniające się współrzędne promienia w dzienniku wyprawy. Czego więcej trzeba?

Don wzruszył z rezygnacją ramionami, wyłuskał cztery tabletki i położył na języku. Siedząca w rogu kanapy Eva westchnęła, jednak Don się tym nie przejął. Przełknął tabletki i skinął głową Eberleinowi na znak, że jest gotów słuchać dalej.

- Nie, wszystko, co opowiedziałem w bibliotece Willi Lindarne, naprawdę się zdarzyło, aż do odkrycia wejścia do tunelu. Chodzi o to, co stało się później. Prawda jest taka, że wiemy, kto zabił Nilsa Strindberga, inżyniera Andréa i Knuta Frænklę wśród lodów Arktyki. Fundacja wiedziała o tym już wiosną 1901 roku.

Eberlein odsunął się do tyłu i usiadł wygodniej. Znowu wyglądało na to, że jego własne słowa go odmładzają: zmarszczki na twarzy stopniowo wygładzały się i znikwały.

- Nie wiem, czy pan pamięta, że pokazywałem ostatnie, chaotyczne zapiski Nilsa Strindberga. Te, które sporządził na arkuszach meteorologicznych Knuta Frænklę, kiedy ukrywał się przed prześladowcami w lodowej rozpadlinie. Strindberg napisał, że krzyż i gwiazdę ukradli nieznajomi, którzy zaatakowali ekspedycję pośrodku lodowego pustkowia. Jak twierdził, Frænkel już wtedy wykrwawiał się na śmierć od ran postrzałowych. Inżynier Andréa także został postrzelony, samego Strindberga zaś czekała długa agonía. Brama do podziemnego świata była otwarta i wtedy Strindberg wymienił nazwisko. Napisał, że „starszy nazywał się Jansen”.

Don przeczytał w pamięci rozstrzelony tekst napisany atramentem i chcąc nie chcąc, pokiwał głową.

- Dlatego przedsiębiorców z fundacji zaalarmował fakt, że w marcu 1901 roku otrzymali list podpisany tylko tym nazwiskiem, a ściślej mówiąc słowami „armator J. Jansen”. Adres zwrotny był adresem biura adwokackiego z Hamburga. Kiedy fundacja skontaktowała się z tamtejszymi prawnikami, ci wystąpili z nieprawdopodobnym roszczeniem. Okazało się, że owi „nieznajomi”, jak określił ich Nils Strindberg, byli tak naprawdę grupą biednych norweskich wielorybników. Podążali za balonem Szwedów drogą morską aż od Svalbardu, a od paku lodowego w Arktyce ścigali ich na nartach. Wciąż nie wiadomo, jak udało im się nie zabłądzić i znaleźć Szwedów koło otworu. Jedna z teorii mówi, że Knut Fränkel zdradził Norwegom historię palnika i współrzędne wejścia do tunelu jeszcze w obozie na wyspie Danskøya. Wiemy, że ich parowiec przez kilka tygodni kotwiczył obok statku ekspedycji na przystani Virgo. Tak czy inaczej, Norwegom udało się trafić do wejścia już dzień po tym, jak Strindberg i Andrée zaczęli badać wyłot tunelu. Twierdzili, że Szwedzi byli niepotrzebnie agresywni i strzelanina wywiązała się wyłącznie z ich winy. Jansen i jego ludzie musieli w jakiś sposób wydusić ze Strindberga informacje o palniku Bunsena i półkulach. Kiedy bowiem Norwegowie skontaktowali się z fundacją, wiedzieli wszystko o przemieszczeniach promienia i o tym, jak można śledzić jego zmieniającą się pozycję. W ciągu czterech lat, które upłynęły od roku 1897, wielorybnicy kilkakrotnie zeszli do czegoś, co nazywali „podziemnymi salami”. Nie potrafili wyjaśnić, co tam konkretnie było, jednak zdawali sobie sprawę, że to coś wartościowego.

Don kaszlnął.

- Podziemne sale?

- Taką nazwę nadali im Norwegowie - odparł Eberlein. - Odkryli, że otwór w lodzie, choć przemieszczał się co trzeci dzień, zawsze prowadził do owego ogromnego przejścia i... no właśnie, podziemnych sal. Uznali jednak, że nie mają ani środków finansowych, ani umiejętności, żeby wyciągnąć jakkolwiek korzyść z tego, co się tam znajdowało. Zaproponowali wymianę. Oni chcieli zachować kontrolę nad krzyżem i gwiazdą Strindberga i pełnić funkcję strażników tunelu, fundacja zaś miała przysłać tam ekspertów i dzięki kontaktom handlowym zamienić to, co znajdują na dole, w skromny zysk.

- I co tam było? - zapytał Don.

Eberlein się uśmiechnął. Wiatr za oknem przybrał na sile. Don zobaczył kątem oka, że również mecenas Eva Strand zaczęła słuchać z uwagą.

- W pierwszej chwili nic, co badacze z początku XX wieku mogliby zrozumieć. Potrzeba było prawie dziesięciu lat intensywnych badań, aby fundacji udało się opracować, szczerze mówiąc dość prymitywną, metodę pozyskiwania... wiedzy, którą tam pozostawiono. Chociaż wiedza to może niewłaściwe słowo, były to raczej enigmatyczne szeptki na temat tego, jak zbudowana jest egzystencja, swego rodzaju mentalny plan fizycznej budowy naszego świata.

- Brzmi jak coś, o czym nigdy nie miałem zbyt wielkiego pojęcia - powiedział Don.

- Żeby jednak uzyskać użyteczne odpowiedzi, trzeba postawić odpowiednie pytania, nieprawdaż? - odparł Eberlein. - Przede wszystkim samemu trzeba mieć przynajmniej mgliste wyobrażenie o tym, jak wszystko funkcjonuje. Fundacja zaczęła prowadzić badania w pierwszym roku XX stulecia, kiedy pojęcie „cząstka Higgsa” brzmiało zupełnie niezrozumiale, a do wymyślenia przez Jamesa Joyce’a słowa „kwark” pozostało jeszcze ponad trzydzieści lat. Neutrino, mezony, astronomiczne tajemnice kwazarów... Mówimy o świecie, w którym akceptacji nie zyskała jeszcze teoria Darwina, w którym lokomotywy parowe uważano za nowoczesne i gdzie mauzer na proch bezdymny uchodził za najwyższą formę sztuki wojennej. Ludzie znali spirale ze stali, ale o spirali DNA nikt nie słyszał. Nikt też nie rozumiałby znaczenia takiego odkrycia, nawet jeśli komuś udałoby się naszkicować tę strukturę w proroczej wizji. Smutny kres takich szkiców nadszedł latem 1917 roku, kiedy to krzyż i gwiazda nieoczekiwanie zniknęły.

- Tysiąc dziewięćset siedemnaście? - odparł Don.

- Wtedy schowano gwiazdę w grobie Malraux - wymamrotała Eva.

Eberlein odczekał chwilę, po czym mówił dalej:

- Ostatnią dłuższą ekspedycję przeprowadzono późną jesienią roku 1916. Warunki pogodowe w Arktyce nie sprzyjały technologii, do której wówczas miała dostęp fundacja. Zapiski z tej ekspedycji są ostatnimi, jakie mamy. W czerwcu 1917 Norwegowie ogłosili, że krzyż i gwiazda zniknęły bez śladu, wobec czego umowa, jaką zawarła z nimi fundacja, przestała mieć jakikolwiek sens. Wszystkie kontakty służbowe zerwano, armator Jansen zaś, z tego, co wiem, zmarł w nędzy kilka lat później. Mimo wszystko Norwegom udało się zarobić bająnskie sumy, tylko i wyłącznie na kontrolowaniu krzyża i gwiazdy. Jak już być może wspomniałem, przedsiębiorcy z fundacji działali głównie w przemyśle zbrojeniowym, dotychczasowe odkrycia pod ziemią zaś naprawdę przyspieszyły rozwój broni.

Don doświadczył nagle *déjà vu*, wyraźnie poczuł zapach dusznych sal wykładowych w Lund, gdzie teorie spiskowe nigdy nie chciały wyginać. Mimo to nie mógł przestać słuchać Eberleina, który mówił dalej:

- Wejścia do tunelu już nie było, ale przecież pozostało wiele rysunków, sporządzonych na podstawie wizji. W latach dwudziestych i trzydziestych badacze z fundacji pracowali ciężko nad ustaleniem, co tak naprawdę w tych mrocznych podziemnych salach im zakomunikowano. Ponieważ przede wszystkim interesowała ich technologia broni, nacisk położono rzecz jasna na budowę atomu. Wydawało się, o ile dobrze odczytali rysunki, że jest w nim praktycznie niewyczerpalna siła. Jednak nawet znaczące jak na tamte czasy środki, jakimi dysponowała fundacja, nie pozwoliły na samodzielne sfinansowanie takiego projektu. Potrzebowali pomocy jakiegoś państwa. Najbardziej naturalnym partnerem wydawały się oczywiście Niemcy i berlińskie partie polityczne. W 1933 wybory niespodziewanie wygrali narodowi socjaliści i fundacja nagle się zorientowała, że nie ma osobistego kontaktu z nową elitą władzy. Nazizm był przecież ruchem prawicowo-populistycznym, którego nikt nie traktował poważnie i wszyscy w przemyśle zbrojeniowym byli kompletnie zaskoczeni. Błyskawiczne zbrojenie Hitlera było jak plaster na ranę, a wszystkie osiągnięcia w technologii militarnej spotykały się z wielkim zainteresowaniem, jakkolwiek zaawansowane i niewiarygodne by się wydawały.

- A Karl Maria Wiligut? - zapytał Don, który zaczął odczuwać lekki zawrót głowy.

- Karl Maria Wiligut - uśmiechnął się Eberlein - na początku lat trzydziestych był jedną z kluczowych osób w fundacji. Miał doświadczenie w działalności szpiegowskiej z czasów pierwszej wojny światowej i przedstawił jego zdaniem doskonały plan. Celem było poszukiwanie ściślejszej i bardziej osobistej współpracy z nazistami, a przede wszystkim z człowiekiem, który stał za całą tą mglistą retoryką, czyli szefem SS, Heinrichem Himmlerem. Kiedy Wiligut po raz pierwszy zaproponował kierownictwu fundacji, że przedstawi się jako Aryjczyk, którego korzenie sięgają dwustu dwudziestu tysięcy lat wstecz, pomysł odrzucono jako niedorzeczny. Wkrótce się jednak okazało, że miał rację. U boku Himmlera odniósł tak niezwykle sukces, że stał się jego prawą ręką. W tych to właśnie sprzyjających warunkach członkowie fundacji wpadli na pomysł przebudowania północnej wieży. Było to miejsce naładowane psychiczną energią, z której przez lata z powodzeniem korzystali. Teraz chcieli mieć coś bardziej odpowiedniego do ich pozycji i naiwnie wierzyli, że Himmler i naziści im w tym pomogą.

- Trzeba mimo wszystko przyznać, że im się udało - powiedział Don, patrząc w ogień.

- Tak, budowa północnej wieży przebiegła zgodnie z planem. Jednak w 1938 roku Wiligut został zamordowany w bocznej uliczce Monachium i wszelką współpracę z nazistami natychmiast zerwano.

- Ale przecież Karl Maria Wiligut nie został zamordowany? - odparł Don, który nie miał nawet siły podnieść głosu. - Został wyrzucony z SS, kiedy odkryto, że przez długi czas przebywał w szpitalu psychiatrycznym. Pozbyli się Wiliguta, ponieważ wyszło na jaw, że jest zbyt szalony nawet dla Himmlera.

- To tylko jedno z typowych kłamstw SS - prychnął Eberlein. - Tak jak powiedziałem, został zamordowany, a powodem było przypadkowe odkrycie Himmlera, że Wiligut nie tylko jest jawnym homoseksualistą, co już samo w sobie było złe, ale także Żydem. Większego skandalu Himmler nie mógł

sobie wyobrazić.

- Karl Maria Wiligit. Żyd... - powiedział Don. - Mówisz więc, że to żydowski szpieg zaprojektował pierścień SS z trupa główką, swastyką, runą sig i germańską runą hagal? Pierścień rozdawany w nagrodę jednostkom SS dowodzącym najbardziej efektywnymi obozami koncentracyjnymi?

- Wiligit nigdy nie narysował runy hagal - zauważył Eberlein ze spokojem. - Na pierścieniu odzwierciedlił tylko gwiazdę, którą Sven Hedin znalazł w ruinach na pustyni Takla Makan. Pięć promieni odchodzących od centrum, w kształcie, który starożytni Egipcjanie nazywali *seba*.

Donowi nic nie przychodziło do głowy, więc milczał. Eva siedziała w rogu sofy i nie odzywając się, kręciła w palcach lok siwiejących włosów. Eberlein spojrzał na zegarek i gwizdnął.

- Chyba już czas iść - powiedział.

Wstał i poprawił spodnie od garnituru. Don czuł, że uszła z niego cała fizyczna siła.

- Nie - rzekł Eberlein, podając mu rękę. - Fundacja nie ponosi żadnej odpowiedzialności za to, co się stało po roku 1938. Poza tym, z finansowego punktu widzenia, pozostawienie Niemców samym sobie było dobrą decyzją. Machina wojenna Hitlera była już gotowa. Możliwości zarobku na szkicach z podziemi były znacznie większe po drugiej stronie Atlantyku. Stany Zjednoczone ledwo ruszyły z przemysłem zbrojeniowym. - Eberlein podciągnął Dona do pozycji stojącej. - Z jaką to diabelską pomocą Himmlerowi, Hitlerowi i Goebbelsowi udało się później utrzymać aż sześć lat, jest naprawdę niepojęte. Jednak już za krótką chwilę krzyż i gwiazda Strindberga, dzięki ostatniej cegiełce, jaką pan dołoży, odnajdą podziemne przejście, pozwalając odpowiedzieć na pytania, na które wciąż jeszcze brakuje odpowiedzi.

- Ostatniej cegiełce? - Don usłyszał swój własny głos.

Eberlein był już jednak w miejscu, gdzie hol łączył się z korytarzem i gdzie czekał Ropuch. Wkrótce wszyscy razem poszli ciemną drogą, która, jak dobrze wiedział Don, prowadziła do północnej wieży zamku w Wewelsburgu.

Na przedstawiającej czarne słońce mozaice pośrodku marmurowej podłogi siedział łysy mężczyzna na elektrycznym wózku inwalidzkim. Jedno z jego oczu wyglądało jak martwy szary kamień, podczas gdy drugie było zdumiewająco czujne i bystre.

Za oknami wieży widniał chudy sierp księżyca, skryty za rzadkimi jak dym chmurami. Strome schody wiodły z górnej sali do krypty oświetlonej migoczącym światłem. Wieczny płomień zapalono po raz pierwszy od siedemdziesięciu lat.

U boku Vatera stała Elena, przestępując z nogi na nogę w krwistoczerwonej wieczorowej sukni. Było tam też dwóch ogolonych na łyso mężczyzn o twarzach tak martwych, jakby były z porcelany.

Wchodząc do sali, Don nie spuszczał wzroku z młodej kobiety w czerwieni, żeby nie patrzeć na krzyż słoneczny. Eberlein pociągnął go w kierunku schodów, chcąc pokazać płomień.

Kiedy doszli do siedzącego pośrodku sali Vatera, Eberlein chrząknął i otworzył usta.

- Dziękuję, wiem - odezwał się Vater, wyciągnął długie, kościste palce i skinął Donowi głową, aby je chwycił.

Były cienkie jak czułki owada i Don czym prędzej zwolnił uścisk.

- Don Titelman - rzekł Vater. - A to oczywiście jest *kleine Eva*...

Eva nie chwyciła wyciągniętej dłoni. Vater się roześmiał.

- Odbyliście długą podróż, aby tu przybyć, i naprawdę bardzo nam pomogliście. Brakuje tylko jednej rzeczy, zanim sfery Strindberga pojawią się znowu.

Vater pociągnął niewielki drażek na podłokietniku i podniósł się do pozycji stojącej, dzięki czemu jego czujne oko mogło spojrzeć prosto w oczy Dona.

- Musicie nam pomóc w spełnieniu obietnicy.

- Obietnica - odparł szeptem Don. - A co potem?

- Dziś wieczorem spełnimy obietnicę - kontynuował Vater. - Albo, jeśli tak państwo wolą, złożymy ofiarę. Zostało to postanowione tuż po śmierci Karla Marii Wiliguta, w najbardziej ponurym dla fundacji okresie. Myślę, że z uwagi na pana pochodzenie może pan uznać to nawet za swoisty hold.

Don potrząsnął głową, żeby obudzić się z tego snu. Vater źle zinterpretował ten gest i zirytowany mówił dalej:

- W tak historycznej chwili jak ta nie ma miejsca na osobiste wątpliwości. Tu w krypcie, którą SS i Himmler nazywali Walhallą... - Vater wypluwał słowo po słowie. - Tu w krypcie, przy ścianach, stoi dwanaście cokołów, które wreszcie zostaną użyte zgodnie z przeznaczeniem. Właśnie w tej chwili jedenaście, jak by to powiedzieć... kluczowych osób z fundacji siedzi tam w kole tworzącym pole telekinetyczne. Krzyż i gwiazda zostaną opuszczone na łańcuchu na płomień. Kiedy przedmioty osiągną odpowiednią temperaturę, stopią się ze sobą, tworząc przyrząd nawigacyjny Strindberga. Nad półkulą północną znów zaślnią gwiazdy Małej Niedźwiedzicy, promień Gwiazdy Polarnej zaś wskaże wejście do tunelu. I w tej samej chwili, panie Titelman, nastaną nowe, o wiele jaśniejsze czasy.

- *Ich vintsch aych glik* - odparł Don. - W takim razie życzę wam szczęścia.

- Nam? Pan też tam będzie - powiedział Vater. - Może pan to uznać za ostatnią przysługę wyświadczoną fundacji.

Don spojrzał pytająco na młodą kobietę w czerwieni, która dzień wcześniej zabrała mu gwiazdę Strindberga. Przez chwilę patrzyła mu w oczy, po czym z zakłopotaniem odwróciła wzrok.

- Tak się bowiem składa - ciągnął Vater - że po śmierci Wiliguta fundacja obiecała, że zorganizuje ceremonię ku czci zwycięstwa krwi żydowskiej nad nazistami. Miała się ona odbyć w dniu, w którym krzyż i gwiazda na powrót złączą się ze sobą, w tej pięknej wieży, postawionej specjalnie w tym celu.

- Nie rozumiem. Żydowska krew...

Don zachwiał się na nogach, kobieta w wieczorowej sukni postąpiła szybko do przodu, żeby go podtrzymać.

- Pańska żydowska krew - odpowiedział Vater, akcentując pierwsze słowo - będzie nam potrzebna. Obiecaliśmy napełnić wgłębienie w krypcie. Elena...?

Don poczuł, że kobieta się waha.

- Już czas - powiedział Vater.

Elena stała bez ruchu, jednak po chwili zarzuciła sobie jego ramię na szyję i wyszeptwała:

- Bardzo proszę ze mną.

Już koło wejścia prowadzącego do krypty czuł zapach płonącego gazu. Zamknął oczy i jak szmaciana lalka oparł się na Elenie, która pomogła mu zejść po stromych schodach.

Kiedy znowu podniósł wzrok, stał przed łukowatym wejściem do okrągłej krypty w kolorze ochry. Na ustawionych w niepełny okrąg kamiennych cokołach siedziało jedenastu starszych mężczyzn. Niebieskawe światło płomienia, który tlił się w okrągłej kamiennej niecce, oświetlało ich od dołu.

Jedenaście pozołkłych starczych twarzy odwróciło się w jego stronę, kiedy podszedł do schodków prowadzących do niecki. Wsparty na ramieniu Eleny, przesuwając wzrokiem wzdłuż ścian, szukając pomocy, i wtedy dostrzegł, że wśród mężczyzn bacznie obserwujących każdy jego krok są Eberlein i Ropuch.

Cichy szmer w krypcie ustał, kiedy Don znalazł się wewnątrz niecki. Wysoko na suficie, ponad płomieniem dostrzegł brudnożółty kształt swastyki. Z czterech otworów wyciętych wokół niej zwieszały się grube łańcuchy. Podtrzymywały metalową siatkę, na której leżały gwiazda i krzyż Strindberga.

- Podaj mi rękę - szepnęła mu do ucha Elena.

Don był już tak blisko, że czuł ciepło ognia.

- Na kolana.

Czując, że robi mu się niedobrze, posłusznie opadł na kamienne płytki pośrodku niecki. Zobaczył błysk jakiegoś metalowego przedmiotu, który Elena trzymała w dłoni. Następnie odwrócił wzrok i poczuł

ostrzy bólu w ramieniu, kiedy ostrze noża przecięło żyły.

- To się niedługo skończy - wyszeptała Elena, podtrzymując go, żeby nie upadł do przodu.

Krew trysnęła łukiem w stronę płomienia. Kiedy trafiła na rozgrzaną gazową rurę, rozległ się syk i zapachniało żelazem. Don podniósł głowę i spojrzał na podwieszane przedmioty.

A więc to jest *Mittelpunkt der Welt*, środek świata, pomyślał.

Kłęczał dalej, aż wokół wystającej rury powstała kałuża krwi. Elena miała już najwyraźniej dość uroczystości. Kiedy pomogła mu wstać, rozległ się szmer zawodu.

Wychodząc z krypty, Don zdążył jeszcze dostrzec, że Eberlein posłał mu pełne uznania skinienie. Jego skryte za okularami żółtoszare oczy świeciły dziwnym światłem.

Na schodach prowadzących z powrotem do górnej sali kobieta ostrożnie zabandażowała mu rozcięte ramię.

- Proszę mnie nie winić za to, co się stało - powiedziała szeptem.

Don poczuł, że kiwa głową, choć nie wierzył jej ani trochę. Przycisnął zabandażowane ramię do piersi i niepewnym krokiem ruszył w stronę Obergruppenführersaal, gdzie osunął się na podłogę przed Evą Strand.

Jak przez mgłę zobaczył, że ogoleni na łyso mężczyźni w czerni wyciągają z wózka filigranowego Vatera i znoszą go do krypty.

Kobieta stała niepewnie, jakby nie wiedząc, czy iść za nimi, czy też zostać w górnej sali północnej wieży. W końcu podjęła decyzję i zeszła kilka stopni. Don otworzył usta, żeby ją ostrzec. Ale chyba zwlekał zbyt długo albo też jego wyschnięte wargi nie były w stanie wypowiedzieć żadnego słowa.

Vater siedział już na dwunastym cokole w krypcie.

- *Raus, bitte* - powiedział i skinął na mężczyzn, którzy go nieśli, a teraz czym prędzej odeszli.

Stanęli przy drzwiach obok Eleny i obserwowali.

Eberlein powiedział kilka słów do słuchawki i łańcuchy zaczęły się obniżać. Leżąca na poprzecznej belce krzyża ankh gwiazda *seba* drżała przy tym lekko, brzęcząc ponuro. Kiedy siatka z przedmiotami była już tylko metr nad płomieniem, napięcie w krypcie wzrosło.

Elena precyzyjnie się bliżej, chcąc zobaczyć, jak przedmioty Strindberga stapiają się ze sobą po raz pierwszy od 1917 roku; zobaczyć półkule, o których opowiadał Vater, i promień Gwiazdy Polarnej. Wszystko to, co do tej pory widziała tylko na zdjęciach, nieznaną reakcją stanowiącą puste centrum jej życia.

Jeszcze kawałek niżej.

Elena i dwaj mężczyźni stali stłoczeni na schodach przed wejściem. Widzieli czerwone usta Eberleina i oczy Ropucha, w których odbijał się zniekształcony płomień.

Usłyszała jeszcze, jak Vater wykrzykuje coś o Karlu Marii Wiligucie i zwycięstwie krwi żydowskiej. Sekundę później oślepił ją błysk krzyża i gwiazdy. Rozległ się krótki huk i eksplozja rozsadziła kryptę, a Elena poleciała bezładnie do tyłu.

Brüderkrankenhaus St.Josef

Kiedy oszołomienie wywołane środkami usypiającymi chwilowo ustało, Elena oprzytomniała, słysząc wołanie o pomoc i pospieszne kroki. Następnie zorientowała się, że wszystkie dźwięki dobiegają z lewej strony, prawa zaś połowa jej twarzy jest sparaliżowana, pozbawiona czucia i sztywna. Spokojnie z powrotem zapadła w ciemność w nadziei, że nigdy więcej nie będzie się musiała budzić.

Bolało ją tak, jakby nożyczki niezdarnie torowały sobie drogę w jej prawym kanale słuchowym. Zaciskając pięść, przycisnęła bandaż do skroni tak mocno, jak się dało, nie mogła jednak dosięgnąć tego, co rozcinało ją od środka.

Po tym, jak obudziły ją pielęgniarki, ból sprawił, że trwała kurczowo w jednej pozycji. Skulona na brzegu butelkowiezianej pryczy, widziała, jak przemykają korytarzem, pchając rozklekotane wózki reanimacyjne.

Większość osób z poważnymi poparzeniami po wybuchu w północnej wieży przewieziono już na oddział intensywnej terapii.

Mijały godziny, ona zaś cały czas słyszała głos Eberleina za ścianą sali intensywnej terapii. Mimo woli zmuszona była słuchać jego daremnych prób zaprowadzenia porządku w całym tym chaosie.

Połowa jego rozmów telefonicznych zdawała się dotyczyć tego, co tak naprawdę wybuchło w krypcie. Drugą połowę stanowiły próby zatrzymania doniesień medialnych, które zaczynały już wymykać się spod kontroli.

Dwunastu wysoko postawionych biznesmenów odprawiających nazistowskie rytuały w zamku Wewelsburg to już całkiem dobra historia. Dwunastu biznesmenów wysadzonych w powietrze to coś naprawdę wyjątkowego.

Całe Niemcy zostały najwyraźniej postawione na nogi, choć był dopiero świt. Z ustawionego w korytarzu telewizora dobiegały dźwięki relacji na żywo i wciąż nowe doniesienia z Brüderkrankenhaus St. Josef w okręgu Paderborn w Westfalii.

Eberlein próbował się powoływać na stare znajomości, grozić i mówić o odpowiedzialności prasy, ale to wszystko tylko podsycalo entuzjazm niemieckich dziennikarzy. W każdej relacji spekulowano na temat kolejnych możliwych sprawców i z każdą godziną teorie stawały się coraz bardziej szalone.

Elena nie miała siły zastanawiać się nad tym, co rozerwało kryptę na kawałki. Vater zmusił ją do wykonania polecenia jak bezwonną lalkę, wiedziała też, jaki los spotkałby Titelmana i kobietę, gdyby ceremonia zakończyła się zgodnie z planem. Eksplozja była odpowiednim rozstrzygnięciem, martwiło ją tylko to, że jej ciało wciąż tak uparcie nie chciało się poddać.

Chcąc usunąć odłamki z eksplozji, poparzoną skórę ofiar przemywano chlorheksydyną - ich donośne zawodzenia znów zaczęły zagłuszać szum telewizora. Utrzymanie ran w czystości i ich przemywanie miało kluczowe znaczenie dla przyszłych zabiegów chirurgii plastycznej.

Elena usłyszała, że do Eberleina ktoś wchodzi. Po chwili rozpoznała nosowy głos ordynatora. Wyglądało na to, że składa kolejny raport o stanie Vatera - staruszkowi zapewniono specjalną opiekę na OIOM-ie, miał bowiem poparzoną twarz i był podłączony do całej aparatury. Szok sprawił, że jego serce stanęło - dopóki ktoś w swej głupocie nie pobudził go znów do pracy.

Przestała przysłuchiwać się rozmowie. Jeśli oczekiwali, że jako córka pójdzie go odwiedzić, będą musieli ją zaciągnąć siłą.

Myśli Eleny rozpadły się na kawałki, pocięte wrzynającym się coraz głębiej ostrzem. Poczuła, że właśnie tego pragnie: żeby szpic nożyczek spowodował spięcie i zakończył jej życie. Podniosła dłoń do pompy infuzyjnej i zwiększyła dawkę morfiny do maksimum. Następnie opadła z powrotem na poduszkę

i czekała na odrętwiającą falę, która zaleje ją i zmiecie raz na zawsze.

Mechelen-Berlin

Wyczyścili już każdą płaszczyznę w wagonie towarowym, ale Don nadal był niespokojny. Polał ściereczkę płynem do naczyń i odkręcił korek w jednym z kanistrów z wodą. Następnie zaczął ponownie szorować kuchenny blat w mahoniowej szafce. Stojąc na miękkich kolanach, starał się balansować w trzęsącym się wagonie.

Ich wagon doczepiono jako ostatni w długim pociągu towarowym, który o świcie wyjechał z Mechelen w kierunku Berlina. Eva powiedziała, że lepiej być w ruchu, nawet jeśli będą zmuszeni wrócić do Niemiec, Nadrenii Północnej-Westfalii i do zamku.

Obiecali, że przed lunchem zawiadomią Hex, w jakim kierunku ruszą potem. Dzięki temu będzie miała przynajmniej kilka godzin, by raz jeszcze pogrzebać w archaicznym systemie logistycznym Green Cargo.

Don zdawał sobie sprawę, że butelki nie są bardziej niebezpieczne teraz, niż kiedy zdejmował je z półek sklepu z farbami. Mimo to ostrożnie podniósł plastikową torbę ze sklepu Boca-Paint, w której spoczywały, zabezpieczone specjalnymi zakrętkami.

- Co z tym zrobimy? - zapytał, odwracając się do Evy.

Siedziała w jednym z klubowych foteli, trzymając na kolanach mapę linii kolejowych w północnej Europie. Obok niej na okrągłym stoliku leżał otwarty atlas świata.

- Wyrzucić wszystko przez okno - zaproponowała, nie podnosząc nawet głowy.

Don spojrzał na pomalowaną laserunkiem ścianę z tekowego drewna i poczuł, że usta układają mu się w grymas.

- *A bisel komish* - mruknął. - Zabawne.

- Przestań się martwić - odpowiedziała Eva.

Mówiła to już kilkakrotnie, odkąd udało im się niepostrzeżenie wrócić do wagonu Hex. A przecież w ubraniach, które pył po eksplozji zabarwił na kolor ochry, powinni być dobrze widoczni, kiedy przemykali terminalem towarowym w Mechelen.

Przestań się martwić.

Don cieszył się, że wagon towarowy w ogóle był na swoim miejscu. Nie traktował Hex dość poważnie, kiedy próbowała mu uświadomić, jakie ryzyko niosą ze sobą materiały wybuchowe. Niewielki stosik białych kryształków nadal leżał na blacie, kiedy wrócili z Wewelsburga. Don szybko zalał je wodą w nadziei, że jakimś sposobem się rozpuszczą.

To wszystko było pomysłem siostry. Mówiła, że jeśli Niemcy będą sprawiali kłopoty, powinni im dać nauczkę. Gdyby jednak wszystko poszło dobrze - tłumaczyła - zawsze mogli poinformować ich, że odzyskaną gwiazdę należy przemyć.

O czysto moralnych aspektach wręczania przedmiotu pokrytego materiałem wybuchowym nie chciała nawet rozmawiać, Don zaś jak zawsze dał się, przekonać jej zaciętej argumentacji.

Przesłanych przez Hex instrukcji przestrzegał tak ściśle, jak potrafił. Wszystkie potrzebne składniki znalazł w hurtowni farb nieopodal Ieper Vrachterminal. Sprzedawca w Boca-Paint nie miał żadnych obiekcji, żeby jednemu klientowi sprzedać kwas solny, aceton i nadtlenek wodoru.

Po powrocie do przedziału zaczął przeglądać te fora dyskusyjne, które poleciła mu Hex. Żeby skonstruować materiał wybuchowy, nie trzeba było szczególnie zaawansowanej wiedzy chemicznej - była to raczej zabawa dla znudzonych nastolatków, chcących zobaczyć w życiu chociaż jedną iskrę. Za radą Hex użył wszystkiego dziesięć razy więcej, niż podano w wybranym przepisie. W jednym ze znajdujących się w kuchni szklanych dzbanków wymieszał aceton z jasnoniebieskim nadtlentkiem wodoru, a następnie schłodził lodem z zamrażarki. Wpuścił kilka kropel kwasu solnego i zamieszał, nie

mając wielkich oczekiwań. Mieszanina miała postać przez noc w niskiej temperaturze.

O świcie, jakąś godzinę przed odjazdem do Wewelsburga, Don przesączył płyn przez filtr do kawy. Uzyskał białe kryształki, które wyglądały jak gruboziarnista sól. Był tak zestresowany, że nie przejął się ostrzeżeniami, że stworzony przez niego TATP może wybuchnąć przy najmniejszym drgnienu. Przycisnął tylko gwiazdę Strindberga do wciąż jeszcze mokrych kryształków leżących na blacie. Przyczepiły się do metalu jak warstewka kurzu.

Kiedy gwiazda wyszła, włożył ją do kartonowego pudełka i ruszył trzęsącą się taksówką w stronę placu Ratuszowego w Wewelsburgu i restauracji Alter Hof.

Leżąc na podłodze i patrząc na czubki butów Ewy, Don nie zobaczył, jak w wyniku eksplozji rozbłysły schody. Jednak rozdzierający huk z krypty sprawił, że zaparło mu dech. Skulił się odruchowo, próbując uchronić się przed deszczem kamiennych odłamków i gruzu. Po jakimś czasie, kiedy zaczął odzyskiwać słuch, dotarł do niego dzwoniący jakby w oddali alarm.

Chciał wierzyć, że to dzięki swojemu lekarskiemu instynktowi udało mu się zejść po spowitych dymem stromych schodach. Jednak poskręcane zwłoki, które przed chwilą były dwoma mężczyznami w mundurach, nic a nic go nie obeszczyły.

Pamiętał kilka strzępów czerwonego materiału, oderwanych najwidoczniej od wieczorowej sukni młodej kobiety. Leżała biała jak trup, z dłonią zaciśniętą na poręczy, a z ucha ciekła jej krew. To właśnie przy niej, o ile w ogóle gdziekolwiek, powinien się zatrzymać, jeśli chciał udzielić pomocy.

Zamiast tego szedł dalej, zataczając się po krypcie, w której czuć było silny zapach spalonego mięsa. Żółty pył sproszkowanej cegły znacznie ograniczał widoczność, toteż Don pochylił się i po omacku posuwał się do przodu. Kiedy dotarł do kamiennej niecki, z której jeszcze niedawno wystawała gazowa rura, w płucach nie miał już prawie powietrza. Wtedy dostrzegł błyszczące przedmioty, leżące jeden obok drugiego. Wydawało się, że delikatnie opadły na podłogę, zupełnie nienaruszone siłą eksplozji. Don podniósł krzyż i gwiazdę i poczuł, że wciąż są zimne jak lód.

Schowawszy przedmioty pod marynarkę, czym prędzej ruszył z powrotem po schodach. Zobaczył Ewę, zagubioną w potęgującym się chaosie, jaki panował w górnej sali. W opadającym dymie dało się dostrzec, że jej twarz pokrywają małe krwawiące rany po rozżarzonych kamiennych odłamkach.

Przepychali się przez korytarze zamku, mijani po drodze przez sanitariuszy z noszami. Dziedziniec był już pełen ludzi, zwabionych hukiem eksplozji. Wzrok Dona przypadkiem trafił na młodego chłopaka stojącego koło vespy, który razem z kilkoma dziewczynami wskazywał palcem wieżę. Don pociągnął Ewę w ich kierunku. Przerażona młodzież rozstąpiła się, zostawiając skuter.

Usadowił się na siodelku i przekręcił kluczyk, prawniczka zaś usiadła za jego plecami. Objęła go w pasie, Don przyciągnął manetkę gazu do siebie i ruszyli z piskiem opon.

- Jest naprawdę wystarczająco czysto - powiedziała Eva.

Wagon towarowy właśnie zaczął hamować, z daleka słyszeli dzwonki ostrzegawcze.

- Lepiej chodź tutaj.

Don wyplukał szmatkę do czysta i obrzucił wewnątrz szafki ostatnim krytycznym spojrzeniem. Następnie, chcąc nie chcąc, zamknął jej podwójne mahoniowe drzwiczki.

Kiedy usiadł w drugim klubowym fotelu, Eva wskazała leżącą na stole mapę kolejową.

- Myślę, że jesteśmy mniej więcej tutaj.

Jej palec dotykał niewielkiej miejscowości na wschód od Hanoweru, która nosiła nazwę Edemissen. Don poczuł odrobinę ulgi, widząc, że przynajmniej wyjechali już z Westfalii.

- A za mniej więcej trzy godziny - kontynuowała - będziemy w Berlinie. Pytanie brzmi tylko... - Postukała palcem w czerwoną plamę oznaczającą stolicę. - Pytanie brzmi tylko, czy w obecnej sytuacji masz ochotę zostać w Niemczech. Jako poszukiwany terrorysta.

Don spojrział na Ewę.

- Rozumiesz, o co mi chodzi. Czy nie jest prawdopodobne, że tak to zostanie potraktowane? Jako zamach terrorystyczny? Właśnie wysadziłeś w powietrze zamkową wieżę i mnóstwo niewinnych ludzi. Kto wie, ilu z nich nadal żyje? Wydaje mi się, że poszukiwania będą o wiele bardziej intensywne po zamachu terrorystycznym w Niemczech niż po pojedynczych morderstwach w mało znaczącym kraju na północy. Jestem pewna, że w Berlinie już mają twoje dane i zdjęcia.

Don poczuł nagle ogromną tęsknotę za domem i spojrzał na Malmö, Lund i Sztokholm. Poza tym ogarnęło go przemożne zmęczenie.

- Czy w takim razie Niemcy nie poszukują dwójki terrorystów? - zapytał.

Eva nie odpowiedziała.

Zamiast tego zabrała mapę ze stołu. Pod nią leżał wciąż jeszcze otwarty atlas świata, a w nim widać było granice Polski z Litwą, Białorusią i Ukrainą.- Sądzę, że nie będą tu szukać tak intensywnie jak w sercu Europy. A tutaj...

Przewróciła kilka stron i zatrzymała się na konturach, które w pierwszej chwili nic Donowi nie mówiły. Potem jednak zobaczył nazwę miasta i powoli wszystko stało się jasne.

- Tutaj - ciągnęła Eva - moim zdaniem nie będą szukać wcale. Poza tym będziemy mogli się dowiedzieć, czy przedmioty Strindberga naprawdę działają.

Don spojrzał na prawniczkę, nic jednak nie wskazywało na to, że jej propozycja była tylko żartem.

41

Wyleczona

Morfina wyparła całe światło, ból jednak wgryzał się coraz głębiej w jej kanał słuchowy. Ostre nożyczki cięły niezmordowanie, wydając nieprzyjemny zgrzyt.

Elena nie wiedziała już, czy jest przytomna. Była pewna tylko jednego - że nic nie widzi.

Przycisnęła ręce do boków, by się upewnić, że przynajmniej szpitalna prycza jest na swoim miejscu. Pod sobą wyczuła jednak tylko pustkę i ogarnęło ją dziwne uczucie spadania.

Kiedy otworzyła oczy, oślepiło ją padające ze wszystkich stron intensywne światło słońca. Spod przymrużonych powiek horyzont wyglądał jak cienka linia pomiędzy białym niebem a śniegiem. Linia ta otaczała ją półkolem, jednak nie sposób było zobaczyć, czy jest blisko, czy daleko. Wszystko dookoła zamieniło się w szerokie lodowe pole, które zdawało się nie mieć początku ani końca.

Nagle Elena zorientowała się, że koło niej ktoś stoi - tuż za plecami poczuła jego oddech. W lewym uchu, na które wciąż słyszała, rozległ się syk, który przeszedł w głos:

- Elena...

Zamknęła oczy i znów poczuła czyjś oddech:

- Elena. *Devi ascoltare*. Musisz słuchać. Tylko do ciebie możemy dotrzeć.

- *Madre?*

- *Questo deve finire*. To się musi skończyć.

- Ja... nie mam już klucza. Został..

- *Devi portarcela*. Musisz go nam przynieść. *Deve finire*. Tylko do ciebie możemy dotrzeć.

Czyjaś delikatna dłoń dotknęła jej ucha. Następnie zaczęła gładzić policzek. W tej samej chwili cały ból się rozproszył, Elena zaś w końcu odpłynęła w pozbawiony marzeń sen.

Berlin-Kostrzyn-Gorzów-Krzyż-Poznań-Kutno-Warszawa-Łuków-Terespol. Na granicy polsko-białoruskiej wjechali do hali, a wtedy kilku mężczyzn w roboczych kombinezonach weszło po ciemku pod osie wagonu. Przyłożywszy ucho do pryczy w przedziale sypialnym, Don słuchał uderzeń młotka o podwozie i brzęku porcelany w salonce.

Narzędzia w końcu przestały hałasować. Eva przyciągnęła go do siebie i w tej samej chwili usłyszeli, że odczepiono koła. Kiedy wagon uniósł się w górę, z półek w salonce pospadały stosy książek, a w mahoniowej szafce rozległ się dźwięk tłuczonego szkła. Salonkę podnoszono zrywami, w wyniku czego drzwi ich przedziału na przemian rozsuwały się i zasuwwały.

Kiedy wagon z powrotem opadł, przykręcono go do szerszych osi, dostosowanych do torów w byłych republikach radzieckich. Ich rozstawienie spowodowało swego czasu opóźnienia w transporcie nazistowskiej broni do Stalingradu i Kurska.

Po zmianie kół jechali dalej, słuchając monotonnego stukania, aż w końcu oboje zapadli w sen. Śpiąc, minęli Brześć, Baranowicze i Mińsk, dojeżdżając do granicy położonej pomiędzy białoruskim miastem Orsza a rosyjskim lasem, znanym pod niesławną nazwą Katyń.

Tam właśnie stali teraz w świetle wschodzącego słońca.

Cisza sprawiła, że Don się obudził i opuścił stopy na miękką wykładzinę. Za jego plecami Eva nadal spała, jedną rękę wyciągając w kierunku nagrzanego miejsca, które przed chwilą zajmował. Przeciągnął się, poczuł lekkie mdłości wywołane jazdą w trzęsącym się wagonie, po czym w samych skarpetkach przemknął po cichu do salonki, spodziewając się, że zastanie ją obróconą w drzazgi.

Nie było jednak tak źle. Spadł tylko jeden indyjski obraz, a kilka talerzyków miało wyszczerbione brzegi. Zaczął zbierać pozrzucone książki, a kiedy już zaprowadził jako taki porządek, usiadł w jednym z foteli, żeby zebrać siły do zaparzenia sobie porannej herbaty.

Na stole wciąż leżała mapa, za pomocą której na początku podróży próbowali ustalić, gdzie się znajdują. Mieli do dyspozycji tylko rozkład, który Hex przesłała przez internet, zegarek oraz bardzo kiepsko naostrzony ołówek. Mimo to notatki z Niemiec pisane były pewną ręką. Kilkadziesiąt kilometrów przed Warszawą pojawiły się pierwsze skreślenia, a dalsza podróż była już coraz bardziej bezładna i powolna. Przy małej zapomnianej miejscowości pośród bukowych lasów południowo-wschodniej Polski znajdowało się ostatnie, z rezygnacją poczynione oznaczenie, składające się z długiego rzędu kanciastych znaków zapytania.

Don spojrzął na zegarek i zobaczył, że dochodzi trzecia czterdzieści pięć w nocy. Na tej podstawie próbował wyliczyć, jak daleko się posunęli. Niepewnie przytknął czubek ołówka do punktu, w którym Dniepr wypływa z Rosji, kiedy jednak miał postawić krzyżyk, usłyszał gwałtowne łomotanie do drzwi wagonu. Po chwili ciszy rozbrzmiało znowu, jakby osoba po drugiej stronie naprawdę liczyła na to, że ktoś otworzy.

Don zamarł, przyciskając ołówek do granatowej wstęgi Dniepru.

W zastawionym pudłami korytarzu rozległy się szybkie kroki i w drzwiach przedziału stanęła wyrwana ze snu Eva. Miała przekrwione oczy i wyglądało na to, że stara się na migi zadać jakieś pytanie, nagle jednak łomot rozległ się znowu, ktoś szarpnął drzwi i zaczął majstrować przy zamku.

Don wypuścił wreszcie z ręki długopis i zaczął się ruszać, pokonując wywołany paniką paraliż mięśni. Kiedy jednak stanął na nogi, poczuł, że ściany wagonu napierają na niego w takt dobiegających z zewnątrz zgrzytów i trzasków.

Nie było gdzie uciekać, jednak Eva zdawała się nie tracić nadziei.

- Ściana jest zamknięta, prawda? Płyty się chyba nie rozsunęły?

Don gestem dał do zrozumienia, że nie wie.

- Mam sprawdzić? - zapytała znowu Eva. - Ścianę można zamknąć z powrotem od środka, tak? Może to rutynowa kontrola, może rzucą tylko okiem i pójdą?

Don nie zdążył odpowiedzieć, po drugiej stronie drzwi ktoś bowiem wysyczał po rosyjsku niewyraźnym głosem:

- Откройте дверь!

- Możemy tylko... - zaczął Don, ale głos przerwał mu znowu.

- Вы здесь?

Don przełknął kilkakrotnie ślinę i w końcu udało mu się oderwać nogi od ziemi i ruszyć do przodu. Drogę blokowała mu Eva, stojąca przed drzwiami przedziału jak szlaban.

- Przesuń się - powiedział. - Musimy otworzyć.

- Эй, вы здесь? - odezwał się głos.

Eva Strand najwyraźniej nie chciała się poddać. Zbielałymi palcami trzymała brzegi futryny. Używając siły, Don rozsunał jej palce i odepchnął ją na bok, żeby wejść w ciasny korytarz. Sięgnął do małych metalowych zaczepów na suficie, które wciąż trzymały ścianki w pozycji zamkniętej.

Otworzywszy przejście tak, by widzieć przed sobą rozsuwane drzwi, Don zaczął przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu klucza.

- Откройте, пожалуйста!

Bez drewnianej ściany łomotanie wydawało się o wiele głośniejsze. Don opadł na kolana i wetknął klucz w zamek. Przekręcił dwa razy i pomału wstał, czekając na to, co się stanie.

Skrzydło drzwi od razu powędrowało odrobinę w bok i na twarz Dona padły pierwsze promienie światła. Po drugiej stronie stał tylko jeden człowiek - żołnierz o rzadkiej brodzie, ubrany w znoszony zielonoszary mundur. Koło jego buta kręcił się owczarek z uszami odchylonymi do tyłu. Od razu zaczął szczekać, nie reagując na syki właściciela, który próbował go uciszyć. Wtedy pociągnął mocno za smycz i podduszony pies zaczął dyszeć.

- Господин?

W tonie młodego rosyjskiego żołnierza kryło się zawstydzenie.

- *Well... what do you want?* - zapytał Don i zamrugał.

Cieszył się, że nie widzi samego siebie: wyrwanego ze snu, stojącego wczesnym rankiem w wagonie towarowym.

- Szszsz... - syknął znowu żołnierz.

Następnie spojrzął gwałtownie przez ramię i skinął głową w kierunku czegoś, co najwyraźniej było schowane pod wagonem. Kiedy Don się pochylił, dostrzegł wąską drewnianą skrzynkę wystającą koło najbliższej osi.

- *Package for you.* Посмотрите.

Don nie bardzo wiedział, jak się zachować. Zapytał tylko:

- *Do you need help?*

Żołnierz pokręcił głową i poprawił na ramieniu pasek z kałasznikowem. Następnie ukucnął i przysunął paczkę do światła. Podniósł ją do szczeliny w korytarzu, która była akurat na tyle duża, by paczka się zmieściła.

Don obserwował to przedstawienie i nie miał pojęcia, co powiedzieć. W końcu udało mu się cieleco wykrztusić:

- *Well, thank you.*

Rosjanin skinął głową, ale nadal wydawał się zdenerwowany. Wciąż stał przed wejściem do wagonu, huśtając się na piętach.

- *And... a little something?* Немного денежек?

Po szybkim przeszukaniu swoich kieszeni Don wyjął kilka zmiętych banknotów i wręczył je Rosjaninowi. Ten wziął je i spojrzął na niego spod przymrużonych powiek, uśmiechając się krzywo.

- *Thank you.* Счастливого пути! - powiedział.

Drzwi zamknęły się przed nosem Dona jednym gwałtownym ruchem. Rozległo się głośne dudnienie - to Rosjanin poklepał wagon, jakby życzył mu szerokiej drogi. Dopiero kiedy jego kroki na żwirze ucichły i Don słyszał już tylko własny oddech, zaczął rozumieć, że dostarczenie paczki było jedynym celem przybycia żołnierza.

Z pomocą Ewy udało mu się przenieść skrzynkę do salonki. Na czerwonej wykładzinie wyglądała jak zapieczętowana, złowróźbna tajemnica.

Owinięto ją wymyślnie białymi plastikowymi taśmami, metalowa pieczęć zaś nadal była nienaruszona. Eva i Don długo się wahali, obserwując sceptycznie skrzynię z odległości kilku kroków.

Wreszcie Don westchnął z rezygnacją i poszedł poszukać noża w szufladach mahoniowej szafki. Kiedy go znalazł, przeciął taśmę i na koniec złamał pieczęć. Włożył ostrze pod wieko, podważył i zrobił kilka kroków do tyłu, żeby Eva także mogła przyjrzeć się zawartości. Zobaczyli jednak tylko czarny ochronny plastik, który zdawał się przykrywać coś miękkiego i puchatego. Centymetr po centymetrze zaczął czubkiem noża rozcinać ochronną warstwę. Wreszcie chwycił niepewnie jej rąbek i oderwał, a wtedy jego oczom ukazała się zimowa kurtka, wykonana z jaskrawożółtego goretexu.

Kiedy rzucił ją w stronę Ewy Strand, znalazł jeszcze jedną, która leżała na ciasno upakowanych grubych ubraniach. Wyciągnął ciepłą bieliznę, czapki i rękawiczki, i wszystko to rozłożył na podłodze. Znalazł czekan, raki ze stali nierdzewnej, kilka latarek i małą skrzynkę z narzędziami. Oprócz tego szczelnie zapakowany w kilka warstw folii jasnozielony plik dolarów o szokująco wysokich nominałach.

Na samym dnie było coś, co można by ukraść ze szkolnej sali chemicznej: palnik Bunsena z chromowaną podstawką, regulatorem przepływu gazu i zbiornikiem propanu z przymocowanym do niego gumowym wężem.

Kiedy Don wyjął palnik, postawił go na ziemi i zajrzał do skrzynki raz jeszcze, dostrzegł, że na dnie leży koperta. Znajdowały się w niej dwa profesjonalnie podrobione szwedzkie paszporty i krótki list napisany wyjątkowo kiepskim charakterem pisma:

dla Dona,
aby udało mu się zbadać podziemia
zol zayn mit mazel
twoja Hex, Chana Sarah Titelman

Мурманск

Murmańsk. Sześćdziesiąty ósmy stopień szerokości geograficznej. Północno-zachodnia Rosja, wybrzeże Półwyspu Kolskiego nad kołem podbiegunowym. Miasto otaczały niskie góry, które pokrył już śnieg. Na czarne wody Oceanu Arktycznego otwierał się wielki port. Szerokie mola w ciemnościach przedświtów oświetlone były tylko punktowo.

Samotny trolejbus telepał się wzdłuż rzędu odrapanych domów komunalnych, ostatnich pozostałości czasów komunizmu, przełamanych fasadą drapacza chmur. Wczesnym rankiem hotel Russlandia pogrążony był w ciemności. Nagle okno na dziesiątym piętrze rozświetlił migotliwy blask.

Płomień rozjaśnił twarz Dona Titelmana, który po chwili opuścił zapalniczkę w kierunku syczącego gazem palnika. W pierwszej chwili ogień miał złotawy kolor, kiedy jednak Don wprawnie przekręcił regulator, płonący gaz zaczął zmieniać barwę na coraz bardziej intensywną biel.

Podniósł metalową siatkę, na której leżał krzyż z gwiazdą na wierzchu. Umieścił ją na trójnogim statywie w ten sposób, by znajdował się dokładnie pośrodku płomienia. Następnie zrobił krok do tyłu i czekał. Po jakiejś minucie nastąpiła reakcja, do której, jak sądził, nigdy się nie przyzwyczai.

Szkice Nilsa Strindberga okazały się w dużej mierze prawidłowe. Nie mogły jednak oddać piękna, które właśnie się przed nim roztaczało. Momentu, kiedy gwiazda wpada na swoje miejsce i kiedy połączone przedmioty stają się przezroczyste, jakby były wydmuchane ze szkła.

Po chwili nad krzyżem rozbłysła pierwsza gwiazda i roziskrzony łuk Małej Niedźwiedzicy. Gwiazda Polarna na jego szczycie urosła do centymetrowej kuli ognia. Sfera, która na rysunku Nilsa Strindberga była niebieskoszara, wyglądała bardziej jak zimowa noc, czarna i mroźna.

Pod nią ukazał się wkrótce cień półkuli północnej. Najpierw, jak zawsze, zobaczył samotny punkt, oznaczający biegun północny. Punkt ten, rosnąc, zamienił się w czapę lodową, która zarysowała postrzępiony kształt Grenlandii. Potem Don zobaczył linię brzegową Svalbardu, fiordy w północnej Norwegii, kremową syberyjską tundrę i Cieśninę Beringa. W chwili gdy obraz półkuli północnej stał się kompletny, Gwiazda Polarna jak zwykle błysnęła pojedynczym promieniem.

Promień musiał być gorący, ponieważ kiedy jego czubek padł na lód koło Svalbardu, rozległ się syk. Promień znieruchomiał, wskazując pozycję. Don spojrział na rozłożoną mapę Arktyki. Chwycił czerwony pisak, żeby zrobić kolejny krzyżyk.

W hotelu Russlandia mieszkali już prawie miesiąc i codziennie zapalali palnik, żeby powtórzyć eksperyment. Co trzeci dzień promień zmieniał położenie, dokładnie tak, jak to zauważył w notatkach laboratoryjnych Nils Strindberg. W ciągu ostatnich tygodni Don i Eva mogli śledzić przeskok promienia na mapie Arktyki.

Don przesunął pisak nad siatką kartograficzną. Opuścił go przy osiemdziesiątym trzecim równoleżniku, dwadzieścia osiem stopni i czterdzieści minut na wschód. Nowy krzyżyk znalazł się na obszarze na północ od Svalbardu, który cały był już poznaczony czerwonymi krzyżykami. Eva narysowała linię, która przecinała ten teren i biegła od Murmańska aż do bieguna północnego.

Don podniósł wzrok znad mapy i dostrzegł sfery odbijające się w hotelowych oknach. Zakręcił dopływ gazu i płomień zgasł. Przezroczysty jak kryształ krzyż wciąż leżał na metalowej siatce. Gwiazda odczepiła się od niego z cichym brzęknięciem.

Kiedy Don wsuwał oba przedmioty pomiędzy ciasno upakowane zimowe ubrania, krzyż i gwiazda znów były białe i zimne jak lód. Owinął gumowy przewód wokół pojemnika z gazem i palnika. Wepchnął je do plecaka i mocno zaciągnął paski.

Spojrzał na krzyżyk, który przed chwilą postawił na mapie. Miał być ostatnim, jaki narysuje w Murmańsku. Kiedy palnik Bunsena zapłonie następnym razem, będą już daleko od brzegu na głębokich wodach Oceanu Arktycznego. Kiedy zaś Eva skończy brać poranny prysznic, opuszczą hotel

Russlandia i wejść na pokład statku.

Don podszedł do okna i spojrzął w dół na rosyjski lodołamacz. Cumował w porcie - wyglądał jak oświetlony wieżowiec. Na czarnym kadłubie miał wymalowane dwie białe elipsy, układające się w symbol atomu. „Jamał”, bo tak nazywał się statek, był napędzany energią jądrową, takiej siły było bowiem trzeba, by w październiku przebić się przez lody Arktyki.

Górna część stalowego kadłuba pomalowana była na pomarańczowo - umieszczono na niej długie rzędy małych okienek. Don pomyślał, że tak właściwie to powinien się cieszyć, że czas ruszać w drogę. Jednak czuł tylko tępy ból promieniujący od żołądka, co bez wątpienia świadczyło o strachu. Tam w dali czaiło się morze, gotowe go połknąć. Przemknęło mu przez myśl, że tylko czeka ono, by wciągnąć krzyż i gwiazdę do swojego lodowatego brzucha.

Przed miesiącem, gdy podróżowali wagonem towarowym, propozycja Ewy zabrzmiała jak czysta hipoteza: a gdyby tak ukryć się w Murmańsku i stamtąd wyruszyć na północ? Z dala od europejskiej policji mogliby w spokoju spróbować wyjaśnić tajemnicę Nilsa Strindberga. Poszukać prowadzącego do podziemnego świata wejścia, o którym tyle słyszeli.

Don początkowo nie wziął tej propozycji na serio, ale Eva, otworzywszy laptopa, pokazała mu regularne rejsy z Murmańska na biegun. Wycieczka, którą w końcu zarezerwowała, nosiła nazwę Bailey Expeditions: Early Fall Arctic Cruise. Po przyjeździe do Murmańska zapłacili za nią z góry w banku.

Przesłane przez Hex dolary z trudem wystarczyły na bilety. Dzięki fałszywym numerom paszportów dokumenty podróżne dostali faksem - można w nich było przeczytać ich nowe imiona i nazwisko: Samuel i Anna Goldsteinowie. Małżeństwo szwedzkich Żydów w średnim wieku. Żona blondynka miała w paszporcie wyjątkowo nieostre zdjęcie.

Don nie wiedział, ile razy w ciągu tygodni oczekiwania wchodził na stronę Bailey Expeditions, żeby oswoić się z myślą o rejsie. Na zdjęciach tego amerykańskiego biura podróży widnieli turyści w czerwonych kurtkach. Obejmowali się pod flagą oznaczającą biegun północny - niebo było niebieskie i bezchmurne. Za ich plecami w promieniach słońca „Jamał” wyłamywał ścieżkę wśród lodów, a wszystko wyglądało jak niekłopotliwa niedzielna wycieczka.

Dotarcie do dziewięćdziesiątego stopnia szerokości geograficznej miało zająć tydzień. Ponieważ nadeszła już jesień, mieli płynąć pod czarnym polarnym niebem. Don zdążył już nacytać się wiadomości o październikowych sztormach, jednak Eva na wzmiankę o nich tylko machnęła ręką.

Nie udało im się ustalić, jak zatrzymają lodołamacz, kiedy już osiągną pozycję, którą wskazywał promień. Eva jednak nie wydawała się zainteresowana rozwiązaniem wszystkich problemów. Podczas ich pobytu w Murmańsku mówiła tylko o tym, by jak najszybciej wyruszyć w drogę. Don wspomniał wprawdzie, że wagon Green Cargo nadal stoi w śnieżnej brei na torach pod Murmańskiem i że siostra być może mogłaby ich wysłać do Azji Południowo-Wschodniej albo gdzieś, gdzie policja by ich nie znalazła, a klimat byłby cieplejszy. Jednak Eva powiedziała tylko, że po tym wszystkim jest gotowa sama pojechać na północ, by poszukać rozwiązania zagadki.

Kiedy przysnąć w łazience ucichł, Don poczuł się tak, jakby przesypało się ostatnie ziarnko piasku w klepsydrze. Domyślał się, że Eva i tym razem ubierze się w łazience w chmurach pary. Zawsze dokładnie zasłaniała swoje ciało.

Chcąc lepiej widzieć promień Gwiazdy Polarnej, Don zgasił wszystkie lampki w pokoju. Stojąc samotnie w ciemnościach, zadrżał, gdy usłyszał hałas dochodzący z portu. Próbował uciszyć rajzefiber za pomocą solidnej dawki diazepamu, ale zrozumiał, że będzie potrzebował dużo więcej, by odważyć się wejść na pokład.

Podszedł do swojej torby, która stała oparta o inne bagaże. Przeszukał wszystkie kieszonki i przegródki. Połknął kilka tabletek i zaczął powoli składać mapę Arktyki. Potem wsunął ją do plecaka.

Stał w mroku i czekał na Evę. Za oknami panował czarny jak węgiel świt. W głowie Dona kołatała się tylko jedna myśl: nigdy nie powinien był jechać do Falun i otwierać drzwi werandy Erika Halla.

44 „Jamal”

Oglądać atomowy lodołamacz „Jamal” z okna na dziesiątym piętrze hotelu Russlandia to jedno - pomyślał Don - ale pełznąć jak nędzny żuk w cieniu jego niebotycznego kadłuba to zupełnie co innego. Na opancerzonym dziobie dostrzegł wyszczerzony pysk rekina, pomalowany na czerwono, z wnętrza statku zaś dobiegały dźwięki rosyjskiej muzyki marszowej.

Port śmierdział butwiejącymi wodorostami, a słońce nie zdążyło jeszcze zawędrować nad szaroczarne wody Zatoki Kolskiej. Murmańsk zaczął już pogrążyć się w polarnej ciemności, która potrwać miała kolejne pół roku.

Don brnął przez zasy, czując, jak ogarnia go coraz większa panika. Poranny chłód ścisnął mu gardło i z każdym oddechem było mu coraz trudniej zaczerpnąć powietrza. Nigdy za bardzo nie ufał statkom, rosyjskim reaktorom jądrowym także. Było już jednak za późno na dyskusję z prawniczką. Poza tym był zdecydowanie zbyt zmęczony, aby rozmawiać z idącą teraz u jego boku Evą. Na jednym jego ramieniu wisiał plecak, który wyglądał jak nieforemny toból, z drugiego zaś zwieszała się torba z lekami przeciwlękowymi. Z każdym krokiem róg palnika Bunsena wbijał mu się mocniej w kręgosłup, nie wyglądało jednak na to, że prawniczka zaoferuje pomoc.

Już z daleka w zamglonym świetle przybrzeżnych latarni Don dostrzegł błyszczące czerwone kurtki. Koło wózków bagażowych, w miejscu zbiórki podanym w broszurce Bailey Expeditions, stała grupa około pięćdziesięciu pasażerów. Najpóźniej za kwadrans siódma należało się zgłosić przy wejściu T-9. Znajdowały się tam windy, którymi można było wjechać na tylny pokład lodołamacza.

Kiedy Don podszedł bliżej, zobaczył opalonego mężczyznę, który wyglądał na przewodnika. W jednej ręce trzymał megafon, drugą zaś nieustannie poprawiał rozwichrzoną czuprynę.

- To ja jestem David Bailey - powiedział i wyciągnął rękę na powitanie.

- Samuel Goldstein - przedstawił się Don. - A to jest... moja żona, Anna. To my tak późno zabukowaliśmy rejs.

- Lepiej późno niż wcale - odparł Bailey z krzywym uśmiechem. - Poza tym nie tylko państwo późno podjęli decyzję.

Rząd nienaturalnie białych zębów błysnął w ciemności.

Przewodnik dopilnował, żeby każde z nich dostało po czerwonej kurtce ekspedycji. Na plecach i przedniej kieszeni widniało okrągłe logo z napisem „Early Fall Arctic Cruise”. Bailey stworzył segregator z foliowymi koszulkami, w których znajdowały się identyfikatory poszczególnych pasażerów. Na tabliczce Dona, którą przypiął do kurtki, było napisane: „Samuel Goldstein, Sweden, Cabin 43”.

Kiedy czekali, Don rozejrzał się dookoła i zauważył, że na pogrążony w mroku biegun północny wybierają się głównie emeryci. Odgłos silnego wiatru mieszał się z niespokojnym gwarem - być może pasażerowie nie mogli się już doczekać wejścia na pokład.

Sądząc po głosach, większość z nich była Amerykanami, wielu miało na głowach czapki z daszkiem. Ktoś męczył się z aparatem słuchowym, próbując zeszywniałymi palcami wyregulować głośność. Jedna z kobiet poruszała szczęką, najwyraźniej miała jakiś problem z mostem protetycznym. Najbliżej Davida Baileya stała kobieta z chorobą Parkinsona, trzymająca się chodzika, którego model nie był chyba najnowocześniejszy.

Po chwili Don zauważył kolejną grupę podróżnych. Mieli po kilkanaście lat - z ich strony dobiegały pojedyncze zdania po francusku i włosku. Zgromadzili się wokół toreb z logo World Wide Fund for Nature.

Nagle Don zeszywniał, słysząc śpiewną intonację, która mogła charakteryzować tylko język szwedzki. Zobaczył rozmawiającego przez telefon młodego chłopaka, który właśnie odwrócił się w jego stronę.

Przedłużającą się chwilę stali na brzegu i tylko na siebie patrzyli. Chłopak mógł mieć jakieś szesnaście lat, nosił dzierganą czapkę i arafatkę na szyi. W końcu wrócił do prowadzonej rozmowy telefonicznej, ścisząc głos, i skinął lekko głową w kierunku jego tabliczki z nazwiskiem. Najwyraźniej nie widział zdjęć w gazetach albo też nic go to nie obchodziło.

Punktualnie o siódmej rozległo się buczenie nautofonu. Kiedy wreszcie wybrzmiało, Bailey krzyknął przez megafon, że czas już wsiadać na pokład. Emerycy ruszyli w stronę wind, które miały ich zawieźć na tylny pokład. Eva chwyciła Dona za ramię, on zaś, nie do końca przekonany, dał się pociągnąć.

Już mieli wejść na pokład, kiedy jeden z członków załogi zatrzymał go szorstko. Wskazał plecak, który najwyraźniej trzeba było położyć na wózku. Zmieszany Don odłożył bagaż na wózek, który natychmiast odjechał, Eva zaś zapytała, czy nie zapomniał wyjąć gwiazdy i krzyża Strindberga. Don spojrzał na nią pustym wzrokiem, po czym zaczął krzyczeć i machać w kierunku wózka, który odjeżdżał portowym molo. Krzyki zagłuszył jednak wiatr - było już za późno.

Don zaczął szukać Davida Baileya, żeby zapytać go, dokąd pojedzie plecak i czy zostanie przeszukany. Musiał ustawić się w kolejce za innym pasażerem, który także chciał mieć kontrolę nad swoimi bagażami.

Na tabliczce owego starszego mężczyzny można było przeczytać: „Agusto Lytton, Argentina”. Don szybko zrozumiał, że Lytton nie zamierza płynąć na biegun północny samotnie. Było z nim kilku długowłosych mężczyzn o posępnych minach i gniewnych spojrzeniach. Wydawało się, że są na najmniejsze skinienie Argentyńczyka i czujnie strzegą grupowego bagażu. Nie był to jednak plecak z materiału, a kilka solidnych metalowych skrzyń z żółtymi oznaczeniami *fragile*.

Kiedy starszy mężczyzna klócił się z Davidem Baileyem mieszanką hiszpańskiego i angielskiego, Don był coraz bardziej zafascynowany jego specyficznym wyglądem. Twarz Lyttona przypominała nagą czaszkę o skórze tak cienkiej, jakby ktoś ją namalował, i tak przezroczystej, że widać było trójkątną kość nosową i chrząstkę, wciąż formującą kontury haczykowatego nosa. Oczy były tak bladego koloru, że Don w pierwszej chwili uznał Lyttona za niewidomego. On jednak, kiedy tylko dostał to, czego chciał, zaczął pokazywać, gdzie skrzynie powinny stać. Gburowaci mężczyźni wyciągnęli buty z mokrego śniegu i zaczęły przenosić skrzynie.

David Bailey odwrócił się do Dona z przeciągłym westchnieniem. Kiedy już zapewnił go, że plecak jest bezpieczny, poprowadził pasażera do wind. Tam nacisnął przycisk na panelu, który zwisał na luźnych kablach, i przy akompaniamencie łomoczącej windy opuścili bezpieczny Murmańsk.

Trzydzieści metrów nad rozkołysaną powierzchnią wody, na tylnym pokładzie lodołamacza, stał śmigłowiec pomalowany na kolory rosyjskiej flagi. Dach był biały, kabina niebieska, a podwozie, na którym luszczyla się farba - czerwone. Łopaty wirnika opadały ku dołowi.

Bailey wyszedł z windy i natychmiast zaczął objaśniać przeznaczenie śmigłowca tym, którzy byli w stanie go słuchać.

Okazało się, że ma wyszukiwać pęknięcia w arktycznym paku lodowym, żeby podróż na pewno była komfortowa.

Następnie przewodnik uniósł megafon jak flagę i poprowadził emerytów w stronę kabin. Jakies dwadzieścia metrów nad głową Don zobaczył wystające maszty radarowe i talerz satelitarny.

Korytarze wewnątrz ogromnego statku okazały się klaustrofobicznie ciasne. Bailey wskazał wysłużony kącik relaksacyjny, gdzie powinny być sauna i mały basen. Kawałek dalej mieściła się jadalnia z niskim sufitem i prostymi, długimi stołami. Była też mniejsza część barowa z wydrukowaną plastikową wywieszką, na której widniał skromny rosyjski jadłospis na najbliższe tygodnie.

Pomieszczenie kontrolne reaktorów atomowych znajdowało się na kolejnym pokładzie - widać było, że monitory są przestarzałe. Dalej były duszne korytarze, w których mieściły się kajuty. Nazwiska pasażerów przyczepiono do drzwi taśmą samoprzylepną. Don zobaczył, że on i Eva Strand zajmują

kabiny naprzeciwko siebie.

Na poziomie czwartym Bailey pokazał pokoje kapitana z szerokimi oknami wychodzącymi na przedni pokład lodołamacza. Szerokie schody prowadziły do drzwi z przyciemnianego szkła, za którymi znajdował się mostek kapitański.

Bailey zapukał kilka razy. Otworzył mu zwały mężczyzna z siwą, zmierzwioną brodą i w czarnych okularach przeciwsłonecznych. Na ramionach marynarskiej koszuli miał epolety z oznaczeniem stopnia. Przewodnik przedstawił go jako kapitana Siergieja Nikołajewicza. Ten w odpowiedzi wymruczał tylko coś niezrozumiałego, jednak po chwili pojawił się szcuple główny inżynier statku „Jamał”, który najwyraźniej lubił opowiadać i robił to z wielką swadą.

Już po chwili łamaną angielszczyzną wygłosił miniwykład o dziesięcioletniej tradycji lodołamacza jako statku czarterowego. Poinformował, że problemy z prętami paliwowymi, podtrzymującymi pracę reaktorów podczas rejsu na biegun, wystąpiły dotąd tylko raz, i wyraził nadzieję, że uda im się przebić przez lód, ponieważ ostatnio dysze na dziobie trochę szwankowały.

David Bailey przerwał mu i podziękował. Następnie dziarskim krokiem poprowadził podróżnych na czarny stalowy pokład lodołamacza, gdzie przeprowadził krótką prezentację zasad bezpieczeństwa. Wcisnąwszy się w skafander piankowy, pokazał, jak należy się skulić, żeby wytrzymać godzinę w lodowatej wodzie. Następnie otworzył jedną z dużych metalowych kapsuł przy relingu i zademonstrował znajdujące się tam tratwy ratunkowe.

Dla poprawienia ciężkiego nastroju zaprowadził w końcu wszystkich do niewielkiej motorówki, służącej do ekspedycji zoologicznych. Powiedział, że podczas wcześniejszych podróży widziano już morsa i niedźwiedzia polarnego i że może tym razem uczestnicy też będą mieli tyle szczęścia.

Don, najszybciej jak mógł, udał się do swojej kabiny, chcąc zobaczyć, gdzie Rosjanie położyli jego plecak. Kabina wyglądała na niewysprzątaną, a w środku unosił się zapach stęchlizny. Światło zapewniały dwa okna i zamocowana na suficie świetlówka. Don od razu zobaczył swój plecak koło kanapy z przykręcanymi nogami. Otworzył go i zaczął przetrząsać w poszukiwaniu krzyża i gwiazdy. W końcu poczuł, że przedmioty są w środku - wreszcie mógł odetchnąć.

Za kotarą w fioletowe paski znajdowało się niewielkie miejsce do spania. Na łóżku leżał pomarańczowy koc w tym samym odcieniu, co kadłub statku. Nad poduszką wisiała tabliczka z informacją, że światła w kabinie nie da się zgasić - Rosjanie oferowali osłonę na oczy, gdyby kotara okazała się niewystarczająca. W toalecie wisiał szlafrok z wyhaftowanym napisem „Ямал - Jamał”. Przez głośniki sączyła się rosyjska muzyka - Don czuł się tu jak w celi.

Powietrze było gęste jak syrop. Odniósł wrażenie, że ściany go przytłaczają. Usiadł na kanapie i zaczął przetrząsać kieszenie torby w poszukiwaniu środka uspokajającego. Wtedy jednak wpadła mu w oko leżąca na stole mapa Oceanu Arktycznego: wyrysowano na niej trasę lodołamacza z Murmańska na biegun północny, zaznaczony czerwonym punktem. Wodząc palcem po meandrującej linii, próbował sobie przypomnieć ostatni krzyżyk, jaki postawił na swojej mapie Arktyki. Zaczął podejrzewać, że odległość między lodołamaczem a wejściem do podziemnego świata będzie o wiele za duża.

Próbował zebrać siły, żeby pójść do Ewy i pokazać jej nieszczęsną mapę. Może skłoni ją to do poddania się, wtedy zaś przerwą podróż i zostaną w Murmańsku? Kiedy jednak stanął już na nogi, poczuł rozchodzący się po podłodze wstrząs. Za brudnym oknem widniała napięta lina, gruba jak całe jego udo. Na jej końcu, daleko w dole, znajdował się holownik, który przecinał czarne jak smoła fale. Stojąc przy oknie, Don zdał sobie sprawę, że wyciąganie statku na pełne morze już się rozpoczęło.

Siedemdziesiąty siódmy równoleżnik

Vater siedział na elektrycznym wózku w swoim gabinecie w banku i patrzył przez panoramiczne okno. Trudno było zauważyć, że się uśmiecha, jedna część jego twarzy była bowiem zmieniona nie do poznania: czerwona i popękana od oparzeń po wybuchu. Pod nabiegłymi ropą pęcherzami na brwi znajdowało się coś, co przypominało szary kamień, jednak oko w nietkniętej części twarzy było czujne i czarne jak węgiel. Patrzyło na leżący na biurku wydruk, według którego pan i pani Goldstein właśnie minęli siedemdziesiąty siódmy równoleżnik i byli w drodze na biegun północny.

Zdjęcie w paszporcie kobiety było dziwnie rozmazane, jednak twarz mężczyzny została zidentyfikowana przez komputer natychmiast. Profil nosa, zmęczone oczy, delikatna linia szczęki: Don Titelman.

Vater nie spał zbyt dużo przez ostatnie tygodnie. Całą energię poświęcał na poszukiwania utraconego krzyża fundacji. Ze względu na poparzenia lekarze poradzili mu, by był bardzo ostrożny. On jednak nie pozwalał, aby kierowało nim coś tak słabego jak jego własne ciało.

Unikał współpracy z europejską policją. Podanie im nazwiska Dona Titelmana tylko narobiłoby problemów. Gdyby przez przypadek udało im się go ująć, trudno byłoby odzyskać kontrolę zarówno nad dalszym losem Titelmana, jak i nad gwiazdą i krzyżem Strindberga.

Zamiast tego Vater postanowił polegać na swoich zwyczajowych kanałach - siłach zbrojnych, którym fundacja przez lata pomagała. Dzięki temu mógł korzystać ze środków, do których zwykła policja nie miałaby dostępu.

Ciągły nadzór, prowadzony dla fundacji przez niemieckie służby wywiadowcze, przyniósł rezultat. Sprawdzano wszystkie jednostki pływające, które mijają siedemdziesiąty siódmy równoleżnik i kierowały się na północ. Listy pasażerów były dokładnie studiowane, a w wątpliwych przypadkach korzystano z dokumentacji paszportowej. Teraz w końcu poszukiwany obiekt udało się schwytać w sieć - okazał się nim rosyjski lodolamacz, który, według najnowszych ustaleń, nosił nazwę „Jamał”.

Dzień trzeci

Trzeci dzień na lodolamaczu zaczął się identycznie jak dwa poprzednie. Po przebudzeniu Don zdjął osłonę na oczy i połknął cztery miligramy haldolu, popijając dużym kieliszkiem wódki.

Połączenie alkoholu i środków uspokajających działało cuda - choroba morska przestała dawać mu się we znaki, w stanie upojenia zaś czas płynął znacznie szybciej.

W nocy nie mógł spać dłużej niż kilka godzin, mimo że wepchnął sobie do uszu kawałeczki papieru toaletowego, żeby nie słyszeć ciągłej muzyki, której nie dało się wyłączyć. Kolejnym problemem były ściany - tak cienkie, że cały czas słyszał szepczące głosy współpasażerów. W kajucie obok mieszkało kilku ludzi Lyttona. Ich słowa wplatały się w sny Dona jak szemrzące mruczando.

Don odsunął kotarę i podszedł do okna. Przez brudne szyby zobaczył, że statek zbliża się do krawędzi paku lodowego. Przepływali obok roztrzaskanych gór lodowych, które połyskiwały w świetle reflektorów statku „Jamał”. Poza tym wszystko było jak zwykle: bezmiar niebieskoczarnej wody i pędzące po niebie śnieżne chmury.

Włożył aksamitny garnitur i czerwoną kurtkę i wyszedł z kabiny. W korytarzu świeciło mleczone światło, a idący w jego kierunku emerycy wyglądali jak duchy. To jakby podróżować w pływającej trumnie, pomyślał Don.

Zapukał do drzwi kajuty Evy Strand, jednak jak zwykle nie otwierała. Przez ostatnie dni trzymała się na uboczu i nie bardzo wiedział, jak spędza czas na pokładzie. Kiedy rozmawiali, wyglądała na przygnębioną, nie chciała jednak powiedzieć, co ją trapi.

Na pokładzie spacerowym wiał silny wiatr, a polarne powietrze przenikało przez uszyte z aksamitu spodnie. Don zapiął kurtkę pod szyję i spojrzał w ciemność, w kierunku niekończącej się ściany paku lodowego. Zawsze sądził, że lód jest biały albo przezroczysty, jednak w świetle reflektorów statku zmieniał kolory jak tęcza: od ciemnego fioletu po lazurowy i żółty.

Rosjanie zdawali się szukać szczeliny, w której dysze mogłyby wysadzić przejście, żeby statek mógł kontynuować kurs na północ. Kawałek dalej, przy relingu, stała para staruszków, w milczeniu przyglądających się lodowym masom. Don spostrzegł, że trzymają się mocno za ręce.

W końcu zrobiło się tak zimno, że zaczął drętwieć, więc na sztywnych nogach wszedł z powrotem do środka. Zwykle przesiadywał w ponurej bibliotece, która mieściła się w rogu na pokładzie drugim. Tego dnia zdecydował się na to samo.

Już na miejscu wyciągnął list znaleziony w grobie Malraux i po raz kolejny przeczytał krótki tekst po norwesku. Wciąż jednak nie znalazł odpowiedzi na pytanie, kim był ów Olaf albo co autor rozumiał przez Niflheim.

W porze obiadowej przemknął z powrotem korytarzem, niczym szczur. W kajucie znów zażył haldol i popił wódką.

Ledwo zdążył przelknąć, gdy usłyszał pukanie. Kiedy otworzył prawnicze drzwi, cały statek się zatrzęsł. Podłoga nagle zaczęła wibrować. Nie mówiąc ani słowa, oboje zrozumieli, że „Jamał” właśnie zaczął się przebijać przez ścianę lodu.

Don ukrywał palnik Bunsena pod łóżkiem. Teraz wyjął go i postawił na stole koło kanapy. Rurka gazowa przewróciła się kilka razy, zanim z powodzeniem zabezpieczył jej podstawę.

Eva zapaliła gaz i oboje z przygnębieniem stwierdzili, że promień jeszcze się nie przemieścił. Don otworzył notatnik i zapisał:

4 października, 12.20
szer. 83°50'N
dł. 28°40'E

Eva przyniosła małą karteczkę z ostatnimi współrzędnymi lodołamacza. Wyrysowała na mapie jego przewidywaną trasę. Używając linijki, próbowała oszacować odległość do otworu. Wreszcie powiedziała:

- Płyniemy za bardzo na wschód. Miniemy ją w odległości co najmniej pięćdziesięciu mil morskich.

Don powtórzył pomiar i mógł tylko skinąć głową.

- To nawet nie sto kilometrów. Ile czasu straciłby lodołamacz? Kilka godzin?

- Ale musielibyśmy iść na mostek i prosić Rosjan, żeby zmienili kurs.

Eva przykręciła płomień palnika, aż zgasł.

- Może lepiej poczekajmy - powiedziała. - Może promień zdąży jeszcze zmienić położenie. Nie ma sensu rozmawiać z Davidem Baileyem i Rosjanami, dopóki nie wiemy, gdzie dokładnie znajduje się wejście.

- Zakładam, że nie otworzy się tuż przed lodołamaczem - odparł Don. - No to jak ich przekonamy?

Eva wzruszyła tylko ramionami. Naciągnęła kurtkę i wyszła z kabiny Dona.

Przy obiedzie Don jak zwykle siedział samotnie, grzebiąc łyżką w talerzu z barszczem. Trudno było jeść barszcz, kiedy naokoło rozlegały się jęki torującego sobie drogę statku. Emerycy trwali w milczeniu, podobnie jak młodzież z WWF. Przepelniający jadalnię dźwięk brzmiał jak stłumiona, burcząca groźba.

Rozmawiali tylko ludzie przy stoliku Agusta Lyttona. Don rozpoznał Moyana i Riverę, dwóch mężczyzn zajmujących sąsiednią kabinę. Moyano miał długi tors i pokryte bliznami policzki. Na szyi Rivery widać się tatuaż przypominający podłużnego demona. Jak wszyscy z otoczenia Lyttona, mężczyźni mieli kruczoczarne włosy opadające daleko na plecy, indiańskie rysy, szerokie policzki i skórę koloru miedzi. Przez to ów blade starszy mężczyzna w eleganckim garniturze wyróżniał się w sposób niemalże komiczny. Nie było jednak żadnych wątpliwości, kto kieruje rozmową przy ich stoliku.

Jedynym dostępnym napojem, poza wodą, była rosyjska stolicznaja. Don nalał sobie jeszcze jeden kieliszek - ze względu na chorobę morską. Po jakimś czasie zaczął się czuć porządnie pijany i wstał chwiejnie z krzesła. Przygnębiony ruszył z powrotem do kabiny.

W ciasnym pomieszczeniu Don poczuł się potwornie wyczerpany i zdał sobie sprawę, że pociąga nosem. Daremnie próbował powstrzymać płacz - czuł się jak w tunelu, który nigdy się nie kończy.

Żeby się uspokoić, zażył dwie tabletki clonazepamu w nadziei, że w ciągu kilku minut wszystko odpłynie. Jednak po kilku godzinach wciąż był przytomny i właśnie wtedy, późną nocą, przyszło mu do głowy, że promień powinien być już zmienić położenie.

Trzęsącą się po alkoholu ręką wykrzesał kilka iskier z zapalniczki i gaz na krótką chwilę buchnął płomieniem. Don zmienił ustawienie regulatora i wyjął krzyż i gwiazdę Strindberga. Włożył przedmioty w płomień i po chwili zaczęły się nad nimi rysować sfery. Jak tylko promień skierował się w dół, Don zobaczył, że jego położenie jest inne. Zanotował w zeszycie nowe współrzędne:

4 października,
23.20 szer. 82°45'N
dł. 31°15'E

Kiedy przyłożył linijkę do mapy, z oszołomieniem stwierdził, że szczelina znajduje się teraz ponad sześćdziesiąt kilometrów za lodołamaczem - promień przemieścił się spory kawałek na południe i już zdążyli go minąć.

Don zastukał do drzwi Ewy, jednak mimo późnej pory w kajucie jej nie było. Ruszył więc na poszukiwania, klucząc po stromych schodach statku. Otworzył drzwi prowadzące na tylny pokład i wyszedł koło śmigłowca. Wziął kilka głębokich wdechów, próbując otrzeźwieć.

Mroźne morskie powietrze wgrzyzło mu się w płuca i sprawiło, że ledwo mógł oddychać. Złapał go

atak kaszlu i czuł się tak, jakby tonął. Jednocześnie złościło go, że będąc kilkadziesiąt kilometrów od szczeliny, nawet nie próbuje skłonić załogi do zmiany kursu.

Mężczyźni z Ameryki Południowej nadal siedzieli przy długim stole w jadalni. Don poczuł, że Augusto Lytton śledzi go spojrzeniem.

Przy małym barze stali David Bailey i siwobrody kapitan lodołamacza „Jamał”, Siergiej Nikołajewicz. Odwrócili się do Dona, który chwiejnym krokiem zmierzał w ich stronę.

- Mister Goldstein - odezwał się Bailey i spojrzał na Dona zamglonym wzrokiem. - Już późno. Czy ma pan jakiś kłopot?

Koło niego na kontuarze stał drink jaskrawego koloru. Rosyjski kapitan popijał wódkę z kufła do piwa.

- Tak, można tak powiedzieć - mruknął Don i urwał, nie wiedząc, jak zacząć.

W ciszy kapitan nalał kieliszek wódki i pchnął go w kierunku Dona.

- Chodzi o to, panie Bailey - zaczął łamiącym się głosem - że... - Bailey pokiwał głową i czekał na ciąg dalszy. - Chodzi więc o to, że lodołamacz musi natychmiast zawrócić. W kieszeni mam nowe współrzędne, proszę popatrzeć...

Don pogrzebał w kieszeni kurtki i znalazł zmiętą karteczkę. Rzucił ją na bar koło Bailey'a i łyknął palącej w gardło wódki.

- Mister Goldstein - uśmiechnął się Bailey - wydaje mi się, że najbardziej potrzebuje pan snu.

- Nieprawda - odparł Don. - Przeciwnie, to bardzo ważne, bym akurat teraz był przytomny.

Wskazał rozmazane współrzędne na kartce. Brodaty kapitan wyszczerzył zęby. Don zaczął się zastanawiać, czy Nikołajewicz rozumie po angielsku, ale nie miał odwagi zapytać. Zwrócił się za to do Bailey'a:

- Tak więc musimy natychmiast zawrócić, rozumie pan? Opóźni nas to zaledwie o kilka godzin.

- Musi tam być coś szalenie interesującego - powiedział Bailey i z uśmiechem podał karteczkę kapitanowi.

- Tam jest...

Don nie wiedział, jak to ująć, i poczuł, że uginają się pod nim kolana.

- Tak jak powiedziałem - rzekł Bailey - najlepiej pan zrobi, kładąc się do łóżka. Jutro wieczorem zbliżymy się do bieguna, a wówczas chciałby pan chyba być wypoczęty, prawda? Pierwsze spotkanie z lodem nierzadko kosztuje wiele nerwów.

- Jest tam tunel wiodący do podziemi - powiedział Don - i właśnie zostawiamy go za sobą.

- Z pewnością - odparł Bailey uspokajającym tonem. - Rozumie pan jednak, że to kapitan ustala kurs. Na pokładzie pozostaje pan pod jego dowództwem, prosta sprawa.

- Musimy zawrócić...

Bailey schował kieliszek Dona.

- Mister Goldstein, wystarczy już tego - powiedział.

Don odwrócił się niepewnie i napotkał spojrzenie Lyttona.

Chwiejąc się, odszedł od baru i usłyszał za sobą krzyk kapitana:

- Mister Goldstein! Życzę dobrej nocy!

Kiedy jednak pojawiły się śmiechy, Don wychodził już z jadalni. Jego płuca domagały się ożywczego powietrza.

Na tylnym pokładzie mocno wiało i kiedy wiatr już go trochę otrzeźwił, Don zdał sobie sprawę, że właśnie się poddał. Chwycił reling, aż pobiełały kostki.

A shvartsen sof pomyślał. A więc taki jest żalony koniec tej podróży.

Agusto Lytton

Wciąż trzymając się kurczowo relingu, Don musiał zmrużyć oczy, żeby cokolwiek zobaczyć. Stojącego za nim starego mężczyznę oświetlały mocne lampy, biegnące wzdłuż oblodzonego pokładu „Jamału” niczym sznur pereł.

Agusto Lytton nie miał na sobie obowiązkowej kurtki, tylko coś, co przypominało kozuch. Poza tym, gdy stał pod światło, Don mógł rozróżnić tylko profil jego twarzy i haczykowatego nosa.

- Bezbolesna śmierć, señor Goldstein - powiedział Agusto, wskazując głową bruzdę wyoraną przez lodolamacz. - Szok termiczny wyłącza świadomość w niecałe trzydzieści sekund, a potem mija godzina i już leży pan na głębokości czterech tysięcy metrów.

Don poczuł, że jego oczy zaczynają przywykać do ciemności, i spróbował wydusić z siebie odpowiedź.

- Jednak się pan waha? - zapytał Lytton, robiąc krok do przodu.

Don pokiwał twierdząco głową.

- Chce pan, żebyśmy... zawrócili? - zapytał Dona. - Dobrze słyszałem w jadalni? Mówił pan, że...

Don zachwiał się na nogach i upadłby, gdyby Lytton nie chwycił go za ramię. Miał twarde palce i mocny uścisk, który wytrzymał ciężar.

Kiedy Don w końcu stanął stabilnie, zaczął przetrząsać torbę, samemu nie wiedząc, co tak naprawdę chce w niej znaleźć. Żaden środek uspokajający nie wyrwałby go z odurzenia. Ani ritalin, ani modiodal...

- Czy mogę panu jakoś pomóc, señor Goldstein? - zapytał Lytton, wciąż trzymając go za ramię.

Don próbował się uśmiechnąć, ale wyszedł mu tylko sztywny grymas. Znalazłszy metaminę do żucia, wziął całą garść tabletek i wepchnął do ust. Zaciśnął zęby i zaczął przeżuwać suchą pochodną amfetaminy w nadziei, że go to ożywi.

- Widzę, że sam pan sobie pomaga - rzekł Lytton. - Ale chyba pan marznie. Może powinien się pan trochę rozgrzać?

Don próbował się uwolnić z uścisku, ale Lytton nie rozluźniał palców. W końcu, zrezygnowany, poczłapał za nim. Ruszyli w kierunku oblodzonej drabiny, wiodącej na górny pokład statku.

- Z ciemności do światła - wymruczał Lytton, kiedy znów znaleźli się w cieple.

Kawałek dalej w słabo oświetlonym korytarzu można było dostrzec podwójne drzwi kapitańskiego pokoju. Z kieszeni kozucha Lytton wyjął mały kluczyk. Wprawnym ruchem wetknął go w zamek.

W przestronnym pokoju było ciemno i cicho. Kiedy Lytton zapalił światło, Don przekonał się, że „Jamał” to nie tylko tandetne tapety i niewysprzątane pomieszczenia. Salon, jaki się przed nimi otworzył, mógłby należeć do dziewiętnastowiecznego admirała.

Panele na ścianach były z polerowanego drewna, a meble tu i ówdzie pozłacane. Podłogę pokrywał tłumiący dźwięk dywan i odgłos roztrzaskiwanego lodu był praktycznie niesłyszalny. W pomieszczeniu znajdował się też duży barek o kryształowych drzwiczkach, przez długi rząd okien wychodzących na przedni pokład Don widział zaś tańczące na lodzie światła reflektorów.

Tam, gdzie kończyły się okna, stał otwarty sekretarzyk, który najwyraźniej pełnił funkcję biurka: leżały na nim stosy rozrzuconych papierów i manuskryptów w starych teczkach, a także staromodna lupa. Don jednak patrzył tylko na skórzaną sofę, która stała zapraszająco na środku pokoju.

Ruszył chwiejnym krokiem, opadł na siedzenie i odchylił się do tyłu, aby w pozycji półleżącej dać odpocząć nogom. Stopy oparł na niskim szklanym stoliku, który stał obok kanapy. Po chwili przesunął je odrobinę w bok, żeby nie zabrudzić rozłożonej na stole wielkiej mapy Arktyki.

- Señor Goldstein! - usłyszał za sobą głos Lyttona. - Nie zaprosiłem pana do mojego apartamentu, żeby pan tu spał.

Rozległ się szcęk porcelany, a następnie dźwięk nalewanego płynu.

Starszy mężczyzna okrążył buty Dona i postawił parującą filiżankę herbaty na stole. Zapach maku i cynamonu przypomniał Donowi Eberleina i bibliotekę w willi Lindarne.

Zmienił pozycję na siedzącą i spojrzał na Lyttona, który zajął miejsce w fotelu naprzeciwko.

- Powinien pan wypić coś ciepłego, señor Goldstein. Bardzo pana proszę.

- Może mi pan mówić... Samuel - odparł Don.

- Augusto Lytton, Lytton Enterprises.

Don pokiwał głową i niepewnie wyciągnął rękę.

- No więc, señor Goldstein... - Lytton otworzył małe srebrne etui. Kościstą dłonią wyciągnął z niego cygaretkę, którą następnie przypalił. - Dlaczego nie chce pan zobaczyć bieguna północnego? To szczególne miejsce, mogę panu zagwarantować. Denerwuje się pan, że „Jamał” nie przedrze się przez cały ten lód?

Don wypił łyk herbaty i poczuł, że zaczyna się budzić. Kontury siedzącego w fotelu Lyttona stawały się coraz wyraźniejsze. Widział już jego wodniste, małe oczy i czaszkę, pokrytą cienką jak papier skórą. Pomyślał, że wystarczyłoby lekkie draśnięcie, żeby obnażyć jego kość czołową. Opuścił wzrok na wąskie wargi i rzadkie wąsy - poruszały się w górę i w dół, kiedy Swoim delikatnym głosem Lytton mówił:

- Pytałem, czy się pan denerwuje.

- Absolutnie nie - odparł Don. - Nie w tym rzecz...

Wypił jeszcze jeden rozgrzewający łyk.

- Kapitan Nikołajewicz dał mi do zrozumienia, że pan także dokonał późnej rezerwacji? - zapytał Lytton, zaciągając się dymem.

- Tak, można powiedzieć, że to był przypadek.

- Rozumiem - odpowiedział Lytton - ale nie sądzę, żeby pan żałował.

Wydmuchnął kółko dymu.

- Zna pan kapitana osobiście? - zapytał Don.

- Nie, ale wiem już, czego potrzebuje. Typowo rosyjska nieustanna potrzeba pieniędzy. Jeżeli chodzi o ten apartament, dobiliśmy z kapitanem targu. Nie czułem się dobrze w kajucie, którą mi przydzielono. Moi ludzie także są niezadowoleni. Nie wiem, jak pan.

- Jest... może trochę ciasno - odparł Don.

- Prawda? Tutaj jest o wiele lepiej. Poza tym czyściej, a widok z okna, jak pan sam zauważył, zapiera dech.

Don spojrzał na morze, nie wiedząc, co powiedzieć. Wyglądało jednak na to, że Lytton ma ochotę na nocną konwersację, podjął więc niezdarną próbę:

- Mówił pan Lytton Enterprises... Nazwa nie brzmi na południowoamerykańską?

- Nie, to od wielu lat międzynarodowa firma.

- Czym w takim razie...

- Import-eksport, można by rzec - odparł Lytton. - Przede wszystkim eksport, jeśli mam być szczery.

- Eksport czego?

- Ech, to brudna branża, o której nic chce pan nic wiedzieć. Proszę mi wierzyć, señor Goldstein.

To nie tylko zasługa herbaty, pomyślał Don.

Ożywienie, które czuł, nosiło wyraźne ślady dextroamfetaminy. Upojenie alkoholowe rozwiało się jak mgła, staruszek w fotelu zaś wydawał się teraz absurdalnie wyostrojony.

Don przeniósł wzrok z Lyttona na szklany stół i rozłożoną na nim dużą mapę Arktyki. Trasa lodołamacza była na niej zaznaczona czerwoną linią. W miejscu, gdzie obecnie znajdował się „Jamał”, leżała srebrna rosyjska moneta.

- Jeszcze tylko cztery stopnie szerokości geograficznej - odezwał się Lytton. - I za parę dni będziemy mogli wypić zdrowie na biegunie północnym.

- Señor Lytton - zaczął ostrożnie Don, choć sam nie wiedział, dlaczego. - Co pan na to, żeby wyświadczyć mi przysługę?

- Jeżeli chodzi o odprowadzenie pana do kabiny, to...

- Nie, to coś znacznie ważniejszego - odparł Don.

Podniósł wzrok na siedzącego w fotelu mężczyznę. Zdziwiło go, że twarz jego rozmówcy wywołuje tak silne uczucie *déjà vu*. Człowiek ten przypominał...

Don potrząsnął głową. Czubek cygaretki Lyttona się rozżarzył.

- Tutaj... - Don wskazał srebrną monetę. - Teraz jesteśmy tutaj.

Lytton czekał w milczeniu.

- A tu z kolei - kontynuował Don, przesuwając palec jakieś dziesięć centymetrów na południowy zachód - znajduje się coś, co, jak sądzę, wyda się panu bardzo interesujące. Coś, co zaskoczyłoby każdego na pokładzie.

- Coś, co każdy może zobaczyć, raczej nie może być cenne - odparł Lytton.

Przesunął się jednak na skraj fotela i pochylił nad mapą, przyglądając się wskazanej przez Dona pozycji. W końcu wyciągnął długopis, odsunął palec Dona i narysował czarny krzyż.

- Widzę, że nadal pan chce, żeby lodołamacz zawrócił - powiedział po chwili. - Byłaby to pewnie kosztowna sprawa, o ile w ogóle możliwa do załatwienia, i musiałby pan mieć naprawdę dobry powód.

- Jest jedno pęknięcie - zaczął Don.

Lytton wybuchnął śmiechem.

- Jest jedno pęknięcie? Wielka dziura w lodzie, tak? To dopiero sensacja.

- Myślałem, że mógłby mi pan pomóc z Davidem Baileyem...

Lytton kaszlnął z irytacją i wydmuchnął chmurę dymu.

- Pan naprawdę niczego nie rozumie, señor Goldstein. Mam rozmawiać z *el americano*, z przewodnikiem? Naprawdę pan myśli, że on ma tu coś do powiedzenia? Zmianę kursu mogą zarządzić tylko Rosjanie, jednak zaręczam panu, że byłby to bardzo drogi interes.

- Ale przecież zajmuje pan apartament kapitana - spróbował Don. - Może mógłby pan...

- Chce pan, żebym panu pomógł. Zapłacił i sprawił, że lodołamacz zawróci, by pan mógł zbadać coś, co wedle pańskich słów jest jakimś pęknięciem. Czy to pęknięcie jest głębokie, panie Goldstein? Wystarczająco głębokie, aby było w nim coś ciekawego? - Lytton znowu się zaśmiał. - Zabawny z pana człowiek, señor Goldstein. A tak w ogóle, co na to wszystko pańska żona?

Lytton patrzył przenikliwie na Dona głęboko osadzonymi oczami.

- Moja... żona? Można powiedzieć, że to wszystko jej pomysł.

- Naprawdę? - odparł Lytton, jakby trochę bardziej zainteresowany. - Co w takim razie jesteście gotowi postawić?

Starszy mężczyzna postukał knykciem w krzyż na mapie. Następnie milczał, jakby czekając na decyzję Dona.

- Muszę z nią wobec tego porozmawiać - wymamrotał Don, po czym wstał z kanapy i bez zastanowienia dodał: - Być może pokażemy panu coś naprawdę zdumiewającego. Coś, czego pan nigdy wcześniej nie widział.

Lytton przeniósł badawcze spojrzenie z mapy na Dona.

- Żyję już bardzo długo i muszę panu powiedzieć, że jakoś w to wątpię.

Don poczuł, że pod wpływem metaminy zaczyna się uśmiechać - był to naprawdę cudowny, życiodajny specyfik. Sprężystym krokiem podszedł do drzwi apartamentu, odwrócił się i powiedział:

- Proszę mi dać tylko pół godziny, señor Lytton. Niedługo wrócę.

- Martwi mnie tylko to, czy znajdzie pan drogę powrotną do swojej kabiny, ale tak czy inaczej życzę panu powodzenia.

Lytton zaciągnął się cygaretką i podniósł rękę na pożegnanie. Następnie opuścił wzrok na mapę Arktyki i wpatrywał się w miejsce, które przed chwilą wskazał Don.

Eva Strand

Metamina sprawiła, że Don sprężystym krokiem zszedł po stromych schodach do kabiny Ewy Strand. Stojąc przed drzwiami, rzucił spojrzenie na zegarek i zorientował się, że jest grubo po północy. Po chwili namysłu zapukał.

Drzwi otworzyły się bardzo szybko - Don odniósł wrażenie, że Eva czekała tuż za nimi. Może też wychodziła coś załatwić pod osłoną nocy, ponieważ miała na sobie ciepłe ubranie.

Zauważył, że spojrzała pytająco na palnik Bunsena, który trzymał w dłoni. Odchrząknął i powiedział:

- Chyba znalazłem kogoś, kto pomoże nam rozwiązać nasz problem.

Jeśli spodziewał się dłuższej dyskusji, był w błędzie. Już po paru minutach znaleźli się pod polarnym niebem w drodze do salonu Lyttona.

Don poczuł, jak Eva wsuwa mu się pod ramię, szukając osłony przed przejmującym zimnem. Sople lodu zwisające z relingu łamały się w podmuchach wiatru i spadały w czarną koleinę, którą „Jamał” wyorał w śnieżnobiałej lodowej pokrywie. Maszty radarowe nad ich głowami trzęsły się na wietrze, a lodołamacz z mozołem sunął na północ.

Agusto Lytton nie spał, a drzwi do apartamentu zostawił uchylone. Kiedy Don ostrożnie je otworzył, mężczyzna nadal siedział pochylony nad rozłożoną na szklanym stoliku mapą Arktyki.

Kiedy dostrzegł, że stoją na progu, w kącikach jego ust pojawił się cień uśmiechu.

- A zatem to pani jest señoira Goldstein?

Podniósł się i dał im znak, by weszli.

Don spostrzegł, że jedwabna koszula jest teraz rozpięta od góry, a przez pożółkłą skórę na piersi da się zobaczyć kości klatki piersiowej.

- A może wolno mi mówić pani po imieniu, señoira Anna? - zapytał Lytton.

Witając się z nim, Eva miała na twarzy lekko wymuszony uśmiech. Jednak Lytton nie patrzył na nią, lecz na palnik Bunsena i plastikową torbę, którą Don trzymał w dłoni.

- Co państwo ze sobą przynieśli? - zapytał. - Sprzęt do jakiegoś eksperymentu naukowego?

Don nie bardzo wiedział, co powiedzieć, więc tylko nieznacznie skinął głową. Podeszedł do stojącego na środku salonu stolika i postawił na nim palnik. Kiedy sięgnął po krzyż i gwiazdę, rozległo się ciche brzęknięcie. Zaczął podłączać przewód pojemnika z gazem.

- Wie pan, że na pokładzie lodołamacza nie wolno zapalić nawet papierosa - powiedział Lytton. - Jeżeli nie chce pan złamać zakazu kapitana.

Po tych słowach usiadł w fotelu i śledząc wzrokiem poczynania Dona, zapalił kolejną cygaretkę.

Kiedy przewód był zamontowany, Don odkręcił kurek. Rozbłysnął płomień - Don wyregulował go tak, że stał się biały.

- Obiecałem panu coś, czego pan nigdy wcześniej nie widział - oznajmił Don, patrząc na Lyttona.

- Nadal w to nie wierzę - odparł Lytton i zaciągnął się dymem.

Don ułożył krzyż i gwiazdę na siatce, następnie podniósł ją i umieścił nad palnikiem. Przez sfery, które z wolna zaczęły się pojawiać, widział twarz Latynosa.

Kiedy rozbłysła Gwiazda Polarna, Lytton cicho westchnął. Potem podeszedł bliżej, by lepiej widzieć to miejsce wśród lodów Arktyki, które wskazywał promień. Porównał je z czarnym krzyżykiem na mapie i powiedział:

- Państwa wyliczenia wydają się poprawne. - Wziął do ręki cyrkiel, chcąc zmierzyć odległość między krzyżykiem a srebrną monetą oznaczającą lodołamacz. - Żeby tam dotrzeć, „Jamał” musi natychmiast zmienić kurs i ruszyć na południowy zachód. Już mineliśmy to miejsce o kilkadziesiąt kilometrów.

Lytton skończył mówić i odłożył cyrkiel. Kiedy płomień zgasł, a sfery zniknęły, spojrzał na Dona.

- Muszę jednak zadać panu jedno pytanie, señoir Goldstein. Czy naprawdę wie pan, co wskazuje

promień?

Don czuł coraz większą suchość w ustach. Nie spodziewał się aż takiego zdecydowania. Ekscytacja, jaką czuł, zaczęła ustępować.

- Podobno jest tam wejście prowadzące do podziemnego świata - odparł niepewnie.

- Najważniejsze dla nas jest to, czy jest pan gotów nam pomóc, zawrócić lodołamacz i zawieźć nas na miejsce - powiedziała Eva.

- Skłonienie Rosjan do zmiany kursu to tylko kwestia odpowiedniej sumy. Jednak „Jamał” powinien na nas zaczekać w odpowiednim oddaleniu, tak żebyśmy mogli spokojnie sprawdzić, co się tam znajduje - stwierdził Lytton i pochylił się nad mapą. - Chyba uda mi się przekonać Siergieja Nikołajewicza. Lodołamacz będzie cumował kilka mil morskich dalej, o tutaj... - Pokazał palcem punkt, który narysował obok czarnego krzyżyka. - Wsiądziemy do helikoptera i polecimy zbadać to, co się tam znajduje. Będziemy mieli dość czasu. Biegun północny może poczekać.

Palnik wciąż stał na stole, krzyż i gwiazda, leżące na metalowej siatce, rozdzieliły się. Don najchętniej schowałby to wszystko i wyszedł, zostawiając Lyttona samego. Było jednak za późno - starszy mężczyzna wyciągnął rękę i podniósł krzyż.

- Jaki lekki - powiedział, przesuwając palcami po inskrypcji. - I, co zaskakujące, zupełnie zimny.

- Najlepiej chyba będzie, jeśli... - zaczął Don, ale Lytton mu przerwał.

- Wie pan co, chyba chciałbym jeszcze raz zobaczyć ten eksperyment. Promień był naprawdę piękny, a jeżeli powtórzymy eksperyment, być może będziemy mogli ustalić jego położenie jeszcze dokładniej.

Don wstał jednak, by złożyć palnik. Lytton chwycił go za rękę i rzekł:

- Nalegam, señor Goldstein. Sam mogę zapalić płomień, jeżeli pan nie ma ochoty.

Przysunął koniuszek cygaretki do wylotu palnika i odkręcił zawór. Chwilę później biały płomień znów płonął.

Don stał, nie wiedząc, co począć, i patrzył, jak Eva Strand pomaga ułożyć krzyż i gwiazdę w odpowiedniej pozycji. Nie wydawała się zaniepokojona szybką decyzją Lyttona. Don odwrócił się do nich plecami i odszedł kawałek, próbując ułożyć sobie wszystko w głowie. Przez rząd okienek kapitańskiego apartamentu widział reflektory wycelowane w niebo, z którego sypał gęsty śnieg.

Stał tak przez chwilę, słuchając głuchego dudnienia statku kruszącego lód, po czym spojrział w stronę stolika, nad którym znów pojawiły się sfery.

Lytton i Eva nie zwracali na niego uwagi, podszedł więc do otwartego sekretarzyka, który stał pod ścianą w głębi pokoju.

Zaczął ostrożnie przeglądać stosy papierów, jednak Lytton musiał mieć wyjątkowo czuły słuch, ponieważ gdzieś za plecami Dona rozległ się głos:

- Proszę niczego nie dotykać, señor Goldstein.

Don podniósł coś, co wyglądało jak projekt budowlany. Obejrzał się przez ramię, żeby zobaczyć, jak Lytton na to zareaguje, ale ten widział teraz jedynie przesuwający się promień Gwiazdy Polarnej.

Lytton Enterprises ma chyba szeroki zakres działalności, pomyślał Don, przeglądając papiery. Wzory chemiczne i obliczenia z fizyki były wymieszane z arkuszami rachunkowymi i newageowskimi tekstami.

Odłożył techniczny opis budowy tomografu komputerowego i dostrzegł zdjęcie z ceremonii rozdania nagród. Zobaczył niemieckie nazwisko, które od razu rozpoznał.

- Fritz Haber... - wymamrotał pod nosem.

- *Disculpe?* - zapytał Lytton, nie odrywając wzroku od sfer. - Przepraszam, co pan powiedział?

- Widzę, że pańska firma Lytton Enterprises przyznała „Scholarship of Fritz Haber” niejakiemu Louisowi Floresowi.

- Jak co roku, od wielu, wielu lat, señor Goldstein. Louis Flores to bardzo utalentowany młody chemik. Naprawdę się cieszymy, że możemy go wspierać.

- Czy chodzi o tego słynnego Fritza Habera?

- Noblistę? Tak. Można powiedzieć, że Haber w pewnym sensie był jednym z założycieli Lytton Enterprises. Dlaczego pan pyta?

- Fritz Haber? Uczony, który otrzymał Nagrodę Nobla za metodę Habera i Boscha?

- Tak, to był rewolucyjny sposób otrzymywania amoniaku. Fritz Haber był wybitnym chemikiem - powiedział Lytton, patrząc teraz w stronę Dona.

Don wrócił w myślach do Ypres i gabloty w Muzeum Wojny przedstawiającej gazy bojowe.

- Wie pan, że jego żona popełniła samobójstwo po ataku gazowym pod Gravenstafel? Nie mogła pogodzić się z faktem, że jej mąż nie tylko wynalazł gaz bojowy, lecz również chciał być obecny na froncie i osobiście odkręcić kurek. Kiedy się o tym dowiedziała, strzeliła sobie w serce. Tego samego ranka Fritz Haber ruszył na front wschodni, żeby nadzorować nowe ataki na wojska rosyjskie. Tym razem użyto gazu bojowego, jakiego wcześniej świat nie widział.

Don spojrzał na Lyttona.

- To badania Fritza Habera doprowadziły do wynalezienia ulubionego gazu nazistów, cyklonu B.

- Cyklon B został opracowany jako środek owadobójczy - powiedział Lytton sztywno. - Nikomu przez myśl nie przeszło, że zostanie użyty przeciwko ludziom. Poza tym Fritz Haber jest chyba człowiekiem, który uratował najwięcej istnień.

- Tak? - mruknął Don, wciąż przeglądając stopy papierów w sekretarzyku.

- Tak - odparł Lytton - ponieważ metoda Habera-Boscha umożliwiła przemysłową produkcję amoniaku i tanich nawozów dla rolnictwa. Bez nich jedna trzecia populacji umarłaby z głodu. Gdyby Haberowi uniemożliwiono badania, wszyscy ci ludzie straciliby życie. Czy pańskim zdaniem byłoby to bardziej humanitarne?

Lytton spojrzał na palnik, zwabiony sykiem topiącego się lodu. Don nie odpowiedział, ponieważ w oko wpadła mu kolejna czarno-biała fotografia. Wcześniej ją przeoczył, ponieważ wyglądała jak okładka folderu reklamowego. Jednak w tym zdjęciu było coś...

Dopływ gazu został zakręcony i płomień zgasł.

- Co za przeżycie, *muchas gracias*, señora Goldstein. Pomogę pani to wszystko spakować.

Lytton umilkł. Kiedy Eva zaczęła składać palnik, rozległy się ciche brzęknięcia. Don zrozumiał, że ma tylko kilka sekund.

Trudno było rozróżnić twarze na czarno-białej fotografii, ale jedną z widocznych na niej osób był bez wątpienia Augusto Lytton. Tak właśnie musiał wyglądać w kwiecie wieku, zanim jego rysy nabrały ostrości. Obok Lyttona siedziało trzech ubranych na czarno mężczyzn, w niższym rzędzie jeszcze kilku, a także młoda kobieta w białej bluzce, ze skromnie złączonymi kolanami.

Lytton Enterprises - Dyrekcja - Buenos Aires 1936

1936. Don zaczął liczyć. Lytton widoczny na zdjęciu miał jakieś pięćdziesiąt lat. Teraz więc musiały mieć...

Don policzył raz jeszcze i uznał, że chyba się pomylił. Odwrócił folder. Z tyłu widniały nazwiska, wymienione w kolejności, w jakiej siedzieli mężczyźni:

K. Fleischer - F. Haber - J. Jansen - M. Trujillo

N. Weiß - J. Maier - E. Jansen

Fleischer, Haber... J. Jansen?

Don znów spojrzał na zdjęcie. Napotkał twarde spojrzenie Agusta Lyttona siedzącego pośrodku w górnym rzędzie. Lytton? Jansen? Czyżby zmienił nazwisko?

Czy to nazwisko nie pojawiło się jeszcze raz?

Dolny rząd, trzecie od lewej... Tak, E. Jansen.

Młoda kobieta, jasne włosy, bez lupy trudno cokolwiek zobaczyć... Czy Lytton nie miał jej gdzieś tutaj? Don znalazł lupę i przyjrzał się twarzy kobiety ze zdjęcia. Dostrzegł zaskakujące podobieństwo. E. Jansen. Eva Jansen?

Eva...

Don poczuł na karku ciepły oddech. Eva poruszała się tak cicho, że jej nie zauważył.

- Dwa lata po tym, jak to zdjęcie zostało zrobione, wyszłam za mąż za Stranda - powiedziała. - Był Szwedem. Zmarł w 1961 roku.

Don nawet się nie odwrócił. Nagle znalazł się w pokoju przesłuchań w Falun. Przypomniał sobie, że adwokat przysłana przez Afseliusa kogoś mu przypominała. Teraz uświadomił sobie, kogo. Przypomniał sobie zdjęcia w popołudniówkach, wynoszone z kopalni ciało, długie włosy tworzące aureolę wokół twarzy. Eva Strand była podobna do mężczyzny ze strzaskanym czołem. Tego, który według listu odkrytego w grobie Malraux nazywał się Olaf..

Olaf Jansen?

Jansen

Na dworze rozpętała się śnieżycy, chmury białych płatków, ciskane wiatrem, uderzały o szyby apartamentu. Śnieg zakrył okna, tak że cały apartament znalazł się jakby poza czasem i przestrzenią. Don spróbował wyrzeć na zewnątrz, ale zobaczył tylko własne odbicie w bladym szkłe. Widział siebie, zgarbionego nad stosem papierów na sekretarzyku, i niewyraźną sylwetkę Evy za swoimi plecami.

Wracając do palnika na stole, unikał patrzenia jej w oczy. Opał na kanapę naprzeciwko pustego fotela Lyttona.

Sam Lytton przygotowywał się do wyjścia, stał przy drzwiach z kożuchem zarzuconym na ramiona. Don spostrzegł, że Eva go zatrzymuje i zaczynają szeptem rozmawiać po hiszpańsku. Przez chwilę próbował zrozumieć, co mówią, jednak szybko się poddał i wyłączył. Oparł głowę na poduszkach i wrócił pamięcią do zdjęć z popołudniowych gazet.

Znów widział przed sobą pozbawioną życia twarz Olafa Jansena, leżącego na noszach u wylotu szybu. Zastanawiał się, jak mógł nie zauważyć tego, co teraz wydawało się tak oczywiste. Łuk skroni, kości policzkowe, taka sama broda... wszystkie te cechy, które Eva dzieliła z Olafem. Ale człowiek z kopalni zmarł oczywiście w roku 1918 i należał do innych czasów.

Kiedy Don spojrział znów w stronę przytłumionego światła na suficie, zorientował się, że szepty przy drzwiach ucichły.

Usłyszał za to pobrzękiwanie w wielkim barku i odgłos kroków.

- Myślę, że to ci się przyda, Don.

Wziął od Evy kieliszek wódki.

- Wypij.

Opróżnił go kilkoma łykami, znów położył głowę na poduszkach i przyglądał się Evie od dołu. Każda część jej twarzy przypominała mu teraz zmarłego. Odezwał się:

- A więc... Olaf Jansen. Musiał być twoim... dziadkiem, czy tak?

Eva patrzyła na niego długi czas, po czym odparła głucho:

- Nie, Don. Olaf Jansen był moim jedynym bratem.

- Ale... jak...?

Przed oczami znów zamigotało mu czarno-białe zdjęcie.

Zobaczył blondynkę siedzącą ze skromnie złączonymi kolanami. W głowie rozświetlił mu się napis:

Lytton Enterprises - Dyrekcja - Buenos Aires 1936

- Kiedy ostatnio spotkałam się z Olafem, miałam zaledwie jedenaście lat - powiedziała Eva.

- Czyli się z nim spotkałaś? Ale on przecież popełnił samobójstwo w kopalni prawie sto lat temu?

Eva skinęła głową, a kąci jej ust zeszywniały. Don poczuł falę mdłości. Nie był już w stanie jasno myśleć.

Rozległo się skrzyknięcie, kiedy Augusto Lytton usiadł w fotelu. Westchnął i zwrócił się do Evy:

- *Su amigo tiene quince minutos*. Twój przyjaciel ma piętnaście minut. Nie więcej. Potem musimy obudzić ludzi i rozpocząć operację. Sama wiesz, że już mamy opóźnienie.

- Operację...? - zaczął Don, jednak Lytton mu przerwał.

- Pewnie nad niejednym się pan zastanawia, señor Titelman?

Starszy mężczyzna otworzył srebrne etui i wyciągnął jeszcze jedną cygaretkę. Postukał nią w stół.

- Obiecałem córce, że dam panu piętnaście minut, w ramach podziękowania za wszystko, co pan zrobił. Jednak jeśli o mnie chodzi, może być nawet krócej.

- Córce? - odparł Don. - Evie?

Agusto Lytton zapalił cygaretkę i nieznacznie pokiwał głową. Don spojrział na Evę, a następnie z powrotem na staruszkę, i poczuł się, jakby tonął.

- No więc, señor Titelman? - odezwał się Lytton, wydmuchawszy jeszcze jedno kółko dymu.

Zapadła cisza. Don usłyszał, jak Eva siada koło niego. Chwyliła go za rękę i pomogła usiąść. Lytton niecierpliwie bębnił palcami o oparcie fotela.

- Evo, jaki sens ma...

Jedno jej spojrzenie wystarczyło, aby starzec zamilkł. Pomogła Donowi wypić jeszcze kilka kropel wódki z kieliszka.

- Czyli pan... - próbował Don, nie bardzo wiedząc, jak zacząć. - Czyli to pan jest Jansenem? Tym Norwegiem, który kiedyś ukradł gwiazdę i krzyż Strindberga? Zabójcą Andréé?

Lytton wpatrywał się w niego, milcząc.

- Ojczy? - ponagliła go Eva.

- Tak, tak - westchnął w końcu Lytton. - Tak jest, señor Titelman. Kiedyś nazywałem się Jansen. Jednak to nazwisko z czasem stało się... jak by to powiedzieć... obciążeniem. Musiałem odciąć się od przeszłości, aby móc nadal prowadzić interesy.

- Dlaczego więc wybrał pan nazwisko Lytton?

Stary człowiek przewrócił oczami.

- Señor Titelman, proszę liczyć się z czasem. Z każdą minutą coraz bardziej oddalamy się od przejścia, które wskazał promień.

Don postawił kieliszek na stole i utkwiał w nim wzrok. Czuł, że musi znaleźć sobie chociaż jeden stały punkt.

- Jest pan więc... Twierdzi pan, że jest ojcem mężczyzny, który zginął w kopalni? W 1918 roku?

- Tak, ale jeśli chodzi o mojego syna, wolałbym nie... To inna sprawa i nie wiem, czy...

Spojrzał na Evę, ona jednak nie dała mu szansy ucieczki.

- Tak, Olaf... - zaczął niepewnie. - Naprawdę kochałem tego chłopca. Ale...

Głos uwiązał Lyttonowi w gardle. On sam wydawał się tym zaskoczony.

- Obiecałeś - powiedziała ostro Eva.

Staruszek zaciągnął się jeszcze kilka razy cygaretką. Przez chwilę siedział bez słowa w kłębach żółtoszarego dymu, jakby próbował się pozbierać.

- Mój Olaf... - zaczął jeszcze raz, szeptem - urodził się pod koniec lat siedemdziesiątych. Już jako nastolatek nauczył się obchodzić z harpunem, lepiej niż ja i mój ojciec. Byliśmy wielorybnikami od trzech pokoleń. Wie pan, jak to jest pracować na morzu z własnym synem? - Lytton zamknął oczy. Jego głos znów zaczął nabierać pewności. - Mieliśmy swoje statki na Lofotach i Svalbardzie. Skromną małą firmę, która ledwo na siebie zarabiała. Kiedy jesienią dziewięćdziesiątego piątego zmarł mój ojciec, nie mieliśmy już prawie żadnych pieniędzy. Chłopak miał dopiero siedemnaście lat, więc...

- Dziewięćdziesiątego piątego? Ma pan na myśli tysiąc osiemset dziewięćdziesiąty piąty?

- No tak, oczywiście. Tysiąc osiemset dziewięćdziesiąty piąty - odparł Lytton z irytacją.

- Wszystkie te kłamstwa... - powiedział Don, próbując zebrać siły, żeby się podnieść.

- Señor Titelman?

- I chce pan, żebym uwierzył, że ma pan grubo ponad sto pięćdziesiąt lat. Nie rozumiem, dlaczego, ale...

Odezwała się Eva:

- Po prostu posłuchaj, co ojciec ma do powiedzenia.

- A ty, Evo, w takim razie miałabyś koło setki? Przepraszam, ale... - Don wstał i zachwiał się na nogach. - Nie brzmi to zbyt wiarygodnie.

Eva chwyciła go za rękę.

- Chemicy ojca w latach dwudziestych opracowali sposób na spowolnienie procesu starzenia. Okazało się jednak, że ma on swoją cenę, zwłaszcza w przypadku kobiet. W moim przypadku. Telomery DNA

mają wiązania, które...

- Sądzę, że możemy dać temu spokój. Po co rozgrzebywać stare smutki?

Don pochylił się nad stołem i chwycił swój pusty kieliszek. Podeszedł do barku i dolał sobie wódki. Wypił kilka łyków i w końcu nie potrafił już się oprzeć pokusie.

- W takim razie, panie Lytton, Jansen czy jak się pan tam jeszcze nazywa, chętnie bym usłyszał, co stało się z Nilsem Strindbergiem, Knutem Frænklem i inżynierem Andrée.

Rozległ się trzask wielkiej kry lodu. Lytton spojrział pytająco na Evę i po kolejnym westchnieniu zaczął odpowiadać:

- To ja przekonałem chłopaka, żebyśmy śledzili balon. Chodziło o pieniądze. Zawsze i wszędzie chodzi tylko o nie.

Don oparł się o barek. Czuł w nogach wstrząsy kadłuba statku.

- Tak jak mówiłem, mieliśmy kiepską sytuację finansową - ciągnął Lytton. - Nie tylko my, w owym czasie dotyczyło się to wszystkich na Svalbardzie. Andrée i jego Szwedzi, z niemieckimi markami w kieszeni, potrzebowali każdej możliwej pomocy. Przewoziliśmy dla nich towary na wyspę Danskøya i z powrotem. W ciągu tych kilku tygodni mój Olaf zdążył się zaprzyjaźnić z Knutem Frænklem. On go wręcz podziwiał, señor Titelman. Wie pan, jacy potrafią być chłopcy. Kilka dni przed wyruszeniem ekspedycji Fränkel zdradził mu w zaufaniu tajemnicę krzyża i gwiazdy. Powiedział wszystko o promieniu, który wskazuje... a zresztą, pan już przecież to wie. Kiedy Olaf mi to powtórzył, od razu zrozumiałem, że ta tajemnica musi być warta niewiarygodne pieniądze. Chłopak nie chciał śledzić ze mną balonu, ale go zmusiłem. Na pokładzie było nas dwóch i jeszcze kilku najbardziej zaufanych ludzi.

Don wciąż trzymał butelkę delikatnej rosyjskiej wódki. *Es macht nisht oys*. Jakie to ma znaczenie? Niepewnie nalał jeszcze jeden kieliszek i wrócił z nim na kanapę.

- A więc to pan, czy też pański syn, zamordował inżyniera Andrée i Strindberga?

- Zamordował? - Lytton wyszczerzył zęby. - Naprawdę, proszę liczyć się ze słowami.

- Zamordował, zastrzelił, zlikwidował? Które najlepiej pasuje?

Lytton posłał Evie wściekle spojrzenie.

- Eva, *mi hija*, czy naprawdę muszę...?

Skinęła głową, Don zaś usłyszał zduszony oddech Lyttona. Starzec rzucił okiem na zegarek, ale mimo wszystko mówił dalej:

- Balon Andrée był naturalnie o wiele szybszy od naszego parowca, jednak znaleźliśmy wiatry i potrafiliśmy przewidzieć jego kierunek. Kiedy balon znalazł się nad pakiem lodowym, jego prędkość była już mniejsza. Do roztrzaskanej gondoli dojechaliśmy na nartach, zaledwie dobę po tym, jak Szwedzi ruszyli w drogę. Od tamtej pory mogliśmy śledzić Andrée, Strindberga i Fränkla aż do wylotu tunelu.

- A później...? - zapytał Don.

- Później... Kiedy tam dotarliśmy, było zupełnie pusto. Tylko lód i ziejąca w nim okrągła dziura.

- Było pusto?

- No, może nie dosłownie - odparł Lytton, zapalając cygaretkę. - Szwedzi rozbili oczywiście namioty, zanim weszli do tunelu. Planowaliśmy znaleźć krzyż i gwiazdę w ich tobołach i uciekać. Kiedy jednak Szwedzi nagle wrócili... zapanował chaos. Andrée pierwszy zrozumiał, co robimy, za nim pojawili się Strindberg i Fränkel. Śnieżyło tak samo jak dziś i nie sądzę, żeby Andrée widział choćby nasze twarze. Próbowaliśmy do nich krzyczeć, że chodzi nam tylko o krzyż, ale Andrée już złapał za broń. Zaraz potem, a to było dość dziwne, chwycił się nagle za szyję i upadł. Nie słyszeliśmy żadnego strzału, bo tak przeraźliwie wiało. Kiedy się jednak odwróciłem, zobaczyłem, jak Olaf odrzuca broń. Chłopak trafił Andrée w szyję. Wystrzelił przypadkiem, señor Titelman. Chciał tylko pokazać, że my też mamy broń, nic poza tym.

Don przesunął palcami po kieliszku wódki. Po raz kolejny stanął mu przed oczami czarny negatyw Eberleina, oglądany w bibliotece Willi Lindarne: padający śnieg i sylwetka Fränkla zaglądnącego do

otworu.

- Przypadkiem, mówi pan... Czy to się tyczy również Knuta Frænkla i Nilsa Strindberga?

Lytton zaczął się wiercić z zakłopotaniem.

- No tak, oczywiście wie pan również o obrażeniach Frænkla... Tak, Frænkel...

- Ojciec - powiedziała Eva ostrym tonem.

Lytton odwrócił wzrok.

- Zastrzeliłem Knuta Frænkla, señor Titelman - rzekł. - Strzeliłem mu w plecy, kiedy on i Strindberg próbowali uciekać.

- W plecy - odparł Don z powątpiewaniem. - Strindberg napisał, że Frænkel krwawił z brzucha.

- Kula przeszła na wylot. Weszła plecami i wyszła brzuchem.

Lytton pochylił się do przodu i położył cygaretkę na popielniczce, żeby sama zgasła.

- Ale Nils Strindberg był uparty. Dociągnął Frænklę aż do tego Otworu w lodzie. Najwyraźniej udało im się ześlizgnąć po ścianach, bo widzieliśmy, jak się ruszają w ciemnościach na głębokości trzydziestu metrów. Olaf płakał i krzyczał, że powinniśmy im pomóc. Frænkel był już jednak skazany na śmierć, a Strindberg doniósłby na nas zaraz po powrocie na Svalbard. Gdybyśmy na to pozwolili, wszystkich nas by powieszono.

- Więc pozwolił im pan zamarznąć tam na dole - powiedział Don.

Spojrzał na Evę, która siedziała z napiętą twarzą i wpatrywała się w ułożone na kolanach dłonie.

- Co więc stało się po tym, jak zabiliście Szwedów?

- Tak, następnie... - wymamrotał Lytton - następnie zeszliśmy do dziury, a w dole... - Starzec zamknął oczy. - W dole był świat, którego nie potrafiliśmy zrozumieć. Byliśmy prostymi norweskimi wielorybnikami, señor Titelman. To było... To było niepojęte. Tego jednak, że przedmioty Strindberga stanowiły swego rodzaju klucz do podziemi, domyśliliśmy się sami. Żeby zobaczyć, ile ten klucz jest wart, za pośrednictwem pełnomocnika skontaktowaliśmy się z niemieckimi fundatorami wyprawy...

Don przeniósł się z powrotem do sali SS na zamku i znów słyszał głos Eberleina.

- Eberlein wspominał o żądaniach Norwegów, którzy chcieli, żeby fundacja zapłaciła im za otwarcie tunelu do podziemi.

- Nie chodziło tylko o otwarcie - obruszył się Lytton. - Tak panu powiedzieli? Na początku może rzeczywiście tak było, jednak później współpracowaliśmy z Niemcami na równych warunkach. A sukcesy naszych badaczy w przemienianiu mglistych wizji w nowe związki chemiczne i przydatne technologie wojskowe były co najmniej równe tym, które odnosili badacze fundacji. Osiągnięcia samego tylko Fritza Habera...

Don poczuł falę mdłości na myśl o rekonstrukcjach ataków gazowych w Ypres, o Camilleu Malraux, *tué à Iennemi*. Znów zobaczył gwiazdę, umieszczoną przez Olafa w wyschniętych ustach Francuza.

- Skoro osiągnęliście takie sukcesy - wymamrotał Don - dlaczego ukryliście swoją gwiazdę w grobie?

Zanim Lytton zdążył odpowiedzieć, Eva wyszeptała:

- Mój brat nigdy nie wybaczył ojcu zabójstwa. Fakt, że ojciec strzelił Frænklowi w plecy, a Strindbergowi pozwolił umrzeć, jest jedynym powodem tego, że dzisiaj tu siedzimy.

- Olaf nigdy nikomu niczego nie wybaczył - syknął Lytton. - Przede wszystkim nigdy nie wybaczył samemu sobie, że przez przypadek strzelił do inżyniera Andrée. Przez długi czas wierzyliśmy, że odzyska rozum i zdrowy rozsądek. Że pomoże nam wykorzystać to wszystko, co znaleźliśmy tam, w dole. Chłopak jednak nie chciał mieć z tą szczeliną nic wspólnego i uznawał ją, zdaje się, za przedsiónek piekła. Kiedy wróciliśmy na Svalbard, odjechał, zerwawszy wszelkie kontakty.

- Niflheim - powiedział Don szeptem.

Lytton wyszczerzył zęby.

- Nigdy nie daliśmy mu zniknąć całkowicie. Olaf był w końcu moim synem. Żył sobie własnym życiem, dyskretnie obserwowany, żeby nie zaczął rozsiewać plotek o sekrecie naszym i fundacji. Po jakimś czasie stanął na nogi i na Sorbonie w Paryżu zaczął uczyć języka staronordyckiego. Ponieważ

zupełnie nie interesowały go nasze sprawy, po jakimś czasie zmniejszyliśmy nadzór. Dlatego nie dowiedzieliśmy się o Camille'u Malraux. Nie mieliśmy też pojęcia, że Olafa tak bardzo poruszyła wiadomość o tym, kto brał udział w pracach nad gazem, który wypuszczono nad okopami Ypres.

Starzec wysunął szarawy koniuszek języka i zwilżył wargi, po czym niepewnym głosem mówił dalej:

- To było pod koniec wojny... Pojawił się w połowie stycznia 1917 roku w naszej bazie na Spitsbergenie.

- Olaf?

Lytton skinął głową.

- Chciał znowu dołączyć do firmy. I wie pan, señor Titelman, że właśnie na to czekałem przez te wszystkie lata? W czasie wojny odnieśliśmy sukces i wszystko rysowało się w jasnych barwach. Interes prosperował i mieliśmy odwagę na więcej i więcej. Nasi badacze znaleźli w głębinach wskazówki dotyczące zagadki starzenia się: podwójne helisy kwasów nukleinowych, na których opierają się dzisiejsze prymitywne teorie o DNA. Jednak zamiast pomóc nam posunąć naukę naprzód, Olaf ukradł gwiazdę i krzyż Strindberga. Musiał to sobie dokładnie zaplanować, bo w swoim paryskim mieszkaniu zostawił wystarczająco dużo wskazówek, żeby doprowadzić nas wszystkich do szachu.

Lytton wstał z fotela i podszedł do sekretarzyka, który odbijał się w pokrytym śniegiem oknie. Poprzerzczał trochę papiery, aż w końcu znalazł to, czego szukał. Pochylił się do przodu i przeczytał:

Salę widziałam: z dala od słońca stoi
na Wybrzeżu Trupów, na północ wychodzą wrota;
Jadu krople przez dymnik padają,
Z grzbietów węzów plecione są ściany.
Tam widzę rzekę, pod prąd żmudnie brodzą
Krzywoprzysięzcy i mordercy-wilki.

W głowie Dona pojawiła się gęsto zadrukowana pierwsza strona popołudniowej gazety. Zdjęcie w niskiej rozdzielczości, przedstawiające rozrzucone kredowe znaki na ścianie szybu głęboko pod ziemią.

- Niflheim - powiedział Don.

Starszy mężczyzna odwrócił się w jego stronę.

- Właśnie, czy to nie dziwne? Człowiek przeczesuje całą światową literaturę i wszystkie mity, zapominając o własnych. Niflheim, królestwo bogini Hel, portal do nordyckiego mroźnego piekła. Tak czy inaczej, Olaf... - Lytton popatrzył na długi rząd okien. Na zewnątrz szalała burza śnieżna, zawodził porywisty arktyczny wiatr. Kontynuował: - Olaf rzucił nam ostatnie wyzwanie. Wiedział, że będziemy przeszukiwać jego mieszkanie w Paryżu. Pośród stert dokumentów i map zostawił coś na kształt testamentu, ostatniej zagadki adresowanej do ojca. Napisał, że zapewnił krzyżowi i gwiazdzie dwa osobne groby, żeby już na zawsze były rozdzielone. Gdybym zaś chciał szukać tych diabelskich przedmiotów, powinienem się udać pod którąś z wielu bram piekielnych, gdzie będą spoczywały po wieczne czasy.

- Bramy piekielne - wymamrotał Don. - Nie podałeś, jak tam dotrzeć?

- Jakkolwiek diaboliczny był to pomysł, señor Titelman, on to w pewnym sensie zrobił. W mieszkaniu znajdowały się notatki na temat etruskich cmentarzy, jaskini Rei do Mato w Brazylii, hinduskiego Ramy, wejścia pod górą Epomeo na wyspie Ischia koło Neapolu, studni w Benaresie, piramidy w Gizie, Cueva de los Tayos w Ekwadorze, przejść pod Mount Shasta w Kalifornii... Tak, podsunął nam nieskończenie wiele miejsc, w których mogliśmy szukać tunelu do piekła. Ani słowem nie wspomniał jednak o Niflheimie, Falun czy francuskim podporuczniku Camille'u Malraux. I szukaliśmy, señor Titelman. Bóg mi świadkiem, że kopaliśmy, wierciliśmy, wysadzaliśmy w powietrze, a jednak nigdy nie znaleźliśmy tego portalu.

- Gwiazda była w ustach jego ukochanego, leżącego w grobie na cmentarzu Saint-Charles-de-Potyze - powiedział Don - a krzyż w jego własnej dłoni, u bram piekła, w szybie kopalni nieopodal Falun?

- Najwidoczniej natrafił na źródła, które właśnie tam sytuowały zejście do Niflheimu. Olaf był dokładny.

Don zamknął oczy. W myślach przejrzał nagłówki gazet, odciski na szydle, które trzymał nieboszczyk. Pozostawało jeszcze jedno pytanie:

- Dlaczego w takim razie Olaf odebrał sobie życie?

Lytton potrząsnął tylko głową, ale Eva odpowiedziała spokojnym głosem:

- Myślę, że szukał miejsca, w którym mógłby być sam ze swoją rozpaczą po ukochanym. Gdzieś daleko od słońca, gdzie wyjęci spod prawa mordercy, tacy jak on, brodzą w rzekach śmierci, pozbawieni wszelkiej nadziei.

- Kto wie, co stało się tam na dole - powiedział Lytton.

Don z powrotem oparł się o poduszki.

- Kiedy więc dowiedział się pan o znalezisku w szwedzkiej kopalni, posłał pan tam swoją córkę, Evę?

- Tak. Mówi doskonale po szwedzku i zna kraj, ponieważ w połowie stulecia mieszkała ze szwedzkim adwokatem.

- Mój mąż musiał umrzeć bezpotomnie - dodała Eva cicho.

- Kiedy jednak dotarła na miejsce, Erik Hall już nie żył, a krzyża nie było, więc...

- Usłyszałam w radiu, że złapano sprawcę, i uznałam, że musi to być ktoś z fundacji. Aby dokładniej zbadać sprawę, przedstawiłam się jako adwokat. Potem musiałam tylko pamiętać o odpowiednich prawniczych sformułowaniach.

Spróbowała się uśmiechnąć, ale Don nie zareagował. Zapytał tylko Lyttona:

- Murmańsk i lodołamacz to był pański pomysł?

- Najprostszy sposób dotarcia do Arktyki bez zwracania na siebie uwagi - odparł Lytton. - Z chęcią zapłaciłbym za pański bilet, ale wiem od Ewy, że pańska siostra pokryła już koszty. A teraz...

Lytton odsunął się od okna i podszedł do szklanego stołu, na który wcześniej zrzucił swoje futro. Włożył je z powrotem na ramiona, odwrócił się i posłał Donowi ostatni uśmiech.

- Miał pan dwadzieścia minut, señor Titelman. Wybacz pan, ale musimy to zakończyć.

Wziął ze stołu krzyż i gwiazdę i już miał wsunąć je do kieszeni, kiedy Don chwycił go za ramię.

- Nie sądzę, żeby taki chwyt wystarczył... - Parsknął tylko śmiechem.

- Zapomniał pan o jednej wojnie - powiedział Don. - Jeżeli tak dobrze wam szło wykorzystywanie podziemnych znalezisk, co się stało, kiedy straciliście krzyż i gwiazdę?

Lytton spróbował się uwolnić.

- Chodziło tylko o przeżycie, señor Titelman. O nic więcej.

- Podjęliście współpracę z nazistami, kiedy fundacja się od nich odwróciła, prawda? Eberlein powiedział mi w Wewelsburgu, że ich interesy z Himmlerem skończyły się przed wojną.

- Już powiedziałem, señor Titelman. Chodziło tylko o to, żeby przeżyć.

- Wasz Fritz Haber dał nazistom cyklon B. Co wy dostaliście od nich? Rakiety V2? Silnik odrzutowy?

Lytton uwolnił się z uścisku i wysyczał:

- Oni nie chcieli nas słuchać! To właśnie był problem. Ich niekończąca się nienawiść rasowa i ta cała kwestia żydowska. Powinni byli zrozumieć, że zaszliśmy dużo dalej niż fundacja, jeżeli chodzi o kontrolowanie energii atomu.

Don spojrzał na niego z powątpiewaniem.

- Naziści nigdy nie mieli broni atomowej. Może program testowy, ale nic zaawansowanego.

- Właśnie o tym mówię - zachnął się Lytton. - Oni byli kompletnie opętani. Nie wierzyli w te teorie, ponieważ fizyką jądrową zajmowało się wielu Żydów. Naziści chcieli stworzyć własną, „niemiecką” fizykę, która byłaby na wskroś aryjska. Nie miało znaczenia, co mówiliśmy, a nasz najlepszy człowiek,

Heisenberg, był prześladowany przez SS i nie mógł pozyskać funduszy na swoją pracę. Kiedy w końcu udało nam się skłonić ich do budowy reaktora i rozpoczęcia prowadzonej na niewielką skalę produkcji wzbogaconego uranu i ciężkiej wody, było o wiele za późno. Przegrana na wojnie była już faktem.

- To dlatego założył pan Lytton Enterprises w Argentynie? Żeby po wojnie uniknąć ekstradycji?

- Señor Titelman... Osiedliśmy w Argentynie już po rozłamie z fundacją w 1917 roku. Był to sposób na zejście pod ziemię. Lytton Enterprises została stworzona jako przykrywka, firma zajmująca się bydłem, i ani fundacja, ani alianci nie wiedzieli, skąd naziści otrzymywali pomoc. Choć mogli się domyślać. Ale teraz... - Lytton włożył krzyż i gwiazdę do kieszeni kożucha. - Teraz czeka nas zupełnie nowa era. Tym razem nie tylko zejdziemy do podziemi, ale też spróbujemy rozszyfrować niejasne szepty. Otworzymy wrota do innego świata.

Don popatrzył nieufnie w głęboko osadzone oczy staruszka. Nagle Lytton odwrócił się i wyszedł.

Rozległ się odgłos dwukrotnie przekręcanego klucza.

Pod powierzchnią

Niemal siedemset mil morskich na północ od Przylądka Północnego łódź podwodna niemieckiej marynarki wojennej w końcu dogoniła lodołamacz. Wyłączono silniki Diesla, włączono bezwibracyjny napęd wodorowy i łódź niczym cień zaczęła sunąć dwadzieścia metrów pod kadłubem „Jamału”.

Siedząca w łodzi Elena słyszała, jak dysze lodołamacza tną lód i jak ciężkie śruby okrętowe, obracając się, pchają statek do przodu.

W ciasnej mesie od czasu do czasu słychać było bulgotanie powietrza w zbiornikach balastowych. Poza tym panowała cisza. Nikt nie odzywał się bez potrzeby. Radary były wyłączone, a załoga doradziła ludziom z fundacji, aby zachowali jak największą ostrożność. Nikt nie wiedział, w jaką aparaturę nasłuchową mógł być wyposażony rosyjski lodołamacz atomowy.

Filtrowane powietrze wywołało u Eleny nieustający ból głowy. Leżała na jednej z wąskich koi, ciągnących się niczym trumny wzdłuż wklęsłych ścian mesy.

Na innych leżeli komandosi, których z pomocą niemieckiego wywiadu wybrał Vater. Głównym kryterium było doświadczenie bojowe w warunkach polarnych. Brano też pod uwagę umiejętność dochowania tajemnicy.

Elena poczuła, jak koja przechyliła się na bok, kiedy łódź skorygowała kurs. Potem odwróciła głowę i spojrzała w stronę Vatera i Eberleina, którzy szeptali coś do siebie, pochyleni nad stojącym na środku kabiny stolikiem do gry w karty.

Przylecieli odrzutowcem na północny skraj Półwyspu Skandynawskiego, żeby wsiąść na pokład łodzi podwodnej cumującej w bazie wojskowej niedaleko Tromsø. Nie było czasu do stracenia, ponieważ lodołamacz szybko zbliżał się do terenów wskazanych przez promień. Teraz jednak, dobę później, Vater zaczął wątpić w to, że Titelman i Eva Strand rzeczywiście są na jego pokładzie.

Słuchając ich szeptów, Elena dowiedziała się, że lodołamacz nie zmienił jeszcze kursu, mimo że zbliżał się właśnie do osiemdziesiątego czwartego stopnia szerokości geograficznej północnej. Nic nie wskazywało na to, że statek będzie hamować. Unoszący się nad nimi „Jamał” cały czas powoli łamał lód.

Elena w milczeniu słuchała coraz gorętszej dyskusji. Nie odezwała się słowem i nie miała zamiaru podsuwać Vaterowi żadnych wskazówek ani udzielać mu odpowiedzi. Ręka, która w cudowny sposób wyleczyła ją po eksplozji, sprawiła, że również w jej wnętrzu nastąpiła gwałtowna zmiana. Nadal nie mogła patrzeć na Vatera, ale już nie bała się go tak bardzo jak kiedyś.

Wydawało jej się, że wymuszona więź ulega rozluźnieniu, jak gdyby ręka zbudziła to, co od tak dawna drzemało gdzieś w środku. Jej zmysły zaczęły się wyostrzać i już wkrótce były tak samo czułe jak wówczas, gdy miała sześć lat.

Miała wrażenie, że Vater coś podejrzewa, ponieważ nie wolno jej było poruszać się swobodnie po łodzi, mimo że ta miała tylko pięćdziesiąt sześć metrów długości i roilo się na niej od mundurowych. Być może myślał, że Elena spróbuje ją zatopić, posłać na dno oceanu w akcie spóźnionej zemsty.

O to jednak nie musiał się martwić. Myśli Eleny błędziły daleko. Cały czas słyszała łagodny głos matki, który prowadził ją przez jasne pokoje, niegdyś będące jej domem. Przebywając w nich, jak wtedy, kiedy była dzieckiem, słuchała śmiechu i głosów swoich sióstr. Tam zmartwienia nie istniały - była zupełnie bezpieczna.

Elena miała całkowitą pewność, że krzyż znajduje się na lodołamaczu. Gdy zamykała oczy, bardzo wyraźnie widziała jego kształt. Unosił się jakieś sześćdziesiąt metrów nad nimi, a mężczyzna, który nosił krzyż i gwiazdę, był bardzo stary. Przez ostatnie godziny śledziła eksperymenty przeprowadzane przy użyciu palnika i znała teraz ostateczną pozycję wskazaną przez promień.

Kiedy zamknęła oczy i wsłuchiwała się w swoje wnętrze, głos matki był bardzo blisko. Wszystkie

szepty, które słyszała w pobliżu krzyża, zlały się teraz w jeden. Krzyż zwracał się do niej od chwili, gdy zbliżyli się do „Jamału”. Elena czuła, że chętnie rozplynęłaby się w czasie i przestrzeni.

Ton głosu, rozbrzmiewającego w jej bolącej głowie, zaczął się zmieniać. Był coraz bardziej nachalny, jak gdyby czekał na jej reakcję. Wciąż słyszała teraz już tak dobrze sobie znane słowa:

- *Devi portarcela*, Elena. Zabierz nas tam. *Questo deve finire*. To się musi skończyć.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Chciała tylko leżeć, słuchać i spokojnie pogrążyć się w snach o dzieciństwie. Widziała kuchenne szafki, żółto-złotą tapetę i wiszący na krześle płaszcz, który matka za chwilę podniesie.

- *Devi portarcela*, Elena - odezwał się głos. W oczach matki widziała wielki smutek. - *Deve finire*.

- *Ti sento*. Słyszę cię. *Ti sento, madre*.

Zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy się odzywa.

Fala, która popłynęła od krzyża i przeniknęła kadłub lodolamacza oraz masy lodowatej wody, była tak ciepła, że Elenie w jednej chwili zabrakło powietrza.

51

Zmiana kursu

Być może winne temu było wycie wiatru albo niecichnący odgłos łamanego lodu, coś w każdym razie nie dawało spokoju przewodnikowi wycieczki, Davidowi Baileyowi. Zaczął się zastanawiać, jak długo już przewraca się z boku na bok. Wyciągnął rękę i błędził nią po nocnym stoliku.

Jeszcze zanim zdjął opaskę na oczy, udało mu się znaleźć mały czarny komputer kieszonkowy. Otworzył go, żeby zobaczyć, która godzina, kiedy jednak przekonał się, że dochodzi trzecia, na świecącym zielonym ekranie zobaczył coś, co przyciągnęło jego uwagę.

Chyba szwankuje nawigacja satelitarna, pomyślał i potrząsnął komputerem, jednak płynne cyfry na wyświetlaczu GPS się nie zmieniły. Przez chwilę przewodnik wycieczki patrzył z niedowierzaniem na ekran, lecz w końcu musiał pogodzić się z faktem, że lodołamacz najwyraźniej zmienił kurs.

„Jamał” zrobił pół obrotu wokół własnej osi i zamiast płynąć na biegun północny, przedzierał się przez lody, kierując się dokładnie na południe.

Kiedy Bailey wszedł po schodach i dotarł do pomostu nawigacyjnego, odkrył, że prowadzące do niego drzwi z przyciemnianego szkła są zamknięte. Zawahał się na moment, po czym zaczął się do nich dobijać.

Rosyjski marynarz, który mu otworzył, nie przejął się zbyt tym, co zobaczył na wyświetlaczu kieszonkowego komputera. Z ponurą miną wskazał tylko kapitana i głównego inżyniera, którzy stali w niebieskawym świetle wokół stołu nawigacyjnego. Śnieg sypał tak mocno, że przez okno, które znajdowało się przed nimi, ledwo było widać przedni pokład, choć reflektory wycelowano w niebo.

Kapitan nawet nie podniósł wzroku, gdy Bailey stanął tuż obok niego. Na stole obracała się wskazówka radaru, a w całym pomieszczeniu migotały różne urządzenia.

- Kapitanie Sergieju Nikołajewiczu, dlaczego zawróciliśmy? - zapytał Bailey. - Czy pasażerowie powinni o czymś wiedzieć?

Kapitan spojrział na niego z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Usta miał zamknięte. Bailey zobaczył odbicie własnej twarzy w ciemnych okularach kapitana i usłyszał cieniutki głos głównego inżyniera.

- Na biegun dotrzemy z małym opóźnieniem ze względu na śnieżycę i inne czynniki. Na kilka dni staniemy w miejscu, pięćdziesiąt parę mil morskich na południowy zachód stąd.

- Jak to staniemy? - wysapał Bailey. - Jaki południowy zachód? Przecież umowa...

- Naszym priorytetem, jak pan zapewne rozumie, jest bezpieczeństwo wszystkich osób znajdujących się na pokładzie.

Kiedy główny inżynier zamilkł, a kapitan nie udzielał dodatkowych wyjaśnień, Bailey rozejrzał się po pomieszczeniu.

Wśród rosyjskich mundurów dostrzegł wychudzoną twarz. Od razu rozpoznał tego upartego staruszka, który sam chciał wnieść na pokład swoje bagaże. Jako przewodnik wycieczki David Bailey na lodołamaczu nie miał zbyt dużo do czynienia z Agustem Lyttonem ani z innymi pasażerami z grupy Latynosów. Nie byli zainteresowani obserwowaniem zwierząt, obok których przepływał „Jamał”.

Lytton stał w otoczeniu swoich długowłosych ludzi - ich spojrzenia były czarne. Bailey spróbował zdobyć się na zwyczajowy, pewny siebie uśmiech i wyciągnął rękę na powitanie. Lytton stał jednak z założonymi rękoma i to on odezwał się pierwszy.

- Właśnie miałem pana obudzić, señor Bailey. Musi pan natychmiast przekazać pewne informacje wszystkim podróżnym. Od teraz panują na tym statku nowe zasady i turyści będą się musieli do nich zastosować.

- Aha - mruknął Bailey zaskoczony. - Ale przecież dochodzi czwarta, wydaje mi się, że większość śpi i...

- Señor Bailey, nie pytam pana o zdanie, nawet nie musi pan myśleć. Wystarczy tylko, że zrobi pan

użytek ze swojego uspokajającego głosu.

Bailey zdążył przeczytać identyfikatory i dzięki temu wiedział, że to Moyano i Rivera chwycili go pod rękę. Przenieśli go do stołu nawigacyjnego, na którym znajdował się mikrofon na giętkim statywie.

Lytton przystawił go do ust przewodnika i położył palec na włączniku.

- Przekaze pan te informacje i myślę, że będzie lepiej dla pana, jeśli ograniczy się pan do tekstu.

Baileyowi podsunęto kartkę papieru, na której ktoś napisał kilka zwięzłych zdań.

- Muszą oddać sprzęt elektroniczny? - wyjąkał przewodnik. - Telefony, aparaty... To chyba nie jest konieczne?

Spojrzał prosząco na kapitana, którego twarz nadal pozbawiona była jakiegokolwiek wyrazu. Augusto Lytton nacisnął włącznik mikrofonu - rozległ się trzask, który przeszedł w głuche buczenie.

David Bailey kaszlnął, odchrząknął i zerknął na pierwsze zapisane na kartce słowa. Potem drżącym głosem zaczął głośno czytać.

Eva zastanawiała się, czy Don przypadkiem nie zasnął. W pozycji pólężącej zaległ na kanapie, ona zaś nie widziała jego oczu. Od paru godzin w apartamencie panował upiorny spokój, któremu towarzyszyło miarowe kołysanie lodołamacza.

Gdy Lytton skończył swoją opowieść, Don nie zadał jej ani jednego pytania. Siedział tylko w milczeniu, patrząc w drugą stronę. Nie potrafiła sobie wyobrazić, co mógł o tym wszystkim myśleć, była jednak pewna, że trudno mu w to uwierzyć.

A jednak opowieść była prawdziwa. Mimo że lata zdawały się teraz zlewać w jedno, ona i jej ojciec żyli już o wiele za długo. Zastrzyki, które dostała w dzieciństwie, pozostawiły blizny i powodowały ból, jednak zadziałały, podobnie jak w przypadku Lyttona.

Powstrzymały genetyczny mechanizm odliczania, w jaki wyposażony jest każdy człowiek. Zwolniły zegar biologiczny, który już w chwili narodzin ustawiony jest na pewien ściśle określony czas. Dziewięćdziesiąt lat po pierwszych próbach jej komórki w dalszym ciągu mnożyły się prawidłowo i bez mutacji. Jej skóra stała się, co prawda, nieco cieńsza, a szkielet i stawy trochę niedomagały, jednak poza tym ciało Ewy, podobnie jak leżącego w kopalni brata, było idealnie zakonserwowane. Na ironię zakrawał fakt, że to podziemia oszczędziły im obojgu skutków upływu czasu - choć każdemu w inny sposób.

Ceną, jaką jej przyszło za to zapłacić, była bezpłodność, wtedy jednak nikt nie mógł przypuszczać, że takie będą konsekwencje zabiegu. Ojciec zawsze powtarzał jej, że dar, który otrzymała, jest tak wielki, iż nigdy nie będzie się mogła za niego odwdziżyć. Dzięki temu zachował nad nią kontrolę.

Czasem Eva zastanawiała się, czy tak naprawdę istnieje. Żeby istnieć, trzeba przecież móc dokonywać samodzielnych wyborów. Wprawdzie przez kilkadziesiąt lat żyła własnym życiem z mężem w Sztokholmie, później jednak powróciła do życia w cieniu ojca.

Jedyną rzeczą, jaka ich łączyła, była tęsknota za Olafem - Lytton tak naprawdę nigdy nie przestał opłakiwać syna, choć Eva wcale nie była pewna, czego ojciec bardziej żałował: utraty syna czy lśniących przedmiotów Strindberga.

Jeden raz na początku XX wieku ojciec zabrał ją ze sobą do podziemi. Miała wtedy kilkanaście lat i wydawało jej się, że podróżują do piekieł. Nie zapomniwała dźwięku, który tam słyszała, lecz nie przypominała sobie żadnych mistycznych wizji.

Nigdy tam nie wróciła, nie mieszała się też do badań militarnych. Skończyła jako niema asystentka, zajmująca się praktyczną stroną życia ojca. Ze wszystkich osób, jakie zeszły z nim do podziemi, ona jedna wciąż żyła i wiedziała, skąd bierze się cała jego wiedza.

O ile dobrze zrozumiała, w ostatnich latach badania ojca stawały się coraz bardziej eksperymentalne. Wydawało się, że ma on nadzieję nawiązać kontakt z drugą stroną, tą, której tak długo mógł unikać dzięki zastrzykom. Lytton uważał pewnie, że mężczyźni, których zabrał na pokład lodołamacza, mieli wystarczającą siłę psychiczną, by móc otworzyć bramę do podziemnego świata. Chciał mieć wiedzę absolutną i wyzbyć się wszelkich wątpliwości. Celem była jasność, której od tak dawna pragnął.

Posłuszna instrukcjom ojca, pojechała do Falun i spotkała Dona Titelmana, który tak bardzo przypominał jej zmarłego brata. Była przekonana, że to nie może być przypadek.

W czasie podróży, które razem odbyli, czuła się coraz bardziej niepewnie i zastanawiała się, dlaczego tak naprawdę chce odnaleźć przedmioty Strindberga. Nie wiedziała, czy robi to, żeby pomóc ojcu, czy może by zniszczyć jego podziemia.

Siedząc obok Dona na kanapie, nadal się nad tym zastanawiała. Wiedziała tylko, że chce uchronić Dona przed nieuniknionym końcem tej podróży. Wygładziła aksamitną marynarkę, którą miał na sobie, i wsłuchiwała się w jego powolny oddech.

Kiedy Don poczuł dotyk Evy, pomyślał, że powinien złapać ją za rękę. Zażądać odpowiedzi na wszystkie pytania, których nie zdążył jeszcze zadać. Jak na stulatkę była bardzo błyskotliwa, a grając rolę prawniczki, musiała mieć zaskakująco dużo szczęścia. Choć, jak to się mówi, *a mentsh on mazel iz vi a toyter mentsh*. człowiek, który nie ma szczęścia, jest martwym człowiekiem.

Don nie mógł się nie uśmiechnąć na myśl o wszystkich przygodach, jakie ich spotkały między pokojem przesłuchań w Falun a apartamentem na lodolamaczu. W jego pamięci już zawsze będą wędrować po Ypres i Saint-Charles-de-Potyze. Czuł, że już za nią tęskni, mimo iż siedziała tylko metr od niego.

Podniósł wzrok i spróbował sformułować pytanie, jednak w tej właśnie chwili zapadła niepojęta cisza. Potem zabrzączały kieliszki w barku i poczuli, że siła bezwładności pcha ich do przodu. „Jamał” zaczął hamować.

52

Wejście

Śnieżycy wciąż trwała, kiedy śmigła helikoptera zaczęły się obracać. Don próbował zasłonić sobie uszy, żeby ochronić je przed hukiem maszyny. Nie było to takie proste, ponieważ Moyano cały czas ciągnął go za ramię, prowadząc do lądowiska na tylnym pokładzie.

Obok nich, walcząc z podmuchami wiatru, szła Eva. Ręce miała wsunięte do kieszeni kurtki, a w świetle reflektorów jej oczy wydawały się zaczerwienione. Zapomniała włożyć coś na głowę - pasma siwych włosów były prawie niewidoczne pod rosnącą warstwą śniegu.

Agusto Lytton nie przyszedł po nich do apartamentu. Stał teraz obok otwartych drzwi helikoptera i coś krzyczał, a jego słowa tonęły w szumie obracających się śmigieł. Potem dał znak swoim ludziom, żeby załadowali ostatnią metalową skrzynię. Don rozpoznał pasażera z sąsiedniej kabiny, Riverę, który teraz chwycił przedni uchwyt skrzyni i wstawił ją do ładowni.

Do kabiny prowadziły małe metalowe schodki. Ich dolne stopnie tonęły w dziesięciocentymetrowym śniegu.

Don widział, że silne podmuchy wiatru targają helikopterem, a jego płozy trochę się przesunęły. Nie miał pojęcia, jak w taką pogodę śmigłowiec zdoła wystartować. Jednak popychając Dona w stronę żółtozielonego światła kabiny, Lytton wcale nie wyglądał na zaniepokojonego.

Eva siadła blisko Dona i skuliła się, by chronić się przed zimnem. Wnętrze helikoptera było puste, na szybach mróz wymalował kwiaty. Eva chuchała w dłonie i przytupywała. Latynosi po kolei zajmowali miejsca, a ich oddechy wyglądały jak obłoki zamrożonej pary.

Przed maszyną w szalejącej zamieci został już tylko Agusto Lytton. W końcu i on wszedł do środka, a schodki zostały ostrożnie złożone i wciągnięte do kabiny. Starszy mężczyzna zapukał w szybę dzielącą kabinę i kokpit i unosząc w górę kościsty kciuk, dał pilotowi znak.

Śmigło zaczęło wirować z maksymalną prędkością, helikopterem zarzuciło i uniósł się chwiejnie nad pokładem. Kiedy znaleźli się kilkanaście metrów nad lodołamaczem, silniejszy podmuch wiatru sprawił, że śmigłowiec stracił równowagę. Metalowe skrzynie z hurgotem ślizgały się w ładowni. Eva poleciała na Dona, ten zaś przygryzł sobie język i jego usta wypełniła krew.

W ostatniej chwili pilotowi udało się skorygować położenie maszyny - znajdowali się teraz na wysokości masztów radarowych lodołamacza. Następnie gwałtownie zawrócili i polecili nad bruzdą, którą w lodach Arktyki wyorał „Jamał”.

Na dole, w świetle reflektorów, Don dostrzegł coś, co sprawiło, że gwałtownie wciągnął powietrze. Ukazał mu się wrzecionowaty kształt połyskujący pod czarnymi falami. Jednak im dalej byli od lodołamacza, tym większą miał pewność, że coś mu się przywidziało, że było to złudzenie optyczne, które świadczyło o tym, jak bardzo był wycieńczony.

Przez kilka minut Don widział jeszcze „Jamał” niczym odległą gwiazdę świecąca gdzieś daleko. Potem i ona zgasła. Lecieli tak w ciemnościach, wśród sypiącego śniegu.

Ludzie Lyttona siedzieli w czerwonych kurtkach w blasku oświetlenia awaryjnego. Hałas w kabinie był tak duży, że nie mogli ze sobą rozmawiać.

Don powiódł wzrokiem po indiańskich rysach mężczyzn i błyszczących białkach ich oczu. Moyano, który siedział naprzeciwko niego, ścisnął w dłoni magazynek karabinu maszynowego. Miejsce obok zajmował Rivera, który obracał w palcach coś, co wyglądało jak gumowa maska, kominiarka z otworami na nos i usta.

Eva miała zacisnięte powieki, a cienka skóra u nasady jej nosa marszczyła się. Jediną osobą, która wydawała się zachowywać spokój, był Agusto Lytton - siedział i przyglądał się krzyżowi i gwiazdzie. Don zatrzymał na nich wzrok, ponieważ wstrząsy wywoływały u niego chorobę lokomocyjną. Przedmioty Strindberga wydawały się być jedynym nieruchomym punktem w śmigłowcu.

Mijały minuty.

Krzyż powoli zaczął się zmieniać. Metal, z którego został wykonany, stawał się coraz bardziej przezroczysty, a w pewnej chwili rozbłysł. Blask przeniósł się na gwiazdę i oba przedmioty połączyły się ze sobą - po raz pierwszy bez użycia palnika. Nagle Donowi wydało się, że pod helikopterem otworzyła się przepaść. Czuł ssanie w żołądku, kiedy opadali w kierunku mas lodu. Przycisnął do siebie torbę na ramię i spojrzał na Evę. Jednak oświetlenie było zbyt słabe, by dostrzegł wyraz jej twarzy.

Nic nie mogło przygotować Dona na to, co czekało na nich po wylądowaniu. A przecież dokładnie to samo widział na szklanych negatywach Eberleina.

Ludzie Lyttona zaprowadzili go na skraj ogromnej przepaści, która otwierała się w lodzie niczym gardziel prowadząca wprost do podziemnego świata. Równe krawędzie wyglądały jak wycięte palnikiem. Pionowe wejście do tunelu było tak szerokie, że nie dało się dostrzec drugiej strony. Don wolał jednak szukać jej wzrokiem niż patrzeć w dół.

Helikopter wylądował jakieś sto metrów dalej - do krawędzi przepaści prowadziły od niego ślady świadczące o tym, że ktoś coś tędy ciągnął. Latynosi przetransportowali metalowe skrzynie na skraj gardzieli i ułożyli jedna na drugiej.

Don otulił się mocniej kurtką, chroniąc się przed podmuchami wiatru. Zobaczył, jak Rivera i Moyano podnoszą jedną ze skrzyń i przekładają ją nad krawędzią. Kiedy metal dotknął lodowej ściany, puścili uchwyty i skrzynia zniknęła w dole.

- *Éste es el final*. Dotarliśmy do stacji końcowej! - wrzasnął Augusto Lytton, przekrzykując zawieruchę. - Przykro mi, señor Goldstein, ale pana długa podróż tutaj się kończy.

Potem przywołał Moyano, który musiał się pochylić, żeby móc wysłuchać instrukcji. Don zobaczył, jak na dziobatej twarzy masywnego Latynosa pojawia się wyraz zawodu.

- Zostanie pan tu na straży z Moyanem. Mam nadzieję, że znajdziecie jakiś sposób na zabicie czasu.

Lytton poprowadził Evę na krawędź. Zrobili krok do przodu, tak jakby przepaść nie istniała. Chwilę później już ich nie było.

Wśród Latynosów dały się słyszeć zaniepokojone głosy. Jednak po chwili ruszyli śladem Lyttona i Evy i jeden po drugim znikali w czeluściach tunelu. Moyano i Don zostali sami w chmurze wirującego śniegu.

Po godzinie Moyano najwyraźniej znudził się zadaniem. Zostawił Dona samego i zaczął spacerować tam i z powrotem. Myśli wpatzonego w przepaść Dona krążyły wokół Nilsa Strindberga. Właśnie to Andrée i Fränkel musieli mieć przed oczami tamtego lipcowego dnia 1897 roku. Skrzące się strugi biegnęły w dół, do podziemi, a ściany miały niebiesko-fioletowy połysk. Ich powierzchnia była gładka, bez najdrobniejszego pęknięcia, choć wytrzymawały napór miliardów ton oceanicznej wody. Tunel był jak macka, biegnąca w dół kilometr za kilometrem.

Donowi wydawało się nieprawdopodobne, żeby ktoś mógł przeżyć upadek z takiej wysokości, a przecież Lytton i Eva...

Z zadumy wyrwało go skrzywienie śniegu.

Moyano zakończył kolejną rundkę. Don podniósł wzrok i spojrzał na Latynosa, który pochylił się i zajrzał do tunelu.

- *Es un milagro, no?* To cud, prawda? - szepnął Moyano.

Don skinął głową. Brodząc w śniegu, na kolanach zbliżył się do krawędzi, żeby jeszcze lepiej widzieć migoczące światło. Patrząc w przepaść, nie potrafił zrozumieć, jak Lytton i Eva mogli przeżyć - błyszczące ściany opadały pionowo w dół.

Moyano zdjął jedną rękawiczkę i przykleknął obok Dona. Przesunął rękę nad krawędź i dotknął wnętrza tunelu. Nagle ściana przyssała jego dłoń. Moyano szarpał i ciągnął, ale obaj mieli wrażenie, że ścianę pokrywa warstwa kleju. Kiedy w końcu udało mu się wyrwać rękę, rozległo się młaśnięcie.

- Niech pan spróbuje - szepnął do Dona, który niepewnie wyciągnął dłoń.

W tej samej chwili jego rękawiczka została wessana i zniknęła w głębi tunelu.

Wyglądało na to, że ściany są płynne: były niczym szybko stygnąca szklana powłoka. Don zastanawiał się, jak to możliwe, że wcześniej tego nie zauważył.

Moyano zrobił krok w stronę tunelu i teraz balansował na jego krawędzi. Widok postaci na skraju przepaści zaniepokoił Dona. Wstał i odsunął się kawałek, żeby Latynos przypadkiem nie pociągnął go za sobą.

Moyano podniósł nogę, żeby zrobić jeszcze jeden, ostatni krok. Ręce miał wyciągnięte na boki, a jego wysoka postać chwiała się w podmuchach wiatru. W momencie gdy zdecydował się opuścić nogę, nagle złapał się za szyję. W pierwszej chwili wyglądało to tak, jakby chciał zabić komara, potem jednak spomiędzy jego palców trysnęła krew. Zabarwiła na czerwono lód i śnieg, lała się strumieniami. Latynos stał jeszcze przez kilka sekund, po czym nogi ugięły się pod nim i runął w głąb tunelu.

Don odwrócił się twarzą do wiatru i spojrzał w ciemność. Szalejąca śnieżycza sprawiła, że musiał mrużyć oczy, a to, co był w stanie dostrzec, nie przypominało niczego.

Wydawało mu się, że lód ożył. Poruszał się w jego stronę niczym wzburzona fala. Bryły śniegu toczyły się i wstawały niczym zjawy i upiory. Biegły w jego stronę w łopoczących na wietrze białoszarych maskujących strojach.

Tylko tyle zdążył zobaczyć, zanim powaliły go na lód. Leżał przygnieciony ciężarem czyjegoś ciała i czuł, jak usta wypełnia mu śnieg. Łokieć uciskający kark pozbawił go resztek powietrza. Desperacko walcząc, zdołał się odrobinę przesunąć i wziąć kilka krótkich oddechów.

Leżał, dysząc, przekonany, że gorzej już być nie może, i wtedy zobaczył wolno zbliżające się koła wózka inwalidzkiego.

- Don Titelman - odezwał się z góry dobrze znany głos. - Muszę powiedzieć, że prawdziwe z pana utrapienie.

Łokieć przyciskający Dona do ziemi cofnął się tak, że Don mógł się przetoczyć na plecy i spojrzeć w górę. Zobaczył w połowie spaloną twarz Vatera.

- Szybko nas pan opuścił w Wewelsburgu, musi pan przyznać. Ja jednak wciąż miałem nadzieję, że jeszcze kiedyś dane nam będzie się spotkać.

Jedno oko było martwe, drugie patrzyło przytomnie i przenikliwie.

- Podnieście go - polecił Vater.

Don poczuł, jak żołnierze chwytają go za ramiona i stawiają na nogi. Kiedy próbował się wyrwać, jego buty zaczęły ślizgać się na śniegu. Obok Vatera stał Eberlein w mundurze maskującym i okularach z antyrefleksem. Za nim, kołyszącym się krokiem, nadchodził Ropuch.

- Tak blisko rozwiązania zagadki i wciąż nic pan nie widział - powiedział Vater. - Elena?

Jeden z żołnierzy wyszedł z szeregu i niewielka postać płynnie zbliżyła się do Dona. Kiedy zdjęła kominiarkę, rozpoznał młodą kobietę, którą widział w północnej wieży zamku.

- Tak? - powiedziała.

- Zabierzemy ze sobą Titelmana - oznajmił Vater. - Będzie to dla niego odpowiedni koniec.

Don zobaczył, jak na przegub dłoni zakładają mu kajdanki.

- Eleno, ty będziesz za niego odpowiedzialna, gdy znajdziemy się na dole.

Elena wyciągnęła rękę. Vater założył kajdanki także na jej przegub, skuwając ich razem.

Chude plecy Vatera wystawały z wózka inwalidzkiego. Podjechał na skraj przepaści, spojrzał na połyskujący na niebiesko tunel i powiedział:

- Od teraz żadnych słów.

Elena wsunęła nogę do tunelu, oparła ją o ścianę i dała znak Donowi, żeby zrobił to samo. Kiedy tylko przeniosła ciężar ciała na tkwiącą w ścianie nogę, rozległ się przeciągły dźwięk i jej pięta momentalnie przyłgnęła do ściany. Wyglądało to tak, jakby Elenę złapała jakaś ręka, która teraz

próbowała ściągnąć ją w dół. Spojrzała na Dona zielonymi oczami.

- *Venga*, signor Don. Chodźmy.

Don niepewnym ruchem zdjął okulary i usłyszał, jak ściana zamyka się wokół jego buta. Elena pociągnęła kajdanki, a w następnej chwili lecieli już w dół.

Czarne słońce

Ściana tunelu wsysała go coraz głębiej i coraz szybciej. Kleisty chwytak, który złapał jeden z jego butów, teraz, jak lep na muchy, przykleił mu się też do pleców. Jednak mimo że wisiał tam niczym owad, niezdolny do żadnego ruchu, i tak przypuszczalnie poruszał się szybciej, niż gdyby swobodnie spadał w głąb ziemi.

Nacisk powietrza na twarz był tak silny, że Don musiał patrzeć do góry, żeby w ogóle cokolwiek zobaczyć. Opór powietrza sprawił, że włosy sterczały mu jak miotła, aksamitna marynarka zaś powiewała i naprężała się, jakby zaraz miała zostać rozerwana na strzępy.

Już w pierwszych sekundach spadania burza śnieżna zmieniła się w malejący biały punkt. Teraz nie było jej już widać, a mimo to w tunelu nie zrobiło się ciemniej. Na niebieskofioletowych ścianach pulsowały migotliwe światełka, przypominające gwiazdy na nocnym niebie. Nad sobą widział wszystkie postaci w maskujących strojach, które spadały razem z nim.

Najlepiej widział Vatera, który dyndał przyklejony do wózka zaledwie dziesięć metrów nad nim. Niedaleko dostrzegł Eberleina, który wyglądał jak przyszpilony do ściany tunelu motyl, a także coś podobnego do kuli bilardowej: znajomy kształt Ropucha.

Kiedy Don zaczął spadać, był zbyt przerażony, żeby myśleć. Przyciągnął tylko do siebie torbę i zacisnął zęby. Teraz jednak, gdy spadał już kilka minut i wciąż nie uderzył o dno, zaczął się zastanawiać, gdzie tak naprawdę kończy się wsysająca go otchłań. Kiedyś przeczytał, że człowiekowi nigdy nie udało się dowiercić głębiej niż dwanaście kilometrów w głąb skorupy ziemskiej, ale z pewnością dawno już minął ten punkt.

Nad sobą miał zimne wody Oceanu Arktycznego, poniżej zaś czekał płaszcz roztopionego metalu i magmy. Don zawsze wyobrażał sobie piekło jako krainę wiecznego ognia, ale, co dziwne, im dłużej spadał, tym w tunelu robiło się zimniej.

Mimo silnego wiatru udało mu się odwrócić w stronę Eleny i zobaczył, że choć ma zamknięte oczy, jej usta poruszają się, jakby była w transie. Zastanawiał się, czy próbować ją obudzić, ale z jej twarzy emanował taki spokój, że zdecydował się tego nie robić. Przycisnął tylko torbę jeszcze mocniej do siebie i też zamknął oczy.

Spadał tak długo, że czuł, jakby zeszywniały mu powieki. Nie mógł prawie poruszać ustami, a policzki i czoło zmroził mu szczypiący wiatr.

Wreszcie wypełniający uszy szum nieco zmienił swoje natężenie. Na początku była to tylko słaba nadzieja, w końcu jednak Don odważył się pomyśleć, że zaczyna hamować. Szum przemienił się w spokojny świst i wkrótce opadał już, delikatnie niczym piórko, na dno spowite obłokiem szarej mgły.

- Czekają na nas - powiedziała Elena.

Don próbował się ruszyć, ale kleista ściana wciąż go trzymała. W końcu jego oczy zaczęły się przyzwyczajać do półmroku. Tu na dole otaczała ich gęsta mgła, a ziąb był przeraźliwie ostry.

Don wykrzywił twarz, próbując pokonać sztywność. Nagle podróż dobiegła końca.

Równie delikatnie, jak przedtem gwałtownie, ściana zwolniła swój uścisk. Don poczuł, że spada kilka ostatnich metrów, po czym buty ugrzęzły mu w dziesięciocentymetrowej warstwie pyłu.

Elena też wylądowała. Kajdanki zabrzęczały, kiedy przyciągnęła go do siebie. Nie wiedział dlaczego, ale coś kazało mu chwycić ją za rękę, która w tym miejscu wydawała się jedynym ciepłym punktem.

Przed nimi rozciągało się zamglone przejście, sklepienie jak sufit gotyckiego kościoła. Ściany świeciły tym samym niebiesko-fioletowym światłem co tunel, ale zupełnie inaczej falowały. Don pomyślał, że przypominają lekki materiał powiewający na wietrze. Nie mogła to jednak być prawda, bo powietrze było nieruchome, wilgotne i ciężkie.

Za nim zbierali się mundurowi w ciemnych okularach, trzymający białe karabiny automatyczne. Eberlein nachylił się do Vatera - rozmawiali ściszymi głosami. Elektryczny wózek zapadł się w pył tak głęboko, że nie było widać kół. Nagle Don poczuł szarpnięcie - to Elena pociągnęła go za sobą przez mgłę w kierunku najbliższej ściany.

Jego buty wzbijały tumany pyłu i trudno mu było utrzymać równowagę. Kiedy zbliżyli się do falującej powierzchni, zobaczył, że jest zbudowana z dziwnie płynnego materiału. W przeciwieństwie do ścian tunelu, które były zrobione z czegoś, co przypominało szkło, ściany korytarza tworzył pył, który cicho szeleszcząc, sypał się w dół jak wodospad. Przesypujący się szary pył zdawał się jedyną rzeczą dzielącą go od ciężkich mas skalnych.

Don z wahaniem wyciągnął palce, żeby go dotknąć. Ściana nie stawiała żadnego oporu i jego ręka zapadła się w niej po łokieć. Wydawało się, że nie ma tam niczego, oprócz przesypujących się pomału wokół jego dłoni okruchów i ziarenek.

Kiedy tak stał, patrząc na mieniące się w niebiesko-fioletowym świetle drobiny, zastanawiał się, co tak naprawdę wie o mitycznym zimnym piekle. Dwa staronordyckie słowa *nifel* i *heim* dosłownie oznaczały „świat zasnuty mgłami”, miejsce, w którym nieustannie zapadał zmrok, jednak noc nigdy nie nadchodziła. Według islandzkich sag miał tu panować przenikliwy chłód, a powietrze miało być przesycone trującymi oparami i jadem. Inuici wierzyli, że piekło powinno znajdować się głęboko pod Oceanem Arktycznym, w miejscu, które nazywali Adlivun. To był Hades, greckie królestwo cieni, jego babcia powiedziała by...

- *Sheol* - wymamrotał Don. - *Geyen in Sheol*.

Jeżeli chodzi o Elenę, dotykając szemrzącej ściany, nie widziała piekła. Od czasu kiedy zaczęła spadać, otuchy dodawał jej szept matki.

Stojąc pod ścianą, poczuła impuls, aby zrobić krok do przodu i wejść w spadający pył. Wydawało jej się, że daleko za świetlistymi punktami dostrzeża kontury twarzy, zachęcających ją wzrokiem, by szła dalej.

Zobaczyła poruszające się usta - wypowiadały słowa, których nie mogła usłyszeć. Wyglądało to tak, jakby czegoś od niej chciały, jakby istniało coś, co tylko ona może im dać.

Elena włożyła rękę do środka. Odniosła wrażenie, że w deszczu niebiesko-fioletowych drobinek jej dłoń stała się dziwnie przezroczysta. Pod skórą napęczniała żółtoczerwona aura, pośród której mięśnie i żyły wyglądały jak świecące linie. Złożyła dłoń w łódeczkę i ostrożnie wysunęła.

Z początku pył w jej ręce był martwy, wyglądał jak szaro-czarny proszek, chwilę później jednak drobiniki obudziły się do życia i jej twarz stopniowo oświetlił blask.

Elena pomyślała o Wewelsburgu i pyle, który fundacji udało się zabezpieczyć w zapieczętowanych szklanych kapsułach. Materiale, który był punktem wyjścia jej wizji dotyczących absolutnych podstaw fizyki i chemii. Teraz iskry znów do niej przemawiały, ukazując wiązania cząsteczkowe i wzory połączeń atomów. Ona jednak nie miała już zamiaru sporządzać szkiców elementarnej budowy świata.

Zamiast tego podsunęła drobinki Donowi, pokazując mu ich piękną, połyskującą fakturę. Szwed wyglądał jednak na przestraszonego - oczy za zaparowanymi okularami przypominały wąskie kreski. Zaczął przeszukiwać torbę i wyciągnął z niej coś, co wyglądało jak niewielki inhalator. Łapczywie wziął go do ust.

Po pierwszym zaciągnięciu się trichloroetenem przestał widzieć i oczy powędrowały mu do góry. Po chwili wzrok powrócił, zaczął więc szukać listka tabletek mogadonu.

Nie obchodziło go, czy Elena patrzy - żeby iść dalej, musiał powstrzymać kołatanie serca. Czekając na działanie leku, nie miał zamiaru zrobić ani kroku więcej tym piekielnym korytarzem.

Jednak kiedy Elena pociągnęła go za sobą, z westchnieniem stwierdził, że to nie on decyduje. Ruszyli za mężczyznami.

Brodzili w pyle jedno obok drugiego, kawałek w tyle za śnieżnobiałymi postaciami. Żołnierze w maskujących mundurach wyglądali na tle ścian jak świetliste kontury.

Vater płynął w swoim elektrycznym wózku na samym przedzie, a jego łysa głowa podskakiwała jak samotna latarnia. Koła przedzierały się przez pył z delikatnym szumem.

Za podłużnymi plecami Vatera można było dostrzec Eberleina i Ropucha. Eberlein co jakiś czas spoglądał za siebie, jakby zależało mu, by Don naprawdę doświadczył wszystkiego, co kryje się w podziemiach.

Po długiej chwili ciszy rozległ się odległy grzmot, który zbliżał się do nich korytarzem. Z czasem był coraz głośniejszy, aż w końcu zamienił się w huk.

Don zerknął na Elenę i spostrzegł, że z jej ust w rytmie oddechów wydobywa się biała para. Jednocześnie zorientował się, że on sam płytko oddycha. Zaczął szukać w torbie czegoś, co by mu pomogło, ale nagle zamarł, zdając sobie sprawę, że ich wędrówka dobiegła końca.

Vater zahamował swym wózkiem, a jeden z żołnierzy na przedzie podniósł rękę na znak, by się zatrzymali. W tej samej chwili rozległ się kolejny grzmot, a kiedy wybrzmiewał, Don poczuł wibracje w plecach i klatce piersiowej.

Po raz kolejny szukał ciepłej dłoni Eleny - chwyciła jego palce i razem patrzyli na gigantyczną salę, w której korytarz wreszcie się kończył.

Elena nie wiedziała, co myśleć o miejscu, którego opisy słyszała tak wiele razy. Wydawało jej się wtedy baśniowym pałacem, magicznym źródłem mądrości i zrozumienia. Teraz jednak, kiedy mgła się rozproszyła, zrozumiała, że Vater nie mówił prawdy. Nie dotarli do miejsca, gdzie króluje światło i rozum - stali u progu mauzoleum, które czekało tylko na umarłych.

Rozciągające się przed nimi pomieszczenie było tak wielkie, że nie dało się zobaczyć, gdzie kończą się jego ściany. Elena odchyliła głowę do tyłu i poczuła się tak, jakby spoglądała w rozgwieżdżone niebo, na którym widniały drobne świetlne punkciki. A jednak gigantyczna skalna sala musiała gdzieś się kończyć, ponieważ sufit podtrzymywały zgrabne kolumny. Całe pomieszczenie było nimi wypełnione, przez co przypominało bezkresny las pełen drzew bez gałęzi.

Już miała zrobić pierwszy krok w przód, kiedy poczuła, że ktoś ściska ją za nadgarstek i odwraca ku sobie. Zobaczyła przed sobą Vatera, który patrzył na nią jednym okiem.

- Ten labirynt jest dla ciebie o wiele za duży, Eleno. Najlepiej trzymaj się mnie - powiedział i ruszył w stronę zewnętrznego rzędu słupów, na warstwie pyłu zostawiając ślady kół.

Ubrani na biało żołnierze ruszyli za nim, przyczajeni, jak gdyby czekając na atak. Koło Eberleina ostrożnie stąpał Ropuch, który wkrótce zniknął za filarem.

Donowi zakręciło się w głowie na myśl, że stracił wszelki kontakt z rzeczywistością. Wsluchując się w siebie, próbował odnaleźć ślady mogadonowego haju, co pomogłoby mu pogodzić się z faktem, że doświadcza właśnie halucynacji.

Człapał za Eleną, która ciągnęła go, szarpiąc za kajdanki. Za nic w świecie nie mógł zrozumieć, dlaczego Niemcy zabrali go do podziemi.

Mijane słupy były bardzo cienkie i w ciemności wyglądały jak świecące na niebiesko pochodnie. Don zaczął się zastanawiać, jak tak chude podpory są w stanie utrzymać olbrzymi ciężar skał.

Wrócił myślami do Bube i jej willi z lat pięćdziesiątych, do ogrodu, w którym gniły owoce. Pomyślał o szklanym stole, pod którym leżał, wsluchując się w jej mamrotanie.

Jak długo on sam będzie żył, tak długo i ona nie zniknie na dobre. Wszystkie jej historie nadal w nim żyły, jak czarne wypalone rany. Kiedy jednak również i jego nie będzie, jej prawdy zostaną zapomniane na zawsze.

Zastanawiał się, dlaczego tak kochał Bube, skoro jego własne życie tak bardzo się przez to

zwichrowało. Nigdy nie potrafił złagodzić jej cierpień, a przecież nie mogła wymagać od niego, żeby cofnął czas. Mocował się ze strachem, odkąd pamiętał, teraz jednak, stojąc w podziemiach, zrozumiał, że ta walka jest coraz bardziej pozbawiona sensu.

Idąca obok Elena również odpłynęła myślami. Prowadził ją kojący głos matki. Szeptał jej o gorących promieniach słońca, padających na balkon na południowych przedmieściach Neapolu. Obiecował, że wreszcie będzie mogła wrócić do domu.

Elena pomyślała, że sala, w której się znaleźli, nie jest spokojna - wszędzie czuła obecność cieni. Nawet badacze fundacji nie byli w stanie określić, co to za miejsce. Chciała wierzyć, że jest to punkt przecięcia czasu, w którym membrana oddzielająca ten świat od następnego jest nieskończenie cienka.

Potok myśli przerwał jej Vater, który właśnie zatrzymał się między słupami. Zobaczyła, że szepcze coś do oficera, który dowodził żołnierzami. Oficer zdjął z ramienia karabin i podał go Vaterowi, ten zaś wymierzył w szczelinę znajdującą się jakieś sto metrów dalej. Gestem dał znać żołnierzom, by się rozproszyli. Elektryczny wózek, brzęcząc, ruszył dalej.

Z ponurą rezygnacją Don postanowił w końcu pogodzić się ze wszystkim, co widzi. Z roziskrzonym pyłem i połyskującymi kolumnami sięgającymi odległego sufitu kamiennej sali. Z mgłami Niflheimu, których surową wilgoć i chłód czuł wszędzie dookoła.

Kiedy jednak zbliżyli się do otwartego placu za słupami, serce zaczęło mu bić tak szybko, że żaden specyfik w torbie nie byłby w stanie go uspokoić. Pośród mgieł ustawione było coś, co przypominało statek z grubo ciosanych kamiennych bloków, które tworzyły okrąg. W okręgu zaś znajdowało się coś, co sprawiło, że Don zgiął się wpół w odruchu wymiotnym, który przez całe swoje życie starał się powstrzymać.

Pośrodku kamiennego kręgu unosiło się bowiem ogromne czarne słońce, od jego okrągłej tarczy zaś odchodziło dwanaście promieni w kształcie haków. Nad połyskującym pyłem, pomiędzy kamiennymi blokami, zawisło *die Schwarze Sonne*, przeczące prawom grawitacji.

Elena знаła ten kształt. Legendę o czarnym słońcu usłyszała już pierwszego roku w Wewelsburgu. Vater już dawno temu wyjaśnił jej, dlaczego Karl Maria Wiligut kazał umieścić je w podłogowej mozaice w wieży. Był to portal do czegoś zupełnie innego, *etwas ganz anderes*, i to przy nim wizje były najsilniejsze. To był właśnie receptor, przekazujący szept z innego świata.

Teraz jednak, kiedy Elena po raz pierwszy zobaczyła portal na żywo, to nie czarna tarcza i haki przykuły jej uwagę.

Zamiast na nią patrzyła na długowłosych mężczyzn, którzy montowali konstrukcję przypominającą ogromny metalowy łuk, który składał się z sześciu siedzisk połączonych przewodami. Naprzeciwko jednego z nich stał mężczyzna o skórze tak cienkiej, że prześwitywały przez nią żółtawe kości czaszki.

Don zerknął na Latynosów, nie chcąc dłużej oglądać unoszącego się czarnego słońca. Ludzie Lyttona zaczęli wkładać gumowe kominiarki z otworami na nos i usta. Guma szczelnie przylegała do głów. Po chwili kaptury zaczęły świecić w ciemnościach w rytmie energii elektrycznej wytwarzanej przez fale mózgowy.

Rivera, dawny znajomy Dona z kajuty obok, wetknął przewód do gniazda na skroni. Przewód ciągnął się do kolejnego siedzenia, a stamtąd do następnego. Kiedy już wszystkich sześciu Latynosów podłączyło się do przewodów przy krzesłach, siedząc w metalowym łuku, wyglądali jak połączone szeregowo elementy ludzkiej maszyny.

Agusto Lytton dał Riverze znak, jak gdyby inicjował operację, i przewody zaczęły pulsować zielonkawym światłem.

Don spojrział pytająco na Elenę, ona jednak najwyraźniej nie wiedziała, co Latynosi chcą w ten sposób

osiągnąć.

Vater właśnie przykręcał celownik do karabinu maszynowego, a niemieccy żołnierze zaczęli się kryć za kamiennymi blokami. Bezgłośnie opadli na kolana w głębokie zasy pyłu.

Don pomyślał o Evie i zaczął szukać jej wzrokiem, jednak w okręgu między kamiennymi blokami był tylko Augusto Lytton i sześciu jego ludzi połączonych ze sobą. Lewitujące naprzeciwko nich czarne słońce zaczęło się zmieniać: jego tarcza zmiękła jak glina i rozpoczęła ospały ruch obrotowy.

Z każdą chwilą ruch ten stawał się coraz szybszy, aż w końcu słońce zaczęło przypominać czarny wir. Unosząc się naprzeciwko mężczyźni w metalowym łuku, sprawiało wrażenie, że stara się wessać resztki światła. Promienie słońca zdawały się wydłużać. Jeden z nich prawie dotykał kobiety, która kiedyś podawała się za mecenas Evę Strand.

Stała schowana za tarczą słońca, teraz jednak, brodząc w pyle, ruszyła w kierunku Lyttona. W rękę trzymała przedmiot, który zaprowadził Dona tak daleko od Lund. Krzyż Strindberga był wciąż przezroczysty i lśnił na tle czerwonej kurtki Evy. Lytton zdawał się nie zwracać uwagi na córkę. Nie spuszczał wzroku z czarnego podziemnego słońca.

Eva minęła ojca i szła dalej, zostawiając za sobą Latynosów. Zatrzymała się pomiędzy metalowym łukiem a Niemcami. Żołnierze mierzyli w nią zza kamiennych bloków, ale zdawali się czekać na sygnał od Vatera. Ten obserwował jednym okiem, jak Eva się pochyla.

Podniosła z ziemi garść ciemnoszarego pyłu i bacznie się mu przyjrzała. Wtedy Don zobaczył, jak jej postarzała twarz rozświetlają budzące się do życia drobiny.

Don patrzył długo na Evę, aż w końcu i ona podniosła na niego wzrok. Skinęła głową i lekko się uśmiechnęła. Nie wydawała się ani trochę zdziwiona jego widokiem.

Za jej plecami widać było pochłaniający wszystko wir i rozświetlone głowy Latynosów, dookoła zaś rozciągało się szare morze, sterty martwego pyłu. Eva poruszyła ustami, jakby chciała coś powiedzieć do Dona, jednak jej słowa zagłuszył kolejny przeciągły grzmot. Kiedy w końcu ucichł, Don poczuł szarpnięcie kajdanek. Odwrócił się i spostrzegł, że również Elena przygląda się Evie Strand.

Za plecami Eleny Vater majstrował przy karabinie automatycznym. Po chwili pojawił się czerwony punkcik i Don zrozumiał, że Vater zamontował laserowy wskaźnik celu. Pozostali Niemcy, przyczajeni za kamiennymi blokami, zrobili to samo. Mgłę poprzecinały wiązki lasera.

Don znów odwrócił się do Evy, nie mogąc zrozumieć, dlaczego nadal się nie rusza. Musiała przecież widzieć, co się dzieje, a mimo to stała nieruchomo, nie ostrzegając pozostałych. Przewody pomiędzy świecącymi głowami pulsowały coraz szybciej, a wir pośrodku słonecznej tarczy wkleśł jak żarłoczna paszcza. Wyglądał jak malstrom, spirala, która pochłania wszystko na swojej drodze. Don spojrzał w jego stronę i natychmiast poczuł, że staje się coraz cięższy. Pomyślał, że spirala wysysa z niego duszę i serce, że wszystko to, co stanowiło jego istotę, właśnie zostaje wciągnięte w wirującą czeluść.

Elena także zaczęła odczuwać gwałtowną siłę przyciągania, jednak wzrastający ciężar nie był dla niej najgorszy. Najgorsze było to, że przestała słyszeć głos matki, że zagłuszył go złowieszczy ryk wiru.

Nagle Don spostrzegł, że wiązka lasera karabinu trzymanego przez Vatera zaczęła się poruszać i powoli skręciła w stronę Evy. Elena próbowała krzyknąć, ale w rosnącym chaosie nie potrafiła wydobyć z siebie głosu.

Promień zatrzymał się, tworząc czerwoną plamkę na jasnym czole Evy. Przez przedłużającą się sekundę tkwił tam jak znak przynależności do kasty.

Don nie usłyszał strzału. Zobaczył tylko, że Eva upadła na ziemię jak marionetka, której raptem ucięto sznurki. Krzyk, jaki w nim rozbrzmiał, z trudem wydostał się na zewnątrz. Don szarpnął i pociągnął za sobą Elenę w kierunku rozciągniętego na ziemi ciała Evy.

Lytton w końcu zauważył, co zaszło, i rzucił się za metalową konstrukcję. Rozległ się syk i przewody przestały świecić. Latynosi, jeden po drugim, zeskakiwali z siedzeń i kryli się za łukiem.

Don i Elena byli już przy Evie. Don opadł na kolana i jedną ręką ostrożnie uniół jej głowę. Palcami drugiej próbował powstrzymać krwawienie z tyłu czaszki, miejsca, przez które wyszła kula. W czole Evy widniał otwór wielkości monety. Był niczym trzecie oko i wyglądał dokładnie tak jak rana, którą miał jej brat.

W obliczu śmierci Eva i Olaf są tacy sami, pomyślał Don. W obliczu śmierci dzielący ich czas został wymazany.

Słyszał swój własny głos, krzyczący do Evy, żeby się obudziła. Pochylił się nad nią i poczuł jej płytki oddech. Na dnie źrenic tlił się delikatny płomyk. Don chciał coś powiedzieć, ale mimo starań nie znajdował żadnych słów.

- Titelman - wydyszała Eva. - Miałeś naprawdę... wspaniały wagon.

- Eva...

- Ale to nie było... to nie było w porządku. Przywozić cię aż tutaj.

- Eva - odparł Don szeptem - staraj się oddychać.

Patrzyła na niego długo, aż podmuch wiatru zgasił światło w jej oczach.

Elena patrzyła, jak blade oblicze Evy spowija pył. Delikatne linie jej twarzy zmiękły i powoli się wygładziły. Don nadal próbował zatamować krwawienie. Kiedy spojrzał na Elenę, dostrzegła, że jego usta poruszają się bezgłośnie.

Schowani za metalową konstrukcją Latynosi zaczęli się ruszać, spirala zaś stopniowo słabła. Niezasilany falami mózgowymi malstrom zdawał się pomału wyhamowywać. Obracał się coraz wolniej, aż w końcu czarne słońce stało się równie błyszczące i nieruchome, jak przed dziwacznym eksperymentem Lyttona.

Laserowe wiązki, biegnące od strony schowanych za skalnymi blokami Niemców, tańczyły we mgle i coraz więcej czerwonych promieni zwracało się w stronę metalowego łuku.

Elena spojrzała na krzyż, który Eva nadal trzymała w dłoniach. Zaśnił w ciemnościach, kiedy ostrożnie wyjęła go pomiędzy jej palców, odsłaniając gwiazdę w jego centrum.

Po drugiej stronie ciała siedział Don. Miał spuszczoną głowę i trzęsły mu się ramiona. Elena chwyciła zimny metal i przycisnęła krzyż do piersi.

Spojrzała na Vatera, wiedząc, że obserwuje ją zza kamiennego bloku. Odwróciła się w stronę metalowej konstrukcji i powoli wstała.

- Jansen! - syknął Vater. W pyłe za przewodami coś się poruszyło, ale nikt nie odpowiedział. - To przecież ty, Jansen. Powróciłeś do świata żywych? - krzyknął. - Jeśli tak, to będzie to krótka wizyta. Widzisz, co się tu stało z twoją córką.

- Co ona miała z nami wspólnego? - krzyknął leżący za łukiem Lytton. - Wasze przeklęte podziemia zabiły dwoje moich dzieci.

- Ciemność domaga się ofiar. Kto jak kto, ale ty powinieneś o tym wiedzieć.

Wózek zaczął powoli unosić go do góry. Elena zobaczyła na wpół spaloną twarz Vatera, wznoszącą się ponad kamienny blok.

- Oto co mi zrobiła twoja córka, Jansen. Nikt nie kazał jej i Titelmanowi wysadzać wieży fundacji. Jeżeli masz odwagę się pokazać, możemy kontynuować wasz obiecujący eksperyment.

- A co się stanie, jeżeli uda nam się otworzyć portal? - odkrzyknął Lytton. - Jeżeli nawiążemy kontakt z tym, co jest po drugiej stronie?

Vater nie odpowiedział. Kolejne laserowe wiązki pojawiały się jedna po drugiej. Tym razem jednak to Latynosi wyciągnęli broń automatyczną i zajęli pozycje za metalową konstrukcją. Promienie obu grup skrzyżowały się we mgle, tworząc sieć szukających się nawzajem laserów.

- Mam inną propozycję - krzyknął Lytton. - Poprosisz córkę, żeby przysłała tu z krzyżem. Potem spokojnie się stąd wyniesiecie, żebyśmy mogli skończyć to, co zaczęliśmy.

Elena spojrzała na czerwoną plamkę, wędrującą po jej klatce piersiowej. Któryś z ludzi Lyttona celował w nią z automatu.

W tym samym czasie Don spostrzegł, że z tyłu jej głowy pojawił się kolejny czerwony punkcik biegnący od broni Vatera.

Elena przycisnęła krzyż do czoła, chcąc poczuć jego chłód. Skoncentrowała się tak mocno, jak było to możliwe, żeby odszukać w sobie głos matki. Spojrzała na nieprzeniknione czarne słońce unoszące się lekko w powietrzu. W jego połyskującej powierzchni zobaczyła własną twarz.

Również Don zaczął się podnosić po tym, jak ułożył głowę Ewy na miękkiej warstwie pyłu. Kiedy wstał, podążył za spojrzeniem Eleny, skierowanym na szybujące w powietrzu słońce podziemi.

Wydawało się, że symbol ulega kolejnej zmianie, tarcza bowiem zrobiła się odrobinę jaśniejsza. Tuż przy jego uchu Elena zaczęła mamrotać sylaby, które brzmieniem przypominały słowa w języku włoskim: z każdą wypowiedzianą sylabą światło słoneczne było coraz silniejsze.

- Elena! - krzyknął Vater.

Wyglądało jednak na to, że Elena nic nie słyszy.

- Elena! - syknął znowu. - Oczekuję, że przyniesiesz mi krzyż.

Don spostrzegł, że usta Eleny poruszają się coraz szybciej, w rytm wzmagającego się słonecznego blasku. Żeby go nie oślepił, przysłonił dłonią oczy. Dostrzegł Lyttona, leżącego pod świecącą tarczą. Jego oczodoły były jedynymi czarnymi elementami opromienionej ostrym światłem czaszki.

Elena poczuła, że coś w środku szarpie ją i ciągnie, jakby żądając wykonania ostatniej czynności. Stała przed portalem, który prowadził na zewnątrz ciemności, ale nie wiedziała, jak go otworzyć.

- Chcę tego. *Lo voglio* - wymamrotała. - Chcę, żebyście zabrali nam krzyż.

W tej samej chwili biała tarcza słońca wypuściła coś na kształt tchnienia. Świetlista chmura pyłu oderwała się od centrum słońca i opadła na ciemnoszare zasy.

Don patrzył, jak ta chmura zmierza w ich stronę i spowija Elenę. Ta zamknęła oczy, wyciągnęła przed siebie krzyż i wyszeptwała:

- Chcę, żebyście zabrali mnie ze sobą.

Kiedy otworzyła oczy, nie widziała już dookoła siebie podziemi. Zniknęły mgły, kamienne bloki, nie czuć już było ostrego mrozu. Zostało tylko otaczające ją światło i poczuła się jak w ciepłych objęciach.

- Zabierzcie mnie ze sobą - szepnęła znowu.

Wtem pojawiła się para rąk, która zabrała jej krzyż. Elena popatrzyła na twarz, tak podobną do niej samej: wysokie kości policzkowe, szerokie usta i oczy, w które ostatni raz spoglądała, będąc dzieckiem.

- Twój czas jeszcze nie nadszedł.

Ledwie głos matki zdążył wybrzmieć, kiedy krzyż zaczął płonąć. W dłoni świetlistej postaci poczerniał jak węgiel.

Don, stojący obok Eleny, również czuł ciepło, nie rozumiał jednak, co widzi w połyskującej chmurze. W świetle ukazała się zgarbiona postać przypominająca starą kobietę. Jej posiwiałe włosy spięte były w znajomy kok.

Opuścił wzrok na łydki kobiety, poznaczone gruzłowatymi bliznami, i pojął, że sam musi wejść w to światło, że Elena musi mu na to pozwolić.

- Bube... - wymamrotał.

Elena poczuła pchnięcie, kiedy Don przysunął się bliżej. Zabrzęczały kajdanki. W tej samej chwili

rozległ się ogłuszający trzask tysięcy uginających się filarów. Jeden z nich nie wytrzymał ciężaru i runął w dół.

Teraz, kiedy był tak blisko, Don poczuł przepelniającą go ulgę. Nie zwracał uwagi na potężny hałas łamiących się i przewracających słupów. To, co znajdowało się poza światłem, nic już nie znaczyło.

Postać wzięła do ręki łańcuch łączący go z Eleną. Po chwili buty Dona oderwały się od podłogi.

Świetlista istota ciągnęła ich ku górze, ponad kamienny krąg, coraz dalej od połyskującej tarczy czarnego słońca. Z niebotycznego dachu spadał deszcz kamieni i gruzu, a ludzie usiłowali się wydostać.

Don dostrzegł, jak Augusto Lytton przebiega pomiędzy walącymi się słupami. Zobaczył Vatera i ubranych w maskujące stroje żołnierzy, którzy razem z wózkiem przynosili go przez gruzowisko. Jedynymi, którzy tkwili w zupełnym bezruchu, byli Reinhard Eberlein i Ropuch. Stali, jeden obok drugiego, wpatrzeni we wściekły blask słońca.

Łańcuch kajdanek ciągnął Dona i Elenę coraz wyżej. Świetlista postać zdawała się mieć skrzydła, naokoło bowiem słychać było trzepot.

Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył Don, kiedy spojrzął za siebie, była biała substancja sącząca się z czoła Ewy Strand. Była jak strumyk wpływający z powrotem do źródła, ku rozżarzonym objęciom słońca.

Następnie prędkość wzrosła już tak bardzo, że pęd powietrza zmusił go do pochylecia głowy. Don walczył o oddech, kiedy istota wyciągała jego i Elenę spod walącego się sklepienia.

Gwiazda Polarna

Fala ciśnienia pchnęła świetlistą istotę z zawrotną prędkością. Kiedy Don spojrział w dół, zobaczył, jak czubki jego butów przecinają chmury pyłu. Poczul tak mocne szarpanie za rękę, że wydawało mu się, że zaraz odpadnie.

Gdzieś w otaczającym go blasku była Elena, jednak właściwie nie mógł jej zobaczyć. Czul tylko, jak się kołysała, kiedy skręciwszy, zaczęli się wznosić pionowym tunelem prowadzącym na powierzchnię Ziemi. Skrzydła nad nimi stawały się coraz szersze, tłukły i smagały powietrze. Pod stopami Dona zgasły połyskujące strugi, a ściany tunelu zaczęły się zwężać i ścieśniać.

Kiedy wisiał tak pod świetlistą postacią, słysząc w uszach szum wiatru, czul dziwny spokój. Rozbrzmiewał w nim głos Bube, który niczym dobroczynna siła przemierzał labirynty pamięci, gasząc obrazy bólu i śmierci.

Widział ją w willi z lat pięćdziesiątych, zamykającą kredens, którego nigdy nie powinien był otwierać. Swastyki i sztylety SS zniknęły w mroku - Don chciał myśleć, że na zawsze.

- *S'iz nisht dayn gesheft, mayn nachesdik kind.* Nie powinieneś był dźwigać całego tego smutku.

W tej samej chwili uścisk wokół jego gardła zelżał, jakby ktoś w końcu przeciął duszącą go pętlę.

Kiedy dotarli do ujścia tunelu, jakaś siła, niczym próżnia, zaczęła wsysać skrzydła istoty. Przez chwilę coś pchało ich z powrotem do środka i Don pomyślał, że nigdy się nie wydostaną. Nagle zderzył się z wirującym ciałem Eleny, aż zaparło mu dech. Wtedy jednak powiał polarny wiatr, dając podporę skrzydłom i pozwalając świetlistemu bytowi swobodnie wznieść się ponad bezkresny lód.

Burza śnieżna musiała już dawno ucichnąć. Kiedy Don podniósł oczy na czarne, aksamitne sklepienie, zobaczył tylko kremowy łuk Drogi Mlecznej. Najjaśniejszym płomieniem była Gwiazda Polarna, której ostre światło przybliżało się coraz bardziej. Im dalej jednak byli od tunelu, tym niosąca ich istota wydawała się słabsza. Otaczająca ją poświata zbladła, aż w końcu prawie nic z niej nie zostało. Don poczul szarpnięcie, po raz ostatni. Zaraz potem istota puściła ich i, połączeni ze sobą, zaczęli spadać, oddalając się od powoli gasnącej aury. Don zobaczył Elenę, która ze wszystkich sił starała się utrzymać równowagę. Jej kurtka łopotała na wietrze.

Spadając, Don był spokojny jak dziecko. W ciągu tych kilku sekund ustało kołatanie serca, a przepełniająca go harmonia wykraczała poza tu i teraz.

Nagle migoczącą Gwiazdę Polarną przesłoniła chmura wirującego śniegu. Silny wiatr sprawił, że wylądowali pod kątem i kilka razy odbili się od tafli lodu jak kłębki wełny. Gdy tak koziołkowali, Don czuł, jak Elena obejmuje go ramionami. Nagle zaczęli sunąć po gładkiej i śliskiej powierzchni, aż w końcu się zatrzymali i Don opadł na plecy. Elena była tuż obok. Oboje ciężko dyszeli. Po jakimś czasie ich oddechy zwolniły i ucichły. Leżeli blisko siebie i wpatrywali się w niebo.

Don spojrział na Gwiazdę Polarną i dostrzegł, jak bardzo jest podobna do jasnego punktu, który ukazał mu się kiedyś ponad białym krzyżem Nilsa Strindberga. Rozluźnił odrobinę pasek torby, chwycił ją i z przyzwyczajenia zaczął przetrząsać. Lecz po chwili ogarnęło go nieznane dotychczas wahanie - wziął głęboki oddech i postanowił, że podejmie ryzyko i przez krótką chwilę pozostanie w stanie zbliżonym do normalnego.

Gwiazd, które widział hen nad sobą, nawet metamina nie byłaby w stanie rozjaśnić, spokój zaś, jaki odczuwał po stesolidzie, nie mógł się równać z tym, który wypełniał go teraz.

Elena wsłuchiwała się w szum wiatru i czuła ciepło bijące od Dona. Zastanawiała się, czy on również zobaczył tam w dole jej matkę, czy też podziemne słońce ukazało mu kogoś zupełnie innego.

Świetlista istota, która zabrała jej krzyż, zrobiła to dla jej własnego dobra. Za tarczą słoneczną musiało

znajdować się coś, czego żyjący człowiek nie jest gotów zobaczyć.

Mroźne powietrze i lód, który czuła pod sobą, sprawiały, że wszystko wydawało się rozkosznie miękkie. Elena pomyślała, że mogłaby tu leżeć w nieskończoność, wpatrzona w rozgwieżdżone niebo, i nie przejmować się upływem czasu. Po raz pierwszy od czasów dzieciństwa nie było nikogo, kto żądałby od niej odpowiedzi. Może pozna ją, kiedy jej czas się skończy, teraz jednak chciała tylko tak leżeć.

Przeminęło z wiatrem

Don poczuł szarpnięcie, kiedy Elena w końcu się podniosła. Usiadła w kucki i zaczęła się przyglądać maleńkiemu zamkowi kajdanek.

Zapytała, czy ma przy sobie coś, czego mogliby użyć, najlepiej coś wąskiego i spiczastego. Grzebiąc w torbie, Don nie mógł powstrzymać uśmiechu. W końcu wyciągnął z niej małą, zafoliowaną strzykawkę.

Elena wzięła igłę, wprawnymi ruchami podłubała nią w zamku i kilka sekund później byli wolni. W miejscu, gdzie znajdowały się obręcze, skóra była pocięta i krwawiła. Oswobodziwszy ręce, Elena wyciągnęła niewielki bandaż.

Owinęła go wokół nadgarstka Dona i powiedziała:

- Musimy się stąd wydostać, zanim pogoda się pogorszy.

Don spojrzał niechętnie na bezkresny lód.

- Czy to znaczy, że mamy teraz wrócić aż do lodołamacza? To chyba bardzo długa droga?

- Osiemnaście kilometrów - odparła Elena. - Jednak kiedy pomyślę o pytaniach, jakie tam na nas czekają, nie wydaje mi się to zbyt dobrym pomysłem. Z kolei do niego... - Wskazała rosyjski śmigłowiec.

- Do niego mamy chyba tylko kilkaset metrów, prawda?

Otrzeptała się ze śniegu i zanim Don zdążył cokolwiek powiedzieć, ruszyła przed siebie.

Don stanął na trzęsących się nogach i zaczął iść za Eleną tak szybko, jak potrafił. Choć miała na sobie obszerny maskujący strój, poruszała się zwinnym krokiem. W końcu przystanęła przed jedną ze śnieżnych zasp i pochyliła się, jakby coś znalazła. Kiedy Don podszedł bliżej, zobaczył, że właśnie podniosła spaloną gwiazdę i krzyż Strindberga.

Wyglądało na to, że za drążkiem sterowniczym śmigłowca Elena czuje się pewnie. Rzuciła Donowi hełm, pomogła założyć słuchawki i opuścić szybkę. Przez przyciemniane szkło obserwował, jak z wprawą obsługuje wszystkie urządzenia.

Śmigło zaczęło się obracać i helikopter uniósł się nad śnieżnobiałe przestrzenie Arktyki. Mimo wiatru trzymali się prosto i przelecieli tuż nad tunelem, który teraz miał zaledwie metr średnicy.

Don spojrzał w dół i zobaczył, że obracające się śmigło helikoptera wywołało podmuch, który całkowicie zakrył śniegiem to, co pozostało z wejścia do tunelu.

Elena zmieniła kąt nachylenia śmigła i zaczęli się wznosić w stronę gwiazd. Don usłyszał, jak coś zatrzeszczało w słuchawkach, a po chwili rozległ się głos Eleny, której udało się przekrzyczeć huk silnika. Powiedziała, że ma zamiar polecieć w stronę Longyearbyen na Svalbardzie i że mają do pokonania mniej więcej pięćset kilometrów.

Po przestudiowaniu rosyjskich map Don pomyślał, że dystans jest przerażająco wielki. Mimo to jednak, zrezygnowany, pokiwał głową. Zdążył się już przyzwyczaić, że to nie on decyduje o tym, dokąd jedzie.

Elena obniżyła nos śmigłowca i wkrótce jego prędkość wzrosła. Don oparł głowę o szybę i patrzył na połacie lodu, na jego kolanach zaś podskakiwały resztki gwiazdy i krzyża. Biały metal poczerniał i stał się dziwnie kruchy i delikatny. Don zdjął rękawiczkę i przesunął palcem po chropowatej powierzchni krzyża, na którym nie było już widać żadnych inskrypcji.

Nagle pomyślał o miejscu, które powinni odwiedzić, lecąc na północ, i zaczął szukać na mapie właściwych współrzędnych. Krzycząc przez mikrofon, podał je Elenie i w zwięzłych słowach wyjaśnił sprawę.

Kiedy dotarli do brzegu paku lodowego, znaleźli się nad Oceanem Arktycznym. Widzieli pod sobą czarne martwe fale, które w porannym świetle stopniowo zmieniały kolor na szary. Kiedy lecieli na

południe, noc polarna z każdą milą morską słabła i daleko na horyzoncie pojawiło się coś, co przypominało wschód słońca.

Na początku wyglądało jak czerwone pasmo włóczki, lecz wkrótce do kabiny zaczęły wpadać pierwsze promyki. Don obserwował, jak załamują się na szybcie jego hełmu, ale po chwili zamknął oczy i powrócił myślami do Evy Strand.

Dla niego nadal leżała w ciemnych podziemiach, spowita zasłoną pyłu. Jeszcze raz zobaczył poświatę nad jej oczami i wsłuchany w dźwięk pracującego śmigła próbował zmusić się do zaśnięcia.

Kiedy Elena nim potrząsnęła, obudził się i zorientował, że zupełnie stracił poczucie czasu. Wskazała coś, co wyglądało jak dryfujący lód, ale dopiero gdy śmigłowiec obniżył lot, Don dostrzegł wymierzone w niebo skały.

Wyspę pokrywał śnieg, nie licząc małego spłachetka piasku. Don krzyknął, żeby wylądowali na południowym zachodzie. O ile pamiętał, to właśnie tam postawiono kamień, a w takich sprawach rzadko się mylił.

Przytrzymał się brzegu siedzenia, kiedy Elena balansowała maszyną, i niedługo potem stali już na zamrzniętym żwirze.

Don zdjął hełm i włożył czerwoną kurtkę z logo „Early Fall Arctic Cruise”. Kiedy zszedł po metalowej drabince, spojrzął w górę i zobaczył, że Elena daje mu znaki, by się pospieszył.

Ruszył truchtem pod górę po ostrych kamieniach i po chwili znalazł się na wzgórzu, na którym stał pomnik. Przeczytał nazwiska na mosiężnej płytce i spojrzął na to, co zabrał ze sobą - spalone przedmioty, które kiedyś były gwiazdą i krzyżem Strindberga.

W dłoni oba wyglądały tak niepozornie, że Don zaczął się zastanawiać, jakim cudem zaprowadziły go aż tutaj. Wreszcie położył je na cementowej podstawie pomnika.

Kiedy wrócił do kokpitu, zobaczył Elenę, która siedziała wygodnie odchyłona do tyłu. Na głowie nie miała już hełmu i Don po raz pierwszy zobaczył, jak zielone są jej oczy. Spojrzała na niego i powiedziała:
- Zastanawiałam się nad jedną sprawą.

Następnie zaczęła przedstawiać swoją propozycję, Don zaś słuchał jej podejrzliwie. Pierwszy raz słyszał, żeby coś tak trudnego mogło być takie proste.

Elena jednak nie widziała w tym najwyraźniej żadnego ryzyka, przynajmniej jeśli chodzi o nią. Nie było nawet pewne, czy oficjalnie istnieje - Vater zadbał o to już dawno temu.

Nadal dyskutowali, kiedy śmigła helikoptera zaczęły się obracać i płozy oderwały się od zamrzniętej ziemi. Na chwilę zawisły w powietrzu nad pomnikiem. Krzyż i gwiazda drżały od wiatru. W końcu śmigłowiec wznosił się wyżej i odlecieli.

W ostatnim obozie ekspedycji na Wyspie Białej pozostały tylko dwa czerniejące przedmioty i napis na pomniku:

S.A. ANDRÉE
N. STRINDBERG
K. FRÆNKEL
1897

List

Kilka tygodni później w zasnutym deszczem Falun drzwi sklepu Åhlens zamknęły się z sykiem za emerytką niosącą ciężkie torby. Przed sklepem monopolowym kilku chłopaków bawiło się mopedem. Pewnie żaden z nich nie uświadamiał sobie tego wprost, ale Åsgatan - ulica handlowa w Falun - była naprawdę przeraźliwie nudna.

Jeżeli przejdzie się przez rzekę, trafi się do części miasta położonej najbliżej kopalni miedzi, którą zbudowano na wiekowej warstwie żużlu. Po tej stronie, zaraz za mostem, znajdował się komisariat w Falun, a w nim pokój przesłuchań ze szwankującą świetlówką. W tymże pokoju, na krześle, siedział zgarbiony człowiek w sztruksowej marynarce i okularach. Miejsce naprzeciwko niego zajmował policjant z wąsami. Między nimi, na notatniku, leżał list z niemieckim stemplem.

Słysząc było monotonne pstrykanie świetlówki na suficie i szum klimatyzatora.

Wreszcie Wąs odchrząknął, kończąc rozmowę:

- A więc nie ma pan pojęcia, kto to do nas przysłał. A mimo to wraca pan do Szwecji zaledwie kilka dni po tym, jak ten list wylądował na naszym biurku?

Don poprawił okulary.

- Domyślam się, że będę musiał wyjaśnić to również służbom wywiadowczym?

Policjant wydmuchał nos.

- Nie sądzę, żeby to było konieczne. Nie są już tym chyba zbyt zainteresowani, a z tego, co słyszałem, prowadzą wewnętrzne śledztwo mające wyjaśnić, dlaczego w ogóle pana stąd zabrano. A ta tak zwana adwokat...

Don machnął ręką.

- Tak, to wszystko pieprzony bajzel - wymamrotał Wąs do siebie.

- A odciski palców na butelce, którą znaleźliście? - zapytał Don.

- Poszukamy także w międzynarodowych rejestrach, ale w Szwecji nie znaleźliśmy właściciela. A zadać taki cios tak drobną dłonią... Człowiek prawie zaczyna się zastanawiać, czy Erika Halla nie zabiło jakieś dziecko. Ale przecież nadawca listu określił dokładnie miejsce, w którym leżała butelka, i opisał sam cios. A więc to list od mordercy, choć nie ma w nim nic o tym, dlaczego...

- Może nie wiecie jeszcze o tej sprawie wszystkiego - powiedział Don.

Policjant posłał mu spojrzenie, które miało być przenikliwe:

- Naprawdę? Czyżby nadal coś pan przed nami ukrywał?

Don gwałtownie potrząsnął głową.

- Tak czy inaczej, bądźmy w kontakcie - powiedział Wąs niepewnie. - Na wypadek gdyby wydarzyło się coś nowego.

Zapadła cisza, od czasu do czasu przerywana pstrykaniem świetlówki. W końcu Don odsunął krzesło i zarzucił torbę na ramię.

- Czyli mogę już iść?

Wąs, chcąc nie chcąc, pokiwał głową i Don wstał. Już w drzwiach usłyszał głos policjanta:

- Przepraszam, jeśli niepotrzebnie pana w to wciągnęliśmy, Titelman. Może ma pan jakiegoś prawnika, z którym moglibyśmy się skontaktować w razie pytań?

Don popatrzył na siedzącego w świetle jarzeniówki Wąsa.

- Nie. Myślę, że w przyszłości poradzę sobie sam.

Od autora

Dziękuję Therese Uddenfeldt - bez Ciebie nic nie byłoby możliwe.

Pozostałe osoby, którym chciałbym podziękować, to:

Stephen Farran-Lee i Karin Lundwall

Michael Kucera, Anna-Karin Ivarsson, Daniel Öhman, Sara Hallgren-Öhman, Lars Pahlman, Judit Ek, Niklas Möller, Pier Franceschi i Margit Silberstein

Anna Hedin, Katarina Wallentin, Lars Wallentin, Mikael Uddenfeldt i Astrid Uddenfeldt

Peter Giesecke, Ricardo Gonzalez, Elias Hedberg, Olov Hyllienmark, Roger Jansson, Håkan Jorikson, Olle Josephson, Daniel Karlsson, Johanna Mo, Margareta Regebro, Lotta Riad, Thomas Roth, Salomon Schulman i Katja Ösding

W tych nielicznych przypadkach, w których powieść odbiega od rzeczywistości, to rzeczywistość powinna się zmienić.

[1] Fragment *Inferna* w przekładzie Mariusza Kalinowskiego.

[2] Kolor charakterystycznej dla całej Szwecji farby do malowania domów, której pigment powstaje w procesie oczyszczania rudy miedzi.

[3] Fragmenty Eddy poetyckiej w przekładzie Apolonii Załuskiej-Strömberg.

[4] *Przyzywam Agnipurohitę jako boskiego ofiarnika,
Hotara, który skarby daje.*

Agni przez dawnych wieszczów czczony (...)

[5] (...) *przez dawnych wieszczów czczony i terażniejszych godny chwały, niechaj nam bogów tu przywiedzie.* (Fragment pierwszego hymnu Rigwedy, Do Agni, w przekładzie Franciszka Michalskiego).

[6] Witamy z powrotem (wł.).

[7] „Każdy inteligentny człowiek na świecie czuł, że zbliża się katastrofa, i nie znał żadnego sposobu, aby jej zapobiec”.

[8] Fragmenty wiersza *Męczennica* w przekładzie Jana Opęchowskiego.

Table of Contents

Zaproszenie	
1 Niflheim	
2 „Dalakuriren”	
3 Morderstwo Azów	
4 Bube	
5 Siarczan miedzi	
6 Na światło dzienne	
7 Tajemnica	
8 E4 na północ	
9 „La Rivista Italiana dei Misteri e dell’Occulto”	
10 Don Titelman	
11 Solrod Strand	
12 Przesłuchanie	
13 Sen	
14 Eberlein	
15 Elena	
16 Strindberg	
17 Przebudzenie	
18 „Örnen”	
19 Pocztówka	
20 Igła	
21 Krzyż	
22 Stacja	
23 Wagon	
24 Ypres	
25 Saint Martin d’ Ypres	
26 Stadsarchief	
27 In Flanders Fields	
28 Saint-Charles-de-Potyeze	
29 Szklane kapsuły	
30 Les suprêmes adieux	
31 Telefon	
32 Maszt	
33 Odwiedziny	
34 Login	
35 Mittelpunkt der Welt	
36 Wewelsburg	
37 Oślepienie	
38 Północna wieża	
39 Brüderkrankenhaus St. Josef	
40 Mechelen-Berlin	
41 Wyleczona	
42 Nowy tor	
43 Мурманск	
44 „Jamał”	
45 Siedemdziesiąty siódmy równoleżnik	

46Dzień trzeci
47Agusto Lytton
48Eva Strand
49Jansen
50Pod powierzchnią
51Zmiana kursu
52Wejście
53Czarne słońce
54Gwiazda Polarna
55Przeminęło z wiatrem
List
Od autora